



# ELIZABETH STROUT

NAPISOWNICZKA NAGRODZONA PRYTZEDEM POWIEŚĆ  
ELIZABETH STROUT NA PODSTAWIE KTOREJ POWSTAŁ  
ZNAKOMITY SERIAL HBO

# OLIVE KITTERIDGE



**Elizabeth Strout**

**Olive Kitteridge**

Przełożyła Ewa Horodyska

---



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

# Olive Kitteridge

## Spis treści

Okładka  
Karta tytułowa  
Zajrzyj na strony  
Dedykacja  
Apteka  
Pora przyływu  
Pianistka  
Delikatny wstrząs  
Wyglodzenie  
Inna droga  
Zimowy koncert  
Tulipany  
Koszyk z podróżami  
Okręt w butelce  
Środki bezpieczeństwa  
Przestępczyni  
Rzeka  
O autorce i tłumacze  
Karta redakcyjna

*Mojej Matce,  
która potrafi nadać życiu  
magiczny urok  
i snuje opowieści jak nikt inny*

## Apteka

Od wielu lat Henry Kitteridge pracował jako farmaceuta w małym miasteczku i każdego ranka dojeżdżał do pracy zaśnieżonymi lub mokrymi drogami, albo drogami w pełni lata, gdy dzikie maliny wypuszczały nowe kolczaste pędy w gąszczu zarośli na obrzeżach miasta, zanim się skręciło w szerszą ulicę prowadzącą do apteki. Teraz, na emeryturze, wciąż budzi się wcześniej i wspomina, jak dobrze niegdyś czuł się rano, jakby cały świat był jego tajemnicą. Opony sunęły miękko po nawierzchni, światło przebijało się przez poranną mgłę, po prawej stronie ukazywała się na chwilę zatoka, a potem wysokie, smukłe sosny. Niemal zawsze jeździł z uchylonym oknem, ponieważ kochał zapach sosen i ciężkie od soli powietrze, a w zimie – jej mroźne tchnienia.

Apteka znajdowała się w niewielkim piętrowym budynku przyczepionym do innego, gdzie mieściły się oddzielnie sklep z artykułami żelaznymi i mały sklepik spożywczy. Codziennie rano Henry parkował na tyłach, obok wielkich metalowych koszy, następnie wchodził do apteki tylnymi drzwiami, zapalał światła, podkręcał termostat, a latem włączał wentylatory. Otwierał sejf, przekładał pieniądze do kasy, odciągał zasuwę we frontowych drzwiach, mył ręce i wkładał biały laboratoryjny fartuch. Był to przyjemny rytuał, jakby ów stary sklep ze swoimi półkami wypełnionymi pastą do zębów, witaminami, kosmetykami, ozdobami do włosów, nawet przyborami do szycia i kartkami okolicznościowymi, a także czerwonymi gumowymi termoforami i gruszkami do lewatywy, przypominał żywą osobę, stanowczą i nieugiętą. A każda ewentualna nieprzyjemność, każda chwila niepokoju, ilekroć żona Henry'ego wstawała w nocy z łóżka i wędrowała w ciemności po domu – wszystko to cofało się niczym piaszczysta linia wybrzeża, gdy wkraczał w bezpieczne zacisze apteki. Stojąc na zapleczu, obok szuflad i rzędów lekarstw, Henry cieszył się na dźwięk dzwonka, gdy pani Merriman przychodziła po swój lek na nadciśnienie albo zjawiał się stary Cliff Mott po wyciąg z naparstnicy; cieszył się, szykując valium dla Rachel Jones, od której mąż uciekł w noc narodzin ich dziecka. Henry był urodzonym słuchaczem i wielokrotnie w ciągu tygodnia powtarzał: „Do licha, ogromnie mi przykro” albo „No nie, to niepojęte”.

W głębi serca odczuwał ciche dreszcze niepokoju znane komuś, kto w dzieciństwie dwukrotnie był świadkiem nerwowych załamań matki, która w innych chwilach gorliwie się nim opiekowała. Dlatego gdy klient – co zdarzało się czasami, choć rzadko – okazywał zdenerwowanie na widok ceny leku albo nie odpowiadała mu jakość bandaży bądź worka z lodem, Henry robił, co mógł, by jak najszybciej naprawić sytuację. Przez wiele lat pracowała u niego pani Granger, niezbyt skłonna zadowolić nieufnego klienta; jej mąż łowił homary i zdawała się wnosić z sobą zimny powiew otwartego morza. Wypełniając formularze recept, Henry nasłuchiwał, czy nie uznała za stosowne odrzucić czyjejś skargi. Nieraz powracało do niego to samo wrażenie, gdy musiał czuwać, czy jego żona Olive nie naciska zbyt mocno Christophera z powodu zadania domowego albo niedopatrzienia w zakresie obowiązków; to samo zawieszenie uwagi – ta potrzeba, by każdemu dogodzić. Słyszając wyjątkowe ożywienie w głosie pani Granger, opuszczał pomieszczenie na zapleczu i przechodził do sklepu, by osobiście

porozmawiać z klientem. W innych wypadkach pani Granger dobrze wykonywała swoją pracę. Henry doceniał to, że nie była gadatliwa, utrzymywała idealny porządek w księgowości i bardzo rzadko zdarzała się jej nieobecność z powodu choroby. To, że pewnej nocy zmarła we śnie, zdumiało go, a zarazem napełniło swoistym poczuciem profesjonalnej odpowiedzialności, jakby przeoczył – pracując tuż obok niej przez lata – jakiś symptom, który on, sprzedając te swoje tabletki, syropy i strzykawki, mógł zauważyć i wyleczyć.

– Myszowata – stwierdziła jego żona, gdy zatrudnił nową asystentkę. – Wygląda jak mysz.

Denise Thibodeau miała zaokrąglone policzki i małe oczka wyzierające przez szkła okularów w brązowej oprawie.

– Ale to miła myszka – odparł Henry. – Urocza. I rezolutna.

– Nie ma takich rezolutnych, którzy nie potrafią stać prosto – oznajmiła Olive. Istotnie, wąskie ramiona Denise pochylały się do przodu, jakby ciągle za coś przepraszała. Miała dwadzieścia dwa lata i właśnie skończyła stanowy uniwersytet w Vermont. Jej mąż także miał na imię Henry i Henry Kitteridge, gdy poznał Henry’ego Thibodeau, był pod wrażeniem – jak to postrzegał – nieskrępowanej doskonałości. Mocno zbudowany młody człowiek tryskał energią z błyskiem w oku, dodającym ożywienia jego przyzwoitej, przeciętnej twarzy. Pracował jako hydraulik w firmie należącej do wuja. Byli z Denise małżeństwem od roku.

– To nie najlepszy pomysł – stwierdziła Olive, gdy zasugerował, by zaprosili młode małżeństwo na kolację. Henry porzucił temat. Właśnie wtedy jego syn – który nie okazywał jeszcze oznak wieku dojrzewania – stał się nieoczekiwanie poważny i uporczywie nadąsany, ten jego nastrój przesycił atmosferę niczym trucizna, Olive zaś wydawała się równie zmienna i odmieniona jak Christopher. Obydwoje kłócili się namiętnie i burzliwie, podczas gdy niczego niepojmujący, oszołomiony Henry czuł się dziwnie obco.

Ale stojąc na parkingu pod koniec letniego dnia i rozmawiając z Denise i Henrym Thibodeau, kiedy słońce wtulało się w osłonę świerków, Henry Kitteridge wspominał własne studenckie lata i tak zatęsknił za dalszym przebywaniem w obecności tych dwojga młodych ludzi ze zwróconymi ku niemu nieśmiałościami twarzami, że zaproponował: „Może przyszlibyście do nas za kilka dni na kolację?”

Pojechał do domu, mijając wysokie sosny i migotliwą zatokę, myśląc o młodych Thibodeau, którzy zmierzali w przeciwną stronę, ku swojej przyczepie ustawionej na obrzeżach miasta. Wyobraził sobie tę przyczepę, przytulną i schludną – ponieważ Denise była porządna – i ich dwoje, omawiających miniony dzień. Denise mogła powiedzieć: „Jest wyrozumiały jako szef”, a jej mąż: „O tak, bardzo mi się podoba ten facet”.

Henry skręcił w podjazd, który właściwie był nie tyle podjazdem, ile spłachetkiem trawnika na szczycie wzgórza, i w ogrodzie zobaczył Olive.

– Witaj – powiedział, podchodząc do niej. Chciał wziąć ją w ramiona, lecz tuż obok zastygła ciemność, towarzysząca jej niczym znajomy, który nie chce odejść. Więc tylko poinformował, że państwo Thibodeau przyjdą na kolację. – Tego wymaga uprzejmość.

Olive otarła pot z górnej wargi i odwróciła się, by wyrwać z ziemi pęk cebuli dymki.

– No to klamka zapadła, panie prezesie – oświadczyła. – Proszę wydać dyspozycje kucharce.

W piątkowy wieczór zaproszona para udała się za nim do domu i młody Henry uściśnął dłoń Olive.

– Ładnie tutaj – zauważył. – Z tym widokiem na morze. Pan Kitteridge wspominał, że sami zbudowaliście państwo ten dom.

– Tak, rzeczywiście.

Christopher przysiadł przy stole bokiem, z niezdarnością nastolatka, i nie zareagował, gdy Henry Thibodeau zapytał, jakie sporty uprawia w szkole. Henry Kitteridge poczuł, jak wzbiera w nim nieoczekiwana furia; zapragnął nakrzyczeć na chłopca, którego złe maniere zdradzały coś nieprzyjemnego, czego nikt się nie spodziewał w domu Kitteridge'ów.

– Kiedy pracujesz w aptece – zwróciła się Olive do Denise, stawiając przed nią półmisek z prażoną fasolą – poznajesz sekrety wszystkich mieszkańców miasta.

Olive usiadła naprzeciw i podsunęła Denise butelkę keczupu.

– Trzeba wiedzieć – dodała – kiedy trzymać usta zamknięte. Ale ty chyba już to wiesz.

– Denise to rozumie – wtrącił Henry Kitteridge.

Mąż Denise odezwał się natychmiast:

– O, niewątpliwie. Nie znaleźlibyście nikogo bardziej godnego zaufania niż Denise.

– Wierzę panu – odparł Henry, podając mu koszyk z bułkami. – I proszę mówić mi po imieniu. Henry to jedno z moich ulubionych imion.

Denise zaśmiała się cicho. Polubiła go. Od razu to zauważył.

Christopher rozparł się na krześle.

Rodzice Henry'ego Thibodeau mieszkali na farmie, więc jeden i drugi Henry porozmawiali sobie o plonach, fasoli tyczkowej, kukurydzy, która z braku deszczu nie była tego lata tak wysoka jak zwykle, a także o tym, jak wyhodować na grządce dobre szparagi.

– Och, na miłość boską – powiedziała Olive, kiedy Henry Kitteridge przewrócił butelkę keczupu, którą chciał wręczyć młodemu człowiekowi, i zawartość niczym zgęstniała krew zalała dębowy stół. Usiłując złapać butelkę, Henry potracił ją, aż się potoczyła. Ketchup poplamiał jego palce, a następnie białą koszulę.

– Zostaw to – rozkazała Olive, wstając. – Zostaw tę butelkę, Henry, na miłość boską. – Na co Henry Thibodeau, być może na dźwięk własnego imienia wymówionego ostrym tonem, usiadł wyprostowany, z załęczonym wyrazem twarzy.

– Ojej, ale nabrudziłem – zauważył Henry Kitteridge.

Na deser każdy dostał gałkę lodów waniliowych ślizgającą się pośrodku niebieskiej miseczki.

– Waniliowe to moje ulubione – wyznała Denise.

– Doprawdy? – spytała Olive.

– Moje również – powiedział Henry Kitteridge.

Z nadejściem jesieni, gdy poranki stały się ciemniejsze i słońce zaglądało do apteki tylko przez krótką chwilę, zanim skryło się za budynkiem, i pozostawało jedynie sztuczne światło pod sufitem, Henry na zapleczu napełniał małe plastikowe fiolki i odbierał telefony, Denise natomiast dyżurowała przy kasie. W porze lunchu rozpakowywała kanapkę przyniesioną z domu i posilała się na zapleczu, gdzie mieścił się skład zapasów, Henry zaś mniej więcej w tym samym czasie zjadał swój lunch, a jeśli nie było żadnego klienta, obydwójce wypijali po filiżance kawy od sklepikarza z sąsiedztwa. Denise wydawała się cicha z natury, lecz miewała nieoczekiwane napady gadulstwa.

– Moja mama, wie pan, przez wiele lat chorowała na stwardnienie rozsiane, więc wcześniej nauczyliśmy się pomagać potrzebującym. Każdy z moich trzech braci jest inny. Nie uważa pan, że to zabawne, kiedy życie tak się układa? Najstarszy brat – dodała Denise, ustawiając butelkę szamponu – był ulubieńcem ojca, dopóki nie ożenił się z dziewczyną, która się ojcu nie podobała.

Teściowie Denise, jak podkreśliła, byli cudowni. Przed Henrym miała pewnego chłopaka,

protestanta, którego rodzice nie byli dla niej tacy mili.

– Nie ułożyłoby się nam życie – dokończyła, zakładając za ucho pasemko włosów.

– No cóż, Henry to wspaniały młody człowiek – zauważył Henry Kitteridge.

Kiwnęła głową, uśmiechając się zza okularów jak trzynastoletnia dziewczynka. Ponownie wyobraził sobie jej przyczepę i ich dwoje baraszkujących jak para przerośniętych szczeniaków. Nie potrafił odgadnąć, dlaczego sprawia mu to szczególną przyjemność, jakby przelewało się przez niego płynne złoto.

Denise była równie kompetentna jak pani Granger, lecz bardziej swobodna w sposobie bycia. „Tuż pod witaminami w drugim przejściu – informowała klienta. – Zaraz pokażę gdzie”. Pewnego razu powiedziała Henry’emu, że czasami pozwala jakiejś osobie krążyć przez chwilę po sklepie, zanim zapyta, czym może służyć. „Dzięki temu, wie pan, zdarza się im przy okazji znaleźć coś, co też jest im potrzebne, a nie wiedzieli o tym wcześniej. I sprzedaż panu wzrasta”. Smuga zimowego słońca rozświetliła gablotkę z kosmetykami, pas drewnianej podłogi zajaśniał niczym plaster miodu. Henry Kitteridge uniósł brwi z uznaniem.

– To był dla mnie szczęśliwy dzień, Denise, gdy przekroczyłaś ten próg.

Poprawiła okulary wierzchem dłoni i przetarła ściereczką słoiki z maściami.

Jerry McCarthy, który dostarczał leki z Portland raz w tygodniu – lub częściej, jeśli zaszła potrzeba – zjadał niekiedy lunch w pomieszczeniu na zapleczu. Miał osiemnaście lat, dopiero co ukończył szkołę średnią. Ten wysoki, tęgi chłopak o gładkiej twarzy pocił się tak obficie, że miewał koszulę całą w mokrych plamach, czasami nawet na torsie, przez co biedaczysko przypominał nieco matkę karmiącą. Przycupnięty na skrzyni, z masywnymi kolanami niemal przy uszach, posilał się kanapką, z której wypadały oblepione majonezem grudy sałatki jajecznej albo tuńczyka i lądowały na jego koszuli. Henry widział nieraz, jak Denise podsuwa Jerry’emu papierowy ręcznik.

– Mnie też się to zdarza – usłyszał pewnego dnia. – Ilekroć jem kanapkę z czymś innym niż wędlna, cała się brudzę. – To nie mogło być prawdą. Dziewczyna zawsze wyglądała schludnie jak z pudełeczka, choć nie grzeszyła urodą.

– Dzień dobry – odzywała się, gdy dzwonił telefon. – Tu miejscowa apteka. Czym możemy dzisiaj służyć? – Jak dziewczynka odgrywająca rolę dorosłej osoby.

A później, pewnego poniedziałkowego ranka, gdy w aptece czuło się przenikliwy chłód, Henry zagadnął swoją asystentkę, otwierając sklep: „Jak spędziłaś weekend, Denise?”. Poprzedniego dnia Olive odmówiła pójścia do kościoła, na co Henry, nietypowo jak na siebie, zwrócił się do niej ostrym tonem: „Czy proszę o zbyt wiele?”. Stał w kuchni w krótkich kalesonkach i prasował spodnie, gdy usłyszał własny głos: „Chciałbym, żeby moja własna żona towarzyszyła mi do kościoła”. Pójście bez niej wydawało się publiczną demonstracją rozpadu rodziny.

– Owszem, do jasnej cholery, prosisz o zbyt wiele! – wyrzuciła z siebie Olive, dając upust wściekłości. – Nie masz pojęcia, jaka jestem zmęczona po całym dniu w szkole i po idiotycznych zebraniach z tym cholernym kretyńcem, naszym dyrektorem! I jeszcze zakupy. Gotowanie. Prasowanie. Pranie. Odrabianie lekcji z Christopherem! A ty... – Przytrzymała się oparcia krzesła przy jadalnianym stole, ciemne włosy, wciąż rozczochrane po wstaniu z łóżka, opadły jej na oczy. – Ty, Panie Główny Diakonie i Mistrzu Mowy Trawy, oczekujesz ode mnie wyrzeczenia się spokojnych niedzielnych poranków dla gromady zadzierających nosa gnojków! – Gwałtownie i z rozmachem usiadła na krześle. – Cóż, mam już tego naprawdę dość – zakończyła spokojnie. – Po dziurki w nosie.



Wtargnęła w niego ciemność; jego dusza dławiła się smołą. Nazajutrz Olive odezwała się do niego tonem towarzyskiej pogawędki:

– W zeszłym tygodniu samochód Jima śmierdział rzygowinami. Mam nadzieję, że jest już wyczyszczony. – Jim O’Casey uczył razem z Olive i od lat zawoził ją i Christophera do szkoły.

– Też mam taką nadzieję – odparł Henry i w ten sposób ich sprzeczka dobiegła końca.

– Ach, ten weekend był cudowny – powiedziała Denise, spoglądając zza szkieł okularów z żarliwością w małych oczkach o tak dziecinnym wyrazie, że od patrzenia w nie topniało serce.

– Pojechaliśmy do rodziny Henry’ego i w nocy wykopywaliśmy ziemniaki. Henry włączył reflektory w samochodzie i kopaliśmy przy ich świetle. Wygrzebywanie ziemniaków z tej przemarzniętej ziemi było jak poszukiwanie czekoladowych jajek wielkanocnych!

Przerwał rozpakowywanie dostarczonych paczek z penicyliną i zszedł z drabinki. Nie zjawili się jeszcze żadni klienci, a pod oknem od frontu syczał termostat kaloryfera.

– To z pewnością bardzo miłe, Denise.

Kiwnęła głową, dotykając tuż obok niego półki z witaminami. Przez jej twarz przemknął cień lęku.

– Zrobiło mi się zimno, więc wróciłam do auta, patrzyłam na Henry’ego wykopującego ziemniaki i myślałam, że to zbyt piękne, by było prawdziwe.

Zadał sobie pytanie, co w jej krótkim życiu mogło sprawić, że nie ufała szczęściu; być może choroba jej matki. Powiedział:

– Ciesz się tym, Denise. Masz przed sobą wiele szczęśliwych lat.

„A może – pomyślał, wracając do rozpakowywania pudeł – był to wpływ katolicyzmu: wzbudzanie w człowieku poczucia winy w każdej sytuacji”.

Następny rok – czy był najszcześniejszym rokiem w jego własnym życiu? Często tak myślał, choć zdawał sobie sprawę, że to niemądre stwierdzenie, gdy mowa o jakimkolwiek roku z czyjegoś życia; w jego pamięci jednak ten właśnie rok zachował urok czasu, w którym nie było miejsca na rozważania o początku ani o końcu i gdy Henry jechał do apteki w mroczne zimowe poranki, a później o wiosennym brzasku, w oczekiwaniu na pełnię lata, to właśnie drobne przyjemności, jakie przynosiła jego praca w swej prostocie, zadowalały go w pełni. Kiedy Henry Thibodeau wjeżdżał na wysypany żwirem parking, Henry Kitteridge często otwierał drzwi przed Denise, przytrzymał ją i wykrzykiwał: „Witaj, Henry!” – na co Henry wysuwał głowę przez okno samochodu i odpowiadał: „Witaj, Henry” z szerokim uśmiechem na twarzy rozjaśnionej przyzwoitością i poczuciem humoru. Czasami gestowi pozdrowienia towarzyszyło tylko imię: „Henry!”. A drugi Henry wołał wówczas: „Henry!”. Sprawiało im to frajdę, Denise zaś, niczym delikatnie przerzucana między nimi piłka, wślizgiwała się do apteki.

Gdy zdejmowała rękawiczki, jej dłonie wydawały się dziecięco chude, lecz kiedy dotykała klawiszy sklepowej kasy albo wkładała coś do białej torebki, przybierały pełne wdzięku kształty rąk dorosłej kobiety, rąk, które – jak myślał Henry – z czułością będą dotykały męża, które pewnego dnia z cichą pewnością przewiną niemowlę, pogładzą rozgorączkowane czoło, wsuną pod poduszkę pieniądze od zębowej wróżki.

Obserwując, jak Denise przy odczytywaniu spisu towarów poprawia palcem okulary na nosie, myślał, że stanowi ona esencję tego, co amerykańskie – ponieważ działo się to w początkach hipisowskiego ruchu i artykuły w „Newsweeku” na temat marihuany oraz „wolnej miłości” wywoływały w nim niepokój, który rozpraszało jedno spojrzenie na Denise. „Pochłonie nas piekło, jak starożytnych Rzymian – oznajmiała tryumfalnie Olive. – Ameryka przypomina wielki

gnijący ser”. Ale Henry wciąż wierzył w przewagę ludzi o umiarkowanych poglądach, a w pracy codziennie stykał się z dziewczyną, której jedyne marzenie polegało na stworzeniu w przyszłości ze swoim mężem prawdziwej rodziny. „Nie obchodzi mnie ruch wyzwolenia kobiet – zwierzyła się Henry’emu. – Chcę mieć dom i ślać w nim łóżka”. Mimo to, gdyby miał córkę (a bardzo chciał ją mieć), przestrzegłby ją przed tym. Powiedziała: „Dobrze, ściel łóżka, ale postaraj się też nie stracić zdolności myślenia”. Denise nie była jednak jego córką, więc ją zapewnił, że prowadzenie domu jest szlachetnym zajęciem, mgliście tylko zdając sobie sprawę, że to kwestia wolnego wyboru: dbać o osobę, której nie łączą z tobą więzy krwi.

Uwielbiał jej prostolinijność, czystość jej marzeń, lecz to oczywiście nie oznaczało, że się w niej zakochał. Naturalna powściągliwość Denise sprawiła natomiast, że na nowo zaczął pożądać Olive. Ostro wyrażane opinie żony, bujny biust, burzliwe nastroje i nieoczekiwane wybuchy gardłowego śmiechu odsłoniły w Henrym nową, gorącą erotyczną płaszczyznę i czasami, dysząc w mroku nocy, myślał nie o Denise, lecz – o dziwo – o jej silnym, młodym mężu, o młodzieńczej żarliwości, z jaką musiał dawać upust zwierzęcej żądzy posiadania. W takich chwilach Henry Kitteridge odczuwał przypływ nieprawdopodobnego uniesienia, jakby w akcie miłosnym z żoną łączył się z wszystkimi mężczyznami okazującymi miłość kobietom, skrywającym głęboko w sobie ciemne, mszyste tajemnice ziemi.

– O rany boskie – mówiła Olive, kiedy się z niej zsuwał.

W college’u Henry Thibodeau grał w futbol amerykański, tak samo jak Henry Kitteridge.

– Czy to nie było wspaniałe? – zapytał pewnego razu młodszy Henry. Przyjechał nieco wcześniej po Denise i wszedł do apteki. – Słyszec, jak ludzie krzyczą na trybunach? Widzieć to podanie prosto do ciebie, gdy wiesz, że je odbierzesz? Kurczę, kochałem to. – Uśmiechnął się szeroko. Jego otwarta twarz zdawała się odbijać rozszczerzone światło. – Kochałem to.

– Przypuszczam, że grałeś bez porównania lepiej niż ja – zauważył Henry Kitteridge. Był niezły w bieganiu, w zwodach i unikach, lecz zabrakło mu agresywności, by zostać naprawdę dobrym zawodnikiem. Zawstydzalo go wspomnienie, że każdy mecz budził w nim strach. Ucieszył się, kiedy z powodu miernych wyników w nauce musiał zrezygnować z piłki.

– O, wcale nie byłem taki dobry – zaprzeczył Henry Thibodeau, przesuwając po głowie szeroką dłonią. – Po prostu to lubiłem.

– Był dobry – wtrąciła Denise, wkładając płaszcz. – Naprawdę dobry. Cheerleaderki dopingowały go specjalnym okrzykiem. – Nieśmiało i z dumą zacytowała: – „Śmigaj, Thibodeau, śmigaj”.

Ruszając ku drzwiom, Henry Thibodeau powiedział:

– Niedługo zaprosimy was, ciebie i Olive, na kolację.

– Och, nie zaprzataj sobie tym głowy.

Denise napisała do Olive list z podziękowaniem swoim schludnym, drobnym pismem. Olive przy stole rzuciła okiem na kartkę i podsunęła ją Henry’emu.

– Jej charakter pisma jest równie ostrożny jak ona sama – zauważyła. – Nigdy nie widziałam dziewczyny o tak pospolitej urodzie. Dlaczego przy swoim wyblakłym kolorycie ubiera się na beżowo i szaro?

– Nie wiem – odparł uprzejmie, jakby sam się nad tym zastanawiał. Co nie miało miejsca.

– Głupia gęś – skonstatowała Olive.

Ale Denise nie była głupią gęsią. Potrafiła sprawnie liczyć i zapamiętywała wszystko, co usłyszała od Henry’ego o sprzedawanych lekach. Na uczelni specjalizowała się w badaniu życia

zwierząt i posiadała gruntowną znajomość biologii molekularnej. Czasami w trakcie przerwy przysiadła z podręcznikiem na kolanach. Na jej dziecięcej twarzy, której powagi dodawały okulary, malował się wyraz skupienia, kolana sterczały ku górze, ramiona pochylały się naprzód.

„Urocza i rezolutna” – przemykało mu przez głowę, gdy po drodze zerkał zza otwartych drzwi. Czasami zagadywał:

– Wszystko w porządku, Denise?

– O tak, jak najbardziej.

Henry nadal się uśmiechał, ustawiając fiolki i wypisując nalepki. Charakter Denise wiązał się z jego charakterem równie łatwo, jak aspiryna z enzymem COX-2. Henry bezboleśnie przeżywał dzień; melodyjny szum kaloryferów, brzęknięcie dzwonka, ilekroć ktoś otwierał drzwi, skrzypnięcie drewnianej podłogi, „czin-czing” kasy – w tamtych dniach czasami mu się wydawało, że jego apteka przypomina zdrowy wegetatywny układ nerwowy w stanie wyciszenia i zdolności do pracy.

Wieczorami przelewała się przez niego adrenalina.

– Nic, tylko gotuję, zmywam i sprzątam! – wykrzykiwała co pewien czas Olive, stawiając przed nim gwałtownym ruchem talerz z wołowym gulaszem. – A niektórzy po prostu czekają, aż ich obsłużę, i gapią się na mnie.

Henry czuł, że jego ramiona pokrywają się z niepokoją gęsią skórą.

– Może powinienes więcej pomagać w domu – zwracał się do Christophera.

– Jak śmiesz mu dyktować, co ma robić? Nawet cię nie obchodzi, co on przeżywa na lekcjach nauki o społeczeństwie! – krzyczała Olive, podczas gdy Christopher milczał ze znaczącym uśmiechem. – Nawet Jim O’Casey wykazuje więcej zrozumienia dla chłopca niż ty – kończyła i gwałtownym ruchem ciskała serwetkę na stół.

– Na litość boską, Jim uczy w tej szkole i codziennie widuje się z tobą i Chrisem. O co chodzi z tymi lekcjami nauki o społeczeństwie?

– Tylko o to, że cholerna nauczycielka jest kretynką, co Jim instynktownie rozumie – oznajmiała Olive. – Ty również widzisz Christophera codziennie. Ale o niczym nie masz pojęcia, bo zamknęłaś się w swoim małym światku z Panną Brzydulińską.

– Jest dobrą pracownicą – odpowiadał Henry.

Rano jednak mroczny nastrój Olive często mijał i Henry wyjeżdżał do pracy z nową nadzieją, która poprzedniego wieczoru wydawała się ułudą. W aptece okazywano mężczyznom życzliwość.

Denise zapytała Jerry’ego McCarthy’ego, czy zamierza pójść do college’u.

– Nie wiem. Nie sądzę. – Chłopak oblał się rumieńcem. Może podkochiwał się trochę w Denise, a może czuł się przy niej jak dziecko, chłopiec, który nadal mieszka z rodzicami, ma pulchne nadgarstki i brzuszek.

– Idź na kursy zaoczne – doradziła żwawo Denise. – Możesz się zapisać zaraz po Bożym Narodzeniu. Wystarczy jeden kurs. Powinienes spróbować. – Kiwnęła głową i spojrzała na Henry’ego, który odpowiedział tym samym.

– To prawda, Jerry – potwierdził, choć dotychczas niewiele myśli poświęcił temu chłopakowi. – Co cię interesuje?

Jerry wzruszył masywnymi ramionami.

– Coś cię musi interesować.

– Takie rzeczy jak te. – Chłopak wskazał pudła z zapakowanymi tabletkami, które nieco wcześniej wniósł tylnymi drzwiami na zaplecze.

Zdumiewająca sprawa, ale zapisał się na zajęcia z dziedziny nauk przyrodniczych i gdy wiosną wyznał, że uzyskał ocenę celującą, Denise poleciła:

– Nie ruszaj się stąd.

Wróciła ze sklepu spożywczego z niedużym tortem w pudełku i oznajmiła:

– Henry, jeśli nie zadzwoni telefon, to będziemy świętowali.

Opychając się ciastem, Jerry powiedział Denise, że poprzedniej niedzieli był w kościele na mszy, aby się pomodlić o dobre wyniki na egzaminie.

Tego typu reakcje katolików zawsze zaskakiwały Henry’ego. Już otwierał usta, by powiedzieć: „Bóg nie uzyskał dla ciebie celującej oceny, Jerry, zdobyłeś ją sam”, lecz Denise uprzedziła go, pytając:

– Chodzisz do kościoła w każdą niedzielę?

Chłopak z zakłopotaną miną zlizął lukier z palców.

– Teraz będę chodził – odparł, na co Denise parsknęła śmiechem, a Jerry jej zawtórował, zarumieniony i rozpromieniony.

Obecnie jest późna jesień, listopad, wiele lat później; i gdy Henry w niedzielny poranek przeciąga grzebieniem po włosach, musi zebrać z jego czarnych plastikowych zębów kilka siwych kosmyków, zanim wsunie grzebień z powrotem do kieszeni. Przed wyjściem do kościoła rozpała w kuchennym piecyku, ze względu na Olive.

– Powtórzysz mi najnowsze plotki – mówi Olive, poprawiając na sobie sweter i zaglądając do dużego garnka, w którym bulgocze wywar jabłkowy. Ma to być mus z ostatnich jabłek w sezonie i jego zapach ociera się o nozdrza, słodki, znajomy, wydobywający jakieś tęskne wspomnienia, zanim Henry, w swoim krawacie i tweedowej marynarce, otworzy drzwi.

– Postaram się – odpowiada.

Nikt już teraz, jak się wydaje, nie chodzi do kościoła w garniturze. Tak naprawdę jedynie garstka wiernych uczęszcza regularnie na nabożeństwa. To zasmuca i martwi Henry’ego. W ciągu ostatnich pięciu lat wysłuchiwali dwóch duchownych, z których żaden nie wygłosił wiekopomnego kazania. Obecny pastor, brodaty mężczyzna, który nie nosi odpowiedniej szaty, zdaniem Henry’ego nie utrzyma się długo. Jest młody, ma żonę i dzieci, będzie musiał wyruszyć gdzie indziej. Henry martwi się ponadto malejącą liczbą wiernych oraz tym, iż być może inni wyczuli już to, czemu on z coraz większym uporem stara się zaprzeczać – a mianowicie, że cotygodniowe nabożeństwo nie przynosi rzeczywistej pociechy. Kiedy wszyscy pochylają głowy albo śpiewają hymn, Henry nie odnosi już wrażenia, że otacza ich błogosławieństwo Bożej obecności. Olive stała się nieubłaganą ateistką. On sam nie wie, kiedy to nastąpiło. Nie była nią, gdy się pobierali; na zajęciach z biologii w college’u, po sekcjach i preparowaniu zwierząt, rozmawiali o tym, że sam układ oddechowy jest cudem, dziełem stworzonym przez wspaniałą siłę.

Henry dojeżdża gruntową drogą do tej utwardzonej, prowadzącej do miasta. Nieliczne ciemnoczerwone liście pozostały przyczepione do niemal nagich gałęzi klonów; liście dębów są rdzawe i pomarszczone, za drzewami przelotnie połyskuje zatoka, gładka dziś i stalowoszara pod zasnutym chmurami listopadowym niebem. Henry mija miejsce, gdzie dawniej znajdowała się apteka. Stoi tam teraz duża drogeria należąca do sieci handlowej, z ogromnymi szklanymi, rozsuwanymi drzwiami, która zajmuje powierzchnię niegdysiejszej apteki i sklepu spożywczego, a nawet parkingu na tyłach, gdzie pod koniec dnia Henry i Denise przystawali na kilka chwil, zanim każde wsiadło do swojego auta – wszystko to obecnie należy do sklepu, w którym

sprzedaje się nie tylko lekarstwa, lecz także papierowe ręczniki w dużych rolkach i worki na śmieci wszelkich możliwych rozmiarów. Można tam nawet kupić talerze i kubki, kuchenne łopatki i pokarm dla kotów. Drzewa na obrzeżach wycięto, żeby zrobić więcej miejsca na parking. „Przyzwyczajasz się do pewnych rzeczy – myśli Henry – choć właściwie nie potrafisz się do nich przyzwyczaić”.

Wydaje się, że upłynęło bardzo wiele lat od tych chwil, kiedy Denise drżała w zimowym chłodzie, zanim wreszcie wsiadła do swojego samochodu. Jaka ona była młoda! Jakież to bolesne, wspominać wyraz konsternacji na jej dziewczęcej twarzy; a mimo to Henry wciąż pamięta, że potrafił skłonić ją do uśmiechu. Teraz, w odległym Teksasie – tak daleko, że jest to niemal inny kraj – Denise jest w tym samym wieku co Henry w tamtych czasach. Pewnego wieczoru upuściła czerwoną mitenkę, on się schylił, by ją podnieść, przytrzymał mankiet i obserwował wsuwającą się weń drobną dłoń.

Biały kościół stoi w sąsiedztwie klonów o nagich gałęziach. Henry wie, dlaczego z taką intensywnością myśli o Denise. Po raz pierwszy od dwudziestu lat nie otrzymał w minionym tygodniu kartki urodzinowej, która zawsze przychodziła punktualnie. Do kartki Denise dołącza przeważnie krótki list. Czasami jedna lub dwie linijki wystają poza margines, jak rok wcześniej, gdy wspomniała, że Paul, który poszedł do pierwszej klasy szkoły średniej, stał się otyły. Jej własne określenie. „Paul ma teraz naprawdę poważny problem – trzysta funtów to już otyłość”. Nie wspomniała, czy ona sama lub jej mąż zamierzają coś na to poradzić, jeśli w ogóle potrafią. Młodsze córki, bliźniaczki, są wysportowane i chłopcy zaczynają do nich wydzwaniać. „Co mnie przeraża”, jak skwitowała Denise. Nigdy nie pisze na zakończenie: „Całuję”, tylko kreśli swoim schludnym charakterem pisma: „Denise”.

Na żwirowanym przykościelnym parkingu wysiadała właśnie z auta Daisy Foster. Otworzyła usta z udawanym zaskoczeniem i radością – choć radość akurat jest szczerą, bo Daisy zawsze się cieszy, gdy widzi Henry’ego, i on o tym wie. Jej mąż zmarł przed dwoma laty, emerytowany policjant, który napalił się papierosów, aż się nimi zakopcił na śmierć, dwadzieścia pięć lat starszy od Daisy. Pozostała taka sama jak zawsze, pełna wdzięku, miła i błękitnooka. Henry nie ma pojęcia, co się z nią stanie. Zajmując swoje zwykłe miejsce w ławce pośrodku, zaczyna myśleć, że kobiety są o wiele dzielniejsze od mężczyzn. Ewentualność, że Olive umrze i zostawi go samego, budzi zgrozę, której Henry nie potrafi znieść.

I wtedy powraca myślami do apteki, która już nie istnieje.

– Henry wyjeżdża na ten weekend na polowanie – powiedziała Denise pewnego listopadowego przedpołudnia. – Czy ty polujesz, Henry? – Porządkowała szufladkę kasy i nie patrzyła na niego.

– Kiedyś tak – odparł. – Teraz jestem już na to za stary.

Kiedy jeden jedyny raz w życiu zastrzelił sarnę, nie mógł patrzeć, jak głowa uroczego, niczego nieświadomego zwierzęcia kołysze się w tył i naprzód, a potem smukłe nogi załamują się i stworzenie pada na leśne poszycie. „Och, mięczak z ciebie” – zauważyła wówczas Olive.

– Henry jedzie z Tonym Kuziem. – Denise wsunęła szufladkę na miejsce i podeszła do lady, by uporządkować na nowo miętówki i gumy do żucia, ułożone schludnie z samego przodu. – To jego najlepszy przyjaciel od piątego roku życia.

– Co teraz porabia?

– Ożenił się i ma dwoje dzieci. Pracuje w Midcoast Power i kłóci się z żoną. – Denise zerknęła

na Henry'ego. – Nie powtarzaj tego nikomu.

– Nie powtórzę.

– Ona często jest bardzo spięta i krzyczy na niego. Jej, nie chciałabym takiego życia.

– No nie, tak się nie da żyć.

Zadzwoił telefon i Denise, odwracając się swawolnie na palcach, podniosła słuchawkę.

– Tu miejscowa apteka, dzień dobry. Czym mogę służyć? – Chwila milczenia. – O tak, mamy multiwitaminę bez dodatku żelaza... Bardzo proszę.

Podczas przerwy na lunch nawiązała rozmowę ze zwałistym Jerryem o dziecięcej twarzy.

– Mój mąż bez przerwy opowiadał mi o Tony. O tarapatach, w jakie się pakowali, kiedy byli dziećmi. Raz powędrowali dokądś i wrócili dopiero po zmierzchu, a mama Tony'ego powiedziała: „Tak się martwiłam, Tony. Mogłabym cię zabić”. – Denise wyskubała kłaczek z rękawa szarego swetra. – Zawsze wydawało mi się to zabawne. Martwisz się, że twoje dziecko mogło zginąć, a potem grozisz, że je zabijesz.

– Zaczekaj tylko – wtrącił Henry Kitteridge, omijając pudła, które Jerry wniósł na zaplecze. – Od pierwszej gorączki już nigdy nie przestaniesz się zamartwiać.

– Już nie mogę się doczekać – powiedziała i Henry po raz pierwszy uświadomił sobie, że wkrótce będzie miała dzieci i przestanie dla niego pracować.

Niespodziewanie przemówił Jerry:

– Lubisz go? To znaczy Tony'ego? Dogadujecie się jakoś?

– Lubię – odparła Denise. – Dzięki Bogu. Bałam się naszego pierwszego spotkania. Czy ty masz jakiegoś bliskiego przyjaciela z dzieciństwa?

– Chyba tak. – Rumieniec zabarwił tłuste, gładkie policzki Jerry'ego. – Ale nasze drogi tak jakby się rozeszły.

– Moja najlepsza przyjaciółka – podjęła Denise – zaczęła się tak jakby puszczać, kiedy poszłyśmy do liceum. Chcesz jeszcze coś do picia?

Sobota w domu: lunch składał się z kanapek z krabami i zapiekany serem. Christopher właśnie unosił jedną z nich do ust, gdy zadzwonił telefon i Olive poszła go odebrać. Christopher czekał, choć nikt go o to nie prosił, z kanapką w znieruchomiałej ręce. Umysł Henry'ego zarejestrował tę chwilę – instynktowny szacunek okazany przez syna – gdy w sąsiednim pokoju zabrzmiał głos Olive.

– Och, biedne dziecko – powiedziała tonem, który Henry zapamiętał na zawsze, tonem przepełnionym tak wyraźną zgrozą, że niemal odartym z całej zewnętrznej warstwy „oliveności”.

– Biedne, biedne dziecko.

Henry wstał i poszedł do drugiego pokoju. Zapamiętał z tego niewiele: tylko cichutki głos Denise i późniejszą kilkuminutową rozmowę z jej teściem.

Nabożeństwo żałobne odbyło się w kościele pod wezwaniem Matki Świętej od Pokuty w rodzinnym miasteczku Henry'ego Thibodeau, oddalonym o trzy godziny jazdy. Kościół był duży i ciemny, z wielkimi witrażowymi oknami. Duchowny stał przed ołtarzem w fałdzistej białej szacie, kołyszając kadzielnicą; gdy Olive i Henry przybyli na miejsce. Denise siedziała już w ławce z samego przodu obok swoich rodziców, braci i sióstr. Trumna była zamknięta, tak samo jak podczas czuwania poprzedniej nocy. Kościół zapełnił się ludźmi. Henry, siedzący obok Olive w jednej z tylnych ławek, nie rozpoznał nikogo, dopóki czyjś potężny, milczący cień nie skłonił go do uniesienia oczu – i okazało się, że to Jerry McCarthy. Henry i Olive przesunęli się trochę, żeby zrobić mu miejsce. Jerry szepnął: „Przeczytałem o tym w gazecie”, a Henry na

chwilę położył dłoń na jego tłustym kolanie.

Nabożeństwo ciągnęło się długo; po czytaniach z Pisma Świętego nastąpiły inne czytania, potem zaś staranne przygotowania do przyjęcia komunii. Kapłan rozłożył obrusy i nakrył nimi stół, a ludzie kolejno wstawali z ławek, podchodzili, klękali i otwierali usta na przyjęcie hostii. Wszyscy wypili po łyku z tego samego dużego, srebrnego kielicha. Henry i Olive pozostali na swoich miejscach. Mimo poczucia nierealności, które go ogarnęło, Henry zwrócił uwagę na niehigieniczność całego procesu, gdy wszyscy piją z tego samego naczynia, i zauważył również – z cynizmem – że duchowny na zakończenie odchylił w tył haczykowany nos i wysączył ostatnie krople.

Sześciu młodych mężczyzn poniosło trumnę główną nawą. Olive trąciła łokciem Henry'ego, który kiwnął głową. Jeden z żałobników niosących trumnę, tych ostatnich, miał twarz tak bladą i oszołomioną, że Henry zaczął się obawiać, iż zasłabnie. Był to Tony Kuzio, który kilka dni wcześniej, o poranku, pomylił Henry'ego Thibodeau z jeleniem, pociągnął za spust i niechcący zastrzelił swego najlepszego przyjaciela.

Kto miał jej pomóc? Jej ojciec mieszkał gdzieś na północy stanu Vermont z kaleką żoną, bracia i bratowe byli daleko, teściów unieruchomiła żałoba. Denise zatrzymała się u teściów na dwa tygodnie, a po powrocie do pracy powiedziała Henry'emu, że nie może u nich dłużej zostać; byli dla niej bardzo dobrzy, lecz przez całą noc słyszała płacz teściowej i dostawała od tego gęsiej skórki. Musiała się wypłakać w samotności.

– Oczywiście, że tak, Denise.

– Ale nie mogę wrócić do przyczepy.

– Nie.

Tamtej nocy usiadł na łóżku i podparł podbródek obiema dłońmi.

– Olive – przemówił – ta dziewczyna jest całkowicie bezradna. Nie potrafi nawet prowadzić samochodu i nigdy jeszcze nie wypisała czeku.

– Jak to możliwe – spytała Olive – że ktoś wychował się w stanie Vermont i nie umie prowadzić?

– Nie wiem – wyznał Henry. – Nie miałem pojęcia, że ona nie umie prowadzić.

– No cóż, teraz rozumiem, dlaczego Henry się z nią ożenił. Na początku nie byłam pewna. Ale wystarczyło, że przyjrzałam się jego matce na pogrzebie... och, biedactwo. Nie ma w sobie ani odrobiny energii.

– Jest zupełnie załamana.

– To potrafię zrozumieć – powiedziała cierpliwie Olive. – Chcę ci po prostu wyjaśnić, że ożenił się ze swoją matką. Mężczyźni tak postępują – zawiesiła głos. – Z wyjątkiem ciebie.

– Będzie musiała się nauczyć prowadzić auto – oznajmił Henry. – To po pierwsze. I potrzebuje mieszkania.

– Zapisz ją na kursy jazdy.

Zamiast tego zabrał ją swoim samochodem na przejażdżkę bocznymi, gruntowymi drogami. Spadł śnieg, lecz na trasach prowadzących w stronę wody ubiły go koła rybackich ciężarówek.

– Dobrze. Teraz powoli naciśnij pedał sprzęgła. – Samochód wierzgnął niczym dziki koń, a Henry wsparł się ręką o tablicę rozdzielczą.

– Och, przepraszam – szepnęła Denise.

– Nie ma za co. Świetnie sobie radzisz.

– Po prostu się boję. Ojej.

– Ponieważ to dla ciebie nowość. Ale, Denise, nawet przygłup może prowadzić samochód.

Spojrzała na niego i nagle wezbrał w niej chichot, na co Henry, chcąc nie chcąc, także parsknął śmiechem. Denise chichotała coraz głośniejsze, aż łzy napłynęły jej do oczu. Musiała zatrzymać samochód i wziąć od Henry’ego białą chustkę do nosa. Spoglądał przez okno, gdy zdjęła okulary i skorzystała z chustki. Przyprószone śniegiem las wzdłuż drogi wyglądał jak czarno-biały obraz. Nawet zimozielone drzewa wydawały się ciemne, a ich gałęzie rozpościerały się nad czarnymi pniami.

– No dobrze – powiedziała wreszcie. Ponownie uruchomiła samochód i Henry znowu poleciał do przodu. Gdyby spaliła sprzęgło, Olive byłaby wściekła.

– Wszystko w porządku – zwrócił się do Denise. – Ćwiczenie czyni mistrza, ot co.

Kilka tygodni później zawiózł ją do Augusty, gdzie zdała egzamin na prawo jazdy, a potem pojechał z nią kupować samochód. Miała na to fundusze. Henry Thibodeau, jak się okazało, załatwił dobrą, rzetelną polisę ubezpieczeniową na życie, więc przynajmniej tyle pozostało Denise. Henry Kitteridge pomógł jej ubezpieczyć samochód i wyjaśnił, jak płacić raty. Wcześniej zaprowadził ją do banku, gdzie po raz pierwszy w życiu założyła konto z rachunkiem bieżącym. Pokazał jej, jak się wypisuje czek.

Był przerażony, gdy usłyszał pewnego dnia, jaką kwotę Denise przekazała kościołowi Matki Świętej od Pokuty, żeby co tydzień zapalano Henry’emu świeczkę, a raz w miesiącu odprawiano nabożeństwo. Powiedział: „To miło z twojej strony, Denise”. Wyraźnie straciła na wadze, a gdy pod koniec dnia stanął na ciemnym parkingu, patrząc na jedno z oświetlonych okien budynku, ujrzał nagle obraz jej niespokojnie wychylonej głowy nad kierownicą; i gdy wsiadł do własnego auta, ogarnął go smutek, którego przez całą noc nie potrafił przezwyciężyć.

– Co cię, u diabła, trapi? – zapytała Olive.

– Denise – odpowiedział. – Jest bezradna.

– Ludzie nigdy nie są tacy bezradni, na jakich wyglądają – odparła Olive. Przykrywając garnek na kuchence, dodała: – Boże, tego właśnie się obawiałam.

– Czego?

– Wyprowadź tego cholernego psa – nakazała Olive. – I usiądź do kolacji.

Znalazło się mieszkanie w jednym z bloków na niewielkim nowym osiedlu na obrzeżach miasta. Teść Denise i Henry pomogli jej przewieźć nieliczne rzeczy. Mieszkanie znajdowało się na parterze i nie docierało tam zbyt wiele światła. „Przynajmniej jest tu czysto” – powiedział Henry, gdy Denise otwierała lodówkę i wpatrywała się w zupełnie puste wnętrze. Zamykając lodówkę, kiwnęła tylko głową. Powiedziała cicho:

– Jeszcze nigdy nie mieszkałam sama.

W aptece zauważył, że Denise chodzi jak we śnie; sam poczuł, że jego własne życie stało się nie do zniesienia, w sposób, którego nigdy by nie przewidział. Nie pojmował siły tego odczucia. Ale to wzbudziło w nim niepokój: mógł popełniać błędy. Zapomniał powiedzieć Cliffowi Mottowi, żeby jadł banany, bo mają dużo potasu, a to mu się przyda, odkąd zażywa środek moczopędny razem z glikozydami nasercowymi. Stara Tibbetsowa źle spała z powodu erytromycyny; czy jej nie poradził, żeby zażywała lek podczas posiłku? Pracował wolniej, przeliczając tabletki dwa albo trzy razy przed włożeniem ich do fiolek, sprawdzając dokładnie przepisywane recepty. W domu patrzył na przemawiającą Olive szeroko otwartymi oczami, żeby widziała, iż poświęca jej całą uwagę. Ale nie poświęcał. Olive była obcą, przerażającą osobą; jego syn często sprawiał wrażenie, jakby uśmiechał się szyderczo.



– Wynieś śmieci! – wrzasnął Henry pewnego wieczoru, gdy otworzył szafkę pod kuchennym zlewem i zobaczył worek wypełniony skorupkami jajek, psimi kudłami i kulkami woskowanego papieru. – O to jedno cię prosimy, a ty nawet tego nie robisz!

– Nie krzycz – zwróciła mu uwagę Olive. – Myślisz, że dzięki temu jesteś bardziej męski? Jakie to żałosne.

Nadeszła wiosna. Dni stały się dłuższe, śnieg topniał na drogach, powlekając je mokrą warstwą. Forsycje rozkwitały złocistymi chmurami w chłodnym powietrzu. A potem rododendrony wystawiły z rozmachem czerwone głowy. Henry spoglądał na wszystko oczami Denise i uznał, że to piękno jest nachalne. Mijając farmę Caldwellów, dostrzegł odręcznie wypisaną tabliczkę: KOCIEŃTA DO ODDANIA – i nazajutrz przyjechał do apteki z kuwetą, puszkami kociego jedzenia oraz czarnym kociakiem z białymi zakończeniami łapek sprawiającymi, że wyglądał, jakby wdepnął w miskę z bitą śmietaną.

– Och, Henry! – wykrzyknęła Denise, chwytając zwierzątko i przytulając je do piersi.

Poczuł się niezmiernie zadowolony.

Kapcio, ponieważ był jeszcze taki mały, spędzał dni w aptece, gdzie Jerry McCarthy musiał go trzymać. Przyciskając zwierzątko tłustą dłonią do przepeconej koszuli, mówił do Denise: „Och, kurczę. Jaki uroczy. To bardzo miłe” – dopóki Denise nie uwolniła go od puszystego brzemia, odbierając Kapcia i ocierając się policzkiem o jego pyszczek, czemu Jerry przyglądał się z boku, rozchyliwszy wydatne, błyszczące usta. Zaliczył dwa dodatkowe kursy na uniwersytecie i ponownie uzyskał oceny celujące. Henry i Denise złożyli mu gratulacje z minami rozartagnionych rodziców. Tym razem nie było tortu.

Denise miewała napady gorączkowej wielomówności, po których następowały dni milczenia. Czasami wychodziła z apteki tylnymi drzwiami i wracała z podpuchniętymi oczami. „Idź wcześniej do domu, jeśli tego potrzebujesz” – powiedział jej kiedyś. Ale ona spojrzała na niego z przerażeniem. „Nie. Ojej, tylko nie to. Chcę zostać tutaj”.

Lato było ciepłe tamtego roku. Henry pamięta ją stojącą przy wentylatorze obok okna, z cienkimi włosami powiewającymi w drobnych, delikatnych falach, gdy patrzyła w szybę przez okulary. Długo tam stała. Na tydzień pojechała do jednego z braci. Następny tydzień spędziła u rodziców. „Chcę zostać właśnie tutaj” – oznajmiła po powrocie.

– Gdzie ona znajdzie drugiego męża w takim małym miasteczku? – zapytała Olive.

– Nie wiem. Sam się nad tym zastanawiam – odparł Henry.

– Mężczyzna wstąpiłby do Legii Cudzoziemskiej, ale chyba nie ona.

– Nie, zdecydowanie nie.

Nadeszła jesień, której się obawiał. W rocznicę śmierci Henry’ego Thibodeau Denise poszła na mszę z teściami. Poczuł ulgę, gdy skończył się już ten dzień, gdy minął cały tydzień, a potem następny, choć zbliżały się święta i na samą myśl o nich drżał z wysiłku, jakby dźwigał ciężar, którego nie może postawić na ziemi. Gdy pewnego wieczoru podczas kolacji zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę pełen złych przeczuć. Usłyszał ciche popłakiwanie Denise. Kapcio wymknął się z domu, a ona chciała tylko pojechać do sklepu, no i potrafiła kota.

– Jedź – ponagliła Olive. – Na miłość boską, jedźże wreszcie i pociesz swoją przyjaciółkę.

– Przestań, Olive – powiedział Henry. – To niepotrzebne. Ona jest młodą wdową, która właśnie przejechała swojego kota. Na Boga, nie ma w tobie ani krzty współczucia? – Cały dygotał.

– Nie przejechałaby żadnego cholernego kota, gdybyś go jej nie podarował.

Zabrał z sobą valium. Przesiedział wieczór na sofie, bezradny, podczas gdy Denise płakała.

Bardzo chciał objąć jej szczupłe ramiona, lecz się powstrzymał i splótł dłonie na kolanach. Z kuchennego stołu docierało do nich światło małej lampki. Denise wydmuchała nos w białą chusteczkę i przemówiła: „Och, Henry, Henry”. Nie wiedział, o którego Henry’ego jej chodzi. Popatrzyła na niego; jej nieduże oczy tak zapuchły, że ledwo było je widać. Zdjęła okulary, by przetrzeć je chustką.

- Rozmawiam z tobą w myślach przez cały czas – powiedziała. Włożyła z powrotem okulary.
- Przepraszam – dodała szeptem.
- Za co?
- Za to, że rozmawiam z tobą w myślach przez cały czas.
- Nie, nie przepraszaj.

Ułożył ją spać jak dziecko. Posłusznie poszła do łazienki i przebrała się w piżamę, a potem weszła do łóżka i przykryła się kołdrą pod brodę. Henry usiadł na skraju łóżka i głaskał ją po głowie, dopóki valium nie zaczęło działać. Powieki Denise opadły, odwróciła głowę i wymruczała coś niewyraźnie. Gdy wracał powoli do domu wąskimi drogami, ciemność wydawała się żywa i złowroga, napierająca na szyby samochodu. Henry wyobraził sobie przeprowadzkę na północ stanu i mały domek, w którym zamieszkałby z Denise. Znalazłby tam jakąś pracę, a Denise mogłaby urodzić dziecko. Dziewczynkę, która by go ubóstwiała; córki przeważnie ubóstwiają ojców.

- No i jak tam, pocieszycielu wdów? Jak ona się miewa? – odezwała się Olive z łóżka w ciemności.
- Stara się przeżyć – odparł.
- Jak my wszyscy.

Nazajutrz rano on i Denise pracowali w intymnej ciszy. Kiedy stała przy kasie, a on za swoją ladą, czuł nieustannie jej niewidoczną obecność, jakby nagle pojawił się Kapcio – albo on sam wcielił się w niego i ich wewnętrzne osobowości otarły się o siebie. Pod koniec dnia powiedział: „Zaopiekuję się tobą” głosem zachrypłym ze wzruszenia.

Stojąc przed nim, kiwnęła głową. Zapiął jej płaszcz.

Do dzisiaj nie wie, co wówczas myślał. Prawdę mówiąc, większości tych myśli nie pamięta. Tony Kuzio odwiedził Denise kilka razy. Powiedziała Tony’emu, że powinien pozostać w stanie małżeńskim, bo gdyby się rozwiódł, już nigdy nie będzie mógł wziąć ślubu w kościele. Ukłucie zazdrości i gniewu na myśl o Tony’em siedzącym późnym wieczorem w małym mieszkanku Denise i błagającym o wybaczenie. Poczucie, że tonie w pajęczynach, otaczających go lepka siecią. Chciał, by Denise nadal go kochała. I tak było. Dostrzegł to w jej oczach, gdy upuściła czerwoną mitenkę, a on ją podniósł i przytrzymał. „Rozmawiam z tobą w myślach przez cały czas”. Ból był ostry, przeszywający, nie do wytrzymania.

- Denise – przemówił Henry pewnego wieczoru, gdy zamykali aptekę. – Przydałoby ci się kilku przyjaciół.

Zarumieniła się mocno. Kilkoma szorstkimi gestami naciągnęła płaszcz.

- Mam przyjaciół – szepnęła.
- Oczywiście. Ale tutaj, w mieście. – Zaczekał przy drzwiach, dopóki nie przyniosła z zaplecza portmonetki. – Mogłabyś pójść na tańce do Grange Hall. Chodziliśmy tam z Olive tańczyć w cztery pary. Można poznać miłych ludzi.

Wymięła go z wilgotną twarzą, czubek jej głowy mignął mu przed oczami.

- A może myślisz, że to staroświecka zabawa? – dodał niezręcznie już na parkingu.

- Sama jestem staroświecka – oznajmiła cicho.
- Tak – powiedział równie cicho. – Ja też.

Wracając po ciemku do domu, wyobraził sobie, że zabiera Denise na tańce do Grange Hall. „Obróćcie się i przechadzajcie...” – Uśmiech rozświetlający jej twarz, przytupujące stopy, drobne dłonie wsparte o biodra. Nie – to było nie do wytrzymania i teraz naprawdę się przestraszył, że wywołał w niej irytację. Nic nie mógł dla niej zrobić. Nie mógł wziąć jej w ramiona, ucałować wilgotnego czoła, spać u jej boku, gdy miała na sobie tę swoją dziecienną flanelową piżamę, w którą się ubrała po śmierci Kaptia. Opuszczenie Olive było równie nie do pomyslenia jak odpiłowanie własnej nogi. Tak czy inaczej, Denise nie zechciałaby rozwiedzonego protestanta, on zaś nie potrafiłby znieść jej katolicyzmu.

Dni mijały, a oni niewiele do siebie mówili. Wyczuwał bijące od niej fale oskarżycielskiego chłodu. Czego oczekiwała? A jednak, gdy wspominała odwiedziny Tony’ego Kuzia albo napomknęła przelotnie o filmie, który widziała w Portland, w Henrym wzbierał podobny chłód. Musiał zaciskać zęby, by nie palnąć: „Więc jesteś zbyt staroświecka na stare tańce?”. Poczul silną niechęć, gdy słowa „kłótnia kochanków” przemknęły mu przez myśl.

I wtedy, znienacka, Denise przemówiła – pozornie do Jerry’ego McCarthy’ego, którego zwalista sylwetka, gdy słuchał, przybierała ostatnio nową postawę, ale tak naprawdę do Henry’ego (widział to w jej spojrzeniu i nerwowym zaciskaniu drobnych dłoni).

– Kiedy byłam małym dzieckiem, moja mama, zanim się rozchorowała, piekła specjalne ciasteczka na Boże Narodzenie. Ozdabialiśmy je lukrem i kolorową posypką. Och, wtedy chyba najlepiej się bawiłam – jej głos zadrżał, a oczy zamrugwały za szklami okularów.

Henry zrozumiał wówczas, że wraz ze śmiercią męża umarły również dziewczęce lata Denise; opłakiwała utratę jedynej siebie, jaką kiedykolwiek знаła, utratę na rzecz młodej, oszołomionej wdowy. Oczywiście Henry’ego, gdy na nią patrzył, złągodniały.

Tak się to odbywało. Po raz pierwszy w swym życiu farmaceuta Henry zaczął zażywać tabletki nasenne, wsuwając codziennie jedną do kieszeni spodni. „Wszystko w porządku, Denise?” – wołał tuż przed zamknięciem. A ona albo w milczeniu sięgała po płaszcz, albo odpowiadała, spoglądając na niego łagodnie: „ W porządku, Henry. Minął kolejny dzień”.

Daisy Foster, która właśnie wstała, by odśpiewać hymn, odwraca głowę z uśmiechem. Henry odpowiada kiwnięciem i otwiera kościelny śpiewnik. „Bóg nasz potężną jest fortecą, niezdobytym bastionem”. Te słowa i głosy nielicznych śpiewających osób napełniają go nadzieją, a równocześnie głębokim smutkiem. „Mogłabyś kogoś pokochać” – poradził Denise, kiedy podeszła do niego na zapleczu tamtego wiosennego dnia. Teraz, gdy odkłada śpiewnik na pulpit przed sobą i siada ponownie w wąskiej ławce, myśli o ostatnim spotkaniu z Denise. Jadąc na północ w odwiedziny do rodziców Jerry’ego, wstąpili do nich po drodze wraz z dzieckiem, Paulem. Henry pamięta sarkastyczne uwagi Jerry’ego na temat Denise usypiającej co wieczór na sofie i zostającej tam czasami na całą noc. Denise odwracała głowę i spoglądała na zatokę, przygarbiona; jej drobne piersi ledwo się zaznaczały pod cienkim golfem, lecz zarys brzucha przywodził na myśl piłkę do gry w koszykówkę – jakby ją połknęła, przeciętą na pół. Nie była już dziewczyną jak przedtem – żadna dziewczyna nie pozostaje dziewczyną – ale matką, zmęczoną matką, której krągłe policzki zapadały się, w miarę jak rósł jej brzuch, tak że siła ciężkości życia zdawała się przyciągać ją ku ziemi. W takim właśnie momencie Jerry przemówił ostro:

- Denise, nie garb się. Rozprostuj łopatki. – Popatrzył na Henry’ego, kręcąc głową. – Ile razy

mam jej to powtarzać?

– Spróbuj trochę zupy rybnej – powiedział Henry. – Olive ugotowała ją wczoraj wieczorem.

Musieli jednak ruszać dalej, a gdy odjeżdżali, nie skomentował wizyty ani słowem; podobnie, o dziwo, zachowała się Olive. Nie przyszłoby mu do głowy, że Jerry wyrośnie na takiego mężczyznę: postawnego, o schludnym wyglądzie – dzięki staraniom Denise – już nie tak otyłego, po prostu dużego faceta z dużą pensją, odzywającego się do żony takim tonem, jakim Olive przemawiała czasami do Henry’ego. Nie zobaczył już więcej Denise, choć bywała zapewne w okolicy. W kartkach urodzinowych napomknęła o śmierci matki, a kilka lat później – ojca. Musiała, oczywiście, pojechać na północ, by wziąć udział w pogrzebach. Czy myślała o nim? Czy ona i Jerry odwiedzili grób Henry’ego Thibodeau?

– Wyglądasz świeżo jak pączek róży – mówi Henry, zwracając się do Daisy Foster na parkingu przed kościołem. To ich żart, powtarza jej to samo od lat.

– Jak się miewa Olive? – Niebieskie oczy Daisy nadal są duże i śliczne, zawsze się uśmiecha.

– Doskonale. Podsyca domowe ognisko. A co nowego u ciebie?

– Mam kawalera. – Daisy mówi to cichym głosem, przysłaniając dłonią usta.

– Naprawdę? To wspaniale, Daisy.

– W dzień sprzedaje polisy ubezpieczeniowe w Heatwick, a w piątkowe wieczory zabiera mnie na tańce.

– Och, to wspaniale – powtarza Henry. – Musisz go przyprowadzić do nas na kolację.

– Dlaczego chcesz wszystkich żenić? – zapytał go ze złością Christopher, kiedy Henry zagadnął syna na temat jego życia. – Nie mógłbyś zostawić ludzi samym sobie?

– Nie chce zostawiać ludzi samym sobie.

W domu Olive wskazuje ruchem głowy stół, na którym obok afrykańskiego fiołka leży kartka od Denise.

– Przyszła wczoraj – wyjaśnia. – Zapomniałam powiedzieć.

Henry siada ociężale, rozrywa kopertę długopisem, znajduje okulary, czyta. List jest dłuższy niż zwykle. Tego lata Denise najadła się strachu. Wysiłek w worku osierdziowym, który okazał się błahostką. „To mnie odmieniło – napisała – jak często bywa z podobnymi doświadczeniami. Uporządkowało najważniejsze sprawy i od tamtego dnia odczuwam głęboką wdzięczność dla mojej rodziny. W życiu liczy się tylko rodzina i przyjaciele – kontynuowała swym schludnym, drobnym charakterem pisma. – A ja zostałam obdarzona jednym i drugim”.

List po raz pierwszy był podpisany: „Ściskam i całuję”.

– Co u niej słychać? – pyta Olive, puszcżając wodę do zlewu.

Henry spogląda na zatokę, na smukłe świerki rosnące wzdłuż linii wybrzeża i wszystko to wydaje mu się piękne, widzi Boży majestat w spokojnym dostojeństwie nadmorskiego pejzażu i rozkołysanej wody.

– Wszystko w porządku – odpowiada.

Nie od razu, lecz za chwilę podejście do Olive i położy dłoń na jej ramieniu. Olive też przeżyła swoje własne smutki. Henry zrozumiał bowiem dawno temu – po tym, jak samochód Jima O’Caseya wypadł z drogi, a Olive przez wiele tygodni kładła się do łóżka zaraz po kolacji, szlochając szorstko w poduszkę – zrozumiał, że kochała Jima, on zaś prawdopodobnie kochał ją, choć Henry nigdy o to nie pytał, a ona o niczym nie wspomniała, podobnie jak on sam nie wspomniał jej o porywającej, obeszładniającej potrzebie, którą budziła w nim Denise aż do dnia, gdy poinformowała go o oświadczeniach Jerry’ego, na co odpowiedział: „Idź”.

Kładzie list na parapecie. Zastanawia się przez chwilę, co czuła, pisząc słowa: „Drogi Henry”, czy poznała od tamtego czasu innych Henrych? Nie mógł tego wiedzieć. Nie wie również, co się stało z Tonym Kuziem i czy w kościele nadal są zapalane świece w intencji Henry’ego Thibodeau.

Henry staje wyprostowany, przez jego głowę przemyka myśl o Daisy Foster, wspomnienie jej uśmiechu, gdy napomknęła o tańcach. Ulga, której doznał, czytając kartkę od Denise, że raduje ją perspektywa otwierającego się przed nią życia, ustępuje nagle miejsca osobliwemu poczuciu straty, jakby odebrano mu coś ważnego.

– Olive – mówi.

Zagłusza go woda płynąca do zlewu. Olive nie jest już tak wysoka jak kiedyś i ma tęższe plecy. Zakręca kran.

– Olive – powtarza Henry, a ona odwraca się ku niemu. – Nie zamierzasz mnie zostawić, prawda?

– Och, na miłość boską, Henry. Potrafisz doprowadzić kobietę do mdłości. – Szybkimi ruchami wyciera dłonie w ścierkę.

Henry kiwa głową. Jak mógłby jej kiedykolwiek powiedzieć – nie mógłby – że wszystkie te lata, gdy czuł się winny z powodu Denise, kryły w sobie jedną zasadniczą prawdę: że wciąż ma ją dla siebie? Nie potrafi znieść tej myśli i już za chwilę się jej pozbędzie, uzna za nieprawdziwą. Któż bowiem potrafiłby myśleć w ten sposób o sobie – jako o człowieku, którego przygnębia szczęście innych? Nie, to niedorzeczność.

– Daisy ma kawalera – mówi. – Musimy ich niedługo zaprosić.

## Pora przyływu

Przez zatokę przetaczały się drobne grzywiaste fale i nadciągał przyływ, więc dało się słyszeć kamienie przesuwane poruszeniami wody. Dobiegał również brzękliwy odgłos lin ocierających się o maszty przycumowanych żaglówek. Nieliczne mewy wydawały w locie skrzekliwe okrzyki. Pikowały, by zanurkować i wyłowić z wody rybie łby, ogony i lśniące wnętrzości, które wyrzucał jakiś chłopak patroszący w porcie makrele. Wszystko to Kevin widział z samochodu, otworzywszy częściowo okna. Samochód był zaparkowany na trawiastym poletku niedaleko przystani. Nieco dalej, na żwirowanym placu przy doku, stały dwie ciężarówki.

Kevin nie wiedział, jak długo to trwało. Stracił poczucie czasu.

W pewnej chwili zaskrzybiały siatkowe drzwi, a potem trzasnęły, Kevin zaś obserwował mężczyznę w ciemnych gumowych butach, który poruszał się powoli, wciągając na tył ciężarówkę zwój grubej liny. Jeśli ów mężczyzna zauważył Kevina, nie dał tego po sobie poznać, nawet kiedy cofnął ciężarówkę i odwrócił głowę w jego stronę. Nie mieli powodu, by się przywitać. Kevin nie odwiedził rodzinnego miasta od czasów dzieciństwa; miał trzynaście lat, gdy się stąd wyprowadził z ojcem i bratem. Był tu teraz równie obcy jak pierwszy lepszy turysta, a mimo to, spoglądając na zatokę pokrojoną w słoneczne plasterki, zauważył, jak bardzo jest znajoma. Nie spodziewał się tego. Słone powietrze wypełniło jego nozdrza, kwitnące krzewy dzikiej róży wywołały lekki zamęt w głowie; ich delikatne białe pąki zdawały się skrywać poczucie żalostnej ignorancji.

Patty Howe naląła kawę do dwóch białych kubków, postawiła je na ladzie, powiedziała cicho: „Proszę bardzo” i wycofała się, by ułożyć na talerzykach okrągłe kukurydziane babeczki, które chwilę wcześniej wysunięto przez okienko z kuchni. Zauważyła mężczyznę siedzącego w samochodzie – tkwił tam dobrze ponad godzinę – ale to się czasami zdarzało; ludzie wyjeżdżali z miasta i zatrzymywali się tylko po to, by popatrzeć na wodę. W tym człowieku jednak było coś, co ją niepokoiło.

– Wyglądają doskonale! – zawołała do kucharki, gdyż babeczki miały chrupiące wierzchy i były żółciutkie jak wschodzące słońca. Fakt, iż zapach świeżego pieczywa nie wzbudził w niej mdłości, jak to się zdarzyło dwukrotnie ubiegłego roku, zasmucił ją i spowił miękkim posepnym mrokiem. Lekarz przykazał: przez najbliższe trzy miesiące nawet o tym nie myślcie.

Siatkowe drzwi się otworzyły, a potem zamknęły z trzaskiem. Przez duże okno Patty dostrzegła, że mężczyzna w samochodzie nadal wpatruje się w morze – i nalewając kawę starszej parze, która powoli usadowiła się we wnęce, zadając pytanie, jak się miewają tego pięknego przedpołudnia, uświadomiła sobie nagle, kim jest ten człowiek, i coś przesunęło się nad nią, niczym cień, który znienacka przesłania słońce.

– Służę uprzejmie – zwróciła się do starszych państwa i już więcej nie wyglądała przez okno.

„A może Kevin w takim razie przyszedłby do nas?” – podsunęła matka dawno temu, gdy Patty była tak mała, że ledwo sięgała głową kuchennego blatu i uparcie kręciła tą głową: „nie, nie,

nie”, nie chcąc tam iść. Bała się Kevina; w przedszkolu ssał swój nadgarstek tak mocno, że na skórze nieustannie widniał zaokrąglony, ciemny siniak. Matka, wysoka, ciemnowłosa, o niskim głosie, także przerażała Patty. Teraz, wykładając babeczki na tacę, pomyślała, że reakcja mamy była bardzo taktowna, niemal genialna. Kevin przyszedł do nich do domu i cierpliwie kręcił skakanką, której drugi koniec został przywiązany do pnia drzewa, a Patty skakała bez końca. Postanowiła teraz, że po drodze z pracy do domu wstąpi do mamy. I powie jej: „Nigdy nie zgadniesz, kogo dzisiaj widziałam”.

Chłopak na przystani wstał powoli, trzymając w jednej ręce żółte wiaderko, a w drugiej nóż. Z góry sfrunęła mewa i chłopak machnął ręką z nożem. Kevin patrzył na niego, jak zmierza ku pochylni, lecz jakiś mężczyzna zszedł tymczasem wolnym krokiem na nabrzeże. „Synu, wrzuc nóż do wiaderka!” – zawołał, co chłopak ostrożnie zrobił, następnie złapał się poręczy i wspiał na spotkanie ojca. Był jeszcze na tyle młody, że złapał dorosłego za rękę. Obydwaj razem zajrzeli do wiadra, a potem wsiedli do ciężarówki i odjechali.

Kevin, który przyglądał się temu wszystkiemu przez okno swojego samochodu, pomyślał: „Dobrze” – i chodziło mu o to, że nie odczuwa żadnych emocji na widok tej sceny, ojca z synem.

– Mnóstwo ludzi nie ma rodziny – powiedział swego czasu doktor Goldstein, drapiąc się po siwej brodzie, a następnie strzepując bez skrępowania to, co spadło mu na pierś. – Ale nadal mają domy. – Spokojnie splótł dłonie na wydatnym brzuchu.

Po drodze na wybrzeże Kevin minął swój dom z czasów dzieciństwa. Wciąż prowadziła do niego gruntowa droga poznaczona koleinami, ale za drzewami w lesie dało się dostrzec kilka nowych zabudowań. Pnie powinny były przybrać drugie tyle w obwodzie i może przybrały, lecz las pozostał taki sam jak dawniej: gęsty, splątany i dziki, a między gałęziami, gdy Kevin znalazł się na wzgórzu, gdzie stał dom, prześwitywał nierówny skrawek nieba. Tylko szopa upewniła go, że nie pojechał w złym kierunku – ciemnoczerwona szopa tuż przy domu, a zaraz obok niej granitowy głaz, tak wielki, że Kevin myślał o nim jako o górze, gdy wspinał się nań w chłopięcych tenisówkach. Głaz stał tam gdzie dawniej – dom także, lecz został odnowiony: dobudowano wokół niego werandę i rozebrano starą kuchnię. Oczywiście, że chcieli zlikwidować starą kuchnię. Poczuł ukłucie urazy, które po chwili minęło. Zwolnił, wypatrując uważnie, czy nie ma gdzieś dzieciaków. Nigdzie nie zauważył rowerów, huśtawek, domku na drzewie, tablicy z obręczą do gry w koszykówkę – tylko zwisające różowe niecierpki przy frontowych drzwiach.

Doznał ulgi, płynącej gdzieś spod żeber niczym łagodna fala niskiego przypływu, ogarnęło go poczucie krzepiącego spokoju. Na tylnym siedzeniu auta leżał koc, przydatny, nawet jeśli w domu nie było dzieci. W tej chwili koc otulał strzelbę, lecz wkrótce (dopóki jeszcze ulga ocierała się lekko o wewnętrzną pustkę, którą odczuwał podczas długiej drogi) zamierzał położyć się na sosnowych igłach i naciągnąć koc na siebie. Jeśli znajdzie go pan domu – cóż z tego? Albo kobieta, która powiesiła doniczki z różowymi niecierpkami? Nie będzie długo patrzyła. Ale dziecko... Nie, Kevin nie mógł znieść myśli, iż jakieś dziecko odkryje to samo, co on kiedyś: że potrzeba unicestwienia własnego życia stała się u jego matki na tyle przemożna i nagła, by kazać jej rozsmarować resztki cielesnej powłoki po kuchennych szafkach. Mniejsza o to, odezwał się cichy głos w jego myślach, gdy jechał dalej. Mniejsza o to. Las pozostał na miejscu, a on pragnął tylko jednego – lec na sosnowych igłach, dotknąć cienkiej, strzępiastej kory cedru, widzieć nad głową iglaste gałęzie amerykańskiego modrzewia, a obok siebie leśne

konwalie, ich zielone, rozchylone liście. Ukryte białe gwiazdki śniedków, dzikie fiołki; matka pokazała mu je wszystkie.

Głośniejsze pobrzękiwanie masztów żaglówek uświadomiło mu, że wiatr się wzmaga. Mewy przestały skrzeczeć, gdy skończyły się rybie wnętrzności. Jeden tłusty ptak, który przysiadł niedaleko na barierce przy pochylni, teraz odleciał – zdążył dwa razy machnąć skrzydłami, nim uniosła go bryza. Kości puste w środku; Kevin widział w dzieciństwie kości mew na wyspie Puckerbrush. Krzyczał w panicznym strachu, kiedy jego brat podniósł kilka, żeby je zabrać do domu. „Zostaw je w spokoju!” – wrzasnął wówczas Kevin.

– Stany i cechy – powiedział mu doktor Goldstein. – Cechy charakteru się nie zmieniają, stany umysłu owszem.

Nadjechały dwa samochody i zatrzymały się blisko przystani. Nie przypuszczał, że w powszedni dzień będzie tu panował taki ruch, ale był już prawie lipiec i ludzie chcieli popływać na swoich żagłówkach. Przyjrzał się jakiejś parze niewiele starszej niż on, która zносиła spory kosz po pochylni, już nie tak stromej przed nadchodzącym przypływem. A potem otworzyły się siatkowe drzwi małej restauracji i wyszła kobieta w spódnicy sięgającej dobrze poniżej kolan i równie długim fartuchu – zupełnie jakby pochodziła z innego stulecia. Niosła metalowe wiadro i kiedy szła w stronę nabrzeża, Kevin obserwował jej ramiona, szczupłe plecy, wąskie biodra – była urocza, niczym młode drzewko, na które pada promień popołudniowego słońca. Poczul drgnienie tęsknoty, nie seksualnej, lecz bliskiej zachwytowi nad prostotą owego kształtu, odwrócił głowę i mimo woli podskoczył lekko na widok innej kobiety wpatrującej się w niego przez okno od strony pasażera. Patrzyła z bliska, prosto na Kevina.

Pani Kitteridge. Niech to szlag. Wyglądała zupełnie tak samo jak w szkole, gdy chodził do siódmej klasy; ta sama twarz o prostoliniowym wyrazie i wydatnych kościach policzkowych, włosy nadal ciemne. Nie wszyscy ją lubili. On tak. Byłby machnął ręką, żeby się odsunęła, albo zapalił silnik, lecz powstrzymało go wspomnienie odczuwanego niegdyś szacunku. Zastukała w okno, a on po chwili wahania nachylił się i opuścił szybę do końca.

– Kevin Coulson. Dzień dobry.

Kiwnął głową.

– Zaprosisz mnie do samochodu?

Zacisnął dłonie w pięści na kolanach i zaczął kręcić głową przecząco.

– Nie, ja tylko...

Ona jednak już wsiadła – postawna kobieta, wypełniła cały kubełkowy fotel, jej kolana znalazły się tuż pod deską rozdzielczą. Wciągnęła na podolek dużą czarną torebkę.

– Co cię tutaj sprowadza? – zagadnęła.

Spojrzał w stronę morza. Młoda kobieta wracała z nabrzeża, mewy za jej plecami wydawały dzikie wrzaski, bijąc skrzydłami i pikując w dół; najprawdopodobniej wyrzuciła muszle jadalnych małży.

– Przyjechałeś w odwiedziny? – pytała dalej pani Kitteridge. – Z Nowego Jorku? Chyba tam teraz mieszkasz?

– Jezu – odezwał się cicho Kevin. – Czy wszyscy tu o wszystkim wiedzą?

– Och, oczywiście – odparła spokojnie. – Co innego mają do roboty?

Siedziała z twarzą zwróconą ku niemu, lecz unikał jej wzroku. Wiatr w zatoce zdawał się wciąż przybierać na sile. Kevin wsunął ręce do kieszeni, żeby nie zacząć ssać kncyki.

– Pełno jest teraz turystów – odezwała się pani Kitteridge. – O tej porze roku wszędzie się od nich roi.



Wydał niewyraźny pomruk, nie dla potwierdzenia tego, co usłyszał – bo co go to obchodziło? – ale faktu, iż przemówiła do niego. Obserwował szczupłą kobietę z wiadrem, która pochyliła głowę, wchodząc z powrotem do budynku i starannie zamykając siatkowe drzwi.

– To Patty Howe – powiedziała Olive Kitteridge. – Pamiętasz ją? Z domu Crane. Wyszła za starszego z braci Howe. Miła dziewczyna. Miała kilka poronień i dlatego jest smutna. – Westchnęła, poprawiła nogi, ku zaskoczeniu Kevina pchnęła drzątek i przesunęła fotel w tył, by usiąść wygodniej.

– Przypuszczam, że kiedyś ją wyleczą i urodzi od razu trojaczki.

Kevin wyjął rękę z kieszeni, wyłamał palce.

– Patty była miła – powiedział. – Zapomniałem o niej.

– Nadal jest miła. Mówiłam to przed chwilą. Czym się zajmujesz w Nowym Jorku?

– Och. – Uniósł rękę, dostrzegł na skórze nabiegłe czerwienią ślady i skrzyżował ramiona. – Robię specjalizację. Skończyłem studia medyczne cztery lata temu.

– No, no, jestem pod wrażeniem. Co to za specjalizacja?

Popatrzył na deskę rozdzielczą. Nie mógł uwierzyć, że wcześniej nie zauważył, jaka jest brudna. W blasku słońca zdawała się określać go jako żalostnego niechlujka bez krzty godności. Nabrał tchu i odparł:

– Psychiatria.

Spodziewał się usłyszeć: „Achch...”, a ponieważ Olive Kitteridge milczała, zerknął na nią i zobaczył, że zareagowała zwykłym, rzeczowym kiwnięciem głową.

– To piękne miejsce – powiedział, mrużąc oczy i znowu spoglądając na zatokę. Jego uwaga wyrażała wdzięczność za to, co uznał za przejaw dyskrecji, była również prawdziwa, jeśli chodzi o zatokę, którą widział jakby przez wielką szklaną tafelę, większą niż przednia szyba samochodu i która, co przyznawał, miała w sobie pewien splendor: drżące maszty rozkołysanych żaglówek, wzburzona woda, dzika róża. O ileż lepiej było spędzać dni w takim otoczeniu jako rybak. Pomyślał o wynikach tomografii, które zgłębiał, wciąż poszukując w nich matki, z rękami w kieszeniach, kiwając głową w trakcie wywodów radiologów, czasami czując pod powiekami migotanie łez – przerost jądra migdałowatego, pogłębiające się zmiany w istocie białej, znaczny spadek liczby komórek glejowych ośrodkowego układu nerwowego. Mózg osoby z dwubiegunową psychozą afektywną.

– Ale właściwie nie zamierzam zostać psychiatrą – powiedział.

Wiatr naprawdę wciąż przybierał na sile, pochylnia się kołysała i zanurzała w wodzie, by po chwili wychynąć na powierzchnię.

– Przypuszczam, że w tym fachu spotyka się mnóstwo pomyleńców – zauważyła pani Kitteridge, przesuając stopy i szurając podszwami po szorstkiej macie na podłodze.

– Czasami.

Zaczął studiować medycynę z myślą, że zostanie pediatrą, jak jego matka, ale zaczęła go wciągać psychiatria, choć zdawał sobie sprawę, iż tych, którzy zajmują się psychiatrią, skłania do tego ich własne poplątane dzieciństwo i nieustannie patrzają, wypatrują, szukają w dziełach Freuda, Horney, Reicha odpowiedzi na pytanie, dlaczego są takimi analnie ukierunkowanymi, narcystycznymi, egocentrycznymi dziwolągami, a jednocześnie, rzecz jasna, zaprzeczają temu – iluż to bredni Kevin wysłuchał od kolegów i wykładowców! Jego zainteresowania ograniczyły się po pewnym czasie do ofiar tortur. To jednak również doprowadziło go do rozpaczki i gdy wreszcie znalazł się pod naukową opieką Murraya Goldsteina, doktora filozofii i medycyny, opowiedział mu o swoich planach: że zamierza pracować w Hadze z osobami, którym obito

stopy do żywego mięsa, których ciała i umysły ucierpiały w bardzo poważny sposób. Reakcja doktora Goldsteina brzmiała: „Czy pan zwariował?”.

Pociągali go wariaci. Klara – co za imię – Klara Pilkington wydawała się najzdrowszą na umyśle osobą, jaką poznał. Niezły numer. Powinna nosić na szyi tabliczkę z napisem: KOMPLETNI KOPNIĘTA KLARA.

– Na pewno znasz to stare porzekadło – podjęła pani Kitteridge. – Psychiatrzy są stuknięci, kardiolodzy mają twarde serca...

Odwrócił się twarzą do niej.

– A pediatrzy?

– Tyrani – dokończyła. Wzruszyła jednym ramieniem.

Kevin skinął głową.

– No tak – mruknął łagodnie.

Po chwili pani Kitteridge odezwała się znowu:

– Cóż, może twoja matka nie potrafiła nic na to poradzić.

Był zaskoczony. Chęć possania knykci przerodziła się w coś przypominającego dręczące swędzenie i przesunął dłońmi tam i z powrotem po kolanach, wyczuwając dziurę w dżinsach.

– Przypuszczam, że moja mama cierpiała na psychozę dwubiegunową – powiedział. – Choć nigdy nie postawiono diagnozy.

– Rozumiem. – Pani Kitteridge kiwnęła głową. – W dzisiejszych czasach można by jej pomóc. Mój ojciec nie miał psychozy. Miał depresję. Nigdy nie rozmawiał. Może teraz lekarze by mu pomogli.

Kevin milczał. „Może tak, a może nie” – pomyślał.

– I mój syn. On też ma depresję.

Kevin spojrzał na nią. Kropelki potu błysnęły pod jej podpuchniętymi oczami. Wyglądała jednak, co teraz dostrzegł, o wiele starszej. Oczywiście nie mogła wyglądać tak samo jak dawniej – jak tamta nauczycielka, której bały się wszystkie dzieciaki z siódmej klasy. On również się jej bał, mimo że ją lubił.

– Czym on się zajmuje? – spytał.

– Leczeniem i pielęgnacją stóp.

Poczuł, jak dotyka go cień jej smutku. Porywisty wiatr dął teraz w różnych kierunkach i zatoka przypominała niebiesko-biały, dziwacznie polukrowany tort z grzebieniami fal wznoszącymi się to z jednej, to z drugiej strony. Liście topoli obok przystani podfrwały ku górze, wszystkie gałęzie przechylały się na bok.

– Myślałam o tobie, Kevinie Coulsonie – powiedziała pani Kitteridge. – Naprawdę.

Zamknął oczy. Usłyszał szelest, gdy poprawiała się na siedzeniu, i szuranie żwiru na gumowej macie pod jej nogami. Zamierzał odrzec: „Nie chcę, żeby pani o mnie myślała”, kiedy usłyszał wyznanie:

– Lubiałam twoją matkę.

Kevin otworzył oczy. Patty Howe ponownie wyszła z restauracji i podążyła w stronę ścieżki biegnącej od frontu. Poczuł w piersi ukłucie niepokoju – opadała stamtąd, jeśli dobrze pamiętał, naga skalna ściana, strome urwisko. Ale Patty musiała o tym wiedzieć.

– Wiem – zwrócił się do pani Kitteridge, patrząc na jej szeroką, rozumną twarz. – Mama także panią lubiła.

Olive Kitteridge skinęła głową.

– Była inteligentną kobietą.

Zastanawiał się, jak długo to jeszcze potrwa. Z drugiej strony miało dla niego znaczenie, że znała jego matkę. W Nowym Jorku nikt jej nie znał.

– Nie wiem, czy o tym słyszałeś, czy nie, ale to samo stało się z moim ojcem.

– Co się stało? – Zmarszczył brwi i przeciągnął po ustach knykciem wskazującego palca.

– Samobójstwo.

Pragnął, żeby wysiadła; był już najwyższy czas, żeby sobie poszła.

– Jesteś żonaty?

Pokręcił głową.

– Tak jak i mój syn. Doprowadza do szału mojego biednego męża. Henry by chciał, żeby każdy zawarł związek małżeński i był szczęśliwy. Mówię mu: na miłość boską, nie musi się z tym spieszyć. Tu u nas nie bardzo jest w czym wybierać. Za to ty w Nowym Jorku...

– Nie mieszkam w Nowym Jorku.

– Słucham?

– Nie... Nie mieszkam już w Nowym Jorku.

Chciała zadać pytanie, niemal to słyszał. Wydawało mu się, że wyczuwa w niej pragnienie odwrócenia się i zerknięcia na tylne siedzenie, by zobaczyć, co on ma w samochodzie. Gdyby to zrobiła, musiałby powiedzieć, że czas na niego, i poprosiłby, żeby wysiadła. Spojrzał kątem oka, lecz ona wciąż patrzyła prosto przed siebie.

Zauważył, że Patty Howe trzyma w ręku ogrodowe nożyce. Spódnica falowała wokół niej, gdy stanęła obok krzewu dzikiej róży i zaczęła ścinać białe kwiaty. Nie odrywał oczu od Patty i rozpościerającej się za nią wzburzonej zatoki.

– Jak to zrobił? – Kevin otarł dłoń o udo.

– Mój ojciec? Zastrzelił się.

Dzioby przycumowanych żaglówek na przemian unosiły się i opadały, jakby ściągał je w dół rozniewany morski potwór. Obsypane białymi pąkami pędy dzikiej róży ugięły się, wyprostowały i pochyliły znowu, postrzępione liście zakołysały się niczym ocean. Kevin zobaczył, że Patty Howe cofa się o krok i potrząsa ręką, jakby ukłuły ją kolce.

– Nie było listu – podjęła pani Kitteridge. – Och, matka ciężko przeżyła ten brak listu. Uważała, że mógł przynajmniej zostawić jej kartkę, jak to robił, idąc do sklepu. Matka powtarzała: „Zawsze dbał o to, by zostawić mi kartkę, gdy dokądś wychodził”. Ale tym razem tak naprawdę nigdzie nie wyszedł. Był tam w kuchni, biedaczysko.

– Czy tym łodziom się zdarza zerwać z uwięzi? – Kevin ujrzał w myślach własną kuchnię z czasów dzieciństwa. Wiedział, że kula kalibru 22 może przelecieć jedną milę i przebić deskę grubości dziewięciu cali. Ale po przebicciu ludzkiego podniebienia, a później dachu domu, jak daleko mogła dotrzeć?

– Och, czasami. Nie tak często, jak można by sądzić, zważywszy, że tutejsze szkwały bywają bardzo gwałtowne. Co pewien czas jednak któraś się zrywa, wiesz... i robi się zamieszanie. Muszą jej szukać, z nadzieją, że nie roztrzaska się o skały.

– I wtedy właściciel pozywa przystań do sądu za zaniedbanie? – spytał, by skierować rozmowę na inne tory.

– Nie wiem, jak załatwiają takie sprawy – odparła pani Kitteridge. – Przypuszczam, że przez różne rodzaje polis ubezpieczeniowych. Od niedopatrzeń albo od dopustu bożego.

W tym momencie Kevin zdał sobie sprawę, że lubi brzmienie jej głosu. Poczł przyplływ adrenaliny, znajome, straszne napięcie niestrudzonego organizmu, który chce przetrwać. Spod przymrużonych powiek wpatrzył się uważnie w ocean. Nadciągały wielkie szare chmury, lecz

słońce, jakby walcząc o przewagę, oblewało je od spodu żółtym blaskiem, tak iż woda skrzyła się tu i ówdzie z szaleńczą żywiołowością.

– To wyjątkowy przypadek, żeby kobieta użyła broni palnej – zauważyła w zadumie pani Kitteridge.

Spojrzał na nią; nie odwzajemniła spojrzenia, wpatrzona w skłębione fale nadciągającego przypływu.

– Cóż, moja matka była wyjątkową kobietą – powiedział ponurym tonem.

– Tak – przyznała pani Kitteridge. – Była.

Gdy Patty Howe zakończyła zmianę, zdjęła fartuch i poszła go powiesić w pomieszczeniu na zapleczu. Dostrzegła przez zakurzone okno żółte liliowce rosnące na niedużym spłachetku trawnika, na drugim końcu przystani. Wyobraziła je sobie w wazoniku przy łóżku. „Ja też jestem rozczarowany – powiedział jej mąż za drugim razem, dodając: – Ale wiem, musi ci się wydawać, że zdarzyło się to tylko tobie”. Jej oczy zwilgotniały teraz na to wspomnienie; miłość wezbrała w niej potężną falą. Nikt nie zauważył braku liliowców. Nikt nie chodził na drugi koniec przystani, częściowo dlatego, że prowadziła tam bardzo wąska ścieżka nad stromym urwiskiem. Ze względu na umowę z firmą ubezpieczeniową postawiono tam ostatnio tablicę z napisem: WSTĘP WZBRONIONY i była nawet mowa o odgradzeniu ścieżki, zanim jakieś dziecko, niepilnowane, wdrapie się tam za osłoną krzewów. Ale Patty zamierzała tylko uszczknąć kilka kwiatków i wracać. Znalazła w szufladzie nożyce i ruszyła po swój bukiet. Znalazszy się na zewnątrz, zauważyła, że w samochodzie Kevina Coulsona siedzi pani Kitteridge – i to, że ona z nim siedzi, dało Patty poczucie bezpieczeństwa. Nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego i nie zastanawiała się nad tym. Wicher niesłychanie przybrał na sile. Pomyślała, że się pospieszy, zetnie kwiaty, owinie je wilgotnym papierowym ręcznikiem i wstąpi do matki po drodze do domu. Najpierw pochyliła się nad krzaczkami dzikiej róży, myśląc, jak urocze będzie połączenie żółci i bieli, lecz ożywione podmuchami wiatru łodyżki pokłuły jej palce. Odwróciła się w stronę ścieżki prowadzącej ku liliiom.

Kevin powiedział:

– No cóż, miło było się z panią spotkać, pani Kitteridge.

Zerknął na nią i kiwnął głową na znak, że chciałby się pożegnać. Pechowo się złożyło, że natrafiła na niego, ale nie ponosił za to odpowiedzialności. Czuł się odpowiedzialny wobec doktora Goldsteina, którego szczerze pokochał, lecz nawet to zbladło, zaledwie wjechał na płatną autostradę.

Olive Kitteridge wyjęła chusteczkę higieniczną ze swojej dużej czarnej torebki. Otarła czoło i linię włosów, nie patrząc na Kevina. Powiedziała:

– Żałuję, że przekazałam mu te geny.

Kevin nieznacznie przewrócił oczami. Kwestie genów, DNA, RNA, chromosomu 6, wszystkie te bzdety o dopaminie i serotoninie, dawno przestały go interesować. A nawet budziły w nim gniew, jaki mogłaby wywołać zdrada. „Jesteśmy bliscy zrozumienia zasady funkcjonowania umysłu w jego molekularnym, rzeczywistym aspekcie” – oznajmił pewien znakomity nauczyciel akademicki podczas wykładu w ubiegłym roku. Świt nowej epoki.

Zawsze świta jakaś nowa epoka.

– Chociaż chłopak dostał, Bóg świadkiem, trochę zblkowanych genów ze strony Henry’ego. Jego matka, wiesz, była mocno szurnięta. Koszmar.

– Czyja matka?

– Henry’ego. Mojego męża. – Pani Kitteridge wydobyła przeciwsłoneczne okulary i włożyła je. – Przypuszczam, że teraz nie powinno się mówić „szurnięta”, prawda? – Spojrzała na Kevina. Właśnie unosił nadgarstek do ust, lecz opuścił ręce z powrotem na kolana.

„Proszę, odejdz” – pomyślał.

– Ale trzy razy przeszła załamanie nerwowe i leczono ją elektrowstrząsami. Więc chyba spełnia warunki?

Wzruszył ramionami.

– No, w każdym razie bywała dziwnie pobudzona. Tyle przynajmniej, jak sędzę, wolno mi powiedzieć.

Szurnięty był ktoś, kto sięgał po żyletkę i znaczył długimi nacięciami swoją klatkę piersiową. Albo uda, albo ramiona. KOMPLETNIE KOPNIĘTA KLARA. To oznaczało, że ktoś jest szurnięty. Podczas pierwszej wspólnej nocy Kevin po ciemku wyczuł pręgi. „Przewróciłam się” – szepnęła. Wyobraził sobie życie z nią. Dzieła sztuki na ścianie, światło wpadające przez okno sypialni. Przyjaciele na Święto Dziękczynienia, choinka na Boże Narodzenie, ponieważ Klara by tego pragnęła.

– Z tą dziewczyną są same kłopoty – orzekł doktor Goldstein.

Nie powinien mówić takich rzeczy. Ale z nią naprawdę były same kłopoty: w jednej chwili potrafiła być kochająca i czuła, a w następnej wybuchnąć wściekłością. Jej cięcie się doprowadzało Kevina do szału. Szaleństwo rodzi szaleństwo. A potem odeszła, bo tak właśnie zwykła postępować – porzucać ludzi i wszystko inne. Obsesyjne poszukiwanie czegoś nowego. Oszałała na punkcie zwariowanej Carrie A. Nation, pierwszej prohibicjonistki, która rozwaliała wnętrza saloonów siekierami, a potem sprzedawała te siekiery. „Czy to nie super pomysł?” – spytała Klara, popijając mleko sojowe. Tak to wyglądało. Nieustanne przechodzenie od jednego do drugiego.

– Każdy cierpi z powodu nieudanego romansu – powiedział doktor Goldstein.

To w zasadzie nie była prawda. Kevin znał ludzi, którzy nie cierpieli z tego powodu. Może niezbyt wielu, ale kilkoro znał.

Olive Kitteridge wydmuchała nos.

– Pani syn – przemówił nagle Kevin. – Czy jest w stanie praktykować?

– Co masz na myśli?

– Pomimo depresji. Czy codziennie chodzi do pracy?

– Oczywiście. – Pani Kitteridge zdjęła ciemne okulary i obrzuciła go szybkim, przenikliwym spojrzeniem.

– A pan Kitteridge? Dobrze się miewa?

– Owszem. Myśli o wcześniejszym przejściu na emeryturę. Wiesz, apteka została sprzedana nowej sieci handlowej i musiałyby dla nich pracować, a oni wymagają przestrzegania rozmaitych głupkowatych przepisów. To smutne, dokąd zmierza ten świat.

To zawsze było smutne, dokąd zmierza ten świat. I zawsze świeciła nowa epoka.

– A co porabia twój brat? – zapytała pani Kitteridge.

Kevin zaczął odczuwać znużenie. Może i dobrze.

– Z tego, co wiem, żył ostatnio na ulicy w Berkeley. Jest narkomanem. – Przez większość czasu nawet nie myślał o tym, że ma brata.

– Dokąd stąd pojedziesz? Do Teksasu? Czy dobrze pamiętam, że twój ojciec dostał tam pracę? Kevin skinął głową.

– Przypuszczam, że chciał wyjechać jak najdalej stąd. Czas i odległość, jak to mówią. Nie wiem, czy słusznie. – Żeby mieć tę rozmowę za sobą, wyjaśnił beznamiętnie: – Mój ojciec zmarł w zeszłym roku na raka wątroby. Nigdy się nie ożenił po raz drugi. I prawie go nie widywałem od wyjazdu.

W żadnej szkole, którą Kevin ukończył, na żadnych studiach, gdzie uzyskał stypendia naukowe i podyplomowe, jego ojciec nie pokazał się ani razu. Ale każde miasto wydawało się obiecujące. Każde mówiło na początku: „Witaj, możesz tu zamieszkać. Możesz tu odpocząć. Możesz się dopasować”. Bezkresne przestworza południowego zachodu, cienie padające na pustyne wzniesienia, niezliczone kaktusy – z czerwonym obrzeżem, żółtymi kwiatami lub spłaszczonym czubkiem – wszystko to poprawiało jego nastrój, gdy pierwszy raz jechał do Tucson autostopem, najpierw sam, potem z innymi studentami. Może, gdyby miał wybierać, Tucson byłoby jego ulubionym miejscem – trudny wybór między tamtą otwartą, pylistą przestrzenią a tym nierównym, postrzępionym wybrzeżem.

Ale przy wszystkich zachęcających różnicach, takich jak wysokie, jaśniejące bielą, oszklone wieżowce Dallas, wysadzone drzewami ulice Hyde Parku w Chicago i drewniane schody za każdym mieszkaniem (bardzo je polubił), okolice West Hartford, zupełnie jak z bajki, te domki i idealnie przystrzyżone trawniki – każde z tych miejsc prędzej czy później, w taki czy inny sposób upewniało Kevina, że tak naprawdę tutaj nie pasuje.

Podczas uroczystości wręczenia dyplomów w Chicago, na którą przyszedł wyłącznie dla jednej z wykładowczyń, życzliwej kobiety – powiedziała mu, że jego nieobecność by ją zasmuciła – siedział w pełnym słońcu, słuchając końcowego przemówienia rektora. Ostatnie zdanie brzmiało: „Najważniejsza rzecz w życiu to kochać i być kochanym”, co wzbudziło w Kevinie wewnętrzny lęk, narastający i przenikający go całego, jakby jego dusza się naprężała. Cóż to jednak za słowa – ten człowiek w dostojnej tozde, białowłosa, o dobrotliwej twarzy, z pewnością nie miał pojęcia, że aż tak nasila one cichą zgrozę Kevina. Nawet Freud napisał kiedyś: „Musimy kochać, bo inaczej popadamy w chorobę”. Przedstawiano to jasno i wyraźnie. Każdy billboard, film, okładka czasopisma, reklama telewizyjna – wszystko mówiło Kevinowi: My należymy do świata rodziny i miłości. A ty nie.

Nowy Jork, ostatnio, wydawał się najbardziej obiecujący. Metro wypełnione bogactwem pastelowych kolorów i tłumem zirytowanych ludzi; to go odprężyło, odmienne stroje, torby na zakupy, pasażerowie, którzy drzemali, czytali albo kiwali głowami w takt jakiejś melodii ze słuchawek. Przepadał za metrem i przez pewien czas za pracą w szpitalu. Ale związek z Klarą i jego zakończenie obrzydziły mu to miasto, którego ulice zdawały się teraz zatłoczone i nużące, wszystkie takie same. Kochał doktora Goldsteina, ale tylko jego – inni stali się męczący i coraz częściej myślał, jakimi prowincjuszami są nowojorczyki, choć o tym nie wiedzą.

Czego zapragnął, to zobaczyć swój dom z lat dziecinnych, dom, w którym – jak myślał nawet teraz, siedząc w samochodzie – ani razu nie poczuł się szczęśliwy. Mimo to, rzecz dziwna, owa nieszczęśliwa atmosfera zdawała się przyciągać go ze słodką siłą zapamiętanego romansu. Kevin zachował bowiem wspomnienia słodkich, przelotnych romansów – zupełnie innych niż ciągnący się zbyt długo, chory związek z Klarą – lecz żadne z tych wspomnień nie mogło się równać z wewnętrznym pragnieniem, tęsknotą, jaką budziło w nim to miejsce. Dom, w którym sportowe bluzy i wełniane marynarki śmierdziały słoną wilgocią i zbutwiałym drewnem – od tej woni robiło mu się niedobrze, podobnie jak od zapachu płonących szczap, gdy ojciec rozpalał czasami ogień na kominku i poprawiał polana roztargnionymi ruchami. Kevin pomyślał, że jest zapewne jedynym człowiekiem w kraju, który nienawidzi zapachu drewna płonącego na kominku. Ale

dom, drzewa oplątane pędami wiciokrzewu, obuwik wyrastający nieoczekiwanie spomiędzy sosnowych igieł, rozchylone liście dzikich konwalii – tęsknił za tym.

Tęsknił za matką.

„Odbyłem tę straszną pielgrzymkę... i powróciłem po więcej...” Kevin pożałował po raz kolejny, że nie znał poety Johna Berrymana.

– Kiedy byłem młoda – odezwała się pani Kitteridge, trzymając okulary w dłoni – a właściwie mała, wiesz, w dzieciństwie, często chowałam się w skrzyni na drewno tuż przed powrotem ojca do domu. Siadał na skrzyni i pytał: „Gdzie jest Olive? Gdzie ona może być?”. Tak to trwało, dopóki nie zastukałam w bok skrzyni, a wtedy ojciec udawał zaskoczenie. „Olive, nie miałem pojęcia, gdzie się podziałaś” – mówił. Śmiałam się i on też się śmiał.

Kevin popatrzył na nią. Założyła z powrotem ciemne okulary i dodała:

– Nie pamiętam, jak długo to się ciągnęło, prawdopodobnie do czasu, gdy byłem już za duża, żeby się zmieścić w skrzyni.

Nie wiedział, co na to powiedzieć. Ścisnął dłonie w najbardziej zwarte pięści, jakie się dało, wpatrzony w kierownicę. Czuł potęgę obecności pani Kitteridge i wyobraził sobie – przelotnie – że siedzi obok niego słonica, która chciałaby należeć do królestwa ludzkich istot, uroczą na swój niewinny sposób, z przypominającymi pnie przednimi nogami, teraz ugiętymi, z trąbą kołyszącą się lekko, gdy skończyła mówić.

– To miła opowieść – zauważył.

Pomyślał o chłopaku patroszącym ryby i o tym, jak ojciec wyciągnął do niego rękę. Pomyślał też ponownie o Johnie Berrymanie. „Wybaw nas od strzelb i samobójstw ojców... Litości!... Nie naciskaj spustu, bo całe życie upłynie mi pod znakiem twego gniewu”. Zastanawiał się, czy pani Kitteridge, będąc nauczycielką matematyki, czytała dużo poezji.

– Patrz, jak ten wiatr się wzmaga – powiedziała. – Zjawisko na swój sposób ekscytujące, pod warunkiem że brzeg nie zaczyna odpływać, jak kiedyś nasz. Henry znalazł się w dole na skałach, wśród fal. Boże, ależ była awantura.

Kevin znowu uświadomił sobie, iż lubi brzmienie jej głosu. Przez przednią szybę widział coraz wyższe fale, bijące o skalną półkę przed przystanią tak mocno, że mgiełka drobnych kropelek unosiła się wysoko w powietrze, a potem opadała leniwie, przesiewając odpryski słońca, które wciąż przebijało się przez ciemne chmury. Kevin poczuł, że w jego głowie tworzy się kipiela, niczym fale przyboju, na które patrzył. „Nie odchodź – przemówił jego umysł do pani Kitteridge. – Nie odchodź”.

Ale ta wewnętrzna turbulencja była torturą. Przypomniał sobie, jak poprzedniego ranka w Nowym Jorku szedł do swojego samochodu i przez chwilę go nie widział. Zadrgał w nim lęk, ponieważ wszystko już zaplanował, zapiął na ostatni guzik, i gdzie się podział samochód? Lecz samochód stał na miejscu, stare subaru kombi, i wtedy zrozumiał, że to, co czuł, było nadzieją. Nadzieja zagnieździła się wewnątrz niego jak rak. Nie chciał jej; nie życzył jej sobie. Nie mógł już dłużej znieść kielkujących w nim delikatnych, zielonych pędów nadziei. Ta okropna historia człowieka, który skoczył – i przeżył – z mostu Golden Gate, a przedtem chodził po nim przez godzinę tam i z powrotem, płacząc; powiedział, że gdyby ktoś się zatrzymał i zapytał go, dlaczego płacze, toby nie skoczył.

– Pani Kitteridge, musi pani...

Ona jednak, pochylona naprzód, wpatrywała się zmrużonymi oczyma w coś za przednią szybą.

– Zaczekaj, co u diabła... – Szybciej, niż uznały to za możliwe, wyskoczyła z auta,

zostawiając otwarte drzwi i upuszczoną czarną torebkę na trawie, i ruszyła biegiem ku frontowi przystani. Zniknęła na chwilę, po czym znów się pojawiła, wymachując rękami i krzycząc, lecz Kevin nie dosłyszał co.

Gdy wysiadał z samochodu, wiatr szarpnął jego koszulę z siłą, której się nie spodziewał. Pani Kitteridge wołała: „Szybko! Szybko!” i poruszała ramionami niczym olbrzymia mewa skrzydłami. Podbiegł ku niej i spojrzał w dół na fale przyływu, wyższe niż mógłby przypuszczać. Pani Kitteridge wskazywała coś gwałtownymi ruchami ręki i dostrzegł głowę Patty Howe o mokrych, pociemniałych włosach, wynurzającą się na krótką chwilę ze spienionej wody niczym głowa fokii, by zniknąć ponownie. Jej spódnica wirowała między splotami ciemnych wodorostów.

Kevin odwrócił się i rozłożył ramiona, jakby chciał objąć wysoką skalną ścianę, gdy się po niej zsuwał, ale nie miał czego obejmować, była tam tylko płaszczyzna, o którą ocierał się jego tors, która rozdzierała jego ubranie, kaleczyła skórę, drapała policzek, a potem zimna woda przelała się nad nim. Oszło mu, że jest aż tak zimna, zupełnie jakby się zanurzył w gigantycznej probówce ze szkodliwą substancją chemiczną wżerającą się w jego skórę. Natrafił stopą na coś twardego w szumiącej kipieli; okręcił się i zobaczył Patty wyciągającą ramiona. Oczy miała otwarte, spódnicę owiniętą wokół talii; sięgnęła dłońmi, jej palce nie zdołały uchwycić Kevina, dopiero za drugim razem zdołał ją złapać. Woda cofnęła się na chwilę, a gdy powróciła, by ich zakryć, pociągnął Patty mocno ku sobie; ścisnęła go z taką siłą, że nigdy by nie przypuszczał, iż te chude ramiona potrafią tak ścisnąć.

Kolejna fala zaczęła wzbierać i obydwójce zaczerpnęli tchu. Gdy ponownie znaleźli się pod wodą, zaczepił nogą o coś nieruchomego, jakąś rurę. Następnym razem unieśli wysoko głowy i nabrali powietrza, zanim woda powróciła. Kevin słyszał krzyki pani Kitteridge na górze. Nie rozróżniał słów, rozumiał jednak, że pomoc nadchodzi. Musiał tylko trzymać Patty, żeby nie odpłynęła, i gdy zapadli się znowu pod skłębioną, wsysającą wodę, zacisnął mocniej palce na ramieniu dziewczyny, dając do zrozumienia, że jej nie puści. Patrząc prosto w jej otwarte oczy wśród wzburzonej, nasyconej solą wody, w której przez każdą falę przebijało słońce, pomyślał, iż chciałby, aby ta chwila trwała wiecznie: ciemnowłosa kobieta na brzegu, wołająca o ratunek dla nich, dziewczyna, która niegdyś skakała przez skakankę jak księżniczka, a teraz trzymała się go z zawziętością dorównującą sile oceanu – o, szalony, groteskowy, niepoznawalny świcie! Tak bardzo pragnęła żyć, tak bardzo pragnęła wytrzymać.



## Pianistka

Przez cztery wieczory w tygodniu Angela O'Meara grywała na pianinie w komfortowo wyposażonej sali barowej lokalu o nazwie Magazynowy Bar z Grillem. Sala, przestronna i wygodna, z rozstawionymi sofami, miękkimi skórzanymi fotelami i niskimi stolikami, znajdowała się zaraz za ciężkimi drzwiami starego budynku; jadalnia mieściła się nieco dalej i miała okna z widokiem na morze. W pierwszych dniach tygodnia sala świeciła pustkami, lecz od środowego wieczoru aż do soboty pojawiała się mnóstwo gości. Gdy się przeszło z chodnika przez masywne dębowe drzwi, słychać było dźwięki pianina, brzęczące i nieustanne, a rozmowy ludzi rozpostartych na sofach, pochylonych naprzód w fotelach lub nad barową ladą zdawały się dostosowywać do melodii, dlatego pianino było nie tyle źródłem „podkładu muzycznego”, ile jedną z postaci na scenie. Innymi słowy, mieszkańcy miasteczka Crosby w stanie Maine od lat zżyli się z koktajlową muzyką i obecnością Angie O'Meary.

Angie była za młodu piękną kobietą, taką, na którą miło popatrzeć, o falujących rudych włosach i idealnie gładkiej cerze, co pod wieloma względami wciąż pozostawało aktualne. Teraz jednak przekroczyła już pięćdziesiątkę, a włosy, podpięte luźno grzebieniami, miała ufarbowane na kolor, który mógł się wydawać trochę zbyt czerwony. Figura, choć nadal pełna wdzięku, stała się nieco obfitsza pośrodku, co dało się zauważyć tym łatwiej, że reszta ciała była dość szczupła. Lecz Angie wciąż miała wysmukłą kibić i gdy siadała na stołku przy pianinie, robiła to z gracją baletnicy, aczkolwiek już nie pierwszej młodości. Jej podbródek rysował się miękką i nierówną linią, zmarszczki wokół oczu wyraźnie się zaznaczały. Ale były to zmarszczki łagodne – prawdopodobnie nic okrutnego nie spotkało tej twarzy. Najwyżej zanadto się odkrywała w otwartym, prostym wyczekiwaniu, niestosownym u kobiety w jej wieku. W pochyleniu głowy, lekkim nieładzie jaskrawo ufarbowanych włosów, szczerym spojrzeniu niebieskich oczu kryło się coś, co mogło w innych okolicznościach sprawić, iż ludzie czuli się nieswojo. Na przykład przybysze, którzy mijali ją w centrum handlowym Cook's Corner, zerkali na nią ukradkiem więcej niż raz. Dla mieszkańców miasteczka Angie była znajomą postacią, po prostu Angie O'Mearą, od wielu lat grającą na pianinie w Magazynowym Barze. Przez lata również kochała się w pierwszym radnym, Malcolmie Moodym. Jedni o tym wiedzieli, inni nie.

Tamtego szczególnego piątkowego wieczoru pozostawał jeszcze tydzień do Bożego Narodzenia i niedaleko salonowego pianina stała wysoka jodła, bogato udekorowana przez pracowników restauracji. Błyszcząca srebrna lameta kołysała się lekko za każdym razem, gdy otwierano drzwi, a kolorowe lampki wielkości jajek świeciły między bombkami, sznurkami prażonej kukurydzy i jagodami żurawiny, zdobiaczami lekko wygięte w dół gałęzie choinki.

Angie miała na sobie czarną spódnicę i różową nylonową bluzeczkę rozciętą w okolicy obojczyków – i w tym różowym kolorze, sznurku drobnych pereł oraz płomiennie rudych włosach było coś, co zdawało się lśnić razem z bożonarodzeniową choinką, jakby sama Angie była swoistym przedłużeniem świątecznych dekoracji. Przyszła jak zawsze dokładnie o szóstej, ze swoim roztargnionym, dziecinnym uśmiechem na ustach, ssąc miętówkę. Przywitała się z barmanem Joem i kelnerką Betty, a potem wsunęła torebkę i zwinięty płaszcz pod sam koniec

barowej lady. Joe, krępy mężczyzna, który stał za tym barem od wielu lat i jak każdy dobry barman wyrobił sobie czujne oko, doszedł do osobistego wniosku, że Angie O'Meara tak naprawdę ma wielkiego stracha, gdy codziennie wieczorem przychodzi do pracy. To by tłumaczyło woń alkoholu w jej miętowym oddechu, jeśli się podeszło dostatecznie blisko, a także fakt, iż nigdy nie korzystała z prawa do dwudziestominutowej przerwy, na którą zezwalało stowarzyszenie muzyków i do której zachęcał właściciel baru. „Nienawidzę zaczynać od nowa” – wyznała pewnego dnia Joemu i wtedy zdał sobie sprawę, że Angie z pewnością cierpi z powodu tremy.

Jeżeli cierpiała z jeszcze jakichś powodów, nikt nie miał prawa się do tego wtrącać. Gdy mowa o Angie, ludzie wiedzieli o niej bardzo mało i przeważnie zakładali, że ktoś inny zna ją trochę lepiej. Mieszkała w wynajętym pokoju przy Wood Street i nie miała samochodu. Jej mieszkanie znajdowało się blisko sklepu spożywczego oraz Magazynowego Baru z Grillem – dokładnie piętnaście minut piechotą w czarnych butach na bardzo wysokich obcasach. Zimą nosiła czarne kozaki, również na bardzo wysokich obcasach, sztuczne białe futro i małą niebieską torebkę-kopertę. Widywano ją, gdy kroczyła ostrożnie po ośnieżonym chodniku, przemierzała rozległy parking obok poczty i wreszcie schodziła wąskim przejściem ku zatoce, nad którą stał przysadzisty, biało oszalowany budynek Magazynowego Baru.

Joe słusznie się domyślał, że Angie cierpi z powodu tremy. Już przed laty nabrała zwyczaju raczenia się wódką od piątej piętnaście, tak iż pół godziny później, kiedy opuszczała swój pokój, musiała przytrzymywać się ściany, schodząc po stopniach na klatce schodowej. Ale spacer rozjaśniał jej umysł, pozostawiając zarazem dość pewności siebie, by mogła podejść do pianina, unieść wieko znad klawiatury, usiąść i zagrać. Najbardziej przerażała ją chwila naciśnięcia pierwszych klawiszy, ponieważ wtedy ludzie naprawdę słuchali: zmieniał się nastrój. Przerażała ją związana z tym odpowiedzialność. Dlatego właśnie grała przez trzy godziny bez przerwy – by uniknąć zapadającej ciszy, a także uśmiechów ludzi, gdy zasiadała do grania; nie, wcale nie lubiła znajdować się w centrum uwagi. Lubiła grać na pianinie. Po dwóch taktach pierwszej piosenki już czuła się szczęśliwa. Dla niej było to tak, jakby ześlizgiwała się w muzykę. „Jesteśmy jednym – zwykł mawiać Malcolm Moody. – Stańmy się jednym, Angie... co ty na to?”

Angie nigdy nie brała lekcji gry na pianinie, choć ludzie zazwyczaj w to nie wierzyli, więc dawno przestała o tym wspominać. Jako czteroletnia dziewczynka usiadła przy pianinie w kościele i zaczęła grać. Nie dziwiło jej to wówczas, nie dziwiło teraz. „Moje ręce są głodne” – mówiła matce w dzieciństwie i tak to odczuwała: jako głód. Jej matka otrzymała klucz do kościoła i nawet teraz Angie mogła wejść tam w każdej chwili, żeby zagrać.

Usłyszała, że otwierają się drzwi za jej plecami, poczuła nagły dreszcz, zobaczyła kołyszący się łańcuch na choince i dobiegł ją donośny głos Olive Kitteridge:

– Cholerna szkoda. Lubię zimno.

Państwo Kitteridge, gdy sami przychodzili do baru, zjawiali się zazwyczaj wcześniej i nie siadali najpierw w bocznej sali, lecz maszerowali prosto do jadalni. Mimo to Henry zawsze wołał: „Dobry wieczór, Angie!” i uśmiechał się szeroko, Olive zaś unosiła rękę nad głową, przekazując coś w rodzaju pozdrowienia. Ulubioną piosenką Henry'ego było *Dobranoc, Irene* i Angie starała się pamiętać, by zagrać ją później, kiedy Kitteridge'owie będą wychodzili z baru. Wiele osób miało swoje ulubione piosenki i Angie grywała je czasami, lecz nie zawsze. Henry Kitteridge był inny. Zawsze grała jego piosenkę, ponieważ ilekroć go zobaczyła, czuła się tak, jakby wkroczyła w strefę ciepłego powietrza.

Tego wieczoru Angie była rozdygotana. Ostatnio zdarzały się takie noce, kiedy wódka nie oddziaływała na nią w taki sposób, w jaki działała przez wiele lat, przynosząc radość i wrażenie, że wszystko stało się przyjemnie odległe. I tego wieczoru, jak od pewnego czasu bywało, czuła się niewyraźnie – trochę rozstrojona. Pilnowała, by nie przestać się uśmiechać i nie patrzyła na nikogo z wyjątkiem Waltera Daltona, który siedział na końcu baru. Posłał jej dłonią całusa. Angie mrugnęła leciutko; można by pomyśleć, że po prostu zadrgały jej powieki, lecz ona zrobiła to tylko jednym okiem.

Swego czasu Malcolm Moody uwielbiał to jej mrugnięcie. „Boże, ale ty mnie kręcisz” – mówił w te popołudnia, gdy przychodził do jej pokoju przy Wood Street. Malcolm nie lubił Waltera Daltona i nazywał go „pedziem”, którym Walter zresztą był. Był również alkoholikiem zwolnionym z pracy w college’u i teraz mieszkał w domku na Combs Island. Przychodził do baru każdego wieczoru, gdy Angie grała. Czasami przynosił jej prezent – jedwabny szalik albo parę skórkowych rękawiczek zapinanych z boku na drobne guziczki. Zawsze oddawał kluczyki od samochodu Joemu, który po zamknięciu baru odwoził Waltera do domu, podczas gdy jeden z kuchennych pomocników brał samochód Joego, by później odwieźć go z powrotem.

– Co za żalosne życie – zwrócił się kiedyś Malcolm do Angie, mając na myśli Waltera. – Siedzieć tak co wieczór i zalewać robaka.

Angie nie podobało się określenie „żalosne”, ale nic nie powiedziała. Czasami, niezbyt często, myślała, że ktoś mógłby nazwać „żalonym” jej życie z Malcolmem. Przychodziło jej to do głowy, gdy szła rozświetlonym chodnikiem albo gdy się budziła w nocy. Czuła wówczas przyspieszone bicie serca i odtwarzała w myślach słowa, które do niej wypowiedział przez te wszystkie lata. Na początku mówił: „Myślę o tobie bezustannie”. Nadal zdarzało mu się powiedzieć: „Kocham cię”. A czasami: „Co ja bym zrobił bez ciebie, Angie?”. Nigdy nie kupował jej prezentów i wcale sobie tego nie życzyła.

Usłyszała, że drzwi od ulicy się otwierają i zamykają, poczuła znowu powiew chłodu z zewnątrz. Kątem oka dostrzegła mężczyznę w ciemnym płaszczu, opadającego na fotel w odległym kącie; jego ruchy miały w sobie coś, co odezwało się lekkim echem w jej pamięci. Ale tego wieczoru była spięta i niespokojna.

– Kochanie – szepnęła do Betty przechodzącej obok z tacą zastawioną kieliszkami. – Czy mogłabyś poprosić Joego o małą kawę po irlandzku?

– Jasne – odparła Betty, miła dziewczyna, drobna jak dziecko. – Żaden problem.

Angie wypila kawę, trzymając filiżankę jedną ręką, podczas gdy drugą grała melodię *Have a Holly Jolly Christmas*. Mrugnęła do Joego, który z powagą skinął głową. Na zakończenie wieczoru mogła wypić drinka z Joem i Walterem, powiedzieć im, że odwiedziła matkę w domu opieki; mogła, choć nie musiała, napomknąć o sińcach na ramieniu matki.

– Prośba o piosenkę, Angie. – Betty upuściła po drodze koktajlową serwetkę, podtrzymując jednocześnie na uniesionej dłoni tacę z napojami. Taca była ciężka i Betty kołysała się z boku na bok, wymijając krzesła i fotele. – Od tamtego gościa – dodała, wskazując kątem głowy.

Na serwetce wypisano tytuł *Bridge Over Troubled Water*, lecz Angie wciąż grała kolędy, nie przestając się uśmiechać. Nie patrzyła na mężczyznę w kącie. Zagrała wszystkie kolędy, które знаła, lecz nie potrafiła wczuć się w muzykę. Może pomógłby jej jeszcze jeden drink. Mężczyzna jednak ją obserwował i zaraz by poznał, że w filiżance przyniesionej przez Betty znajduje się nie tylko kawa. Miał na imię Simon. On również grał kiedyś na pianinie.

„Padnijcie na kolana, słyszcie anielskie pienia”... Ale było tak, jakby wypadła za burtę i musiała się przedzierać przez wodorosty. Ciemna materia płaszcza mężczyzny zdawała się

spowijać jej głowę i pojawiła się w niej wodnista zgroza, mająca coś wspólnego z matką. „Schroń się” – pomyślała. Ale była mocno roztrzęsiona. Zwolniła tempo, zagrała *The First Noel* w dość lekkim stylu. Widziała teraz rozległe zaśnieżone pole i smugę łagodnego światła tuż nad horyzontem.

Kiedy skończyła, zrobiła coś, co ją samą szczerze zaskoczyło. Później zadawała sobie pytanie, od jak dawna to nieświadomie planowała. W podobny sposób nie chciała być do końca świadoma, kiedy Malcolm przestał mówić: „Myślę o tobie bezustannie”.

Angie zrobiła sobie przerwę.

Delikatnie musnęła usta serwetką, wysunęła się zza pianina i ruszyła w kierunku toalety, obok której znajdował się automat telefoniczny. Nie chciała zawracać Joemu głowy swoją torebką.

– Kochanie – zwróciła się cicho do Waltera – masz może jakieś drobne?

Wyprostował nogę, sięgnął do kieszeni i podsunął Angie garść monet.

– Jesteś słodsza niż cukiernia – wymamrotał.

Miał wilgotną dłoń; monety też były wilgotne.

– Dziękuję, skarbie – powiedziała.

Podeszła do telefonu i wybrała numer Malcolma. Przez dwadzieścia dwa lata ani razu nie dzwoniła do niego do domu. Choć od dawna pamiętała numer. „Dwadzieścia dwa lata” – pomyślała, słuchając sygnału; większość ludzi uznałaby to za bardzo długi okres, lecz dla Angie czas był czymś rozległym i zaokrąglonym jak niebo, a próby ogarnięcia go przypominały próby ogarnięcia muzyki albo Boga, lub zrozumienia, dlaczego ocean jest głęboki. Angie już dawno przestała próbować zrozumieć te rzeczy, odwrotnie niż inni ludzie.

Malcolm wreszcie odebrał. I nastąpiło coś dziwnego: nie spodobało jej się brzmienie jego głosu.

– Malcolmie – przemówiła miękko – nie mogę się z tobą więcej spotykać. Ogromnie mi przykro, ale nie mogę.

Cisza. Jego żona znajdowała się zapewne tuż obok.

– To na razie – zakończyła Angie. Mijając Waltera w drodze powrotnej, powiedziała: „Dziękuję, skarbie”, na co odparł: „Dla ciebie wszystko, Angie”. Głos miał ochryple i bełkotliwy, twarz błyszcząca od potu.

Potem zagrała piosenkę, której zażyczył sobie Simon, *Bridge Over Troubled Water*, ale dopiero pod sam koniec pozwoliła sobie spojrzeć na niego. Nie odwzajemnił jej uśmiechu i poczuła uderzenie gorąca.

Uśmiechnęła się do choinki. Kolorowe światełka sprawiały wrażenie niezwykle jaskrawych i na chwilę ogarnęło ją zakłopotanie, że ludzie tak postępują z drzewkami – ubierają je w te wszystkie świecidełka, a niektórzy oczekują tego z utęsknieniem przez cały rok. Ponownie zrobiło się jej gorąco na myśl, że za parę tygodni drzewko zostanie rozebrane, zdemontowane, wywleczone na ulicę z resztkami łańcucha zwisającymi z gałązek; wyobraziła sobie, jak niezgrabnie będzie wyglądało przekrzywione na śniegu, z uciętym pniem sterczącym w powietrzu.

Zaczęła grać *We Shall Overcome*, ale ktoś przy barowej ladzie zawołał: „No, no, bez żartów, Angie!”, więc uśmiechnęła się jeszcze promienniejsze i zagrała zamiast tego ragtime. Głupio postąpiła, próbując tej melodii – próbując *We Shall Overcome*. Uświadomiła sobie, że Simon uzna to za głupi pomysł. „Jesteś taka czułościwkowa” – zwykł powtarzać.

Ale kiedyś mówił też inne rzeczy. Gdy pierwszy raz zaprosił ją wraz z matką na lunch, powiedział: „Jesteś osobą z pięknej bajki”, a promienie słońca odbijały się od blatu stolika na

tarasie.

„Jesteś idealną córką” – stwierdził w łodzi na zatoce. Matka machała do nich ze skalistego wybrzeża. „Masz twarz anioła” – zauważył tamtego dnia, gdy zeszli z łodzi na wyspie Puckerbrush. Później przysłał jej pojedynczą białą różę.

Och, była wówczas jeszcze dziewczyną. Pewnego letniego wieczoru weszła do tego właśnie baru w towarzystwie znajomych i akurat on tam grał *Fly Me to the Moon*. Wydawało się, że wokół niego migoczą drobne światełka.

Z Simona był jednak nerwowy facet, całe jego ciało podskakiwało gwałtownie, niczym marionetka szarpana za sznurki. Jego gra miała w sobie moc. Brakowało jednak... już wtedy Angie w głębi serca wiedziała, że jego grze brakuje... no cóż, uczucia. „Zagraj *Feelings*” – prosili czasami goście, lecz on nigdy nie spełnił tej prośby. To zbyt cikliwe, twierdził. Zbyt czułościowe.

Przyjechał z Bostonu, żeby spędzić tu tylko letnie miesiące, lecz został na dwa lata. Kiedy zrywał z Angie, podsumował: „To jest tak, jakbym oprócz ciebie musiał się umawiać także z twoją matką. Dostaję od tego gęziej skórki”. Później napisał do niej: „Jesteś neurotyczką. Jesteś poraniona”.

Nie była w stanie naciskać pedału; jej noga dygotała pod czarną spódnicą. Nikomu prócz Simona nigdy nie wspomniała, że jej matka brała pieniądze od mężczyzn.

Od strony baru dobiegł wybuch śmiechu i Angie się obejrzała, ale to tylko jacyś rybacy gadali z Joem. Walter Dalton uśmiechnął się do niej słodko i przewrócił oczami, wskazując rybaków.

Matka zrobiła im na drutach na Gwiazdkę trzy bardzo podobne niebieskie swetry. Gdy wyszła na chwilę, Simon powiedział: „Nigdy nie będziemy ich nosić równocześnie”. Matka kupiła mu całą stertę płyt z muzyką Beethovena. Kiedy Simon odszedł, Angie napisała do niego i poprosiła o zwrócenie płyt, ale ich nie odesłał.

Matka oznajmiła, że mimo to mogą nosić niebieskie swetry i kiedy zakładała swój, zmuszała Angie do tego samego. Matka poinformowała ją pewnego dnia:

– Wiesz, Simona nie przyjęto na studia muzyczne. Został prawnikiem w agencji handlu nieruchomościami w Bostonie. Bob Beane wpadł tam na niego przypadkiem.

– Aha – skwitowała Angie.

Pomyślała wówczas, że nigdy więcej go nie zobaczy. Ponieważ wcześniej, pewnego dnia, dostrzegła mroczny cień zawiści, który przemknął przez jego twarz, kiedy mu się zwierzyła (och, zwierzała mu się ze wszystkiego, była tylko dzieckiem mieszkającym z matką w ruderze!), że raz, gdy miała piętnaście lat, jakiś mężczyzna z Chicago usłyszał ją grającą na miejscowym ślubie. Prowadził szkołę muzyczną i przez dwa dni próbował rozmawiać z matką Angie. Dziewczyna powinna się kształcić. Otrzyma stypendium, mieszkanie i wyżywienie. „Nie – odpowiedziała matka. – Ona jest mamusią córeczką”. Przez wiele lat Angie wyobrażała sobie to miejsce: jasne i przestronne, gdzie młodzi ludzie grają całymi dniami na pianinie. Mili mężczyźni i kobiety dawaliby jej lekcje; nauczyłyby się czytać nuty. Wszystkie pokoje byłyby ogrzewane. Nie słyszałyby odgłosów, które dobiegały z pokoju matki, odgłosów, które sprawiały, że nocami zatykała uszy albo wybiegała z domu i w kościele grała na pianinie. Ale nie, matka zadecydowała. Angie była mamusią córeczką.

Ponownie zerknęła na Simona. Obserwował ją, odchylony na oparcie fotela. Nie czuła powiewu ciepłego powietrza jak w chwilach, gdy Henry Kitteridge przekraczał próg albo teraz przy barowej ladzie, gdzie siedział Walter.

Po co przyjechał, co chciał zobaczyć? Wyobraziła go sobie, wychodzącego wcześniej z biura

i jadącego po zmroku wzdłuż wybrzeża. Może był rozwiedziony, przeżywał kryzys wieku typowy dla mężczyzn po pięćdziesiątce, którzy spoglądają na swoje życie z perspektywy czasu i zastanawiają się, dlaczego ułożyło się właśnie tak a nie inaczej. I oto właśnie on – po wielu latach – pomyślał o niej albo nie pomyślał, lecz coś go skłoniło, by się zatrzymać w Crosby, w stanie Maine. Czy wiedział, że ona tu pracuje?

Kątem oka dostrzegła, że Simon wstaje i już po chwili opierał się o otwarty salonowy fortepian, wpatrując się prosto w jej twarz. Bardzo wyłysiał.

– Witaj, Simonie – powiedziała. Grała właśnie jakiś improwizowany utwór, jej palce przebiegały lekko po klawiszach.

– Witaj, Angie. – Nie był już teraz mężczyzną, za którym kobiety się oglądają. Może dawniej też nie należał do tego typu mężczyzn, ale nie miało to aż tak wielkiego znaczenia, jak się ludziom wydawało. Nie miało znaczenia, że kiedyś nosił paskudną, brązową, skórzaną kurtkę i uważał, że to superstyl. Nie dało się powstrzymać pewnych uczuć, niezależnie od postępów tej drugiej osoby. Człowiek musiał po prostu zaczekać. Uczucia w końcu mijały, zastępowane przez inne. Albo czasami nie mijały, tylko gniotły się ściśnięte w małym pojemniku i zwisały niczym kawałek ozdobnego łańcucha gdzieś na obrzeżach umysłu. Teraz Angie zapadała się w muzykę.

– Jak się miewasz? – spytała z uśmiechem.

– Bardzo dobrze, dziękuję. – Lekko skinął głową. – Naprawdę nieźle. – W tej chwili Angie poczuła ukłucie niepokoju. Jego oczy nie miały w sobie ani odrobiny ciepła. Kiedyś były ciepłe.

– Widzę, że nadal masz rude włosy.

– Ostatnio, niestety, farbuję je płukanką.

Spojrzał na nią. Płaszcz opadał na nim luźno. Ubrania zawsze na nim zwisały.

– Jesteś prawnikiem, Simonie? Bo tak słyszałam.

Kiwnął głową.

– I prawdę mówiąc, Angie, jestem w tym dobry. To miłe, być w czymś dobrym.

– O tak, oczywiście. W czym się specjalizujesz?

– W nieruchomościach. – Pochylił głowę, lecz chwilę później uniośł podbródek. – To bardzo zabawne. Coś w rodzaju układanki.

– Och. Miło to słyszeć. – Wysunęła w bok lewą rękę, pasaż zabrzmiał lekko.

– Wyszłaś za męża, Angie?

– Nie. Nigdy. A ty? Ożeniłeś się? – Już wcześniej zauważyła obrączkę. Szeroką, złotą. Nie wyobrażała sobie, że mógłby nosić aż tak szeroką obrączkę.

– Tak. Mam troje dzieci. Dwóch synów i córkę, wszyscy dorośli. – Przesąpił z nogi na nogę, wciąż opierając się o pianino.

– To wspaniale, Simonie. Po prostu wspaniale. – Zapomniała o *Come All Ye Faithful*; zaczęła grać kolędę, mocno przebijając palcami. Czasem, kiedy grała, czuła się jak rzeźbiarka dłubiąca w cudownie gęstej glinie.

Zerknął na zegarek.

– A więc jesteś wolna od dziewiętej?

– Tak. Ale chyba muszę od razu zmykać. Bardzo mi przykro. – Przystała się rumienić; nagle zrobiło jej się chłodno. Bardzo mocno rozboleła ją głowa.

– No dobrze, Angie. – Wyprostował się. – Ja też już się stąd zabieram. Miło było cię zobaczyć po tylu latach.

– Tak, Simonie. Miło było.

Ręka Betty wysunęła się z drugiej strony i postawiła tam filiżankę kawy.

– Od Waltera – powiedziała Betty, przechodząc obok.

Angie odwróciła głowę i posłała Walterowi to swoje ledwo uchwytnie mrugnięcie; Walter wpatrywał się w nią zaczerwienionymi oczami.

Simon oddalał się powoli. Kitteridge'owie wychodzili, Henry pokiwał dłonią. Angie zagrała *Dobranoc, Irene*.

Simon zawrócił; w dwóch nerwowych susach znalazł się u jej boku i zbliżył do niej twarz.

– Wiesz, twoja matka przyjechała do Bostonu, żeby się ze mną spotkać.

Policzki Angie zrobiły się bardzo gorące.

– Przyjechała autobusem linii Greyhound – ciągnął głos Simona tuż przy jej uchu. – A potem wzięła taksówkę. Gdy wpuściłem ją do mieszkania, poprosiła o drinka i zaczęła się rozbierać. Najpierw powoli odpięła guzik pod szyją.

Angie zaschło w ustach.

– Bardzo mi cię było żal, Angie, przez te wszystkie lata.

Uśmiechnęła się w przestrzeń.

– Dobranoc, Simonie – powiedziała.

Wypiła duszkiem całą filiżankę kawy po irlandzku. A potem grała najrozmaitsze piosenki. Nie wiedziała, co gra, nie potrafiłaby tego określić, ale znajdowała się wewnątrz muzyki. Światła na choince jaśniały mocno i wydawały się odległe. Wewnątrz muzyki, jak teraz, rozumiała wiele spraw. Rozumiała życiowe rozczarowanie Simona, który po tylu latach musiał jej powiedzieć, że przez cały ten czas było mu jej żal. Rozumiała, że gdy będzie wracał swoim samochodem wzdłuż wybrzeża do Bostonu i żony, z którą wychowali wspólnie trójkę dzieci, odczuje zadowolenie, że widział dzisiaj to, co widział; i rozumiała, iż coś podobnego jest pociechą dla wielu ludzi, na przykład Malcolma, który poczuł się lepiej, gdy nazwał Waltera Daltona „żałosnym pedziem”. Było to jednak chude mleko, mało pożywne; nie zmieniało wymowy faktów – tego, że ktoś, kto chciał zostać koncertującym pianistą, skończył jako prawnik agencji handlu nieruchomościami, że ożenił się z kobietą, z którą żył przez następne trzydzieści lat, choć nawet nie uważała go za dobrego w łóżku.

Sala barowa już prawie opustoszała. I zrobiło się cieplej, ponieważ nie otwierano bez przerwy drzwi. Angie zagrała *We Shall Overcome*; zagrała to dwa razy, wolno i podniosłe, a potem obejrzała się w stronę kontuaru, skąd uśmiechał się do niej Walter. Uniósł w powietrze pięść.

– Podwieźć cię, Angie? – zagadnął Joe, gdy opuściła klawisz pianina i ruszyła po swoje okrycie i torebkę.

– Nie, dziękuję, skarbie – odparła, wkładając białe sztuczne futro, które podał jej Walter. – Spacer dobrze mi robi.

Mocno ściskając małą niebieską torebkę, przekroczyła ostrożnie zaspę na chodniku i przecięła parking przy poczcie. Zielone cyfry obok banku wskazywały minus trzy stopnie, ale nie było jej zimno. Czuła jednak zamarznęty tusz na rzęsach. Matka uczyła ją nie dotykać rzęs, kiedy jest tak zimno, bo mogłyby odpaść.

Skręciła w Wood Street, między blado świecące w zimnym mroku uliczne latarnie i wyrwało jej się głośnie „Uch!”, ponieważ wiele rzeczy wprawiło ją w konsternację. Zdarzało się to dość często po takim wejściu w głąb muzyki jak tego wieczoru.

Potknęła się lekko na swoich wysokich obcasach i oparła dłoń o poręcz przy schodach.

– Ty pizdo.

Nie zauważyła go stojącego w cieniu domu, pod okapem.

– Jesteś pizdą, Angie. – Postąpił krok w jej stronę.  
– Malcolmie – powiedziała miękko. – Proszę cię.  
– Żeby dzwonić do mnie do domu. Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? Że kim ty jesteś?  
– No cóż – zaczęła. Zacisnęła usta, przyłożyła do nich palec. – No cóż – powtórzyła. – Zastanówmy się. – Telefonowanie do niego do domu nie było w jej stylu, lecz tym bardziej nie zamierzała podkreślać, że zrobiła to po raz pierwszy od dwudziestu dwóch lat.  
– Jesteś pieprzoną świruską – oznajmił. – I pijaczką. – Zaczął odchodzić. Zauważyła jego furgonetkę zaparkowaną przy sąsiedniej przecznicy. – Zadzwoń do mnie do pracy, kiedy wytrzeźwiejesz – rzucił przez ramię. I dodał ciszej: – Nie rób mi więcej takich numerów.  
Nawet pijana wiedziała, że nie zadzwoni do niego, gdy wytrzeźwieje. Weszła do domu i usiadła na stopniu klatki schodowej. Angela O’Meara.  
Anielska twarz. Pijaczka. Jej matka sprzedawała się mężczyznom. Nie wyszłaś za mąż, Angelo?  
Siedząc tak na schodach, powiedziała sobie, że nie jest ani bardziej, ani mniej żalosna niż ktokolwiek z nich, włącznie z żoną Malcolma. A ludzie byli mili: Walter, Joe, Henry Kitteridge. O, zdecydowanie można było spotkać na świecie miłych ludzi. Zamierzała nazajutrz przyjść wcześniej do pracy i opowiedzieć Joemu o siniakach matki. „Wyobraź sobie – powie mu. – Pomyśl tylko, że ktoś w ten sposób szczyplie sparaliżowaną staruszkę”.  
Angie oparła głowę o ścianę klatki schodowej, poprawiła na sobie czarną spódnicę i poczuła nagle, że dowiedziała się o czymś za późno i pewnie tak musiało być, że człowiek dowiaduje się o czymś za późno. Jutro zagra na pianinie w kościele i przestanie myśleć o sińcach na ramieniu matki, tym chudym ramieniu z miękką, zwiotczałą skórą zwisającą z kości, tak luźną, że ściskając ją palcami, trudno było sobie wyobrazić, iż jest zdolna cokolwiek poczuć.



## Delikatny wstrząs

Przed trzema godzinami, gdy słońce świeciło jeszcze pełnym blaskiem zza drzew i przenikało na trawnik za domem, miejscowy specjalista od pielęgnacji stóp, mężczyzna w średnim wieku o nazwisku Christopher Kitteridge, ożenił się z kobietą spoza miasta, o imieniu Suzanne. Dla obydwojga jest to pierwsze małżeństwo i ślub był miłą, skromną uroczystością z udziałem flecistki oraz koszami żółtych różyczek, ustawionymi wewnątrz i na zewnątrz domu. Na razie wesoła uprzejmość gości nie wykazuje oznak wyczerpania, a Olive Kitteridge, stojąca obok składanego stolika, zaczyna myśleć, że to już naprawdę najwyższy czas, by wszyscy sobie poszli.

Przez całe popołudnie Olive usiłowała zwalczyć wrażenie, iż porusza się pod wodą – paniczne, przygnębiające uczucie, ponieważ jakoś tak się złożyło, że nigdy nie nauczyła się pływać. Wciskając papierową serwetkę między listewki składanego stolika, myśli: „No dobrze, mam już dość”, opuszcza oczy, żeby nie dać się wciągnąć w kolejną banalną pogawędkę, okrąża dom i wchodzi prosto do sypialni swego syna. Przemierza podłogę z sosnowych desek połyskującą w promieniach słońca i kładzie się na łóżku Christophera (i Suzanne) o wymiarach półtora na dwa metry.

Suknia Olive – ważna rzecz w tym dniu, oczywiście, ponieważ Olive jest matką pana młodego – została uszyta z powiewnego zielonego muslinu, na którym nadrukowano duże, czerwonaworóżowe kwiaty geranium. Dlatego Olive musi ułożyć się na łóżku ostrożnie, żeby suknia się za bardzo nie pogniotła, a także na wypadek, gdyby ktoś wszedł – powinna się prezentować przyzwoicie. Jest potężnie zbudowaną kobietą. Zdaje sobie z tego sprawę, ale nie zawsze tak wyglądała i wciąż nie potrafi się z tym oswoić. Rzeczywiście była i jest wysoka, często czuła się niezgrabnie, lecz kwestia nadmiaru pojawiła się z wiekiem; zaczęły jej puchnąć kostki, ciało w ramionach i wokół szyi nabrało masy, nadgarstki i dłonie zrobiły się jak u mężczyzny. Przeszkadza jej to, oczywiście czasami, bardzo jej przeszkadza. Na tym etapie nie potrafi jednak zrezygnować z pociechy, jaką przynosi jedzenie, co oznacza, że teraz wygląda zapewne jak tłusta, drzemiąca foka, owinięta jakimś gazowym bandażem. Ale suknia zaprezentowała się nieźle, przypomina sobie Olive, układając się i zamykając oczy. O wiele lepiej niż ponure, ciemne ubrania rodziny Bernsteinów, które wyglądają jak na pogrzebie, a nie na ślubie w ten pogodny czerwcowy dzień.

Wewnętrzne drzwi sypialni są uchylone, a z frontowej części domu docierają głosy i inne dźwięki, ponieważ trwa tam zabawa; wysokie obcasy stukają w korytarzu, trzaskają drzwi łazienki, pchnięte z całej siły. („Naprawdę – myśli Olive – czemu nie zamknąć drzwi delikatnie i cicho?”). Ktoś przesuwając fotel po podłodze salonu i oprócz stłumionego śmiechu i rozmów napływa stamtąd zapach kawy oraz silna, słodka woń pieczonego ciasta; tak samo pachniało kiedyś na ulicy przy piekarni Nissena, zanim ją zamknięto. Są też inne zapachy, na przykład ten, który Olive czuła przez cały dzień i kojarzył jej się z odstraszaczem szkodników „Off!” w aerozolu. Wszystkie te zapachy zdołały się przedostać korytarzem i napłynęły do sypialni.

A także dym papierosowy. Olive otwiera oczy: ktoś pali papierosa w ogrodzie za domem.

Przez otwarte okno słycać kaszel i trzask zapalniczki. Doprawdy, zbyt wiele osób opanowało to miejsce. Wyobraża sobie ciężkie buty depczące rabatkę z mieczykami, a potem odgłos spłuczki w toalecie na końcu korytarza wywołuje w niej przez chwilę obraz walącego się domu, pękających rur, zapadającej się podłogi, składających się na siebie ścian. Unosi się lekko, poprawia i podsuwa następną poduszkę ku wezłowi.

Sama zbudowała ten dom – no, prawie sama. Ona i Henry, przed laty, zaprojektowali wszystko i współpracowali z budowniczym, żeby Chris mógł mieszkać w przyzwoitym domu, kiedy wróci z kursów pielęgnacji stóp. Gdy buduje się dom samemu, czuje się do niego coś innego niż ludzie, którzy nic nie zbudowali. Olive jest z tym oswojona, ponieważ zawsze lubiła tworzyć rzeczy: suknie, ogrody, domy. (Sama ułożyła rano w koszykach żółte różyczki, zanim słońce wzeszło). Jej własny dom, kilka mil stąd, oni sami przed laty również zbudowali, a niedawno zwolniła sprzątaczkę, ponieważ głupia dziewczucha obijała odkurzacz o ściany i ciągnęła go w dół po schodach.

Przynajmniej Christopher docenia to miejsce. Przez ostatnie kilka lat dbali o nie wszyscy troje, Olive, Henry i Christopher, wycinając kawałek lasu, sadząc bzy i rododendrony, wykopując dołki pod słupki ogrodzenia. Teraz władzę przejmie Suzanne (doktor Sue, jak Olive nazywa ją w myślach), a ponieważ pochodzi z zamożnej rodziny, prawdopodobnie zatrudni gospozię i ogrodnika. („Ogromnie mi się podobają twoje śliczne nasturcje” – zwróciła się do Olive przed kilkoma tygodniami, wskazując rządki petunii). „Ale mniejsza o to – myśli teraz Olive. – Usuwasz się na bok i robisz miejsce dla tego, co nowe”.

Przez zamknięte powieki Olive widzi czerwone światło wpadające ukośnie przez okna; czuje ciepło słonecznych promieni na łydkach i kostkach spoczywających na łóżku, czuje pod dłonią rozgrzany, miękki materiał sukni, która naprawdę nieźle wyszła. Z przyjemnością myśli o kawałku jagodowego ciasta, który wsunęła ukradkiem do swojej dużej skórzanej torebki – i o tym, że wkrótce będzie mogła pojechać do domu i spokojnie zjeść to ciasto, zdjąc pas wyszczuplający i powrócić do normalnego życia.

Olive wyczuwa czyjaś obecność w pokoju i otwiera oczy. W progu stoi, wpatrując się w nią, jakieś dziecko, któraś z małych siostrzenic panny młodej z Chicago. To ta, która miała rozsypywać płatki róż tuż przed ceremonią, lecz w ostatniej chwili doszła do wniosku, że nie chce tego robić i cofnęła się nadąsana. Doktor Sue zachowała się jednak bardzo miło, przemówiła uspokajająco do dziewczynki i delikatnie ujęła dłonią jej główkę. W końcu zawołała pogodnym tonem: „Proszę zaczynać!” do stojącej pod drzewem kobiety, która grała na flecie. Potem Suzanne podeszła do Christophera, który wcale się nie uśmiechał, sztywny niczym kawałek drewna. Stanęli obok siebie na trawniku i wzięli ślub.

Lecz ten gest – łagodne ujęcie dłonią głowy dziewczynki, sposób, w jaki Suzanne jednym szybkim, pieszczotliwym ruchem dotknęła jej cienkich włosów i szczupłego karku – utkwiał Olive w pamięci. To było jak przyglądanie się kobiecie, która skacze z łódki do morza, nurkuje i bez trudu dopływa do pomostu przy nabrzeżu. Przykład, jak niektórzy ludzie potrafią robić coś, czego inni nie potrafią.

– Dzień dobry – zwraca się Olive do dziewczynki, ale dziecko nie odpowiada. Po chwili Olive pyta: – Ile masz lat? – Nie zna się już na dzieciach tak jak dawniej, zgaduje tylko, że ta mała ma mniej więcej cztery lata, może pięć; wydaje się, że w rodzinie Bernsteinów nikt nie jest wysoki.

Dziecko wciąż milczy.

– Zmykaj stąd – poleca Olive, lecz dziewczynka wpatruje się w nią nadal i lekko kołysze, oparta o futrynę. – Niegrzecznie jest się gapić – zauważa Olive. – Nikt ci tego dotychczas nie

powiedział?

Dziewczynka, nie przestając się kołysać, mówi spokojnie:

– Wygląda pani jak nieżywa.

Olive unosi głowę.

– Uczą was teraz tak się odzywać? – Kładzie się z powrotem, odczuwa jednak fizyczną reakcję, przelotny, lekki ból za mostkiem, jakby wewnątrz niej zatrzepotało skrzydełko. Temu dziecku powinno się wyszorować usta mydłem.

Tak czy inaczej, dzień już dobiega końca. Olive patrzy na świetlik nad łóżkiem i upewnia sama siebie, że wedle wszelkich oznak przetrwała jakoś tę imprezę. Wcześniej wyobrażała sobie, że dostaje kolejnego ataku serca w dniu ślubu własnego syna. Będzie siedziała na składanym krześle na trawniku, widoczna dla wszystkich, i kiedy jej syn powie sakramentalne „tak”, ona w milczeniu i niezgrabnie osunie się martwa na ziemię i legnie tam z wciśniętą w trawę twarzą i sterczącym ku górze potężnym zadkiem okrytym muślinem w kwiatowy deseń. Ludzie będą o tym gadali przez wiele dni.

– Co pani ma na twarzy?

Olive odwraca głowę w stronę drzwi.

– Jeszcze tu jesteś? Myślałam, że sobie poszłaś.

– Z jednej z tych rzeczy na pani twarzy wyrasta włos – informuje dziecko, teraz nieco śmielsze, i przekracza próg pokoju. – Z tej na podbródku.

Olive ponownie spogląda w sufit, a usłyszonym słowem nie towarzyszy trzepotanie skrzydełka w klatce piersiowej. To wprost zadziwiające, jakie bezczelne są dzisiejsze dzieciaki. I bardzo dobrym pomysłem było umieszczenie świetlika nad łóżkiem. Chris wspomniał jej, jak w zimie leży czasami w łóżku i patrzy na padający śnieg. Zawsze był taki – inny niż wszyscy, bardzo wrażliwy. Dzięki temu malował znakomite obrazy olejne, czego raczej nikt się nie spodziewa po specjalście od pielęgnacji stóp. Był skomplikowanym, interesującym mężczyzną, ten jej syn, tak wrażliwy w dzieciństwie, że kiedyś, czytając *Heidi*, namalował ilustrację do książki – polne kwiaty na alpejskim zboczu.

– Co to jest, co pani ma na podbródku?

Olive dostrzega, że dziewczynka obgryza wstążkę od sukienki.

– Okruchy – odpowiada jej. – Zostały po małych dziewczynkach, które pożarłam. Lepiej sobie idź, zanim zjem i ciebie. – Robi wielkie oczy.

Dziecko cofa się o krok, dotykając futryny.

– Zmyśliła to pani – mówi wreszcie, ale odwraca się i znika.

– Najwyższy czas – mruczy Olive.

Słyszy nierówne stukanie obcasów dobiegające z korytarza. „Szukam miejsca, gdzie można przypudrować nosek” – odzywa się jakaś kobieta i Olive rozpoznaje głos Janice Bernstein, matki Suzanne. Głos Henry’ego odpowiada: „To tutaj, zaraz tutaj”.

Olive czeka, aż Henry zajrzy do sypialni, co następuje już po chwili. Jego szeroka twarz promienieje życzliwością, która go często ogarnia w otoczeniu dużej grupy ludzi.

– Dobrze się czujesz, Ollie?

– Sza! Siedź cicho. Nie chcę, żeby się wszyscy dowiedzieli, gdzie jestem.

Henry wchodzi do pokoju.

– Dobrze się czujesz? – pyta szeptem.

– Chcę jechać do domu. Choć przypuszczam, że ty zamierzasz tu zostać do białego rana. Jak ja nie znoszę dorosłych kobiet, które mówią „przypudrować nosek”! Czy ona jest pijana?

– Och, nie wydaje mi się, Ollie.

– Tam na zewnątrz ktoś pali papierosa. – Olive ruchem głowy wskazuje okno. – Mam nadzieję, że nie podpali domu.

– Na pewno nie. – Po chwili Henry dodaje: – Myślę, że wszystko się udało.

– No pewnie. Idź się pożegnać, żebyśmy mogli wyruszyć w drogę.

– Ożenił się z miłą kobietą – zauważa Henry, przystając w nogach łóżka.

– Tak, chyba tak.

Obydwoje milkną na chwilę. Mimo wszystko jest to dla nich wstrząs. Ich syn, ich jedynak, wstąpił w związek małżeński. Ma trzydzieści osiem lat; zdążyli się do niego przyzwyczaić.

Spodziewali się jakiś czas temu, że poślubi swoją asystentkę, ale to nie trwało długo. Później zanosilo się na ślub z nauczycielką, która mieszkała na wyspie Turtleback, lecz i ten związek nie przetrwał. Aż wreszcie, jak grom z jasnego nieba, pojawiła się w mieście na konferencji pani doktor medycyny i nauk humanistycznych Suzanne Bernstein, która przez cały tydzień przemierzała ulice w nowiutkich butach. Od tego zaognił się jej paluch z wrastającym paznokciem, a na podbiciu stopy powstał pęcherz wielkości kurzego jajka. Suzanne przez cały dzień opowiadała tę historię: „Przejrzałam żółte strony w książce telefonicznej i zanim dotarłam do jego gabinetu, zupełnie zdarłam sobie stopy. Musiał mi przewiercić paznokcie. Tak się poznaliśmy. Niesamowite, prawda?”

Dla Olive wszystko to brzmiało głupio. Dlaczego taka bogata dziewczyna nie kupiła sobie po prostu wygodnego, dopasowanego obuwia?

Niemniej jednak, tak właśnie się poznali. Reszta zaś, jak Suzanne powtarzała przez cały dzień, była historią. Jeśli można w ten sposób określić sześć tygodni. Ponieważ nastąpiło również zaskakujące zakończenie: pobrać się ot tak, w mgnieniu oka. „Po co zwlekać?” – spytała Suzanne tamtego dnia, kiedy wstąpili obydwój z Christopherem, by pochwalić się pierścieniem zaręczynowym. „Rzeczywiście, nie ma powodu” – odparła uprzejmym tonem Olive.

– Mimo to, Henry – mówi teraz Olive – dlaczego właśnie gastroenterolog? Jest mnóstwo innych specjalności, bez grzebania ludziom we wnętrzościach. Lepiej nawet o tym nie myśleć.

Henry obrzuca ją typowym dla siebie, roztargnionym spojrzeniem.

– Wiem – odpowiada.

Słoneczne światło przemyka po ścianach, białe zasłony poruszają się lekko. Powraca woń papierosowego dymu. Henry i Olive milczą, wpatrzeni w nogi łóżka, aż wreszcie Olive się odzywa:

– To bardzo zdecydowana osoba.

– Jest dobra dla Christophera – mówi Henry.

Rozmawiają niemal szeptem, lecz na odgłos kroków w korytarzu obydwój z dziarskimi, uprzejmymi minami zwracają twarze ku półotwartym drzwiom. Tyle że matka Suzanne nie zatrzymuje się tam; maszeruje dalej w swoim granatowym kostiumie, z torebką, która wygląda jak miniaturowa walizka.

– Lepiej idź do nich – poleca Olive. – Ja zaraz przyjdę się pożegnać. Daj mi tylko chwilę odpocząć.

– Tak, Ollie, odpocznij sobie.

– Może byśmy wstąpili do Dunkin’ Donuts? – pyta ona. Lubią usiąść w niszy przy oknie i pracuje tam kelnerka, która ich zna; po uprzejmym powitaniu zostawia ich w spokoju.

– Możemy – zgadza się Henry, już w drzwiach.

Kładąc się ponownie na poduszkach, Olive myśli, jak blado wyglądał jej syn podczas ślubnej ceremonii. Z właściwą sobie powściągliwością spoglądał wdzięcznie na pannę młodą, szczupłą i o małym biuście, która stała obok i unosiła ku niemu oczy. A jej matka płakała. To było dopiero coś – strumienie łez spływające z oczu Janice Bernstein. Po ceremonii zagadnęła Olive:

- Nigdy nie płaczesz na ślubach?
- Nie widzę powodu – odparła Olive.

Płacz nie odzwierciedliłby jej uczuć. Odczuwała lęk, siedząc na składanym krześle. Bała się, że jej serce znowu się ściśnie i zatrzyma, jak to już raz zrobiło, gdy wydawało się jej, że czyjaś pięść przebija jej plecy. Odczuwała ten lęk, widząc uśmiech panny młodej skierowany do Christophera, zupełnie jakby go naprawdę znała. A czy widziała go w pierwszej klasie, kiedy dostał krwotoku z nosa na lekcji u panny Lampley? Czy go znała jako bladego, nieco zbyt pulchnego dzieciaka, który dostał pokrzywki ze strachu przed sprawdzianem z ortografii? Nie, Suzanne doszła do błędnego wniosku, że zna kogoś, ponieważ przez dwa tygodnie uprawiała z nim seks. Ale tego nie można jej było powiedzieć. Gdyby Olive zwróciła jej uwagę, że „nasturcje” to w rzeczywistości petunie (czego nie uczyniła), doktor Sue odparłaby zapewne: „No cóż, widziałam nasturcje, które tak właśnie wyglądały”. Było jednak denerwujące, jak patrzyła na Christophera, kiedy brali ślub. Zupełnie jakby mówiła: „Znam cię. O tak, znam ciebie. Znam ciebie”.

Trzaskają siatkowe drzwi. Męski głos prosi o papierosa. Kolejny trzask zapalniczki, niskie męskie pomruki. „Ależ się opchałem”.

Olive dobrze rozumie, dlaczego Chris nigdy nie starał się zdobyć wielu przyjaciół. Pod tym względem jest podobny do niej, nie znosi częściej paplaniny. A paplą o tobie często również za plecami. „Nigdy nie ufaj ludziom” – powiedziała matka Olive dawno temu, kiedy ktoś zostawił kosz pełen krowich placków przed frontowymi drzwiami ich domu. Henry’ego irytował taki sposób myślenia. Ale sam Henry był dość irytujący z tą swoją niezachwianą naiwnością, zupełnie jakby życie stanowiło produkt z katalogu Searsa: wszyscy wokół uśmiechają się do ciebie.

Olive martwiła się jednak samotnością Christophera. Zwłaszcza ubiegłej zimy zadrezczała ją myśl o synu jako starzejącym się mężczyźnie, który wraca z pracy do ciemnego domu, po odejściu jej i Henry’ego z tego świata. Dlatego tak naprawdę jest zadowolona z pojawienia się Suzanne. Zdarzyło się to dość nieoczekiwanie i trzeba się będzie z tym oswoić, ale w sumie doktor Sue dobrze spełni swoje zadanie. No i zachowywała się w stosunku do Olive bardzo przyjaźnie. („Nie mogę uwierzyć, że sama nakreśliłaś te projekty!”. Wysoko uniesione jasne brwi). Ponadto Christopher, co tu kryć, ma bzika na jej punkcie. Oczywiście, na obecnym etapie ich życie seksualne jest zapewne niezmiernie podniecające i bez wątpienia myślą, jak to młoda para, że tak już zostanie. Myślą również, że skończyli z życiem w samotności.

Uświadamiając to sobie, Olive powoli kiwa głową i układa się na łóżku. Wie, że samotność może zabić – na różne sposoby potrafi naprawdę doprowadzić człowieka do śmierci. W głębi serca Olive uważa, iż życie polega na tym, co ona nazywa „silnymi wstrząsami” i „delikatnymi wstrząsami”. Silne wstrząsy to takie sprawy jak małżeństwo czy dzieci, te intymne związki, które utrzymują cię na powierzchni, lecz kryją w sobie niebezpieczne, niewidoczne prądy. I właśnie dlatego potrzebne są też delikatne wstrząsy: uprzejma ekspedientka w Bradlee’s, powiedzmy, albo kelnerka w Dunkin’ Donuts, która pamięta, jaką lubisz kawę. Doprawdy, zawiłe kwestie.

– Niebrzydkie miejsce trafiło się Suzanne – zauważyła jeden z niskich głosów za oknem. Słysząc go bardzo wyraźnie; zapewne zmienili pozycję i zwrócili się twarzami w stronę domu.

– Świetne miejsce – przyznaje drugi głos. – Raz przyjechaliśmy tutaj, kiedy byłem mały, i zatrzymaliśmy się w „Przystani Nakrapianego Jajka”. Coś w tym rodzaju.

Kulturalni mężczyźni wyszli sobie na papierosa. „Tylko nie podepczcie mieczyków – myśli Olive – i nie podpalcie ogrodzenia”. Odczuwa senność i nie jest to przykre uczucie. Mogłaby się tutaj zdrzemnąć, gdyby jej dano dwadzieścia minut, a potem zrobić obchód i pożegnać się ze wszystkimi trzeźwo i spokojnie po krótkim odpoczynku. Ujmie dłoń Janice Bernstein i potrzyma ją przez chwilę; będzie uprzejmą, siwowłosą, zażywną kobietą w zwiewnej sukience w czerwone kwiatki.

Trzaskają siatkowe drzwi.

– Brygada rozedmy płuc – daje się słyszeć dziarski głos Suzanne, któremu towarzyszy klaskanie.

Olive gwałtownie unosi powieki. Wpada w popłoch, jakby ją samą właśnie przyłapano na paleniu papierosów w lesie.

– Wiecie, że to was zabije?

– Och, nigdy o tym nie słyszałem – odpowiada pogodnie mężczyzna. – Suzanne, nie sądzę, żebym kiedykolwiek o tym słyszał.

Siatkowe drzwi ponownie się otwierają i zamykają; ktoś wszedł do domu. Olive siada, nie mając już szans na drzemkę.

Zza okna dobiega łagodniejszy głos. „To ta mała, chuda przyjaciółka Suzanne – myśli Olive – ta, której sukienka wygląda jak splątane wodorosty”.

– Trzymasz się jakoś?

– Taaa – Suzanne przeciąga słowo, napawając się, jak przypuszcza Olive, poświęcaną jej uwagą.

– No więc, Suzie, jak ci się podobają twoi teściowie?

Olive przysiada na skraju łóżka, jej serce bije mocniej.

– Interesująca sytuacja – odpowiada Suzanne zniżonym, poważnym głosem. Doktor Sue, lekarz specjalista, gotowa do wygłoszenia odczytu na temat pasożytów wewnętrznych. Zaczyna mówić jeszcze ciszej i Olive nie może dosłyszeć słów.

– To widać. – Szepty. – Ojciec...

– Och, Henry to prawdziwa perła.

Olive wstaje i bardzo powoli przemieszcza się wzdłuż ściany bliżej otwartego okna. Promień popołudniowego słońca pada na jedną stronę jej twarzy, kiedy Olive wyciąga szyję, by wychwycić sens z kobiecej szeptaniny.

– O Boże, tak – mówi Suzanne, której ciche słowa stają się nagle wyraźne. – Nie mogłam w to uwierzyć. Że naprawdę włoży ją na siebie.

„Sukienka” – myśli Olive. Cofa się i przywiera plecami do ściany.

– Cóż, tutejsi ludzie inaczej się ubierają.

„Na Boga, to prawda” – myśli Olive. Powraca jednak owo oszołomienie, jakby przebywała pod wodą.

Wodorostowa Przyjaciółka znowu coś szemrze. Trudno ją zrozumieć, lecz Olive słyszy: „Chris”.

– Jest wyjątkowy – odpowiada Suzanne poważnym tonem i Olive czuje się tak, jakby te dwie kobiety siedziały nad nią w łódce, podczas gdy ona pogrążyła się w mętnej wodzie. – Przeżył

ciężkie chwile, wiesz. Jako jedynak naprawdę miał przechłapanie.

Wodorost szemrze i wiosło Suzanne ponownie przecina wodę.

– No wiesz. Te oczekiwania.

Olive odwraca się i rozgląda po pokoju. Po sypialni swojego syna. Zbudowała ją, są tu znajome przedmioty, takie jak komoda i wyplatany dywanik, który sama zrobiła dawno temu. Wzbiera w niej jednak gęste, mroczne oszołomienie.

„Przeżył ciężkie chwile, wiesz”.

Niemal przykucnięta, Olive podkrada się z powrotem do łóżka, na którym ostrożnie siada. O czym on opowiadał Suzanne? „Ciężkie chwile”. Pod językiem i tuż przy górnych zębach trzonowych w jej ustach zaczyna się gromadzić ślina. Przypomina sobie przelotnie, jak dłoń Suzanne swobodnie i delikatnie ujęła głowę tej małej dziewczynki. Co Christopher powiedział? Co zapamiętał? „Człowiek może podążać tylko naprzód – myśli Olive. – Człowiek powinien podążać tylko naprzód”.

Czuje ukłucie głębokiego zażenowania, ponieważ ta sukienka ogromnie jej się podoba. Jej serce naprawdę stopniało, gdy natrafiła na ten zwiewny muślin w sklepie So-Fro; promień słońca rozświetlił przesycony niepokojem, mroczny cień zbliżającego się ślubu: te kwiatki falujące nad krawędzią stołu w pracowni krawieckiej. Stające się suknią, z której czerpała pociechę przez cały dzień.

Słyszy Suzanne mówiącą coś o swoich gościach, a potem trzaskają siatkowe drzwi i w ogrodzie zapada cisza. Olive dotyka otwartą dłonią policzków, dotyka ust. Będzie musiała wrócić do salonu, zanim ktoś ją tu znajdzie. Będzie musiała się pochylić i ucałować policzek panny młodej, uśmiechniętej i rozglądającej się z tym swoim wszystkowiedzącym wyrazem twarzy.

Och, to boli – aż tak, że Olive wydaje jęk, siadając na łóżku. Co Suzanne wie o sercu, które odczuwa chwilami tak dotkliwy ból, iż przed kilkoma miesiącami omal się nie wyczerpało, omal się nie poddało całkowicie? Rzeczywiście, Olive nie uprawia ćwiczeń fizycznych, jej poziom cholesterolu jest zawrotnie wysoki. Ale to tylko dobra wymówka, skrywająca fakt, że tak naprawdę wypala się jej dusza.

Syn przyszedł do niej w ostatnie Boże Narodzenie, zanim jakaś tam doktor Sue wkroczyła do akcji, i powiedział, co mu przychodzi do głowy. „Czasami myślę, żeby po prostu z tym wszystkim skończyć...”

Przedziwne echo słów ojca Olive sprzed trzydziestu dziewięciu lat. Tyle że wówczas, od niedawna zamężna (z własnymi powodami do rozczarowania, a także będąca w ciąży, o czym jeszcze nie wiedziała), odparła zdawkowo: „Och, tato, wszyscy miewamy chandrę od czasu do czasu”. Niewłaściwa reakcja, jak się okazało.

Olive, siedząc na skraju łóżka, kryje twarz w dłoniach. Niemal potrafi nie pamiętać pierwszych dziesięciu lat życia Christophera, lecz niektóre rzeczy pamięta, choć tego nie chce. Próbowwała nauczyć go gry na pianinie, a on ciągle się mylił. Przez to, że tak się jej bał, dostawała zupełnego bzika. Ale przecież go kochała! Chciałaby to powiedzieć Suzanne. Chciałaby jej powiedzieć: „Posłuchaj, doktor Sue, głęboko we mnie tkwi coś, co czasami nabrzmiewa jak głowa kałamarnicy i wstrzykuje w moje wnętrze czerń. Nie chciałam być taka, przysięgam, kocham i kochałam mojego syna”.

To prawda. Kochała go. Dlatego właśnie zaraz po Bożym Narodzeniu zabrała go do lekarza, zostawiając Henry’ego w domu, a później siedziała w poczekalni z ciężko bijącym sercem, dopóki nie wyszedł – dorosły mężczyzna, jej syn – z rozjaśnionym obliczem i receptą na

tabletki. Przez całą drogę do domu opowiadał o poziomach serotoniny i skłonnościach genetycznych; była to chyba najdłuższa wypowiedź, jaką Olive od niego usłyszała. Podobnie jak jej ojciec, jest dość małowówny.

Z dołu korytarza dobiega teraz nagły brzęk kryształowych kieliszków.

– Wznieśmy toast za Fidelity Select!<sup>[1]</sup> – wykrzykuje męski głos.

Olive prostuje się i przesuwając ręką po ciepłym od słońca wierzchu komody. Ta komoda była świadkiem dorastania Christophera i wciąż pozostał na niej ślad po słoiczku z maścią Vicks VapoRub. Leży tam teraz sterta teczek oznaczonych pismem doktor Sue i trzy czarne flamastry. Olive powoli wysuwa górną szufladę. Tam, gdzie niegdyś znajdowały się chłopięce skarpetki i podkoszulki, piętrzy się bielizna synowej – skłębione razem delikatne, koronkowe, barwne ciuszki. Olive pociąga za ramiączko i wyłania się błyszczący bładoniebieski stanik z przejrzystej tkaniny i o małych miseczkach. Obraca go powoli w grubej dłoni, zwija w kulkę i wsuwa na dno obszernej torebki. Nie czuje się dobrze, ma spuchnięte nogi.

Spogląda na flamastry leżące na komodzie tuż obok teczek Suzanne. „Panna Mądralińska” – myśli Olive, sięgając po pisak i zdejmując z niego skuwkę pachnącą szkołą. Pragnie wysmarować nim przywiezioną przez pannę młodą jasną narzutę na łóżko. Rozgląda się po zagarniętej sypialni; oznakowałyby chętnie każdy przedmiot, który pojawił się tutaj w ciągu ostatniego miesiąca.

Podchodzi do szafy, otwiera drzwi. Wiszące tam sukienki budzą w niej agresję. Ma ochotę zedrzyć stamtąd i pognieść kosztowną ciemną tkaninę tych krótkich sukienek pyszniących się na drewnianych wieszakach. No i są jeszcze swetry w różnych odcieniach brązu i zieleni, poskładane schludnie na podwieszanej, miękkiej plastikowej półce. Jeden z nich, prawie na samym spodzie, jest beżowy. Na miłość boską, czy nie można by dodać nieco prawdziwego koloru? Dłonie Olive trzęsą się z gniewu, a także dlatego, że ktoś, oczywiście, mógłby teraz przechodzić korytarzem i wsunąć głowę przez otwarte drzwi.

Beżowy sweter jest gruby, i dobrze, bo dziewczyna nie będzie go nosić aż do jesieni. Olive rozkłada go pospiesznie i robi mazakiem czarną krechę wzdłuż jednego rękawa. Następnie, przytrzymując pisak w ustach, szybko składa sweter z powrotem, uważnie, żeby wydawał się złożony równie starannie jak przedtem. Udaje się jej. Nikt, kto by otworzył tę szafę, nie pomyślałby, że w niej grzebano – wszystko wygląda bardzo porządnie.

Z wyjątkiem butów. Leżą porozrzucane po całym dnie szafy. Olive wyciąga ciemny, znoszony mokasyn. Prawdę mówiąc, często widywała Suzanne w tych butach – skoro już złapała męża, może sobie paradować w czymś takim. Pochylona, przeżywając chwilę strachu, Olive upycha mokasyn w swojej torebce, po czym się dźwiga i prostuje z lekkim posapywaniem. Poprawia owinięty w folię kawałek ciasta, tak by zasłaniał but.

– Jesteś gotowa?

Henry stoi w progu z promienną, uszczęśliwioną twarzą człowieka, który zamienił z każdym kilka słów i który budzi sympatię, jest „perłą”. Choć Olive bardzo by chciała mu powtórzyć, co usłyszała przed chwilą, podzielić się z nim brzemieniem tego, co zrobiła, nie powie nic.

– Chcesz po drodze wstąpić do Dunkin’ Donuts? – pyta Henry, patrząc na nią swymi dużymi oczyma o barwie oceanu. Niewiniątko. W ten sposób nauczył się radzić sobie z życiem.

– Och – odpowiada Olive – nie jestem pewna, czy mam ochotę na pączka, Henry.

– W porządku. Po prostu wydawało mi się, że mówiłaś o...

– No dobrze. Jasne, wstąpmy tam.



Olive wsuwa torebkę pod tęgie ramię i przyciska ją do boku, ruszając w stronę drzwi. Niewielka to pociecha, ale zawsze jakaś pociecha, wiedzieć przynajmniej, że nadejdą chwile, w których Suzanne zwątpi w siebie. Będzie wołać: „Christopherze, na pewno nigdzie nie widziałeś mojego buta?”. Przeglądając wyprane rzeczy lub bieliznę w szufladzie, poczuje lekkie drgnienie niepokoju. „Chyba tracę rozum, wszystko wymyka mi się spod kontroli... O Boże, co się stało z moim swetrem?” I nigdy nie będzie miała pewności, nieprawdaż? No bo kto mógł poplaścić flamastrem sweter? Co się stało ze stanikiem? Gdzie się podział jeden but?

Sweter będzie zniszczony, a but przepadnie, podobnie jak stanik, pod warstwą zużytych chusteczek higienicznych i podpasek w koszu stojącym w damskiej toalecie restauracji Dunkin' Donuts, którego zawartość zostanie następnego dnia wciśnięta do dużego kontenera. Właściwie, jeśli doktor Sue ma zamieszkać w sąsiedztwie, nie ma powodu, by Olive od czasu do czasu nie zabrała jakiegoś drobiazgu – tylko dla podtrzymania tego zwątpienia w siebie. Delikatny wstrząs. Ponieważ Christopher nie powinien żyć z kobietą, która uważa, że pozjadała wszystkie rozumy. Nikt nie wie wszystkiego – nikt nie powinien tak myśleć.

– Chodźmy – mówi w końcu Olive i przyciska torebkę ramieniem, szykując się do przeprawy przez salon. I wyobraża sobie własne serce, duży czerwony mięsień, bijący pod sukienką z wzorem w kwiaty.

---

<sup>[1]</sup> Fidelity Select – jeden zamerykańskich funduszy inwestycyjnych (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

## Wygłodzenie

Na przystani w niedzielny poranek Harmon z wysiłkiem oderwał oczy od pary młodych ludzi. Widział ich wcześniej w mieście, idących główną ulicą; dziewczyna szczupłą dłonią – otoczoną w nadgarstku sztucznym futerkiem naszytym wokół rękawa dżinsowej kurtki – luźno obejmowała rękę chłopaka i razem oglądali sklepowe witryny z tą samą prostą, bezwarunkową swobodą, z którą teraz opierali się o poręcz schodów. Chłopak był podobno kuzynem Kathleen Burnham, pochodził z New Hampshire i pracował w tartaku, choć nie wyglądał na starszego ani wyższego niż podrastająca sadzonka cukrowego klonu. Ale jego oczy za szklami okularów w czarnej oprawie były spokojne, ciało przybrało swobodną pozycję. Harmon dostrzegł, że nie noszą obrączek i odwrócił spojrzenie w stronę zatoki, która połyskiwała w promieniach porannego słońca i rozpościerała się płasko niczym moneta w ten bezwietrzny dzień.

– Jestem wściekła na Victorię – dobiegł Harmona głos dziewczyny. Był wysoki i przez to zabrzmiał zbyt głośno. Zdawała się nie zwracać uwagi na to, że wszyscy ją słyszą, choć było ich tam zaledwie kilkoro czekających na wolne miejsca: prócz nich tylko Harmon i dwóch rybaków. Restauracja na nabrzeżu stała się ostatnio uczęszczanym miejscem spotkań w niedzielne przedpołudnia; dość często trzeba było czekać na stolik. Żonie Harmona, Bonnie, to nie odpowiadało. „Czekający ludzie budzą we mnie niepokój” – stwierdziła.

– Dlaczego? – zapytał chłopak. Mówił ciszej, lecz Harmon, stojąc niedaleko, usłyszał. Odwrócił się, zmierzył ich długim spojrzeniem zmrużonych oczu.

– No cóż... – Dziewczyna zdawała się rozważać to pytanie, poruszając ustami. Jej cera była nieskazitelnie czysta i miała lekko cynamonowy odcień, podobnie jak włosy, ufarbowane na ten sam kolor, albo tak się Harmonowi wydawało. Dziewczęta ostatnimi czasy wyczyniały cuda z włosami. Jego siostrzenica pracowała w zakładzie fryzjerskim w Portland i poinformowała Bonnie, że farbowanie włosów to od lat zupełnie inna historia niż kiedyś. Możesz im nadać dowolny odcień i to tylko wyjdzie im na dobre. Bonnie odparła, że jej farbowanie nie interesuje, będzie nosiła włosy, które dał jej Bóg. Harmon wówczas poczuł żal.

– Ostatnio potrafiła być wredna – powiedziała dziewczyna. Jej głos brzmiał dziarsko, choć z nutą zadumy. Chłopak kiwnął głową.

Drzwi się otworzyły, wyszło dwóch rybaków i weszło dwoje oczekujących. Chłopak zajął miejsce na drewnianej ławce, a dziewczyna, zamiast usiąść obok, usadowiła się na jego kolanach jak na krześle.

– Proszę. – Ruchem głowy wskazała Harmonowi wolne miejsce.

Zaczął unosić rękę, by dać znak, że nie, dziękuję, zaczeka, lecz dziewczyna popatrzyła na niego tak bezpośrednio i rzeczowo, iż w końcu usiadł przy nich.

– Przystań mnie obwąchiwać – powiedziała. Spoglądała na wodę; obszyty sztucznym futerkiem kaptur dżinsowej kurtki sprawiał, że głowę trzymała wysuniętą naprzód. – Wąchasz mnie, wiem o tym. – Wykonała drobny ruch, jakby chciała lekko uderzyć chłopaka. Harmon, który zerkał na nich kątem oka, teraz wpatrzył się w przestrzeń. W ciągu tych kilku minut bryza przybrała na sile i zatoka stała się jednym długim pasmem drobnych fal. Usłyszał stuknięcie

wiosła wrzucanego do łódki i zaczął się przyglądać młodemu Coombsowi, zsuwającemu cumę ze słupka na nabrzeżu. Ludzie mówili, że dzieciak nie chce przejąć sklepu ojca, że wolałby wstąpić do straży przybrzeżnej.

Auto wjeżdżające na parking pozwoliło Harmonowi odwrócić głowę i zobaczyć, że dziewczyna wacha górę rękawa dżinsowej kurtki.

– Wiem – powiedziała. – Śmierdę jak skręt z marychy.

„Ćpuny” – orzekłaby Bonnie, spisując ich na straty. To, że dziewczyna siedzi na kolanach chłopaka, też by się jej nie spodobało. Harmon jednak odnosił wrażenie, iż w tych czasach cała młodzież pali trawkę, tak samo jak w latach sześćdziesiątych. Prawdopodobnie jego synów również to dotyczyło, a Kevin chyba nawet robił to nadal, choć powstrzymywał się przy żonie. Żona Kevina piła mleko sojowe, przyrządzała całe miski zbożowych płatków i opowiadała o kursach jogi – Harmon i Bonnie przewracali oczami. Mimo to Harmon doceniał kryjącą się za tym żywotność, tak jak podziwiał teraz parę siedzącą obok. Świat stał przed nimi otworem. Dało się to dostrzec w ich swobodzie, w czystości cery i wysokim, mocnym głosem dziewczyny. Harmon doznał uczucia, które ogarnęło go w dzieciństwie, kiedy szedł po ulewie gruntową drogą i znalazł w kałuży ćwierćdolarówkę. Moneta wydawała się czymś wielkim i czarodziejskim. Ci młodzi ludzie w ten sam sposób podsycali jego emocje – tak wielkie bogactwo w zasięgu ręki.

– Moglibyśmy się zdrzemnąć – mówiła dziewczyna. – Dzisiaj po południu. Wtedy wytrzymamy do późna. Musimy, przecież wszyscy tam będą.

– Możemy – odpowiedział chłopak.

Przy ladzie nie było miejsca, żeby rozłożyć gazetę, i Harmon zjadł jajka z kukurydzianą bułką, obserwując młodą parę przy stoliku pod oknem. Dziewczyna była szczuplejsza, niż mu się wcześniej wydawało; górna połowa jej ciała, nawet w dżinsowej kurteczce, gdy pochylała się nad stolikiem, przypominała tarę do prania. W pewnym momencie wtuliła głowę w złożone na stoliku ramiona. Chłopak coś powiedział z tym samym co przedtem odprężonym wyrazem twarzy. Gdy dziewczyna usiadła prosto, dotknął jej włosów, przesuwając końce pasemek między palcami.

Harmon kupił jeszcze dwa pączki w osobnych torebkach i wyszedł. Był początek września i czubki klonów okryły się czerwienią; kilka jaskrawoczerwonych liści, doskonałych w swym gwiazdzistym kształcie, opadło na gruntową drogę. Przed laty, gdy jego synowie byli mali, Harmon mógłby im pokazać te liście, a oni zaczęliby je gorliwie zbierać – zwłaszcza Derrick bardzo lubił liście, gałązki i żołądź. Bonnie znajdowała pod jego łóżkiem połowę okolicznych lasów. „Niedługo sprowadzisz nam tu wiewiórkę” – strofowała go, każąc zrobić porządek, a chłopiec wybuchał płaczem. Derrick miał naturę chomika ze skłonnością do sentymentalizmu. Harmon pomaszerował naprzód, zostawiwszy samochód na nabrzeżu, a powietrze przyłgnęło do jego twarzy niczym zimna, wilgotna ścierka. Każdy z synów był kiedyś jego ulubionym dzieckiem.

Daisy Foster mieszkała w małym ocieplonym domku na samym końcu krętej gruntowej drogi, schodzącej obok przystani ku morzu. Z niewielkiego saloniku można było wypatrzeć w oddali wąski pasek wody. Obok jadalni na wyciągnięcie ręki przebiegała droga, choć w lecie okno przesłaniał gąszcz splątanych gałązek białą kwitnącej tawuły. Obecnie krzewy wystawiały nagie witki i było zimno; Daisy rozpałała ogień w kuchennym piecu. Wcześniej zdjęła odświętny strój

i włożyła bladoniebieski sweter, który pasował do koloru jej oczu, a teraz siedziała przy jadalnianym stole, paląc papierosa i obserwując leciutko rozkołysane czubki gałęzi norweskiej sosny po drugiej stronie drogi.

Mąż Daisy, starszy od niej o tyle, że mógłby być jej ojcem, zmarł trzy lata wcześniej. Poruszyła ustami, przypominając sobie, jak przyszedł do niej ostatniej nocy w tym śnie, jeśli można to nazwać snem. Strąciła popiół z papierosa do dużej szklanej popielniczki. Zawsze mówił, że jest stworzony do roli kochanka. Dostrzegła przez okno parę młodych ludzi przejeżdżających samochodem – kuzyna Kathleen Burnham i jego dziewczynę. Jechali sfatygowanym volvo z oklejonym nalepkami zderzakiem przypominającym Daisy stare walizki, pokryte stemplami wizowymi z dawnych czasów. Zauważyła, że dziewczyna mówi coś do chłopaka, który kiwnął głową, prowadząc samochód. Wyglądając spoza gałęzek tawuły dotykających okna, odczytała – tak jej się wydawało – napis na jednej z nalepek: „Wyobraź sobie wirujący groszek” nad obrazem ziemskiego globu.

Zgasiała papierosa w dużej szklanej popielniczce i w tej samej chwili dostrzegła Harmona. Jego powolny krok i pochylone ramiona sprawiały, że wydawał się starszy, niż był. Wystarczyło krótkie spojrzenie, by stwierdzić, że nosi w sobie smutek. Jego oczy jednak, gdy otworzyła drzwi, spojrzały na nią z niezmiennym błyskiem ożywienia i niewinności.

– Dziękuję, Harmonie – powiedziała, gdy wręczył jej torebkę z pączkiem, którego zawsze przynosił. Postawiła ją obok tej drugiej na kuchennym stoliku przykrytym obrusem w czerwonej kratkę. Zamierzała zjeść tego pączka później, przy kieliszku czerwonego wina.

W salonie Daisy usiadła na sofie, krzyżując pulchne kostki. Zapaliła następnego papierosa.

– Jak się miewasz, Harmon? – spytała. – Jak tam chłopcy? – Wiedziała, że to go zasmuca. Jego czterech synowie dorosli i rozproszyli się po świecie. Przyjeżdżali w odwiedziny, pojawiając się w mieście już jako mężczyźni, a pamiętała dawne lata, kiedy nie widywało się Harmona samego. Zawsze towarzyszyli mu mali, a potem nastoletni chłopcy, którzy buszowali w soboty w sklepie, pokrzykiwali na parkingu, rzucali piłką, wołali ojca, żeby się pospieszył.

– W porządku. Chyba wszystko z nimi w porządku. – Harmon usiadł obok niej. Nigdy nie siadywał w starym fotelu Coppera. – A ty, Daisy?

– Ostatniej nocy przyśnił mi się Copper. To nie było jak sen, mogłabym przysiąc, że przyszedł do mnie, gdziekolwiek jest. – Przechyliła głowę, zerkając spoza smug dymu. – Czy to brzmi po wariacku?

Harmon wzruszył jednym ramieniem.

– Nie wiem, jak to brzmi, w każdym razie takie przeżycia są dość powszechne, niezależnie od tego, w co ludzie wierzą.

Daisy kiwnęła głową.

– No cóż, powiedział, że wszystko jest w porządku.

– Wszystko?

Zaśmiała się cicho, mrużąc oczy i wtykając papierosa w kącik ust.

– Wszystko.

Rozejrzeni się równocześnie po niewielkim, niskim pokoju, w którym kłębił się dym. Raz podczas letniej burzy siedzieli w tym samym pokoju, gdy drobny kulisty piorun wtargnął przez uchylone okno, obił się groteskowo o ściany i znowu wypadł na zewnątrz.

Daisy wyprostowała się i odchyliła na oparcie krzesła, obciążając jasnoniebieski sweter na obfitym, miękkim brzuchu.

– Nie ma potrzeby mówić komukolwiek, że go widziałam w ten sposób.

– Nie.

– Dobry z ciebie przyjaciel, Harmon.

Milczał; przesunął dłonią po poduszce na sofie.

– Wiesz, kuzyn Kathleen Burnham przyjechał do miasta ze swoją dziewczyną. Zauważyłam ich w samochodzie.

– Dopiero co byli w restauracji na przystani. – Opowiedział, jak dziewczyna położyła głowę na stole. Jak poleciła chłopakowi: „Przestań mnie obwąchiwać”.

– Och, urocze. – Daisy zaśmiała się cicho.

– Boże, kocham młodych ludzi – wyznał Harmon. – A wszyscy ciągle się ich czepiają. Starsi skłonni są uważać, że młodsze pokolenie nieuchronnie wtrąci ten świat w otchłań piekła. Ale to przecież nieprawda. Są dobrzy i obiecujący. I tak powinno być.

Daisy nie przestawała się uśmiechać.

– To wszystko szczerą prawdą. – Ostatni raz zaciągnęła się dymem z papierosa, pochyliła i zgmiotła niedopałek. Kiedyś, raz, powiedziała Harmonowi, jak wydawało jej się, że zaszła w ciążę z Copperem i jacy byli wtedy szczęśliwi, ale nie było im to pisane. Nie zamierzała o tym ponownie wspominać. Przykryła jego dłoń swoją, dotykając twardych knykci.

W jednej chwili wstali obydwój i zaczęli wchodzić wąskimi schodkami do małego pokoju, gdzie słońce świeciło przez okno, zapalając błyski w czerwonym wazonie na komodzie.

– Pewnie musiałeś czekać. – Bonnie rozdzielała długie pasma ciemnozielonej włóczki. Miękkie strzępki piętrzyły się u jej stóp, przedpołudniowe słońce rysowało wzór na podłodze z sosnowych desek, wpadając przez okno z małymi szybkami.

– Szkoda, że nie pojechałaś. Woda wygląda pięknie. Spokojna, gładka. Ale wiatr się nasila.

– Chyba widzę stąd zatokę. – Nie uniosła głowy. Miała długie palce. Prosta złota obrączka, przesuwaną się luźno za stawem, chwytając każdy promień słońca. – Przypuszczam, że głównie turyści z innych stanów zmusili cię do czekania.

– Wcale nie. – Harmon usiadł w fotelu z widokiem na zatokę. Pomyślał o młodej parze. – No, być może. Ale w sumie było jak zwykle.

– Przywiozłeś mi pączka?

Wyprostował się, a potem pochylił.

– O rety, nie. Zostawiłem go. Wrócę po niego, Bonnie.

– Och, daj spokój.

– Wrócę.

– Siadaj.

Nie wstał jeszcze, lecz był do tego gotów: oparł dłonie o poręcz, ugiął kolana. Zawahał się i usiadł z powrotem. Sięgnął po „Newsweeka” leżącego obok na stoliku.

– Byłoby miło, gdybyś pamiętał.

– Bonnie, powiedziałem...

– A ja powiedziałam: daj spokój.

Przewrótcił, nie czytając, kilka stron czasopisma. W pokoju było słycać jedynie odgłos rozdzieranej wełny. Wreszcie Bonnie przemówiła:

– Chcę, żeby ten dywanik wyglądał jak runo leśne. – Ruchem głowy wskazała pęk włóczki w kolorze musztardy.

– To byłoby ładne – zauważył.

Wyplatała dywaniki od lat. Robiła wieńce z zaszuszonych róż i gałązek wawrzynu, szyła

pikowane kurtki i kamizelki. Przeważnie siedziała nad nimi do późna. Teraz jednak zasypiała przed ósmą wieczorem i wstawała, zanim wzeszło słońce. Często budził go stukot jej maszyny do szycia.

Zamknął czasopismo i obserwował ją, gdy wyskubywała z ubrania maleńkie kłaczki zielonej wełny. Pochyliła się z wdziękiem i wsunęła pasma pod wieko dużego koszyka. Wyglądała zupełnie inaczej niż kobieta, z którą się ożenił, choć to mu specjalnie nie przeszkadzało. Zdumiewało go tylko, jak bardzo człowiek może się zmienić. I ona, i on znacznie pogrubieli w pasie. Jej włosy, teraz już siwe, były przycięte krótko, niemal jak u mężczyzny, i przestała nosić biżuterię, z wyjątkiem ślubnej obrączki. Jeśli nawet trochę przytyła, to wyłącznie w talii. On zaś przybrał na wadze w każdym miejscu i stracił dość dużo włosów. Może to jej przeszkadzało. Znowu pomyślał o parze młodych ludzi, o czystym głosie dziewczyny i jej cynamonowych włosach.

– Wybierzmy się na przejażdżkę – zaproponował.

– Dopiero co wróciłeś z przejażdżki. A ja chcę przyrządzić mus jabłkowy i zabrać się do tego dywanika.

– Któryś z chłopców telefonował?

– Jeszcze nie. Spodziewam się, że Kevin wkrótce zadzwoni.

– Chciałbym, żeby zadzwonił z wiadomością o ciąży.

– Och, Harmon, daj im trochę czasu. Zlituj się.

Ale on chciał mieć gromadę wnuków, buszujących wszędzie, gdzie się da. Chciał je mieć po latach utrapień z synami, z ich złamanymi obojczykami, przyszczami, kijami hokejowymi i baseballowymi, zgubionymi łyżwami, sprzeczkami o głupstwa, podręcznikami walającymi się po kątach, zapachem piwa w oddechu, dziewczynami, brakiem dziewczyn, po latach wyczekiwania na samochody wracające w środku nocy. Wszystko to utrzymywało Bonnie i jego samego w stanie ciągłej dezorientacji, jakby w domu przez cały czas było jakieś pęknięcie, które trzeba zakleić, żeby zapobiec wyciekom; i wielokrotnie myślał: „Boże, niech oni wreszcie dorosną”.

I dorośli.

Myślał, że Bonnie źle zniesie sytuację opuszczonego gniazda, że będzie musiał na nią uważać. Znał – wszyscy znali – przynajmniej jedną rodzinę, w której, gdy dzieci dorosły, matka po prostu czmychnęła z domu, nie wiadomo dokąd. Ale Bonnie wydawała się spokojniejsza, pełna nowej energii. Wstąpiła do klubu czytelniczego i wspólnie z inną kobietą pisała teraz książkę kucharską na podstawie przepisów pierwszych osadników, którą chciała wydać pewna mała uniwersytecka oficyna z Camden<sup>[2]</sup>. Zaczęła wypłacać więcej dywaników, żeby je sprzedawać w sklepie w Portland. Przyniosła do domu pierwszy czek z rumieńcem zadowolenia na twarzy. Prawda, że nigdy by o tym nie pomyślał.

Tamtego roku, kiedy Derrick wyjechał do college’u, wydarzyło się coś jeszcze. Gdy ich sypialniane życie w znacznym stopniu zwolniło, Harmon przyjął to do wiadomości. Od pewnego czasu wyczuwał, że Bonnie „dostosowuje” się do niego. Ale pewnej nocy odwrócił się do niej w łóżku, a ona się odsunęła. Dopiero po długiej chwili powiedziała cicho:

– Harmon, wydaje mi się, że skończyłam już z tymi sprawami.

Leżeli w ciemnościach; poczuł okropny, mdlący ucisk w żołądku i wiedział z przeszywającą, kategoryczną pewnością, że jego żona nie żartuje. No ale przecież nikt tak łatwo nie godzi się ze stratą.

– Skończyłaś? – zapytał. Czuł taki ból, jakby zwałała mu na żołądek dwadzieścia cegieł.

– Przykro mi, ale naprawdę z tym skończyłam. Nie ma po co udawać, to nieładnie wobec nas obydwójga.

Zapytał, czy to dlatego, że przytył. Odparła, że nie, tak naprawdę wcale nie przytył, niech w ten sposób nie myśli. Tylko ona po prostu na dobre z tym skończyła.

– Ale może byłem egoistą? – dążył. – Jak mógłbym cię zadowolić? (Nigdy przedtem nie odbywali takich rozmów – zaczerwienił się w ciemności).

Niech zrozumie, odparła, nie o niego tu chodzi, tylko o nią. Po prostu z tym skończyła.

Otworzył ponownie „Newsweeka”, rozmyślając, jak za kilka lat dom się zapełni, jeśli nie na stałe, to przynajmniej często. Będą dobrymi dziadkami. Raz jeszcze przeczytał krótki artykuł w czasopiśmie. Kręcili film o zburzonych wieżach. Wydawało mu się, że powinien mieć jakieś zdanie na ten temat, ale nie wiedział, co o tym myśleć. Kiedy przestał mieć własne zdanie na różne tematy? Odwrócił się i popatrzył na morze.

Słowa „zdradzam Bonnie” były równie odległe jak mewy okrążające Longway Rock, zaledwie kropki w oczach kogoś, kto patrzył z wybrzeża – dla Harmona nic tak naprawdę nie znaczyły. Dlaczego miałyby cokolwiek znaczyć? Zakładały namiętność, która odciągnęłaby go od żony, a na to się nie zanosilo. Bonnie stanowiła centralny punkt jego życia. Krótkie niedzielne chwile z Daisy nie były tak zupełnie pozbawione czułości, lecz w większym stopniu wypełniały je wspólne zainteresowania, coś jak obserwowanie ptaków. Powrócił do czasopisma, czując wewnętrzny dreszcz na myśl, że któryś z jego synów mógłby się rozbić w jednym z tych samolotów.

O czwartej, gdy już zapadał zmierzch, młoda para przyszła do sklepu z artykułami żelaznymi. Harmon usłyszał wysoki głos dziewczyny, jeszcze zanim ją zobaczył. Wychodząc zza stojaka z częściami do wiertarek, przyjął z zaskoczeniem jej prostolinijne „cześć”. Wymówiła to niemal w dwóch sylabach i choć się nie uśmiechała, jej twarz miała taki sam rzeczowy wyraz jak wcześniej na przystani.

– Witajcie – powiedział Harmon. – Jak się dzisiaj miewacie?

– Dobrze. Rozglądamy się tylko. – Dziewczyna wsunęła dłoń w kieszeń chłopaka. Harmon skłonił się lekko, oni zaś ruszyli w stronę półek z żarówkami. Usłyszał głos dziewczyny: – On mi przypomina Luke’a ze szpitala. Ciekawe, co się z nim stało. Pamiętasz Luke’a Bułeczkę, który kierował całym tym zafajdanym interesem?

Chłopak odpowiedział coś szeptem.

– Luke był kompletnie porąbany. Pamiętasz, mówiłam ci, że wybierał się na operację serca. Zakład, że jako pacjent zachowywał się koszmarnie. Za bardzo przywykł do rządzenia. Ale zaczął się bać o swoje głupie serce. Pamiętasz, mówiłam ci, jak mi powiedział, że nie wie, czy zbudzi się martwy, czy żywy? – Znowu szept i Harmon wyciągnął miotłę z zaplecza sklepu. Zamiatając, zerknął na ich plecy; dziewczyna stała blisko chłopaka, który miał na sobie płaszcz z obszernymi kieszeniami. – Ale ty nie budzisz się martwy, prawda?

– Dajcie mi znać, gdybyście potrzebowali pomocy – odezwał się Harmon, na co obydwójga się odwrócili, dziewczyna z zaskoczoną miną.

– Dobra – odparła.

Przesunął się ze szczotką do frontowej części sklepu. Zajrzał Cliff Mott z pytaniem, czy są łopaty do odgarniania śniegu, i Harmon poinformował go, że będą nowe w przyszłym tygodniu. Pokazał Cliffowi jedną zeszlóroczną, a Cliff, przyjrząwszy się jej uważnie, stwierdził, że jeszcze

wróci.

– Powinniśmy to kupić Victorii w prezencie – usłyszał Harmon głos dziewczyny. Przeszedł ze szczołką na początek działu ogrodniczego i zobaczył, że sięgnęła po konewkę. – Victoria twierdzi, że kwiatki się jej słuchają, gdy ona do nich mówi, i nawet w to wierzę. – Odstawiła konewkę na półkę, a chłopak przytaknął nonszalancko i niefrasobliwie. Oglądał zwinięte węże ogrodowe wiszące na ścianie. Harmon się zastanowił, po co im wąż o tej porze roku.

– Wiesz, dlaczego zrobiła się taka wredna? – Dziewczyna miała na sobie tę samą dzinsową kurtkę obszytą sztucznym futerkiem. – Bo chłopak, który jej się podoba, ma dupę na boku i nie powiedział jej o tym. Dowiedziała się od kogoś innego.

Harmon przerwał zamiatanie.

– Ale taka dupa... kogo to w ogóle obchodzi? Nikogo, i właśnie w tym rzecz. – Oparła głowę o ramię chłopaka. Trącił ją lekko, popychając w stronę drzwi.

– Do widzenia – pożegnał ich Harmon.

Dziewczyna pociągnęła za klamkę drobną dłonią. Na nogach miała duże, bezkształtne zamshowe buty, a same nogi chude niczym odnóża pająka. Dopiero gdy zniknęli w głębi ulicy, Harmon odkrył źródło swego niepokoju. Nie miał pewności, lecz wieloletnie sklepowe doświadczenie podpowiadało mu, że chłopak coś zwędził.

Następnego ranka zadzwonił do swojego syna Kevina do pracy.

– Wszystko w porządku, tato? – zapytał chłopak.

– No jasne, oczywiście. – Harmon poczuł nagle, że ogarnia go nieśmiałość. – A u ciebie?

– Po staremu. W pracy nieźle. Martha znowu mówiła, że chce mieć dziecko, ale ja jej radzę, żebyśmy jeszcze zaczekali.

– Obydwoje jesteście młodzi – powiedział Harmon. – Możecie czekać. Ja nie mogę. Ale się nie spieszcie. Dopiero co się pobraliście.

– Człowiek jednak czuje się staro, nie uważasz? Gdy już ma na palcu tę obrączkę.

– Chyba tak. – Harmonowi trudno było sobie przypomnieć własne odczucia z pierwszych lat małżeństwa. – Słuchaj, Kev. Czy ty palisz trawkę?

Kevin zaśmiał się do słuchawki. Dźwięk ten zabrzmiał w uszach Harmona zdrowo, szczerze i swobodnie.

– Jezu, tato. Co cię napadło?

– Tak się tylko zastanawiałem. Jakaś młoda para wprowadziła się do domu Washburnów. Ludzie się trochę boją, że to ćpuny.

– Po zielsku robię się aspołeczny – wyjaśnił Kevin. – Odwracam się twarzą do ściany. Więc nie, już nie palę.

– Chciałbym cię o coś zapytać – podjął Harmon. – Tylko nie powtarzaj tego matce, na miłość boską. Te dzieciaki przyszły wczoraj do sklepu, rozmawiały, wiesz, tak luźno, i w pewnym momencie padło określenie „dupa na boku”. Słyszałeś je kiedyś?

– Zdziwiasz mnie, tato. Co się dzieje?

– Wiem, wiem. – Harmon machnął ręką. – Po prostu nie znoszę się starzeć, zmieniać się w jednego z tych starszuchów, którzy nie mają zielonego pojęcia o młodych ludziach. Dlatego pomyślałem, że cię zapytam.

– Dupa na boku. No tak, coś takiego jest ostatnio na czasie. I znaczy to, co słyszysz. Ludzie spotykają się, żeby pójść do łóżka. Bez żadnych zobowiązań.

– Rozumiem. – Harmon nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć.



– Muszę kończyć, tato. Ale posłuchaj, nie daj się zwariować. Fajny z ciebie gość. Nie martw się, nie jesteś starym pierdołą.

– W porządku – odparł Harmon. Odłożył słuchawkę i długo wyglądał przez okno.

– Nie ma problemu, naprawdę – powiedziała Daisy, kiedy zadzwonił do niej nazajutrz rano. – Mówię poważnie, Harmon. – Paliła podczas ich rozmowy, słyszał to. – Tylko się nie martw – dodała.

Po piętnastu minutach oddzwoniła do niego. Miał w sklepie klienta, lecz powiedziała tylko:

– Słuchaj, może byś jednak wpadł, to pogadamy. Po prostu pogadamy.

– Dobrze – zgodził się. Cliff Mott podszedł do kasy z łopatą do odśnieżania. Chory na serce Cliff Mott, który mógł w każdej chwili wyzionąć ducha. – Wszystko ustalone – zakończył Harmon, wydając resztę.

Znowu nie usiadł w fotelu Coppera; zajął miejsce na sofie obok Daisy i raz czy dwa przelotnie musnęli się dłońmi. Poza tym robili to, co zaproponowała – czyli rozmawiali. Opowiedział jej o dawnych wyjazdach do babci, o tym, jak w spiżarni śmierdziało amoniakiem i jak tęsknił za domem.

– Byłem mały, rozumiesz – wyjaśnił, wpatrzony w żywo reagującą twarz Daisy. – I domyślałem się, że to ma być dla mnie przyjemność. Takie, widzisz, było założenie. Ale nikomu nie mogłem się przyznać, że nie sprawiało mi to przyjemności.

– Och, Harmon – powiedziała Daisy, a jej oczy zwilgotniały. – Tak, wiem, co masz na myśli.

Opowiedziała mu, jak pewnego ranka wzięła gruszkę z frontowego podwórka pani Kettleworth, a matka kazała jej odnieść owoc z powrotem; jaka się wtedy czuła zawstydzona. Harmon opowiedział o ćwierćdolarówce znalezionej w kałuży. Daisy – o pierwszej zabawie w szkole średniej, na którą poszła w sukience matki, a jedynym, który poprosił ją do tańca, był dyrektor.

– Ja bym cię poprosił – zapewnił Harmon.

Powiedziała mu, że jej ulubiona piosenka to *Whenever I Feel Afraid* i z ciepłymi iskierkami w niebieskich oczach zanuciła cicho melodię. On zaś powiedział, że gdy po raz pierwszy usłyszał w radiu Elvisa śpiewającego *Fools Rush In*, poczuł się tak, jakby on i Elvis byli przyjaciółmi.

Wracając w takie poranki na przystań do samochodu, czuł niekiedy z zaskoczeniem, że ziemia się odmieniła, przyjemnie jest poruszać się w rześkim powietrzu, a szelest dębowych liści brzmi jak przyjazny szept. Po raz pierwszy pomyślał o Bogu, który wydawał mu się świnką-skarbonką ustawioną niegdyś na półce, a teraz zdjętą, by spojrzeć na nią nowym, uważnym okiem. Zastanawiał się, czy coś takiego odczuwają dzieciaki, kiedy palą trawkę albo zażywają ten narkotyk o nazwie *ecstasy*.

Pewnego październikowego poniedziałku w lokalnej gazecie ukazał się artykuł z informacją, że dokonano kilku aresztowań w rodzinnej rezydencji Washburnów. Policja rozbiła imprezę, podczas której znaleziono marihuanę w doniczkach na parapecie. Harmon uważnie przestudiował gazetę i natrafił na nazwisko Timothy’ego Burnhama oraz „jego przyjaciółki” Niny White, której postawiono dodatkowo zarzut napaści na funkcjonariusza policji.

Harmon nie potrafił sobie wyobrazić dziewczyny o cynamonowych włosach i chudych nogach napadającej na policjanta. Zastanawiał się nad tym, chodząc po sklepie i wyszukując a to łożyska kulkowe dla Grega Marstona, a to przepychacz klozetowy dla Marlene Bonney. Napisał: „Zniżka

10 procent” na wywieszce, którą umieścił przy jedynym pozostałym rożnie na wystawie. Miał nadzieję, że zajrzy Kathleen Burnham albo ktoś z tartaku, kogo można by zapytać, ale nikt się nie zjawił i żaden z klientów o tym nie wspomniał. W końcu zatelefonował do Daisy, która powiedziała, że czytała artykuł i ma nadzieję, iż dziewczynie nic się nie stało.

– Biedactwo – dodała – na pewno bardzo się wystraszyła.

Wieczorem Bonnie wróciła ze spotkania klubu czytelniczego i zrelacjonowała wynurzenia Kathleen, jak to jej bratanek Tim miał pecha i zaprosił grupę znajomych, którzy puszczali zbyt głośną muzykę, a niektórzy palili trawkę, w tym również dziewczyna Tima. Kiedy przyjechała policja, ta dziewczyna, Nina, zaczęła się miotać jak tygrysica i musieli jej założyć kajdanki, choć prawdopodobnie zarzuty zostaną wycofane, wszyscy po prostu zapłacą grzywnę i na rok będzie ich obowiązywał nadzór sądowy.

– Idioci – podsumowała Bonnie, kręcąc głową.

Harmon milczał.

– Ona jest chora, wiesz – dodała Bonnie, upuszczając książkę na sofę. Była to książka Anne Lindbergh<sup>[3]</sup> i Harmon nasłuchał się już o niej. Anne Lindbergh pragnęła uciec od tego wszystkiego.

– Kto jest chory?

– Ta dziewczyna. Przyjaciółka Tima Burnhama.

– Co to znaczy: „chora”?

– Ma tę chorobę, w której się nic nie je. Najwyraźniej cierpi na nią od tak dawna, że to już uszkodziło jej serce, więc naprawdę jest idiotką.

Harmon poczuł, że kropelki potu występują mu na czoło.

– Jesteś pewna?

– Czego? Że to idiotka? Sam pomyśl, Harmon. Ktoś młody, kto ma uszkodzone serce, nie powinien się zabawiać na prywatkach. No i z całą pewnością nie powinien się głodzić.

– Ona się nie głodzi. Widziałem ją i jej chłopaka w restauracji na przystani. Siedzieli we wnęce i zamawiali śniadanie.

– A ile ona zjadła z tego śniadania?

– Nie wiem – wyznał, przypominając sobie jej szczupłe plecy, gdy pochylała się nad stolikiem. – Ale nie wygląda na chorą. Ładna dziewczyna.

– Kathleen też tak mówi. Tim ją poznał, kiedy jeździł po kraju za jakąś grupą muzyczną. Młodzi ludzie chyba tak jeżdżą za tym zespołem, Fish albo Pish. Jakoś tak się nazywa. Pamiętasz, jak Kevin opowiadał o Dead Heads, tych, którzy jeździli wszędzie za... no, jakże oni się nazywali? Grateful Dead<sup>[4]</sup>? Zawsze brzmiało to dla mnie obraźliwie.

– Jeden z nich umarł – powiedział Harmon. – Ten grubas Jerry z tego zespołu.

– No cóż, mam nadzieję, że umarł wdzięcznie – skomentowała Bonnie.

Opadła już połowa liści. Klony norweskie wciąż się złociły, lecz pomarańczowa czerwień klonów cukrowych spłynęła niemal całkowicie na ziemię, pozostawiając nagie gałęzie, które zwisały niczym wyciągnięte ręce z drobnymi palcami, chudymi i smętnymi jak u szkieletu. Harmon usiadł na sofie obok Daisy. Chwilę wcześniej napomknął, że nie widział już więcej młodej pary, na co Daisy poinformowała go, że Les Washburn wyrzucił ich z domu po imprezie, która zakończyła się aresztowaniami, i nie wiadomo, gdzie teraz mieszkają, wiadomo tylko, że Tim nadal pracuje w tartaku.

– Bonnie mówiła, że dziewczyna choruje na tę chorobę, w której człowiek odmawia sobie

jedzenia – powiedział Harmon. – Ale nie wiem, czy to prawda.

Daisy pokręciła głową.

– Ładne młode dziewczęta, które się głodzą. Czytałam o tym w gazetach. Robią to, żeby mieć kontrolę nad życiem, a potem cała sprawa wymyka się spod kontroli i nie potrafią przestać. Okropnie smutne.

Harmon sam stracił nieco na wadze. To nie było trudne; po prostu już nie podjadał w nocy i brał mniejsze kawałki ciasta. Czuł się lepiej. Poinformował o tym Daisy, a ona kiwnęła głową.

– Tak samo jest z moim paleniem. Codziennie zwlekam z zapaleniem pierwszego papierosa i teraz robię to dopiero o trzeciej po południu.

– To świetnie, Daisy. – Zauważył, że ostatnio nie paliła w niedzielne przedpołudnia, lecz nie zamierzał o tym napomycić. Z cielesnymi zachciankami każdy toczył prywatne batalie.

– Powiedz mi, Harmon – zaczęła Daisy, strzepując jakiś pyłek z nogawki i zerkając z figlarnym uśmiechem – kto był twoją pierwszą dziewczyną?

W czwartej klasie podkochał się w Candy Connelly. Stawał za nią na placu zabaw i patrzył, jak się wspina po schodkach na wysoką metalową zjeżdżalnię. Pewnego razu spadła; kiedy się rozplakała, miłość aż go obezwładniła. A miał dopiero dziewięć lat. Daisy powiedziała mu, że gdy ona miała dziewięć lat, matka uszyła jej żółtą sukienkę na doroczny szkolny koncert.

– I wieczorem, kiedy wychodziłyśmy z domu, przypięła do niej gałązkę białego bzu – dodała Daisy z cichym śmiechem. – Idąc do szkoły, czułam się... och, jakbym była bardzo ładną dziewczyną.

Matka Harmona nie potrafiła szyć, ale na każde Boże Narodzenie robiła kulki z prażonej kukurydzy. Mówiąc o tym, poczuł, że coś do niego powróciło, jakby nieoszacowane życiowe straty spadły mu z serca niczym kamień, on zaś ujrzał – pod czujnym spojrzeniem niebieskich oczu Daisy – urok i słodycz tego, co się niegdyś wydarzyło.

Gdy wrócił, Bonnie powitała go słowami:

– Czemu tak długo? Chciałabym, żebyś wyszedł na dach i naprawił te rynny, jak obiecywałeś.

Wręczył jej papierową torebkę z pączkiem.

– A z rury pod zlewem od tygodni kapie do wiaderka. To ironia losu, że prowadzisz sklep z artykułami żelaznymi.

Nieoczekiwanie poczuł dreszcz zgrozy. Usiadł w swoim głębokim fotelu i po chwili zapytał:

– Hej, Bonnie, nigdy nie myślałaś o tym, żeby się przeprowadzić?

– Przeprowadzić?

– Na przykład na Florydę.

– Zwariowałaś? A może żartujesz?

– Tam, gdzie słońce świeci przez cały rok. Gdzie domy nie są takie wielkie i puste.

– Nie zamierzam nawet odpowiadać na tak niedorzeczną propozycję. – Zajrzała do torebki z pączkiem. – Cynamon? Wiesz, że nie znoszę cynamonu.

– Tylko takie mieli. – Sięgnął po czasopismo, żeby na nią nie patrzeć. Po chwili jednak zagadnął: – Nigdy cię nie martwiło, że żaden z chłopców nie chce przejść sklepu?

Bonnie zmarszczyła brwi.

– Już o tym rozmawialiśmy, Harmon. Dlaczego niby miałyby nas to martwić? Mogą robić, co im się podoba.

– Oczywiście. Ale miło byłoby mieć w pobliżu choć jednego z nich.

– Twoja negatywna postawa doprowadza mnie do szału.

– Negatywna postawa?

– Chciałabym, żebyś trochę odżył. – Zagięła brzeg torby z pączkiem. – I wyczyść te rynny. To nie jest przyjemne, Harmon, musisz się czuć jak jędra.

Na początku listopada zniknęły już wszystkie liście, gałęzie drzew przy Main Street były nagie, a niebo przeważnie zasnuwane chmurami. Coraz krótsze dni przypominały Harmonowi o ochłodzeniu w sercu, które odczuwał już od dawna; nic dziwnego, że Bonnie chciała, by odżył. Na swój skromny, dyskretny sposób – odżywał. Ostatnio bowiem, kiedy obchodził sklep przed zamknięciem albo sprzedawał gwoździe ostatniemu klientowi, uświadamiał sobie, że wyczekuje niedzielnych przedpołudni w towarzystwie Daisy z rozradowaniem, a nie ze skrywanym zniecierpliwieniem, jak podczas owych kilku miesięcy, kiedy byli... „na boku”. Zupełnie jakby w mieście, gdzie szybko zapada noc, zaświeciła się latarnia. I czasami, wracając do domu, nadkładał drogi, by przejechać obok domu Daisy. Raz dostrzegł na podjeździe poobijane volvo ze zderzakiem poobklejanym nalepkami i zastanawiał się, czy nie przyjechali z wizytą jacyś krewni Coppera z Bostonu.

Następnej niedzieli Daisy przemówiła w drzwiach ściszym głosem:

– Wejdz, Harmon. Muszę ci o czymś powiedzieć. – Przyłożyła palec do ust i dodała: – Nina śpi w małym pokoju na górze. – Usiedli przy stole w jadalni i Daisy podjęła szeptem: Kilka dni wcześniej dziewczyna pokłóciła się z Timem. Nocowali w jakimś motelu przy drodze numer jeden, odkąd ich wyrzucano z domu Washburnów, i Tim odjechał, zabierając telefon komórkowy. Nina zapukała do drzwi Daisy tak roztrzęsiona, iż Daisy pomyślała, że może trzeba ją będzie zawieźć do lekarza. Ale Nina skontaktowała się z chłopakiem i przyjechał po nią. Daisy sądziła, że się pogodzili. Ostatniego wieczoru jednak dziewczyna znowu zapukała, bo po kolejnej kłótni nie miała gdzie przenocować. No i teraz była na piętrze. Daisy splótła dłonie na stole.

– O rany, ale mi się chce palić.

Harmon odchylił się na oparcie.

– Spróbuj się jeszcze wstrzymać. Rozpracujemy to.

Nad ich głowami zaskrzypiała podłoga, coś poruszyło się na schodach i zobaczyli dziewczynę ubraną we flanelowe spodnie i koszulkę z krótkimi rękawami.

– Dzień dobry – powiedział Harmon, nie chcąc jej wystraszyć, choć sam był przerażony. Nie widział jej od kilku tygodni, odkąd przysłała do sklepu. Z trudem ją rozpoznał. Jej głowa wydawała się zbyt duża w proporcji do ciała; po bokach czoła wystąpiły widoczne żyłki, a gołe ramiona były równie cienkie jak listewki krzesła, na którym oparła ręce. Prawie nie mógł na nią patrzeć.

– Siadaj, kochanie – zachęciła Daisy. Dziewczyna usiadła, kładąc na powierzchni stołu długie, bardzo długie ramiona. Naprawdę wyglądało to tak, jakby przy stole towarzyszył im kościotrup.

– Dzwonił? – spytała dziewczyna, zwracając się do Daisy. Kolor jej skóry nie przypominał już cynamonu, była blada, a nieuczesane włosy wydawały się czymś sztucznym, jak sierść wypchanego zwierzęcia.

– Nie, kochanie. Nie dzwonił. – Daisy podała jej chusteczkę higieniczną i Harmon zauważył, że dziewczyna płacze.

– Co mam teraz zrobić? – zapytała. Ominęła wzrokiem Harmona, spoglądając przez okno na drogę. – Musi to być akurat Victoria, właśnie ona. Jezu, przecież była moją przyjaciółką.

– Możesz tu zostać jeszcze dzień, póki tego nie rozwiążesz – zaproponowała Daisy. Dziewczyna zwróciła ku niej duże, jasnobrązowe oczy, jakby przypatrując się jej z jakiegoś

odległego miejsca. – Powinnaś coś zjeść, kochanie – powiedziała Daisy. – Wiem, że nie chcesz, ale powinnaś.

– Ona ma rację – wtrącił Harmon. Martwiła go myśl, że ta dziewczyna może zemdleć albo nawet paść trupem w domku Daisy. Pomyślał o Bonnie i o tym, jak wspominała o uszkodzeniu serca. – Popatrz. – Podsunął jej dwie torebki z nadmorskiej restauracji. – Pączki.

Dziewczyna przyjrzała się torebkom.

– Pączki?

– Może byś wypila pół szklanki mleka i zagryzła pączkiem? – spytała Daisy. Dziewczyna znowu zaczęła płakać. Gdy Daisy poszła po mleko, Harmon sięgnął do kieszeni i wyciągnął poskładaną białą chustkę do nosa. Nina przestała płakać i wybuchnęła śmiechem.

– Ale fajne! Nie myślałam, że ktoś jeszcze korzysta z czegoś takiego.

– Nie krępuj się, możesz jej użyć – zachęcił Harmon. – Ale, na miłość boską, wypij to mleko.

Daisy przyniosła szklankę mleka, wydobyła pączek z papierowej torebki i przełamała go na pół.

– Pieprzony Luke – przemówiła dziewczyna z nagłą pasją. – Oddał mnie pod pieprzony nadzór kuratorski za krojenie bułeczek.

– Za co? – spytała Daisy, siadając.

– W szpitalu. Raz przekroiłam bułeczkę na pół. Zasady są takie, że nie wolno wchodzić z żywnością w inny kontakt, tego właśnie słowa używają, „kontakt”, niż zjedzenie jej. No więc miałam w kieszeni plastikowy nóż, przekroiłam bułeczkę na pół i ktoś doniósł na mnie do Luke’a. „Podobno kroisz swoje bułeczki, Nino” – przedrzeźniła go, zakładając ramiona na piersi. Przesadnie przewróciła oczami. – Luke Bułeczka. Co za gnida.

Daisy i Harmon wymienili spojrzenia.

– Jak się wydostałaś ze szpitala? – spytał Harmon.

– Uciekłam. Ale rodzice zapowiedzieli, że następnym razem skierują mnie na przymusowe leczenie. I wtedy będę udupiona.

– Lepiej zjedz tego pączka – powiedział Harmon.

Dziewczyna zachichotała.

– Chyba jest pan trochę pomyłony.

– Nie jest pomyłony. Troszczy się o ciebie. A teraz zjedz pączka – poleciła Daisy melodyjnym głosem.

– Właściwie co was łączy? – Dziewczyna przeniosła spojrzenie z niej na niego.

– Jesteśmy przyjaciółmi – odparła Daisy, a Harmon dostrzegł na jej twarzy lekki rumieniec.

– No dobra. – Nina znowu popatrzyła na nią, a potem na niego. Łzy wezbrały w jej oczach i spłynęły po policzkach. – Nie wiem, co zrobię bez Tima. I nie chcę wracać do szpitala. – Zaczęła dygotać. Harmon zdjął swój obszerny rozpinany sweter i okrył jej ramiona.

– To oczywiście, że nie chcesz – zgodziła się Daisy. – Ale powinnaś jeść. Wiesz, będziesz jeszcze miała innych chłopaków.

Po zmianie, jaka zaszła w wyrazie twarzy dziewczyny, Harmon się domyślił, że ona przede wszystkim tego się boi: życia bez miłości. Któż się tego nie obawiał? Ale wiedział, że jej problemy mają głębokie i splątane korzenie, a zacisze domku Daisy nie mogło zapewnić trwałej pomocy. Nina była poważnie chora.

– Ile masz lat? – zapytał.

– Dwadzieścia trzy. Więc nie można mnie siłą wpakować do szpitala. Znam się na tym głównie – dodała. – Lepiej nie próbować żadnych sztuczek.

Uniósł otwarte dłonie.

– Nie próbuję niczego. – Opuścił ręce. – Czy nie zostałeś aresztowana?

Kiwnęła głową.

– Musiałam się stawić w sądzie. Obydwoje dostaliśmy ACD<sup>[5]</sup>, ale mnie udzielono dodatkowego pouczenia, ponieważ, wiadomo, byłam wredna dla tych gnojów z policji.

– Co to jest ACD?

Nina była jednak wyczerpana; oparła głowę o złożone na stole ramiona, tak jak kiedyś w restauracji na przystani. Harmon i Daisy tylko zerknęły na siebie.

– Nino – odezwał się cicho i dziewczyna przewróciła oczami w jego stronę. Uniósł pączka. – Odkąd pamiętam, nigdy o nic nie prosiłem. – Zobaczył, że Nina uśmiecha się do niego leciutko.

– Teraz proszę cię, żebyś to zjadła.

Wyprostowała się powoli.

– Tylko dlatego, że jesteś sympatyczny – powiedziała. Wgryzła się w pączek tak żarłocznie, że Daisy musiała ją poprosić, by zwolniła tempo.

– Okradł cię – zwróciła się z pełnymi ustami do Harmona. – Ukradł wtedy w sklepie jakieś rurki, żeby skombinować fajkę do marychy. – Sięgnęła po szklanek mleka.

– Lepiej ci będzie bez niego – skonstatowała Daisy.

Wszyscy się odwrócili na donośne stukanie do kuchennych drzwi, które najpierw się otworzyły, a potem zamknęły z trzaskiem.

– Halo!

Dziewczyna zakwiliła, wypluła kęs pączka w chusteczkę i zerwała się z krzesła. Sweter Harmona zsunął się z jej ramion na podłogę.

– Zaczekaj, kochanie. – Daisy położyła dłoń na ramieniu dziewczyny. – To tylko ktoś, kto zbiera datki na Czerwony Krzyż.

Olive Kitteridge stanęła w progu jadalni, wypełniając sobą niemal całą tę przestrzeń.

– Patrzcie państwo, co za uroczne małe przyjęcie. Witaj, Harmon. – Zwróciła się do dziewczyny: – Kto ty jesteś?

Nina spojrzała na Daisy, a potem na stół, ściskając w dłoni chusteczkę. Oglądając się na Olive, spytała sarkastycznym tonem:

– A pani kim jest?

– Jestem Olive – odparła Olive – i jeśli nie masz nic przeciw temu, chciałabym usiąść. Ta żebranina chyba mnie wykończy. Myślę, że to ostatni rok mojej kwesty.

– Napijesz się kawy?

– Nie, dziękuję. – Olive przeszła na drugą stronę stołu i usadowiła się na krześle. – Ale ten pączek wygląda apetycznie. Macie ich więcej?

– Mamy. – Daisy otworzyła drugą torebkę, spoglądając na Harmona, gdyż był to pączek przeznaczony dla Bonnie, i podsunęła go Olive na papierowej torebce. – Może przyniosę talerzyk.

– Nie trzeba, obejdzie się.

Olive jadła pączka, pochylając się nad stołem. Zapadła cisza.

– Zaraz wypiszę czek. – Daisy wstała i poszła do sąsiedniego pokoju.

– Henry dobrze się czuje? – zagadnął Harmon. – I Christopher?

Olive kiwnęła głową, gryząc pączka. Harmon wiedział, podobnie jak większość mieszkańców miasteczka, że nie przepada za młodą osobą, z którą ożenił się jej syn, ale można było

przypuszczać, że żadna wybranka syna nie spodobałaby się Olive. Synowa była lekarką, inteligentną kobietą z jakiegoś dużego miasta, nie pamiętał jakiego. Może tknęła jadalne spodnie z płatków zbożowych albo ćwiczyła jogę – nie miał pojęcia. Olive wpatrywała się w Ninę i oczy Harmona podążyły za jej spojrzeniem. Nina siedziała nieruchomo, pochylona naprzód. Pod cienką bawełnianą koszulką rysowało się wyraźnie każde żebro. W dłoni, która przywodziła na myśl szponiastą łapę mewy, ścisnęła chusteczkę do nosa. Głowa dziewczyny wydawała się zbyt duża, by zdołał ją udźwignąć wyszczerbiony patyk kręgosłupa. Żyłka biegnąca od linii włosów przez czoło miała zielonkawoniebieski odcień.

Olive dojadła pączek, starła cukier z palców, usiadła wygodniej i odezwała się:

– Jesteś wygłodzona.

Dziewczyna, wciąż trwając w bezruchu, mruknęła tylko:

– Aha.

– Ja także – powiedziała Olive. Nina spojrzała na nią. – Jestem wygłodzona. Jak ci się wydaje, dlaczego pochłaniam każdy pączek w zasięgu wzroku?

– Pani nie jest wygłodzona – odparła Nina z odrazą.

– Oczywiście, że jestem. Wszyscy jesteśmy.

– Uch – mruknęła Nina. – Przykra sprawa.

Olive pogrzebała w swojej dużej czarnej torebce, wyjęła chusteczkę, otarła usta i czoło. Dopiero po chwili Harmon zauważył, że jest poruszona. Gdy Daisy wróciła i wręczyła jej zaklejoną kopertę, mówiąc: „Bardzo proszę”, Olive tylko kiwnęła głową i wsunęła kopertę do torebki.

– O Jezu – powiedziała Nina. – No dobrze, przepraszam.

Olive Kitteridge płakała. Harmon nie wierzył, że kiedykolwiek zobaczy właśnie ją tonącą we łzach. Teraz jednak siedziała, zwiasta, z pulchnymi nadgarstkami, usta jej drżały, z oczu spływały łzy. Lekko potrząsnęła głową, jakby chcąc dać do zrozumienia, że dziewczyna nie musi przepraszać.

– Wybaczcie mi – odezwała się wreszcie, lecz nie wstała z miejsca.

– Olive, czy moglibyśmy ci w czymś... – Daisy pochyliła się naprzód.

Olive ponownie pokręciła głową, wydmuchała nos. Spojrzała na Ninę i przemówiła cicho:

– Nie wiem, kim jesteś, moja mała, ale serce mi się kraje na twój widok.

– Nie chcę tego – powiedziała Nina obronnym tonem. – Nic na to nie poradzę.

– Och, wiem. Wiem o tym. – Olive kiwnęła głową. – Uczyłam w szkole trzydzieści dwa lata. Nigdy nie widziałam dziewczyny aż tak chorej jak ty, to się wtedy nie zdarzało, przynajmniej nie tutaj. Ale wiem, po tych wszystkich latach z dziećmi i... i po prostu z życia... – Olive wstała, strzepnęła okruchy z dekoltu. – W każdym razie przykro mi. – Zaczęła się zbierać do wyjścia, przystanęła tuż obok dziewczyny. Niepewnie uniosła rękę, opuściła ją i ponownie uniosła, dotykając głowy dziewczyny. Musiała wyczuć tą swoją szeroką ręką coś, czego Harmon nie dostrzegł, ponieważ jej dłoń zsunęła się na kościste ramię Niny, która, roniąc łzy spod przymkniętych powiek, oparła policzek o rękę Olive.

– Nie chcę być taka – szepnęła.

– To oczywiste – powiedziała Olive. – I poszukamy dla ciebie pomocy.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Próbowali. Choroba po prostu ciągle powraca. To beznadziejne.

Olive przysunęła bliżej krzesło, żeby móc trzymać głowę dziewczyny na swym obfitym łonie. Pogładziła ją po włosach i przytrzymała kilka pasemek w palcach, kiwając znacząco głową do

Daisy i Harmona, zanim strzepnęła kosmyk na podłogę. Kiedy się głodowało, traciło się włosy. Olive powstrzymała własne łzy i zagadnęła:

– Czy jesteś za młoda, żeby wiedzieć, kto to był Winston Churchill?

– Wiem, kto to był – odparła Nina zmęczonym głosem.

– On właśnie powiedział: nigdy, nigdy, nigdy, nigdy się nie poddawaj.

– Był gruby – odparła Nina – więc co mógł wiedzieć? – I dodała: – Nie chodzi o to, że chcę się poddać.

– Oczywiście, że nie – powiedziała Olive. – Ale twoje ciało bez odrobiny paliwa niedługo się podda. Wiem, słyszałaś to już wcześniej, więc po prostu tkwisz tam i nie odpowiadasz. Odpowiedz choć na jedno pytanie: Czy nienawidzisz swojej matki?

– Nie – odparła Nina. – Owszem, jest trochę żałosna, ale jej nie nienawidzę.

– No to w porządku. – Dreszcz przeszył potężne ciało Olive. – Wszystko w porządku. Na początek wystarczy.

Ta sytuacja miała już zawsze kojarzyć się Harmonowi z dniem, kiedy przez okno wpadł piorun kulisty i krążył, bzyząc, po pokoju. W atmosferze pojawiło się bowiem coś ciepłego i elektryzującego, co było zdumiewające i nieziemskie, gdy dziewczyna zaczęła płakać, a Daisy w końcu zatelefonowała do jej matki i umówiły się, że odbierze córkę tego popołudnia. Padły obietnice, że Nina nie pójdzie do szpitala. Harmon i Olive wyszli, zostawiając dziewczynę na sofie, otuloną kocem. Harmon pomógł Olive Kitteridge wsiąść do samochodu, a potem wrócił na przystań i pojechał do domu, ze świadomością, że coś się odmieniło w jego życiu. Nie rozmawiał o tym z Bonnie.

– Przywiozłeś mi pączka? – spytała.

– Były tylko z cynamonem – odparł. – Chłopcy dzwonili?

Bonnie pokręciła głową.

W pewnym wieku zaczynałeś snuć przewidywania. Harmon o tym wiedział. Martwiła cię perspektywa ataków serca, raka, kaszlu przechodzącego w ostre zapalenie płuc. Mogłeś nawet oczekiwać kryzysu wieku średniego – nic jednak nie tłumaczyło tego, co się działo z Harmonem; czuł się tak, jakby wsadzono go do przezroczystej plastikowej kapsuły, która wzleciała ponad ziemię i miotała się tam, podrzucana i popychana w różne strony tak gwałtownie, że nie mógł w żaden sposób powrócić do codziennych przyjemności dawnego życia. Rozpaczliwie się temu opierał. Jednak po owym przedpołudniu u Daisy, kiedy Nina płakała, a Daisy dzwoniła do jej rodziców i umawiała się, że po nią przyjadą – po tym przedpołudniu na widok Bonnie robiło mu się zimno.

Dom sprawiał wrażenie wilgotnej, nieoświetlonej jaskini. Harmon uświadomił sobie, że Bonnie nigdy go nie pyta, co słychać w sklepie – może po tylu latach nie odczuwała takiej potrzeby. Choć tego nie chciał, zaczął prowadzić bilans. Mógł minąć cały tydzień, zanim zadała mu pytanie nieco bardziej osobiste niż „co zjadłby na kolację”.

Pewnego wieczoru zagadnął:

– Bonnie, wiesz, co jest moją ulubioną piosenką?

Czytała i nie podniosła głowy.

– Co?

– Pytałem, czy znasz moją ulubioną piosenkę.

Teraz spojrzała na niego znad szkieł okularów.

– A ja zapytałam: co? Co nią jest?



– Więc nie wiesz?

Zdjęła okulary i położyła na kolanach.

– Mam obowiązek wiedzieć? Czy to zabawa w dwadzieścia pytań?

– Ja znam twoją. *Some Enchanted Evening*.

– To jest moja ulubiona piosenka? Nie wiedziałam.

– A nie jest?

Bonnie wzruszyła ramionami, włożyła z powrotem okulary, spojrzała na swoją książkę.

– *I'm Always Chasing Rainbows*. To była twoja ulubiona piosenka ostatnim razem, kiedy pytałam.

Kiedy był ów ostatni raz? Prawie nie pamiętał tej piosenki. Zamierzał oznajmić: „Nie, moja piosenka to *Fools Rush In*”, ale Bonnie przewróciła kartkę i w końcu się nie odezwał.

W niedzielę odwiedzał Daisy i przesiadywał u niej na sofie. Często mówili o Ninie. Uczestniczyła w programie leczenia zaburzeń odżywiania, w prywatnej psychoterapii i terapii rodzinnej. Daisy kontaktowała się z nią telefonicznie i wiele razy rozmawiała z jej matką. Gdy obgadywali te sprawy, Harmon czuł się chwilami tak, jakby Nina była ich córką, jego i Daisy – że wszystko, co się wiąże z jej dobrem, ma dla nich ogromne znaczenie. Kiedy przybrała na wadze, przełamali pączek na pół i trącili się tymi połówkami jak w toaście.

– Zdrowie łamaczy pączków – powiedział Harmon. – Zdrowie Luke’a Bułeczki.

W mieście wydawało mu się, że wszędzie spotyka pary trzymające się pod rękę w czułym zbliżeniu; niemal widział blask bijący z ich twarzy i był to blask życia, ci ludzie naprawdę ŻYLI. Jak długo on mógł jeszcze pożyć? Teoretycznie dwadzieścia, nawet trzydzieści lat, choć w to wątpił. Lecz właściwie dlaczego nie miałyby tego pragnąć, skoro cieszył się doskonałym zdrowiem? Taki Wayne Roote, na przykład, był zaledwie o parę lat starszy od Harmona, a jego żona musiała przylepiać do telewizora kartkę z informacją, jaki dzisiaj dzień. Cliff Mott – tykająca bomba z zatkanymi arteriami, gotowa wybuchnąć lada chwila. Harry Coombs odczuwał sztywność w karku i pod koniec zeszłego roku zmarł na chłoniaka.

– Jak spędzisz Święto Dziękczynienia? – zwrócił się Harmon do Daisy.

– Pojadę do siostry. Będzie miło. A ty? Czy chłopcy przyjadą do domu?

Pokręcił głową.

– Musimy odbyć trzygodzinną podróż do teściów Kevina.

Jak się okazało, Derrick wcale nie przyjechał, wolał spędzić święto u swojej dziewczyny. Pozostali chłopcy nawet się zjawili, lecz nie był to już ich dom i całość sprawiała wrażenie wizyty u dalszych krewnych, a nie spotkania ojca z synami.

– Boże Narodzenie będzie lepsze – obiecała Daisy. Pokazała mu prezent dla Niny, poduszkę z wyhaftowanym krzyżykami napisem: JESTEM KOCHANA. – Nie sądzisz, że może jej być lżej, jeśli zerknie na to od czasu do czasu?

– To miłe – powiedział Harmon.

– Rozmawiałam z Olive i piszę kartkę w imieniu nas trojga.

– To bardzo miło z twojej strony, Daisy.

Później zapytał Bonnie, czy robi na święta kulki z prażonej kukurydzy.

– Wielki Boże, nie – odparła. – Ilekroć twoja matka je robiła, myślałam, że mi zęby powypadają.

Z jakiegoś powodu Harmona rozbawiła poufała nuta w głosie żony, a gdy się zaśmiała razem z nim, poczuł jednocześnie miłość, ulgę i ból, sprzeczne doznania. Derrick przyjechał na dwa dni; pomógł ojcu ściąć drzewko na choinkę, pomógł je ustawić, a potem, dzień po Bożym

Narodzeniu, wyjechał ze znajomymi na narty. Kevin nie był taki wesoły, jakim Harmon go pamiętał; wydawał się dojrzały, poważny i chyba trochę bał się Marthy, która odmówiła zjedzenia zupy z marchwi, gdy usłyszała, że zawiera bulion drobiowy. Pozostali chłopcy oglądali sport w telewizji i wyjeżdżali do odległych miejscowości, by odwiedzić swoje dziewczyny. Harmon zdał sobie sprawę, że upłyną lata, zanim w ich domu zagości gromadka wnucząt.

W Nowy Rok obydwójce z Bonnie położyli się do łóżka przed dziesiątą. Harmon powiedział:

– Sam nie wiem, Bonnie, ale tegoroczne święta trochę mnie przygnębiły.

– No cóż, chłopcy są już dorośli, Harmon. Każdy ma własne życie.

Pewnego popołudnia, gdy w sklepie panował wyjątkowo mały ruch, Harmon zatelefonował do Lesa Washburna z pytaniem, czy dom, który wynajął wcześniej młodemu Burnhamowi, nadal stoi pusty. Les odparł, że tak, nie zamierza go więcej wynajmować dzieciakom. Tim Burnham wyjechał z miasta, o czym Harmon nie wiedział.

– Z inną dziewczyną, nie tą ładną małą diablicą, która była chora.

– Zanim go komuś wynajmiesz – powiedział Harmon – daj mi znać, dobrze? Mogę potrzebować przestrzeni roboczej.

Któregoś styczniowego dnia, podczas jednej z tych odwilży w środku zimy, kiedy śnieg topnieje dosłownie na kilka chwil i chodniki stają się mokre, a zderzaki aut zaczynają błyszczeć, Daisy zatelefonowała do sklepu.

– Możesz do mnie wstąpić? – zapytała.

Na niewielkim podjeździe stał samochód Olive Kitteridge i gdy Harmon go zobaczył, już wiedział. W domu Daisy z płaczem parzyła herbatę, Olive zaś siedziała przy stole i nie płakała, postukiwała tylko z uporem łyżeczką o blat.

– Ta moja cholerna przemądrzała synowa – przemówiła. – Gdy się jej słucha, można by pomyśleć, że jest specjalistką w każdej cholernej dziedzinie. Powiedziała do mnie: „Olive, naprawdę nie mogłaś oczekiwać, że ona wyzdrowieje. Ludzie z tą chorobą nigdy nie potrafią jej przewyciężyć”. Ja na to: „Ale nie wszyscy umierają, Suzanne”, a ona: „No cóż, Olive, to się zdarza bardzo często”.

– Pogrzeb będzie cichy – poinformowała Daisy. – Tylko najbliższa rodzina.

Harmon kiwnął głową.

– Brała środki przeczyszczające – powiedziała Daisy, stawiając przed nim filiżankę herbaty i wycierając nos chusteczką higieniczną. – Matka znalazła je w szufladzie w jej pokoju i to chyba wyjaśniało, dlaczego Nina przestała przybierać na wadze tych kilka uncji jak przedtem. Więc w czwartek zabrano ją do szpitala... – Tu Daisy usiadła i schowała twarz w dłoniach.

– To była okropna scena – uzupełniła Olive. – Z tego, co mówiła matka. Nina, oczywiście, nie chciała jechać. Musieli wezwać pomoc, zaangażować w to urzędników, a ona gryzła i kopała, kiedy ją zabierali.

– Biedactwo – powiedziała Daisy.

– Wczoraj w nocy dostała ataku serca – zwróciła się Olive do Harmona. Pokręciła głową, lekko uderzyła dłonią w stół. – Jezu Chryste.

Kiedy wychodził, od dłuższej chwili było już ciemno.

– Gdzieś ty się podziewał? – zapytała Bonnie. – Twoja kolacja zdążyła całkiem wystygnąć.

Nie odpowiedział, tylko usiadł.

– Nie jestem specjalnie głodny, Bonnie. Przepraszam.

– Lepiej mi powiedz, gdzie byłeś.

- Jeździłem po okolicy – odparł. – Mówiłem ci, że jestem ostatnio trochę przygnębiony. Bonnie usiadła naprzeciw niego.
- Twoje przygnębienie sprawia, że czuję się okropnie. A nie mam ochoty czuć się okropnie.
- Trudno ci się dziwić – powiedział. – Przepraszam.

Pewnego ranka kilka dni później Kevin zadzwonił do sklepu.

- Jesteś zajęty, tato? Znajdziesz chwilę?
- Co się dzieje?
- Po prostu chciałem zapytać, czy dobrze się czujesz, czy wszystko w porządku. Harmon obserwował Bessie Davis oglądającą żarówki.
- Jasne, synu? Dlaczego?
- Pomyślałem sobie, że ostatnio wydajesz się nieco markotny. Niepodobny do siebie.
- Nie, nie. Wszystko idzie pływająco. – Używali tego określenia, odkąd Kevin nauczył się pływać, dość późno, jako nastolatek.
- Martha przypuszcza, że możesz być zły z powodu Bożego Narodzenia i zupy z marchwi.
- O Jezu, skądże. – Zobaczył, że Bessie się odwraca i rusza w kierunku przyborów do sprzątania. – Czy tak mówi twoja matka?
- Nikt mi nic nie mówił. Zastanawiałem się po prostu.
- Czy matka ci się skarżyła?
- Nie, tato. Przecież ci powiedziałem. To ja. Zastanawiałem się i tyle.
- Nie martw się – powiedział Harmon. – Czuję się świetnie. A ty?
- Pływająco. Dobra, nie daj się zwariować.

Bessie Davis, miejscowa stara panna, przystanęła i rozmawiała z nim przez długą chwilę, kupując nową śmietniczkę. Mówiła o swoich kłopotach z biodrem, o zapaleniu kaletki maziowej. O chorobie tarczycy siostry. „Nie cierpię tej pory roku” – oznajmiła, kręcąc głową. Gdy wyszła, Harmon poczuł nagły przypływ niepokoju. Jakby rozerwała się jakaś błona przesłaniająca mu świat, wszystko stało się bliskie i przerażające. Bessie Davis zawsze była gadatliwa, lecz teraz dostrzegł w jej twarzy samotność, niczym zmianę chorobową. Przez myśl przemknęły mu słowa: „Nie ja, tylko nie ja”. Wyobraził sobie uroczą Ninę White na kolanach Tima Burnhama na przystani i pomyślał: „Nie ty, nie ty, tylko nie ty”.

W niedzielę rano niebo zasnuwały nisko wiszące chmury, a w salonie Daisy świeciły się lampki osłonięte niewielkimi abażurami.

– Daisy, chcę ci powiedzieć jedną rzecz. Nie musisz mi odpowiadać ani w żaden sposób czuć się odpowiedzialna. To się nie stało z powodu czegokolwiek, co zrobiłaś. Prócz tego, że jesteś sobą. – Umilkł, rozejrzał się po pokoju, spojrzał w jej błękitne oczy i dokończył: – Zakochałem się w tobie.

Był tak pewien, że wie, co za chwilę nastąpi – pewien jej dobroci i łagodnej odmowy – że ogarnęło go zdumienie, gdy poczuł uścisk miękkich ramion, zobaczył łzy w jej oczach, poczuł jej usta na swoich.

Zapłacił Lesowi Washburnowi czynsz z rachunku oszczędnościowego. Nie potrafił określić, jak długo potrwa, zanim Bonnie to zauważy. Ale przypuszczał, że ma kilka miesięcy. Na co czekał? Aż bóle porodowe wycisną z niego kiełek nowego życia? W lutym, kiedy świat powoli zaczął się otwierać na nowo – powietrze chwilami pachniało świeżością, światło dzienne utrzymywało się nieco dłużej, a słońce barwiło ośnieżone pola na lekko fiołkowy kolor –

Harmon poczuł lęk. To, co nastąpiło – nie wtedy, gdy miał „dupę na boku”, lecz teraz, gdy grot miłości zmierzał ku jego sercu; w czasie miłego wzajemnego zainteresowania: dociekliwych pytań na temat dawnych wspomnień, dzielenia niepokoju i żalu związanego z krótkim życiem Niny – wszystko to przerodziło się niezaprzeczalnie w gwałtowną i w pełni rozwiniętą miłość, o czym serce Harmona zdawało się wiedzieć samo z siebie. Odnosił wrażenie, że uderza nieregularnie. Siedząc w swoim fotelu, słyszał je i czuł, jak pulsuje tuż pod żebrami. Tak jakby go ostrzegało swym ciężkim kołataniami, że długo w ten sposób nie pociągnie. „Tylko młodzi – pomyślał – potrafią wytrzymać ciężką próbę miłości”. Z wyjątkiem małej cynamonowej Niny; wydawało się to czymś wywróconym na lewą stronę i tyłem do przodu, że przejął od niej pałeczkę. Nigdy, nigdy, nigdy się nie poddawał.

Poszedł do lekarza, którego znał od lat. Doktor przyczepił mu do nagiej klatki piersiowej metalowe krążki z podłączonymi drucikami. Serce Harmona nie wykazało żadnych oznak dolegliwości. Siedząc na wprost dużego drewnianego biurka, Harmon poinformował lekarza, iż nie jest wykluczone, że odejdzie od żony. Doktor odparł cicho: „Nie, nie, to niedobry pomysł”, ale tym, co Harmon miał na zawsze zapamiętać, była mowa jego ciała, nagły ruch, jakim przesunął teczki na biurku i cofnął się z krzesłem. Jakby wiedział o czymś, czego Harmon nie był świadom: że ludzkie żywoty zrastają się niczym kości i złamanie może się nie zagoić.

Ale Harmonowi nie dało się nic powiedzieć. Nie da się nic powiedzieć komuś zarażonemu taką chorobą. Czekał teraz – żyjąc w onirycznym świetle bujnego ciała Daisy Foster – oczekiwał dnia, o którym wiedział, że nadejdzie, dnia, w którym zostawi Bonnie albo ona wyrzuci go z domu; nie potrafił przewidzieć, czy nastąpi to pierwsze, czy to drugie, ale czekał jak Luke Bułeczka na operację na otwartym sercu, nie wiedząc, czy umrze na stole, czy przeżyje.

---

[2] Camden County College – uczelnia w stanie New Jersey.

[3] Anne Morrow Lindbergh (1906–2001) – pionierka lotnictwa i pisarka, żona lotnika Charlesa Lindbergha.

[4] Grateful Dead – dosł. Wdzięczny Nieboszczyk – nazwa psychodelicznej grupy rockowej, powstałej w latach sześćdziesiątych w San Francisco i utożsamianej z ruchem hipisowskim.

[5] ACD (*Adjournment in Contemplation of Dismissal*) – warunkowe zawieszenie wykonania kary przy drobniejszym przestępstwie.

## Inna droga

Okropna rzecz przydarzyła się Kitteridge'om pewnej chłodnej czerwcowej nocy. Henry miał wtedy sześćdziesiąt osiem lat, Olive sześćdziesiąt dziewięć i choć nie byli parą młodzieniaszków, nie sprawiali też wrażenia schorowanych staruszków. Mimo to po upływie roku mieszkańcy Crosby, małego nadmorskiego miasteczka w Nowej Anglii, uznali zgodnie, że owo wydarzenie zmieniło obydwój Kitteridge'ów. Henry, gdy się go teraz spotykało na poczcie, unosił tylko rękę z listami w geście pozdrowienia. Spoglądając mu w oczy, widziało się go jak za gęstą siatką. To było smutne, ponieważ przedtem sprawiał wrażenie pogodnego i szczerego człowieka, nawet kiedy jego jedyny syn ni z tego, ni z owego przeprowadził się do Kalifornii ze swoją świeżo poślubioną małżonką, co, jak rozumieli mieszkańcy miasteczka, musiało być dla Kitteridge'ów wielkim rozczarowaniem. Olive Kitteridge zaś, która nigdy, za niczyjej pamięci, nie wykazywała skłonności do życzliwego czy choćby uprzejmego zachowania, z nadejściem kolejnego czerwca stała się jeszcze bardziej opryskliwa. Tym razem czerwiec nie był chłodny, lecz wybuchł z gwałtownością lata, codziennie przesiewając słoneczne cętki przez gałęzie brzoź i pobudzając chwilami mieszkańców Crosby do wyjątkowej, jak na nich, rozmowności.

Z jakiego bowiem innego powodu Cynthia Bibber miałaby podejść do Olive w centrum handlowym w Cook's Corner i zacząć jej klarować, jak to jej córka Andrea, która po kilku latach kursów wieczorowych zdobyła kwalifikacje w zakresie opieki społecznej, pomyślała sobie, że być może Henry i Olive nie potrafią się pogodzić z przeżyciem sprzed roku? Paniczny lęk, jeśli nie jest uzewnętrzniony, zostaje zinternalizowany – a to, ciągnęła Cynthia Bibber żarliwym półszepcetem, stojąc obok plastikowego fikusa, mogło prowadzić do stanów depresyjnych.

– Rozumiem – odparła Olive głośno. – Cóż, przekaz Andrei, że to brzmi imponująco. – Olive przed laty uczyła matematyki w młodszych klasach szkoły średniej w Crosby i choć zdarzało jej się od czasu do czasu odczuwać żywe emocje w stosunku do poszczególnych uczniów, Andrea Bibber nigdy nie wydawała jej się nikim więcej niż małą, nudną, napuszoną myszą. „Jak jej matka” – pomyślała Olive, spoglądając na jedwabne żonkile powtykane rządkami w sztuczną słomę obok ławek przy kawiarence z mrożonym jogurtem.

– To jest teraz bardzo na czasie – mówiła Cynthia Bibber.

– Co? – spytała Olive, rozważając możliwość zjedzenia mrożonego jogurtu czekoladowego, kiedy ta kobieta pójdzie w swoją stronę.

– Poradnictwo kryzysowe – wyjaśniła Cynthia. – Jeszcze przed jedenastym września... – Poprawiła paczkę, którą trzymała pod pachą. – Ale teraz, gdy zdarzy się katastrofa, strzelanina w szkole, cokolwiek, od razu ściągają się psychologów. Ludzka psychika nie potrafi samodzielnie przetworzyć mentalnie takich spraw.

– Hm. – Olive spojrzała w dół na rozmówczynię, niską i drobnokościstą. Wysoka, mocno zbudowana, górowała nad nią.

– Ludzie zauważyli zmianę w Henrym – podjęła Cynthia. – I w tobie również. To tylko taka sugestia, że poradnictwo kryzysowe mogło wam pomóc. Nadal może. Andrea prowadzi własną

praktykę, wiesz, do spółki z drugą kobietą.

– Rozumiem – powiedziała ponownie Olive, jeszcze głośniej niż poprzednio. „Ależ brzydkie słowa wymyślają ci ludzie. Przetworzyć mentalnie, zinternalizowany, depresyjny, taki i owaki. Ja sama popadłabym w depresję, gdybym przez cały dzień musiała używać podobnych słów”. Uniosła plastikową torbę, którą trzymała. – Widziałas, że mają wyprzedaż w So-Fro?

Na parkingu nie mogła znaleźć kluczyków i musiała wytrząsnąć zawartość torebki na rozgrzaną od słońca maskę samochodu. Przed znakiem stopu mruknęła: „Och, idź do diabła”, patrząc w lusterko wsteczne, kiedy mężczyzna w czerwonej ciężarówce nacisnął klakson, po czym włączyła się do ruchu i torba ze sklepu tekstylnego zsunęła się na podłogę, ukazując róg dzinsowego materiału. „Andrea Bibber chce, żebyśmy skorzystali z poradnictwa kryzysowego” – powiedziałaaby dawniej Olive i nietrudno jej było wyobrazić sobie, jak Henry ściąga krzaczaste krwi, prostując się nad grządką groszku, z której wyrывał chwasty. „Rany, Ollie” – odpowiedziałyby na to, a za jego plecami rozciągałyby się zatoka i mewy byłyby skrzydłami nad łodzią z wężycami na homary. „Pomyśleć tylko”. Mógłby nawet odrzucić głowę w tył, wybuchając śmiechem, jak czasami robił, takie to byłoby zabawne.

Olive wjechała na autostradę, którą wracała z centrum handlowego, odkąd Christopher przeprowadził się do Kalifornii. Nie lubiła przejeżdżać obok domu z jego uroczą sylwetką i dużym wykuszowym oknem, gdzie tak pięknie rosła paproć nefrolepis. W okolicy Cook’s Corner autostrada biegła wzdłuż rzeki i dzisiaj nad migoczącą wodą trzepotały liście topoli, ukazując bledszą zieleń spodów. Może nawet w dawniejszych czasach Henry nie śmiałyby się z Andrei Bibber. Czasami człowiek się myli, sądząc, że wie, co ktoś inny robi.

– Idę o zakład – powiedziała Olive na głos, spoglądając na lśniąca wstęgę rzeki za barierką. Co oznaczało: „Idę o zakład, że Andrea Bibber pojmuje kryzys inaczej niż ja”. – Tak, tak – dodała. Na brzegu rosły wierzby płaczące, a ich wygięte, wiotkie gałązki miały odcień jasnej żywej, zieleni.

Potrzebowała pójść do łazienki.

– Potrzebuję iść do łazienki – zwróciła się do Henry’ego tamtej nocy, gdy wjeżdżali do miasta Maisy Mills. Henry odparł uprzejmie, że będzie musiała poczekać.

– A-no – powiedziała, wymawiając przesadnie sylaby i strojąc w ten sposób żarty ze swojej teściowej Pauline, nieżyjącej od lat, która zwykła tak mówić w odpowiedzi na coś, czego nie chciała słyszeć. – A-no – powtórzyła Olive. – Powiedz to moim kiszkom – dodała, wierząc się lekko w ciemnym wnętrzu auta. – Dobry Boże, Henry, ja chyba zaraz eksploduję.

Naprawdę jednak spędzili miły wieczór. Wcześniej, nieco dalej w górę rzeki, spotkali się ze znajomymi – Billem i Bunny Newtonami – i poszli razem do niedawno otwartej restauracji, gdzie świetnie się bawili. Pieczarki faszerowane krabami były przepyszne, a kelnerzy przez cały wieczór grzecznie się kłaniali, napełniając kieliszki wodą, zanim jeszcze została wypita.

Jeszcze większą satysfakcję przyniósł fakt, że Bill i Bunny mieli ze swoją latoroślą gorsze przejścia niż Olive i Henry ze swoją. Obie pary miały tylko po jednym dziecku i Karen Newton – co Kitteridge’owie przyznawali w duchu – stworzyła swoim rodzicom odmienną płaszczyznę smutku. Mimo iż mieszkała tuż obok Billa i Bunny, którzy widywali się z nią i jej rodziną przez cały czas. W zeszłym roku Karen miała krótkotrwały romans z mężczyzną, który pracował w Midcoast Power, lecz w końcu postanowiła zostać z mężem. Wszystkim tym, oczywiście, Newtonowie się zamartwiali, choć nigdy szczególnie nie przepadali za swoim zięciem Eddiem.

Dla Kitteridge’ów był to wprawdzie straszny cios, że Christopher tak nieoczekiwanie został

wyrwany z korzeniami przez swoją przedsiębiorczą młodą małżonkę, gdy oni już zaplanowali, że osiadzie w pobliżu i będą się tu wychowywały jego dzieci (Olive wyobrażała sobie, jak uczy je sadzić cebulki) – choć z pewnością odczuli boleśnie rozwianie się ich marzeń, lecz mogli doznawać cichego pocieszenia na myśl o tym, że mieszkające tuż obok dziadków wnuki Billa i Bunny zachowywały się ZŁOŚLIWIE. Naprawdę, Newtonowie opowiedzieli o tym, jak w zeszłym tygodniu ich wnuk odezwał się do Bunny: „Możesz być moją babcią, ale to nie znaczy, wiesz, że muszę cię kochać”. Te słowa zabrzmiały strasznie – kto by się spodziewał czegoś podobnego? Oczywiście Bunny szklily się od łez, gdy o tym mówiła. Olive i Henry zrobili, co mogli, kręcąc głowami i podkreślając, jakie to przykre, że Eddie w gruncie rzeczy szkoli dzieciaki, żeby się tak odzywały, pod pretekstem „wyrażania siebie”.

– No cóż, Karen również jest za to odpowiedzialna – zauważył z powagą Bill, a Olive i Henry mruknęli, że tak, owszem, to prawda.

– Boże! – Bunny wydmuchała nos. – Czasami człowiekowi się wydaje, że nie może wygrać.

– Nie możesz wygrać – powiedział Henry. – Staraj się tylko, jak potrafisz.

Bill chciał się dowiedzieć, co tam słychać w Kalifornii.

– Narzekają – odparła Olive. – Narzekali jak cholera, kiedy do nich telefonowaliśmy w zeszłym tygodniu. Powiedziałam Henry’emu, że powinniśmy przestać dzwonić. Kiedy oni będą mieli ochotę porozmawiać, to porozmawiamy.

– Nie możesz wygrać – powiedziała Bunny. – Nawet jeśli się starasz, jak potrafisz. – Ale byli w stanie się z tego śmiać, jak z czegoś żalnego i zabawnego zarazem.

– Zawsze to miło słuchać o kłopotach innych – uznali zgodnie Olive i Bunny na parkingu, wciągając swetry.

W samochodzie było chłodno. Henry zaproponował, żeby może włączyć ogrzewanie, ale Olive nie chciała. Jechali w ciemnościach rozjaśnianych co pewien czas przez reflektory auta nadjeżdżającego z przeciwnej strony.

– To okropne, co ten chłopak powiedział do Bunny – zauważyła Olive, a Henry przytaknął. Po chwili stwierdził:

– Ta ich Karen to niezbyt udana córka.

– Nie – przyznała Olive. – Niezbyt. – Lecz znajome burczenie i rozhuśtanie żołądka nagle przyspieszyły i czujność Olive przerodziła się w nagły niepokój.

– O Boże – powiedziała, gdy stanęli na czerwonym świetle na moście przed Maisy Mills. – Ja naprawdę zaraz eksploduję.

– Nie wiem, co robić. – Henry pochylił się, wyglądając przez przednią szybę. – Stacje benzynowe są na drugim końcu miasta i nie wiadomo, czy będą otwarte o tej porze. Nie mogłabyś usiąść nieruchomo i wytrzymać? Za kwadrans będziemy w domu.

– Nie – odparła Olive. – Uwierz mi, powstrzymuję się, jak tylko potrafię.

– No cóż...

– Zielone, ruszaj! Jedź pod szpital, Henry. Tam powinni mieć jakąś toaletę.

– Do szpitala, Ollie? Nie wiem...

– Jedź do szpitala, na litość boską! – I dodała: – Urodziłam się tam. Więc może pozwolą mi skorzystać z łazienki.

Szpital stał na szczycie wzniesienia, obszerniejszy teraz, gdy dobudowano nowe skrzydło. Henry skierował tam samochód i minął niebieski znak: IZBA PRZYJĘĆ.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknęła Olive. – Na miłość boską!

– Podwożę cię pod frontowe drzwi.

– Zatrzymaj ten cholerny samochód.

– Och, Olive. – W jego głosie pobrzmiwał ton rozczarowania. Przypuszczała, że to z powodu przekleństwa z jej ust, czego nie znosił. Cofnął auto i przystanął przed wielkimi, niebiesko oświetlonymi drzwiami z napisem: IZBA PRZYJĘĆ.

– Dziękuję – powiedziała Olive. – No i co, aż takie to było trudne?

Pielęgniarka spojrzała na nią znad biurka w jasnej, czystej i pustej poczekalni.

– Szukam łazienki – oznajmiła Olive, na co pielęgniarka uniosła ramię w białym sweterku i wskazała kierunek. Olive machnęła ręką nad głową i przekroczyła próg.

– Uff – sapnęła głośno. – Ufu-fuff.

„Szczęście to brak bólu” według Arystotelesa. Albo Platona. Któregoś z nich. Olive skończyła college z wyróżnieniem. Matce Henry’ego to się akurat nie podobało. Pomyśleć tylko. Pauline powiedziała nawet coś o panienkach zdających z wyróżnieniem, które są brzydkie i czerpią z życia niewiele radości... Nie, Olive nie zamierzała popsuć sobie tej chwili myślami o Pauline.

Skończyła, umyła ręce i rozejrzała się, podtykając je pod suszarkę. Jaka ta łazienka ogromna, wielka jak sala operacyjna. To z powodu niepełnosprawnych. W dzisiejszych czasach pozywano do sądu każdego, kto nie wybudował pomieszczenia, w którym zmieści się wózek inwalidzki, Olive wolałaby jednak, żeby ktoś ją zastrzelił, gdyby miała sama go potrzebować.

– Dobrze się pani czuje? – Pielęgniarka stała w korytarzu, miała na sobie obwisły sweter i spodnie. – Co pani dolega? Biegunka?

– I to gwałtowna – potwierdziła Olive. – Wielkie nieba, już dobrze, bardzo pani dziękuję.

– Wymioty?

– Och, nie.

– Cierpi pani na jakieś alergie?

– Nie. – Olive rozejrzała się po korytarzu. – Jak się zdaje, macie dzisiaj niewielki ruch.

– No cóż, w weekendy jest większy.

Olive kiwnęła głową.

– Bałowicze, jak przypuszczam. Wjeżdżają w drzewa.

– Bardzo często są to członkowie rodzin – odparła pielęgniarka. – W ostatni piątek brat wypchnął siostrę przez okno. Obawiano się, że skręciła kark.

– Ładne rzeczy, no, no – skomentowała Olive. – I to wszystko w naszym małym Maisy Mills.

– Ale nic poważnego jej się nie stało. Doktor chyba jest już gotów panią przyjąć.

– Och, nie potrzebuję lekarza. Potrzebowałam łazienki. Byliśmy ze znajomymi na kolacji i jadłam wszystko, co podano na stół. Mąż czeka na mnie na parkingu.

Pielęgniarka ujęła rękę Olive i zaczęła się jej przyglądać.

– Poświęćmy temu chwilę uwagi. Czy swędzą panią dłonie? Albo podeszwy stóp? – Obrzuciła Olive badawczym spojrzeniem. – Czy pani uszy zawsze są takie czerwone?

Olive dotknęła uszu.

– Bo co? – spytała. – Czy to znaczy, że niedługo umrę?

– Wczoraj wieczorem mieliśmy tu pewną kobietę – powiedziała pielęgniarka. – Mniej więcej w pani wieku. Podobnie jak pani była z mężem w restauracji, a później zjawiała się u nas z biegunką.

– Och, na miłość boską – mruknęła Olive, lecz jej serce zaczęło bić mocniej, a twarz zabarwił rumieniec. – Co jej, u diabła, dolegało?

– Była uczulona na kraby i doznała wstrząsu anafilaktycznego.



– No proszę. Ale ja nie jestem uczulona na kraby.

Pielęgniarka ze spokojem kiwnęła głową.

– Ta kobieta jadała je od lat bez najmniejszego problemu. Niech doktor po prostu panią obejrzy. Weszła pani tutaj zaczerwieniona, z oznakami wzburzenia.

Olive czuła się w tej chwili o wiele bardziej wzburzona, nie zamierzała jednak tego okazywać w obecności pielęgniarki, a tym bardziej wspominać o pieczarkach faszerowanych krabami. Mogła o tym napomknąć lekarzowi, gdyby okazał się miły.

Henry zaparkował tuż przed wejściem do izby przyjęć i nie wyłączył silnika. Gestem dała mu znak, żeby opuścił okno.

– Chcą mnie zbadać – powiedziała, pochylając głowę.

– Zatrzymać?

– Nie, tylko ZBADAĆ. Upewnić się, że nie dostałam wstrząsu. Ścisz to cholerne radio – syknęła, choć już wcześniej sięgnął do gałki, żeby wyłączyć program z meczem drużyny Red Sox.

– Na Boga, Ollie. Nic ci nie jest?

– Wczoraj wieczorem jakaś kobieta zadławiła się krabem i teraz boją się procesu sądowego. Zmierzą mi puls i wypuszczą. Ale zaparkuj gdzie indziej.

Pielęgniarka podtrzymawała zieloną zasłonę na końcu korytarza.

– Słucha transmisji z meczu – poinformowała Olive, zmierzając w jej stronę. – Kiedy pomyśli, że umarłam, zapewne tu wejdzie.

– Będę go miała na oku.

– Ma na sobie czerwoną kurtkę. – Olive położyła torebkę na krześle i usiadła na leżance diagnostycznej, a pielęgniarka zmierzyła jej ciśnienie.

– Lepiej dmuchać na zimne – orzekła pielęgniarka. – Ale sądzę, że jest pani zdrowa.

– Ja też tak sądzę – zgodziła się Olive.

Siostra wyszła, zostawiając jej na podkładce z klipsem formularz, który Olive wypełniła. Przyjrzała się uważnie swoim dłoniom i odłożyła podkładkę na bok. No cóż, jeśli wchodzisz niepewnym krokiem na oddział pomocy doraźnej, mają obowiązek cię zbadać. Pokaże język, zmierzają jej temperaturę i pojedzie do domu.

– Pani Kitteridge? – Lekarz miał pospolitą twarz i wyglądał bardzo młodzieńczo jak na kogoś, kto ukończył studia medyczne. Delikatnie ujął jej szeroki nadgarstek, mierząc tętno, podczas gdy ona opowiadała mu o wyprawie do nowej restauracji i że weszła tu jedynie po to, by skorzystać z łazienki w drodze do domu, że owszem, dostała strasznej biegunki, która ją samą zaskoczyła, ale nie swędzą jej dłonie ani stopy.

– Co pani jadła? – zapytał lekarz takim tonem, jakby go to interesowało.

– Zaczęłam od pieczarek faszerowanych krabami i wiem, że wczoraj w nocy jakaś starsza pani od tego umarła.

Lekarz dotknął płatka ucha Olive, przyjrzał mu się, mrużąc oczy.

– Nie widzę żadnych oznak wysypki – stwierdził. – Jadła pani coś jeszcze?

Doceniała to, iż młody człowiek nie sprawiał wrażenia znudzonego. Przy wielu lekarzach pacjent czuł się koszmarne, jak pękata walizka sunąca na taśmociągu.

– Stek. I ziemniaka. Pieczonego. Wielkiego jak pański kapelusz. I krem ze szpinaku. Chwileczkę. – Olive zamknęła oczy. – Jeszcze marną sałatkę, ale z niezłym sosem.

– A zupa? Wiele dodatków do zup może wywołać alergiczne reakcje.

– Nie było zupy. – Olive otworzyła oczy. – Ale na deser zjadłam pokaźny kawałek pysznego

sernika. Z truskawkami.

Robiąc notatki, lekarz zauważył:

– To prawdopodobnie kwestia aktywnego zarzucania treści żołądkowej.

– Ach tak, rozumiem – powiedziała Olive. Po chwili namysłu dodała pospiesznie: – Statystycznie rzecz ujmując, nie powinniście mieć dwóch pacjentek, które dzień po dniu umierają na to samo.

– Myślę, że nic pani nie dolega – stwierdził lekarz. – Ale mimo wszystko chciałbym panią zbadać, obmacać brzuch, posłuchać serca. – Podał jej prostokątny kawałek cienkiego jak bibuła, niebieskiego tworzywa. – Proszę to założyć, otwarte z przodu. I proszę zdjąć ubranie.

– Och, na miłość boską – zaczęła Olive, lecz on przeszedł już za zasłonę. – Och, na miłość boską – powtórzyła, przewracając oczami, ale zastosowała się do polecenia, ponieważ doktor był uprzejmy i ponieważ tamta starsza pani zmarła.

Olive złożyła spodnie i umieściła je na krześle, wetknąwszy pod nie bieliznę, żeby lekarz jej nie zobaczył, gdy wejdzie tu z powrotem.

Idiotyczny wążutki plastikowy pasek dla chudej laleczki z trudem dał się związać na małą kokardkę. Czekać, złożyła ręce i uświadomiła sobie, że ilekroć mija ten szpital, myśli o dwóch rzeczach: że tu się urodziła i że przywieziono tutaj ciało jej ojca po samobójczej śmierci. Przeżyła to i owo. Ale nie ma o czym mówić. Wyprostowała plecy. Inni też swoje przeżyli.

Lekko pokręciła głową na myśl o pielęgniarce, która powiedziała, że brat wyrzucił siostrę przez okno. Gdyby Christopher miał siostrę, nigdy nie wypchnąłby jej przez okno. Gdyby Christopher ożenił się ze swoją recepcjonistką, zostałby tutaj, w mieście. Choć ta dziewczyna była głupia. Olive rozumiała, dlaczego puścił ją kantem. Jego żona nie była głupia. Była energiczna, zdeterminowana i wredna jak piekielny nietoperz.

Olive wyprostowała plecy i popatrzyła na szklane buteleczki ustawione na blacie obok pudełka z lateksowymi rękawiczkami. W szufladach metalowej szafki z całą pewnością znajdowały się komplety strzykawek gotowych rozwiązać wszelkiego rodzaju problemy. Wygięła kostkę w jedną, potem w drugą stronę. Za minutę zamierzała wytknąć nos na zewnątrz i sprawdzić, czy Henry trwa w gotowości; wiedziała, że nie będzie siedział cały czas w samochodzie, nawet przy włączonej transmisji z rozgrywek baseballowych. Zamierzała zatelefonować nazajutrz do Bunny i powiadomić ją o tym drobnym fiasku.

Później wszystko wyglądało jak namalowane gąbką; jakby ktoś przycisnął gąbkę mokrą od farby do wnętrza jej umysłu i tylko to, co namalowała, te kropki i plamy, zawierały wspomnienia tamtej nocy. Rozległ się szybki, szeleszczący dźwięk odsuwanej zasłony i metaliczny brzęk kółek przesuwanych wzdłuż prętu. Jakiś człowiek w niebieskiej narciarskiej kominiarce machnął ręką i krzyknął: „Kładź się!”. Na chwilę zapanował dziki zamęt, nauczycielka, którą Olive wewnątrz siebie czuła, zawołała: „Hej, hej, hej!” – on zaś powtórzył: „KŁADŹ się, paniusiu. O Jezusie”. „Gdzie mam się kłaść?” – mogłaby go zapytać, gdyż obydwójce byli zagubieni, co do tego miała pewność; ona, ściskająca poły cienkiej szpitalnej tuniki, i ten szczupły osobnik w niebieskiej kominiarce, wymachujący ramieniem.

– Słuchaj – przemówiła; jej język wydawał się kleisty, przypominał lep na muchy. – Moja torebka została tam na krześle.

Ale wtedy na korytarzu rozległy się krzyki. Krzyczał, podchodząc bliżej, jakiś mężczyzna; gwałtowny ruch nogi w ciężkim bucie, która przewróciła kopniakiem krzesło, napełnił Olive

czarnym przerażeniem. Wysoki mężczyzna z karabinem, ubrany w obszerną kamizelkę koloru khaki z klapkami na kieszeniach. Ale to maska, którą miał na twarzy, halloweenowa maska uśmiechniętej różowej świnki zepchnęła Olive w głęboką toń lodowatej wody – upiorny plastikowy ryj uśmiechniętej różowej świnki. Pod wodą widziała, niczym wodorosty, jego spodnie w maskujących barwach i wiedziała, że coś do niej krzyczy, lecz nie potrafiła rozróżnić słów.

Zmusili ją do przejścia korytarzem boso i w jednorazowej szpitalnej tunice, sami zaś kroczyli za nią. Czuła ból w nogach, które wydawały się ogromne jak dwa worki napełnione wodą. Popchnięta z tyłu, potknęła się i przytrzymała tunikę, wpadając w drzwi łazienki, z której wcześniej skorzystała. Na podłodze, oparci plecami o oddzielne ściany, siedzieli: pielęgniarka, lekarz i Henry. Czerwona kurtka Henry’ego była rozpięta i krzywo założona, jedna z nogawek jego spodni zaczepiła się o suwak.

– Olive, zrobili ci krzywdę?

– Zamknij, kurwa, dziób – rozkazał mężczyzna w różowej masce uśmiechniętej świnki i kopnął Henry’ego w stopę. – Jeszcze jedno słowo i odstrzelę ci ten twój pierdolony łeb.

Migocząca za każdym razem plama wspomnień: dobiegający tamtej nocy zza pleców szelest taśmy klejącej, szybko odwijanej z rolki, ręce przytrzymywane z tyłu i oklejane taśmą; Olive zrozumiała wtedy, że umrze – że wszyscy zostaną rozstrzelani i to będzie jak egzekucja; będą musieli uklęknąć. Kazano jej usiąść, ale to trudne, kiedy ma się ręce skrępowane za plecami, a głowę jakby zwichniętą w środku. Pomyślała: „Pospiesz się”. Jej nogi dygotały tak mocno, że słysząc było, jak obijają się o kafelki posadzki.

– Jeden ruch i dostajecie kulkę w łeb – oznajmił Świński Ryj. Trzymał karabin i obracał się szybko to w jedną, to w drugą stronę, podczas gdy klapki na kieszeniach jego kamizelki wydymały się i trzepotały. – Wystarczy, że ktoś na kogoś spojrzy, a dostanie kulkę w łeb.

Kiedy jednak zostały wypowiedziane te słowa? Bo różne słowa zostały wypowiedziane.

Wzdłuż drogi zjazdowej rosły bzy i krzewy z czerwonymi jagodami. Olive zatrzymała się przed znakiem stopu, a potemomal nie zajechała drogi zbliżającemu się samochodowi; choć go widziała, omal nie zajechała mu drogi. Kierowca pokręcił głową z taką miną, jakby uważał Olive za wariatkę. „Idź do diabła” – powiedziała, lecz odczekała chwilę, żeby nie znaleźć się na drodze tuż za kimś, kto patrzył na nią jak na wariatkę. W końcu postanowiła zawrócić w kierunku Maisy Mills.

Świński Ryj zostawił ich w łazience. („To po prostu bez sensu” – powtarzali Kitteridge’om różni ludzie po tym zdarzeniu, gdy przeczytali o nim w gazecie, obejrzeni w telewizji. „To bez sensu, żeby dwaj faceci wdzierali się do szpitala w celu zdobycia narkotyków”). Potem ludzie zauważyli, że Kitteridge’owie nie zamierzają opowiadać o swoich ciężkich przejściach. Co „sens” ma wspólnego z ceną jajek, mogłaby spytać Olive). Świński Ryj ich zostawił, a Niebieska Kominiarka sięgnął w stronę gałki u drzwi, zamykając zatrask z tym samym cichym szcęknięciem, które Olive usłyszała nie tak dawno temu. Usiadł na pokrywie sedesu pochylony naprzód, z rozstawionymi nogami i małym, krótkim pistoletem w ręce. Wyglądał jak odlany ze stopu cyny z ołowiem. Olive pomyślała wówczas, że zwymiotuje i zakrztusi się własnymi wymiocinami. Wydawało się to absolutnie pewne: niezdolna ruszyć z miejsca swego zwałistego, bezrękiego kształtu, zadusi się, siedząc tuż obok lekarza, który nie zdoła jej pomóc, ponieważ on także ma spętane ręce. Przy lekarzu, naprzeciw pielęgniarki, udusi się własnymi rzygowinami jak jakaś pijaczka. Henry to zobaczy i już nigdy nie będzie taki sam jak dawniej. „Ludzie zauważyli, że Henry się zmienił”. Nie zwymiotowała. Pielęgniarka płakała, kiedy Olive została

wepchnięta do łazienki. W wielu sprawach zawiniła właśnie pielęgniarka. Właśnie ona.

W pewnej chwili lekarz, którego biały fartuch marszczył się pod nogą leżącą najbliżej Olive, zapytał:

– Jak masz na imię? – tym samym miłym głosem, którym wcześniej zwracał się do niej, do Olive.

– Słuchaj – odparł Niebieska Kominiarka – pieprz się, dobra?

W różnych chwilach Olive myślała: „Pamiętam to wyraźnie”; później jednak nie mogła sobie przypomnieć, kiedy tak myślała. Pozostały przebłyski, jak smugi farby. Siedzieli cicho. Czekali. Jej nogi przestały dygotać. Za drzwiami zaczął dzwonić telefon. Dzwonił i dzwonił, aż wreszcie przestał. I niemal natychmiast zaczął dzwonić od nowa. Rzepki kolanowe Olive wystawały spod niebieskiej szpitalnej tuniki niczym duże, nierówne spodki. Nie przypuszczała, że wskazałaby je jako swoje własne, gdyby pokazano jej serię fotografii grubych kolan starszych pań. Kostki i paluchy z haluksami wyglądały bardziej znajomo, gdy tak sterczały pośrodku pomieszczenia. Nogi doktora były krótsze niż jej, a jego buty nie wydawały się zbyt duże. Po dziecięcemu zwyczajne. Brązowa skóra i gumowe podeszwy.

Tam, gdzie nogawka spodni Henry’ego podjechała do góry, widać było plamy wątrobowe na białej, nieowłosionej skórze.

– O rany – powiedział cicho. A potem: – Czy moglibyście znaleźć jakiś koc dla mojej żony? Jej zęby szczękają z zimna.

– Myślisz, że to pieprzony hotel? – spytał Niebieska Kominiarka. – Zamknij, kurwa, dziób.

– Ale ona...

– Henry – wtrąciła ostrym tonem Olive – cicho bądź.

Pielęgniarka płakała bezgłośnie.

Nie, Olive nie potrafiła ułożyć plam wspomnień w spójny wzór, ale Niebieska Kominiarka zachowywał się bardzo nerwowo; szybko się zorientowała, że jest śmiertelnie przerażony. Jego kolana nieustannie podrygiwały w górę i w dół. Był młody – to również zauważyła od razu. Kiedy podciągnął rękawy nylonowej kurtki, miał nadgarstki mokre od potu. A po chwili dostrzegła niemal całkowity brak paznokci. Przez wszystkie lata uczenia w szkole nigdy nie widziała paznokci aż tak obgryzionych do żywego mięsa. Wciąż podnosił palce do ust i wciskał je zawzięcie w szczelinę kominiarki; nawet ręka z pistoletem wędrowała w górę i chłopak gwałtownie obgryzał opuszkę kciuka, wyglądającą jak wielki jaskrawoczerwony guz.

– Pochyl tę swoją pieprzoną głowę – warknął do Henry’ego. – Przestań się, kurwa, na mnie gapić.

– Nie musisz używać takich obrzydliwych słów – zwrócił mu uwagę Henry, patrząc w podłogę. Jego falujące włosy ułożyły się w przeciwną stronę niż zwykle.

– Co mówisz? – Podniesiony głos chłopaka zabrzmiał tak, jakby miał się załamać. – Coś ty, kurwa, powiedział, staruszkę?

– Henry, proszę cię – przemówiła Olive. – Zamilknij, bo narażasz nas wszystkich na śmierć.

Obraz: Niebieska Kominiarka pochyla się naprzód, zainteresowany Henrym. „Staruszkę, coś ty, do kurwy nędzy, powiedział?” Henry odwraca twarz, marszczy krzaczaste brwi. Niebieska Kominiarka wstaje, przyciska lufę broni do ramienia Henry’ego. „Odpowiedz! Co do mnie, kurwa, powiedziałeś?” (Olive, zwracając obok zakładu przemysłowego i zbliżając się do miasta, przypomniawszy sobie, jak znajomo zabrzmiał ten zdesperowany, pełen frustracji ton; tak mówiła do Christophera, kiedy był dzieckiem: „Odpowiedz mi!”). Christopher był zawsze cichy i spokojny, tak jak niegdyś jej ojciec).

Henry wyrzucił z siebie:

– Powiedziałem, że nie musisz używać takich obrzydliwych słów. – I dodał: – Powinieneś się wstydzić tego, co wygadują twoje usta. – Wtedy chłopak przesunął lufę i wcisnął ją Henry’emu prosto w policzek, trzymając palec na spuście.

– Proszę! – krzyknęła Olive. – Proszę. On ma to po matce. Jego matka była nie do zniesienia. Nie zwracaj na niego uwagi.

Jej serce waliło tak mocno, że miała wrażenie, iż przesunie na jej piersi niebieską szpitalną tunikę. Chłopak stał wpatrzony w Henry’ego, aż w końcu odstąpił krok do tyłu, potykając się o białe buty pielęgniarki. Trzymał broń wymierzoną w Henry’ego, lecz odwrócił się w stronę Olive.

– Ten gościu to twój mąż? – zapytał.

Olive potwierdziła ruchem głowy.

– On ma świra.

– Nic na to nie poradzi – odparła Olive. – Szkoda, że nie poznałeś jego matki. To była dopiero obłudna świętoszka.

– Nieprawda – oznajmił Henry. – Moja matka była dobrą, przyzwoitą kobietą.

– Zamknij się – powiedział chłopak zmęczonym głosem. – Proszę was, kurwa, zamknijcie się wszyscy.

Usiadł z powrotem na pokrywie sedesu z rozstawionymi nogami, oparłszy pistolet o kolano. Olive tak zaschło w ustach, że na samą myśl o słowie „język” widziała zapakowany hermetycznie wołowy ozór.

Chłopak nagle ściągnął kominiarkę. Zaskakujące – poczuła się tak, jakby go znała, jakby jego widok nadawał jej życiu sens. Mruknął cicho: „Skurwysyństwo”. Jego skóra napuchła pod kominiarkę; na szyi i karku pojawiły się czerwone smugi. Wysoko na policzkach zaznaczały się skupiska zaognionych pryszczki. Miał ogoloną głowę, ale dostrzegła, że jest rudy; na jego czaszce jeżył się pomarańczowy meszek, drobna, jasna szczecina. Wrażliwa, blada skóra wyglądała niemal jak ugotowana. Otarł twarz rękawem kurtki.

– Kupiłam synowi podobną kominiarkę – powiedziała Olive. – On mieszka teraz w Kalifornii i jeździ na nartach w górach Sierra Nevada.

Chłopak spojrział na nią. Miał bladoniebieskie oczy i prawie bezbarwne rzęsy. Białka jego oczu poznaczone były czerwonymi żyłkami. Wpatrywał się w Olive z wciąż tą samą miną winowajcy.

– Proszę tylko, zamknijcie się – rozkazał w końcu.

Olive siedziała w swoim aucie na tyłach szpitalnego parkingu, skąd widziała błękitne drzwi izby przyjęć, lecz nie było tam cienia i słońce przygrzewało przez przednią szybę; nawet przy uchylonych oknach było jej za gorąco. Brak cienia nie stanowił, rzecz jasna, problemu przez cały rok. W zimie mogła przyjeżdżać i stać z włączonym silnikiem, siedząc w aucie. Nigdy nie zatrzymywała się na długo. Tylko tyle, by popatrzeć na drzwi i przypomnieć sobie czysty, jasny korytarz, a także obszerną łazienkę z błyszczącą chromowaną poręczą wzdłuż jednej ze ścian. Poręcz tej trzymała się, być może, w obecnej chwili jakaś dziecienna staruszka, aby się dźwignąć z sedesu – w tę poręcz wpatrywała się Olive, gdy wszyscy siedzieli z rozłożonymi nogami i związanymi rękami. W szpitalach następowały nieustanne odmiany w ludzkich żywotach. Pewna gazeta napisała, że pielęgniarka nigdy nie wróciła do pracy, ale może do tego czasu już wróciła. Jeśli chodzi o lekarza, Olive nic nie wiedziała.

Chłopak to wstawał, to siadał z powrotem na pokrywie sedesu. Gdy siadał, pochylał się naprzód z pistoletem w jednej ręce, podczas gdy drugą unosił do ust i obgryzał resztki paznokci. Syreny nie rozbrzmiewały zbyt długo. Tak jej się wydawało, lecz może było je słychać przez dłuższą chwilę. To aptekarz dał znak woźnemu, żeby wezwać policję, i przyjechała jednostka specjalna, żeby negocjować ze Świńskim Ryjem, ale żadne z nich wtedy o tym nie wiedziało. Telefon dzwonił i przestawał. Czekali, pielęgniarka odchyłała głowę, zamykając oczy.

Cienki plastikowy pasek szpitalnej tuniki Olive rozluźnił się i rozwiązał. To wspomnienie było plamą gęstej, ciemnej farby. W którymś momencie pasek się rozwiązał i tunika była teraz rozchylona. Olive spróbowała skrzyżować nogi, lecz przez to poły rozchyliły się jeszcze szerzej i widziała swój wielki brzuch z fałdami tłuszczu oraz uda, białe jak dwa potężne rybnie brzuchy.

– Naprawdę – odezwał się Henry – nie można by poszukać czegoś, żeby przykryć moją żonę? Jest zupełnie odsłonięta.

– Zamknij się, Henry – powiedziała Olive. Pielęgniarka otworzyła oczy, by na nią popatrzeć, i lekarz oczywiście też odwrócił głowę w jej stronę. Wszyscy teraz na nią patrzyli. – Boże, Henry.

Chłopak zniżył górną połowę ciała i przemówił łagodnym tonem do Henry'ego:

– Widzisz? Masz siedzieć cicho, bo inaczej ktoś odstrzeli ci łeb. Twój pierdolony łeb – dodał.

Odchylił się do tyłu. Jego spojrzenie, gdy zaczął się rozglądać, padło na Olive i wtedy mu się wyrwało:

– O Jezu, paniusiu – a na jego twarzy pojawił się przelotnie wyraz prawdziwego skrepowania.

– Co niby mam zrobić? – warknęła z wściekłością. Och, była wściekła i jeśli nawet wcześniej szczękała zębami, teraz pot spływał jej po twarzy; wydawała się sobie jednym wielkim, mokrym, wściekłym tobołkiem pełnym przerażenia. Czuła smak soli i nie wiedziała, czy to łzy, czy strużki potu.

– Dobra, posłuchajcie. – Chłopak szybko, głęboko wciągnął powietrze. Wstał, podszedł do Olive i przykucnął, odkładając broń na posadzkę. – Jak się ktoś tylko ruszy, zabiję. – Popatrzył wokół siebie. – Dajcie mi tylko pieprzoną sekundę. – Szybkim ruchem ściągnął poły niebieskiej tuniki i zawiązał na supeł biały plastikowy pasek na brzuchu Olive. Widziała z bliska ogoloną głowę, porośniętą tu i ówdzie króciutką pomarańczową szczecinę. Czoło miał nadal zaczerwienione od kominiarki w miejscu, gdzie podrażniła skórę. – Dobra – powiedział. Podniósł swój pistolet, zawrócił i usiadł na sedesie.

Tamta chwila w tamtym miejscu, kiedy on usiadł, a ona zapragnęła, żeby na nią spojrzął – to była żywa, barwna plama w jej umyśle. Bardzo chciała, żeby wówczas na nią spojrzął, ale on tego nie zrobił.

Olive uruchomiła silnik samochodu i wyjechała z parkingu. Minęła drogerię, sklep z pączkami, punkt z krawiectwem damskim, który znajdował się tam od wieków, a potem przejechała przez most. Nieco dalej, gdyby jechać tą drogą, znajdował się cmentarz, na którym pochowano jej ojca. Tydzień wcześniej zaniósła bzy na jego grób, choć sama niespecjalnie lubiła przystrajanie grobów. Pauline została pochowana w Portland i po raz pierwszy Olive nie towarzyszyła Henry'emu w Dniu Pamięci, by zasadzić pelargonie na grobie jego matki.

Rozległo się nagłe stukanie w drzwi łazienki (zamknięte od wewnątrz, tak jak Olive je przedtem zamknęła) i nagłące wołanie: „No chodź tu, no chodź tu, otwórz, to ja!”. I wtedy zobaczyła – Henry tego nie widział ze swojego miejsca, lecz ona widziała, kiedy chłopak otworzył drzwi łazienki, do których się dobijano – jak koszmarny facet w masce Świńskiego

Ryja i z karabinem bije tamtego mocno, prosto w twarz, krzyżąc: „Zdjąłeś maskę! Ty zasrany kutafonie!”. Wrzeszcząc: „Zasrany kretyn!”.

Olive znowu poczuła, że puchną jej dłonie, stopy i gałki oczne, cała atmosfera wokół nabrzmiewa; ogarnęło ją narastające wrażenie gęstniejącej nierzeczywistości. Ponieważ teraz już mieli zginąć. Wydawało im się, że nie, ale zrozumieli, że jednak tak. Dało się to wyraźnie wyczytać w histerycznym tonie Świńskiego Ryja.

Pielęgniarka zaczęła pospiesznie i głośno odmawiać „Zdrowaś Mario” i jeśli Olive dobrze pamiętała, usłyszawszy po raz n-ty „i błogosławiony owoc żywota Twojego”, zwróciła się do kobiety:

- Boże, niech pani skończy te pierdoły! – Wówczas Henry powiedział:
- Olive, przestań. – Tak po prostu, stanął po stronie pielęgniarki.

Zatrzymując się na czerwonym świetle, Olive sięgnęła w dół i położyła torbę ze sklepu tekstylnego z powrotem na siedzeniu obok. Nadal nie mogła tego pojąć. Nie mogła. Nieważne, ile razy odtwarzała w myślach tę sytuację. Nie rozumiała, dlaczego Henry tak po prostu stanął po stronie pielęgniarki. Może dlatego, że nie przeklinała (Olive mogła iść o zakład, że siostra potrafi przeklinać), a Henry, związany niczym kurczak i bliski śmierci od kuli, był zły na Olive z powodu brzydkich słów. Albo za wcześniejsze obrażanie Pauline, gdy Olive starała się ocalić mu życie.

Cóż, później także powiedziała to i owo na temat jego matki. Kiedy Świński Ryj nawrzeszczał na chłopaka i znowu zniknął, a oni wszyscy wiedzieli, że wróci, by ich powyrzelać – w tych mglistych, zgęstniałych, okropnych chwilach po słowach Henry’ego: „Olive, przestań”, ona, Olive, powiedziała to i owo na temat jego matki:

– Przecież to ty nie możesz znieść tych klepiących zdrowaśki katolików! Matka cię tego nauczyła! Jeśli chodzi o Pauline, to była jedyną prawowierną chrześcijanką na świecie. Ona i jej greczny synek Henry. Wy dwoje byliście jedynymi dobrymi chrześcijanami na całym cholernym świecie!

Takie rzeczy. I jeszcze:

– Czy wiesz, co twoja matka mówiła ludziom, kiedy umarł mój ojciec? Że popełnił grzech! Pytam, gdzie w tym miejsce na miłość bliźniego?

Doktor wtrącił:

– Już dość. Proszę przestać.

Ale to było tak, jakby wewnątrz Olive uruchomiono nagle silnik i pojazd zaczął przyspieszać. Jak można powstrzymać coś podobnego?

Wymówiła słowo: „Żydówka”. Płakała, wszystko się poplątało i wreszcie zapytała:

– Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że to dlatego Christopher wyjechał? Bo poślubił Żydówkę i wiedział, że jego ojciec go za to potępi. Pomyślałeś kiedyś o tym, Henry?

W zapadłym nagle milczeniu, gdy chłopak siedział na desce sedesowej, chowając zbitą twarz w zgięciu ramienia, Henry odezwał się cicho:

– To podły zarzut z twojej strony, Olive, i sama wiesz, że niesłuszny. Christopher wyjechał dlatego, że po śmierci swojego ojca zawłaszczyłaś życie tego chłopaka. Nie zostawiałaś mu ani skrawka wolnej przestrzeni. Nie mógł pozostać w tym mieście jako żonaty mężczyzna.

– Zamknij się! – nakazała Olive. – Zamknij się, zamknij się.

Chłopak wstał, ściskając broń i mówiąc:

– Jezu, kurwa, Chryste. O kurwa, chłopie.

Henry powiedział:

– Och, nie – i Olive dostrzegła, że się zmoczył; na jego podółku i w nogawce rozszerzała się ciemna plama.

Lekarz przemówił:

– Spróbujmy zachować spokój. Spróbujmy siedzieć cicho.

Usłyszeli dobiegające z korytarza trzaski krótkofalówek, mocne, beznamiętne głosy osób kierujących akcją i wtedy chłopak się rozplakał. Nie próbował nawet tego ukryć i przez cały czas, stojąc, ścisnął pistolet. Wykonał ramieniem drobny gest, nieśmiały ruch i Olive szepnęła: „Nie rób tego”. Do końca miała żyć w przeświadczeniu, że chłopak zamierzał skierować lufę przeciw sobie, ale policja, w ciemnych kamizelkach i hełmach, była już wszędzie. Gdy rozcięto jej taśmę na nadgarstkach, ramiona i barki tak ją bolały, że nie mogła opuścić rąk wzdłuż boków.

Henry stał na frontowym tarasie, spoglądając na zatokę. Olive myślała, że zastanie go pracującego w ogrodzie, ale oto stał sobie i wpatrywał się w morze.

– Henry? – Jej serce łomotało mocno.

Odwrócił się.

– Witaj, Olive. Wróciłaś. Nie było cię dłużej, niż przewidywałem.

– Natknęłam się na Cynthię Bibber, a jej usta się nie zamykały.

– Co nowego u Cynthii?

– Nic, zupełnie nic.

Usiadła na płóciennym leżaku.

– Słuchaj – zaczęła – nie pamiętam dokładnie. Ale bronieś tej kobiety, a ja tylko próbowałam ci pomóc. Nie sądziłam, że chcesz wysłuchiwać tej gównianej katolickiej abrakadabry.

Pokręcił głową raz, jakby próbował wytrząsnąć wodę z uszu. Po chwili otworzył usta i zaraz je zamknął. Odwrócił się znowu w stronę wody i przez długą chwilę żadne z nich się nie odzywało. Wcześniej zdarzały się między nimi kłótnie, po których Olive czuła się chora, tak jak teraz. Ale, jak pomyślała, w pewnym momencie małżonkowie przestają się kłócić z określonych powodów, gdyż w sytuacji, kiedy masz więcej lat za sobą niż przed sobą, coś się zmienia. Czuła ciepło słońca na ramionach, choć niżej, nad rzeką, powietrze wydawało się bardziej rześkie.

Zatoka mieniła się w popołudniowym słońcu. Jakaś niewielka motorówka z wysoko uniesionym dziobem ruszyła w stronę Diamentowej Jaskini, a dalej dały się dostrzec łodzie z czerwonymi i białymi żaglami. Woda hałaśliwie obijała się o kamienie; nadchodził przypływ. Ptak kardynał zakrzyczał z wierzchołka sosny norweskiej i zapachniały liście laurowe z krzewów wyciągających gałązki ku słońcu.

Henry powoli się odwrócił i opadł na drewnianą ławkę, pochylony naprzód, z głową skrytą w dłoniach.

– Wiesz, Ollie – powiedział, spoglądając na nią zmęczonymi oczami w czerwonych obwódkach. – Przez wszystkie lata naszego małżeństwa ani razu nie przeprosiłaś. Za nic.

Zaczerwieniła się głęboko i natychmiast. Czuła, jak płonie jej twarz w promieniach słońca.

– No cóż, przepraszam. Przepraszam, przepraszam. – Zsunęła ciemne okulary z czubka głowy na oczy. – Co ty właściwie mówisz? – spytała. – Co ci dolega? O co ci, do diabła, chodzi? O przeprosiny? No więc dobrze, przepraszam. Przepraszam, że jestem taką podłą, okropną żoną.

Pokręcił głową i pochylił się naprzód, kładąc dłoń na jej kolanie. „Jeździsz w życiu różnymi drogami” – pomyślała Olive. Sama jeździła od lat do domu z Cook’s Corner, obok pola Taylora, zanim jeszcze stanął tam dom Christophera; a potem był tam dom, był Christopher, którego chwilę później już nie było. Inna droga i należało do niej przywyknąć. Ale umysł albo serce, nie



wiedziała co, zwolniło w tych dniach, nie nadrobiło straty. Poczła się jak duża, tłusta mysz polna, która wspina się na piłkę tuż przed sobą, a piłka obraca się coraz szybciej i mysz nie potrafi wbić w nią szaleńczo przebiegających łapek.

– Olive, tamtej nocy byliśmy przerażeni. – Lekko ścisnął jej kolano. – Obydwoje bardzo się baliśmy. Większość ludzi przez całe życie nie znajduje się w podobnej sytuacji. Mówiliśmy różne rzeczy i z czasem przejdziemy nad nimi do porządku. – Wstał, odwrócił się i popatrzył na morze, a Olive pomyślała, że musiał się odwrócić, bo wiedział, że mówi nieprawdę.

Wydawało się, że nigdy nie dojdą do siebie po tamtej nocy. I nie dlatego, że trzymano ich uwięzionych w łazience – co Andrea Bibber uznałaby za kryzys. Nie, nie mogli dojść do siebie po tamtej nocy, ponieważ obydwójce wypowiedzieli słowa, które zmieniły ich sposób postrzegania siebie nawzajem. I od owej chwili Olive płakała wewnątrz siebie, łzy płynęły jak z odkręconego kurka, ponieważ nie mogła oderwać myśli od rudego chłopaka o przerażonej, przyszczatej twarzy, zakochana w nim jak nastolatka, wyobrażała go sobie pracującego gorliwie w więziennym ogrodzie; gotowa uszyć dla niego ogrodniczki, na co pozwolił jej więzienny rzecznik, z materiału kupionego dzisiaj w So-Fro; nie mogła się powstrzymać, podobnie jak Karen Newton ze swoim facetem z Midcoast Power – nieszczęsna, wędnąca z tęsknoty Karen, której dziecko powiedziało: „To, że jesteś moją babcią, nie oznacza, wiesz, że muszę cię kochać”.

## Zimowy koncert

Jane, jego żona, siedziała w ciemnym wnętrzu samochodu zapięta pod szyję w swoim ładnym czarnym płaszczu, kupionym wspólnie rok wcześniej, po zwiedzeniu wszystkich sklepów. Duży wysiłek; poczuli pragnienie i w końcu wstąpili na deser lodowy do kawiarenki przy Water Street, gdzie młoda kelnerka o ponurym wyrazie twarzy za każdym razem dawała im rabat dla emerytów, choć nigdy o to nie prosili. Żartowali sobie później z tego, że dziewczyna, stawiając na stolczku ich kubki z kawą, nie ma pojęcia, iż jej ręce także będą kiedyś upstrzone wątrobowymi plamkami, a picie kawy trzeba będzie zaplanować ze względu na leki regulujące ciśnienie krwi i że życie toczy się coraz szybciej, aż wreszcie prawie całe przemija – co właściwie zapiera człowiekowi dech.

– Och, to świetna zabawa – odezwała się teraz jego żona, spoglądając poprzez mrok na mijane domy, w których świeciły się kolorowe bożonarodzeniowe lampki, a Bob Houlton uśmiechnął się, prowadząc samochód. Jane, zadowolona, złożyła ręce na kolanach. – Życie tych wszystkich ludzi – dodała. – Te historie, których nigdy nie poznamy. – On zaś uśmiechnął się szerzej i dotknął jej dłoni w mitence, ponieważ wiedział, że jej myśli mogą biec tym torem.

Gdy odwróciła głowę, drobny złoty kolczyk błysnął w świetle ulicznej latarni.

– Pamiętasz, jak podczas naszej podróży poślubnej chciałeś, żebym tak jak ty interesowała się tymi starymi ruinami miasta Majów, a ja chciałam tylko wiedzieć, kto z ludzi w autobusie ma w domu zasłonę prysznicową z pomponami? A potem się pokłóciliśmy, bo w głębi duszy zacząłeś żywić obawy, że ożeniłeś się z głupią gęsią? Miłą, ale głupią.

Odparł, że nie, niczego podobnego nie pamięta, na co westchnęła głęboko, dając mu do zrozumienia, iż jej zdaniem pamięta, a zaraz potem wskazała dom na rogu, cały przystrojony niebieskimi światełkami, girlandami niebieskich światełek na frontowej fasadzie – i obracała głowę, oglądając się w tamtą stronę, gdy przejeżdżali obok.

– Jestem stuknięty, Janie – powiedział.

– Jak najbardziej – zgodziła się. – Masz bilety?

Kiwnął głową.

– Zabawne, że potrzebne są bilety, aby wejść do kościoła.

Prawdę mówiąc, to miało sens: przeniesienie koncertów do kościoła Świętej Katarzyny, gdy po ostatniej burzy zawalił się dach Sali Muzycznej Macklin. Nikt nie został ranny, lecz to zdarzenie przyprawiło Boba Houltona o dreszcze; wyobraził sobie, jak siedzą, on i Jane, w fotelach obitych czerwonym pluszem i wtem zapada się sufit, dusząc ich na śmierć i kończąc w ten sposób ich wspólne życie. Ostatnio nawiedzały go podobne myśli. Nawet tego wieczoru przed wyjściem z domu miał złe przeczucia, ale nie wspominał o tym; a ona bardzo lubiła popatrzeć na te wszystkie światła.

I teraz naprawdę czuła się szczęśliwa. Jane Houlton, poprawiając się lekko wewnątrz swojego ładnego czarnego płaszcza, myślała o tym, że życie jest mimo wszystko darem – że kiedy człowiek się starzeje, zaczyna rozumieć, iż bardzo wiele chwil to nie były tylko chwile, to były dary. I jak miło, że ludzie tak gorliwie celebrują te dni w roku. Niezależnie od tego, co kryło się

w ludzkich żywotach (niektóre z mijanych domów musiały zawierać w sobie bolesne i ciężkie utrapienia, Jane wiedziała coś o tym), ludzie mimo wszystko czuli się w obowiązku obchodzić święta, ponieważ wiedzieli skądś, każdy na swój sposób, że życie jest czymś, co należy celebrować.

Włączył migacz i wjechał w aleję.

– Naprawdę, to było miłe – powiedziała Jane, odchylając się na oparcie. Ostatnimi czasy dobrze się razem bawili, czerpali z życia prawdziwą przyjemność. Zupełnie jakby małżeństwo było długim posiłkiem złożonym z wielu dań, po którym przyszedł czas na przepyszny deser.

W centrum miasta samochody przemieszczały się powoli główną ulicą, mijając latarnie uliczne z zawieszonymi na nich ogromnymi wieńcami, witryny sklepowe i jasno oświetlone restauracje. Tuż za kinem Bob wypatrzył wolne miejsce obok krawężnika i zjechał tam; zajęło mu to nieco czasu, musiał bardzo uważać, żeby wcisnąć się między inne auta. Ktoś z tyłu zatrąbił niecierpliwie.

– Och, wypchaj się. – Jane w ciemności zrobiła minę.

Bob wyprostował koła, wyłączył silnik.

– Zaczekaj, Jane, aż podejść z drugiej strony.

Nie byli już młodzi, w tym cały problem. Powtarzali sobie nawzajem, że w to nie wierzą, każde z nich jednak przeszło w ciągu ostatniego roku lekki zawał serca. Najpierw ona – poczuła się, tak twierdziła, jakby zjadła na kolację za dużo przypiekanej cebulki. A po kilku miesiącach on – choć wcale nie czuł się aż tak źle, raczej jakby ktoś usiadł mu na piersi, ale szczęka bolała go tak samo jak wcześniej Jane.

Teraz czuli się niezgorzej. Ona miała jednak siedemdziesiąt dwa lata, a on siedemdziesiąt pięć i pomijając ewentualność, że zginą razem pod walącym się dachem, jedno będzie przypuszczalnie musiało w pewnej chwili żyć bez drugiego.

Sklepowe witryny skrzyły się od bożonarodzeniowych lampek, powietrze pachniało śniegiem. Bob ujął Jane pod rękę i ruszyli ulicą, spoglądając w okna restauracji przystrojone na rozmaite sposoby ostrokrzewem i wieńcami; gdzieniegdzie szyby pomalowano w rogach na białą.

– Lydiowie – powiedziała nagle Jane. – Pomachaj do nich, kochanie.

– Gdzie?

– Po prostu pomachaj. Tam są.

– Nie ma sensu, żeby machać, jeśli nie widzę, do kogo.

– To Lydiowie, tam w restauracji. Nie widzieliśmy się z nimi od wieków. – Jane wymachiwała ręką z przesadnym ożywieniem. Teraz ich dostrzegł, siedzących naprzeciw siebie przy stoliku nakrytym białym obrusem, i również pomachał. Pani Lydiowa dawała Houltonom znaki, żeby weszli do środka.

Bob ujął ramię żony.

– Nie chcę – powiedział, machając drugą ręką do Lydiów.

Jane pomachała jeszcze kilka razy, pokręciła głową, wykonała gest i poruszyła ustami, formując wyraźnie każde słowo: „Spotkamy się później. Na koncercie?”. Potakujące skinienia głowami. Ostatnie machnięcia i ruszyli dalej.

– Dobrze wygląda – zauważyła Jane. – Ona. Trochę mnie zaskoczyło, że tak dobrze. Z pewnością farbuje włosy.

– Chciałaś tam wejść?

– Nie – odparła. – Chcę pooglądać wystawy. Jest przyjemnie, nie za zimno.

– No to teraz uzupełnij moją wiedzę – poprosił, gdy szli ulicą, myśląc o Lydiach, którzy

naprawdę nosili nazwisko Granger, Alan i Donna Granger. Ich córka Lydia przyjaźniła się ze średnią córką Houltonów, a Patty Granger z najmłodszą. Bob i Jane jeszcze teraz nazywali rodziców przyjaciółek swoich córek od imion ich dzieci.

– Lydia rozwiodła się kilka lat temu. Mąż ją gryzł. Przypuszczam, że to ma być tajemnica.

– Gryzł? Czy bił?

– Gryzł. – Jane dwukrotnie kłapnęła zębami. – No wiesz, kąsał. Był weterynarzem, jak mi się zdaje.

– Dzieci też gryzł?

– Nie przypuszczam. Mają ich dwoje. Jedno jest nadpobudliwe, nie potrafi się skupić, tak jak to się teraz zdarza dzieciakom, taka choroba, że nie mogą usiedzieć spokojnie. Lydiowie nie chcą o tym rozmawiać, więc nie poruszaj tego tematu. Dowiedziałam się o wszystkim w bibliotece od tej kobiety z różowymi włosami. Chodźmy. Chcę usiąść w bocznej nawie.

Od dnia, w którym dostała ataku serca, Jane się martwiła, że umrze w miejscu publicznym. Atak przydarzył się jej w kuchni własnego domu, lecz myśl, że mogłaby przewrócić się na oczach ludzi, bardzo ją niepokoiła. Przed laty była świadkiem takiego zdarzenia, gdy jakiś mężczyzna umarł na chodniku. Sanitariusze rozerwali jego koszulę i wciąż jeszcze chciało się Jane płakać, gdy to sobie przypominała – miękka nieświadomość, nieobecność jego szeroko rozrzuconych ramion, odsłoniętego brzucha. Biedulek, pomyślała wówczas, tak tam leży, martwy.

– A ja chciałbym usiąść z tyłu – powiedział jej mąż. Kiwnęła głową. Jego jelita nie działały już tak jak dawniej; czasami musiał w pośpiechu opuścić jakieś miejsce.

Kościół był ciemny i zimny, niemal pusty. Pokazali swoje bilety i dostali programy, które trzymali ostrożnie, wsuwając się w jedną z tylnych ławek, siadając i rozpinając płaszcze, lecz ich nie zdejmując.

– Wypatruj Lydiów – przypomniała Jane, odwracając głowę.

Wziął ją za rękę, skubnął nerwowo koniuszki jej palców.

– Czy to Lydia przez pewien czas nocowała w każdy weekend, czy jej siostra? – zapytał Bob, podczas gdy Jane odchyłała głowę, spoglądając na strop kościoła, na grube, ciemne krokwie.

– To była Patty, jej siostra. Nie tak miła jak Lydia. – Jane pochyliła się w stronę męża i szepnęła: – Lydia, wiesz, usunęła ciążę, kiedy uczyła się w liceum.

– Wiem, pamiętam.

– Pamiętasz? – Jane popatrzyła na męża zaskoczona.

– Oczywiście – odparł Bob. – Mówiłaś mi, że przychodziła do twojego gabinetu i miała bolesne skurcze. Raz, jak przyszła, płakała przez dwa dni.

– Zgadza się – przytaknęła Jane, której zrobiło się nieco cieplej w płaszczu. – Biedactwo. Już wtedy coś podejrzewałam i wkrótce potem dowiedziałam się od Becky, że to prawda. Rzeczywiście mnie dziwi, że o tym pamiętasz. – W zamyśleniu przygryzła wargę, zakołysała stopą.

– Co? – spytał. – Myślałaś, że nigdy cię nie słucham? Słuchałem, Janie.

Z westchnieniem machnęła ręką i odchyliła się na oparcie ławki. Odezwała się po chwili zastanowienia:

– Lubiłam tam pracować. – Istotnie lubiła. A najbardziej lubiła dorastające dziewczęta, młode, niezgrabne, wystraszone dziewczęta o tłustej cerze, które mówiły zbyt głośno, wydmuchiwały trzaskające balony z gumy do żucia albo przemykały korytarzem ze spuszczoneymi głowami – kochała je, po prostu. I wiedziały o tym. Przychodziły do jej gabinetu z okropnymi skurczami,

kładły się na sofie z poszarzałymi twarzami i ustami zaschniętymi z bólu. „Ojciec mówi, że sobie to wszystko wymyślam” – powtarzała niejedna z nich, a Jane krajało się serce. Każda dziewczyna cierpiała w samotności. Czasami pozwalała im zostać na całe popołudnie.

Kościół zapełniał się powoli. Wkroczyła Olive Kitteridge, wysoka i tęga, w granatowym płaszczu; tuż za nią szedł jej mąż. Henry Kitteridge dotknął ramienia żony, wskazując najbliższą ławkę, lecz Olive pokręciła głową i usiedli o dwie ławki dalej.

– Nie wiem, jak on z nią wytrzymuje – szepnął Bob do Jane.

Obserwowali Kitteridge'ów zasiadających w ławce. Olive otrzepała płaszcz i narzuciła go z powrotem na ramiona z pomocą Henry'ego. Olive Kitteridge uczyła kiedyś matematyki w szkole, w której pracowała Jane; bardzo rzadko zamieniały z sobą więcej niż kilka słów. Olive miała sposób bycia, którego nic nie usprawiedliwiało i Jane zachowywała dystans. W odpowiedzi na obecną uwagę Boba wzruszyła tylko ramionami.

Odwracając głowę, dostrzegła Lydiów wchodzących tylnymi schodami na balkon chóru.

– Bardzo dawno ich nie widzieliśmy. Donna znakomicie wygląda.

Uścisnął jej dłoń i szepnął:

– Ty też.

Członkowie orkiestry wyszli w swoich czarnych strojach i zajęli miejsca tuż przed amboną. Ustawiono pulpity i podpórki pod odpowiednim kątem, muzycy unieśli podbródki i smyczki – po czym nastąpiły dysonansowe dźwięki strojonych instrumentów.

Jane trochę martwiło, że wie o Lydii Granger coś, czego jej matka, pani Lydiowa, może jeszcze nie wiedzieć. Wydawało się to nieprzyzwoite, niedyskretne. Ale ludzie dowiadywali się w końcu tego i owego. Gdy byłaś szkolną higienistką albo bibliotekarką z różowymi włosami, dowiadywałaś się, kto miał współmałżonka alkoholika, czyje dzieci cierpiały na zespół nadpobudliwości psychoruchowej (tak się to nazywało), kto rzucał talerzami, kto spał na kanapie w salonie. Nie chciała myśleć, że są teraz w tym kościele ludzie, którzy wiedzą o jej dzieciach coś, czego ona sama nie wie. Wsunęła głowę w stronę Boba i powiedziała:

– Mam nadzieję, że nie ma w tym kościele ludzi, którzy wiedzą o moich dzieciach coś, czego ja nie wiem.

Muzycy zaczęli grać, on zaś mrugnął do niej jednym okiem, niespiesznie i pokrzepiająco.

W trakcie utworu Debussy'ego zapadł w drzemkę z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Zerkając na męża, Jane czuła, że jej serce nabrzmiewa muzyką, a także miłością do niego, tego siedzącego obok niej starego (!) człowieka, którego przez całe życie prześladowały kłopoty z czasów dzieciństwa – matka, która nieustannie była na niego wściekła. Jane widziała w wyrazie jego twarzy małego chłopca, skrytego, wiecznie przestraszonego; nawet gdy teraz przysnął w kościele, jego twarz zdradzała napięcie i niepokój. „Dar – pomyślała ponownie, muskając lekko jego nogę dłonią w mitence. – To dar, móc znać kogoś przez tyle lat”.

Pani Lydiowa poddała się korekcie okolic oczu; teraz wyglądały jak u szesnastoletniej dziewczyny.

– Wyglądasz wspaniale – powiedziała Jane, choć z bliska efekt wydawał się przerażający. – Po prostu wspaniale – powtórzyła, ponieważ to musiało wzbudzać lęk, że ktoś przysuwa skalpel tak blisko twoich oczu. – Jak się miewa Lydia? – zapytała. – I pozostałe dziewczęta?

– Lydia po raz drugi wychodzi za mąż – odparła pani Lydiowa, odsuwając się nieco, by kogoś przepuścić. – Bardzo się z tego cieszymy.

Jej mąż, krępy i przygarbiony mężczyzna, przewrócił oczami i zabręczał drobnymi

w kieszeni.

– Coraz drożej wychodzą – oznajmił, na co żona w czerwonym pilśniowym kapeluszu skrywającym złociste włosy obrzuciła go przelotnym spojrzeniem, które zignorował. – Te cholerne rachunki od psychiatrów – dodał, zwracając się do Boba z porozumiewawczym uśmiechem pod tytułem „my, mężczyźni”.

– Jasne – przytaknął uprzejmie Bob.

– Ale teraz wy opowiedzcie, co porabiają wasze króliczki. – Szminka pani Lydiowej była ciemna, idealnie położona na ustach.

I Jane wyrecytowała, ile lat mają ich wnuki, opisała zawody zięciów oraz dziewczynę, co do której mieli nadzieję, że Tim ją niebawem poślubi. Ponieważ Lydiowie kiwali tylko głowami, nie mówiąc nawet: „To miłe”, Jane czuła się zmuszona kontynuować, wypełnić przestrzeń między ich zbliżonymi, niemal zawieszonymi obok siebie twarzami.

– Tim skakał w tym roku ze spadochronem – poinformowała i opowiedziała, jaka była śmiertelnie przerażona. Wydawało się, że po kilku razach mu się to znudziło; nigdy więcej o tym nie wspominał. – Ale naprawdę – dodała, dygocząc nagle i otulając się czarnym płaszczem – wyobrażacie sobie taki skok z samolotu? – Ona sama wyobrażała go sobie aż za dobrze i jej serce od razu kołatało.

– Raczej nie jesteś ryzykantką, prawda, Jane? – Pani Lydiowa wpatrywała się w nią tymi swoimi nowymi oczami; to denerwujące, kiedy z twarzy starej kobiety patrzą na ciebie oczy szesnastolatki.

– Nie – odparła Jane, lecz poczuła mgliście, że ją obrażono, i gdy ramię Boba musnęło jej łokieć, odniosła wrażenie, że on również zrozumiał to w ten sposób.

– Zawsze cię bardzo lubiłem, Jane Houlton – oświadczył przysadzisty, czerwonolicy pan Lydia, wyciągając rękę i głaszcząc jej ramię przez rękaw czarnego płaszcza.

Poczuła się nagle wyczerpana tymi głupstwami. Co można powiedzieć, gdy krępy i niezbyt przystojny mężczyzna, z którym mijasz się od lat na tej samej drodze, oznajmia nagle, że zawsze bardzo cię lubił?

– Czy zamierzasz przejść na emeryturę, Alan? – zagadnęła uprzejmie.

– Za nic – odparł. – Przejdę na emeryturę w dniu śmierci. – Zaśmiał się, oni razem z nim, a w szybkim spojrzeniu, które rzucił pani Lydiowej, na co ona przewróciła swymi nowymi oczyma, Jane Houlton wyczytała, że on nie chce przebywać przez cały dzień w domu ze swoją żoną, ona zaś również go sobie tam nie życzy.

Pani Lydiowa zwróciła się do Boba:

– Więc jesteś teraz na emeryturze? Czy to nie zabawne, tak się spotkać na lotnisku w Miami? Świat jest mały – dodała, pociągając się za płatek ucha dłonią w rękawiczce i zerkając na Jane, następnie odwróciła głowę i spojrzała w górę, na schodki prowadzące na chór.

Bob odsunął się na bok, gotów się cofnąć z powrotem w głąb kościoła.

– Kiedy to było? – spytała Jane. – Miami?

– Kilka lat temu. Odwiedziliśmy wtedy tych znajomych, o których ci mówiliśmy – pan Lydia kiwnął głową w stronę Boba – na ich małym zamkniętym osiedlu. Muszę powiedzieć, że to nie w moim guście. – Pokręcił głową i spojrzał na Boba, mrużąc oczy. – Nie zaczynasz wariować, gdy cały dzień siedzisz w domu?

– Kocham to – oznajmił stanowczo Bob. – Uwielbiam.

– Zajmujemy się różnymi rzeczami – dodała Jane, jakby musiała się z czegoś tłumaczyć.

– Jakimi rzeczami?

I w tym momencie Jane ją znienawidziła, tę wysoką kobietę z wymalowaną twarzą i oczami patrzącymi twardo spod ronda czerwonego kapelusza. Nie chciała opowiadać pani Lydiowej, jak codziennie wczesnym rankiem idą z Bobbym na spacer, jak wracają i parzą kawę, jedzą płatki śniadaniowe z otrębami i czytają jedno drugiemu gazety. Jak planują dzień, jak jadą na zakupy – na przykład po jej płaszcz albo po specjalne buty, bo ostatnio stopy bardzo Bobowi dokuczały.

– Spotkaliśmy wtedy jeszcze kogoś – powiedział pan Lydia. – Shepherdów. Przebywali w kurorcie golfowym na północ od miasta.

– Świat jest mały – powtórzyła pani Lydiowa, ponownie dotykając ucha dłonią w rękawiczkę i tym razem nie patrząc na Jane, lecz w górę na schodki.

Olive Kitteridge przedzierała się przez tłum. Ponieważ była wyższa niż większość osób, dało się dostrzec jej głowę, kiedy mówiła coś do swego męża Henry’ego, który potakiwał z wyrazem tłumionego rozbawienia na twarzy.

– Lepiej wracajmy tam. – Bob wskazał ruchem głowy wewnątrz kościoła, dotykając łokcia Jane.

– Chodźmy – powiedziała pani Lydiowa, trącąc rękaw męża programem. – Rusz się. Miło było was zobaczyć. – Pomachała palcami w stronę Jane i weszła na schodki.

Jane przecisnęła się obok grupy ludzi stojących przy samym wejściu i obydwój z Bobem wrócili do swojej ławki. Jane otulała się płaszczem i krzyżowała nogi, zmarznięte mimo czarnych wełnianych spodni.

– On ją kocha – oznajmiła tonem napomnienia. – Dlatego z nią wytrzymuje.

– Pan Lydia?

– Nie. Henry Kitteridge.

Bob nie odpowiedział i obydwój przyglądali się wchodzącym ludziom, którzy zajmowali swoje miejsca, wśród nich Kitteridge’owie.

– Miami? – zwróciła się Jane do męża. – O czym oni mówili? – Spojrzała na niego.

Bob wysunął dolną wargę i wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie wie.

– Kiedy byłeś w MIAMI?

– Zapewne mieli na myśli Orlando. Pamiętasz, że musiałem tam osobiście zlikwidować konto?

– Spotkałeś Lydiów na lotnisku na Florydzie? Nigdy mi o tym nie wspominałeś.

– Na pewno wspomniałem. To było wieki temu.

Muzyka zawładnęła kościołem. Wypełniła całą przestrzeń, której nie zajmowali ludzie, ich okrycia albo ławki, wypełniła całą głowę Jane Houlton. Jane poruszyła szyję w przód i w tył, jakby chciała zrzucić kłopotliwe brzemię dźwięku i zdała sobie sprawę, że nigdy nie lubiła muzyki, która zdawała się przywoływać wszystkie cienie i bóle przeszłości. Niech się nią rozkoszują inni, ci ludzie, którzy słuchają z taką powagą, wystrojeni w futra i czerwone pilśniowe kapelusze, ci, którzy wiodą nużące życie. Coś ścisnęło jej kolano – dłoń jej męża.

Popatrzyła na tę dłoń, rozpostartą na tle czarnego płaszcza, który kupili razem. Była to duża ręka starego człowieka; piękna ręka o długich palcach i zaznaczających się wyraźnie żyłach, równie znajoma dla Jane jak jej własna.

– Dobrze się czujesz? – Przybliżył usta do jej ucha, lecz odniosła wrażenie, że szepcze zbyt głośno. Zakreśliła kółko dwoma palcami, co w ich własnym języku migowym sprzed lat oznaczało: „Chodźmy stąd”, na co skinął głową.

– Wszystko w porządku, Janie? – zapytał już na chodniku, trzymając ją pod łokieć.

– Och, jakoś mnie męczy ta poważna muzyka. Masz coś przeciw temu?

– Nie. Dość się nasłuchałem.

W samochodzie, w jego ciemnym, cichym wnętrzu, poczuła łączącą ją z mężem nieć porozumienia, znajomość rzeczy. To coś towarzyszyło im wcześniej w kościele, niczym dziecko ściśnięte między nimi w ławce, ta obecność, która wkradła się w ich wspólny wieczór.

Jane powiedziała cicho:

– O Boże.

– Co, Janie?

Pokręciła głową i nie powtórzył pytania.

Światło sygnalizatora przed nimi zmieniło się na żółte. Bob zwolnił, a potem przystanął.

– Nienawidzę jej – wyrwało się Jane.

– Kogo? – W jego głosie pobrzmiwało zdziwienie. – Olive Kitteridge?

– Oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym jej nienawidzić? Donny Granger. Nienawidzę jej. Jest w niej coś, co mnie przyprawia o gęsią skórkę. Samozadowolenie. „Wasze króliczki”. Nienawidzę jej. – Jane aż tupnęła w podłogę auta.

– Nie sądzę, żeby warto było się tym aż tak przejmować, Janie. Naprawdę. A ty się przejmujesz? – spytał Bob, ona zaś dostrzegła kątem oka, że nie zwrócił głowy w jej stronę, mówiąc te słowa.

W ciszy, która teraz nastąpiła, gniew Jane narastał; potężniał, wzbierając wokół nich niczym woda, jakby nagle zjechali z mostu do jeziora i ugrzęźli w czymś zimnym i nieruchomym.

– Zajęta wizytami u fryzjera, nawet nie wiedziała, że jej dziecko jest w ciąży. Nawet o tym nie wiedziała! Prawdopodobnie nie wie do dzisiaj. Nie wie, że to ja pocieszałam dziewczynę lata temu, to ja się o nią zamartwiałam!

– Byłaś miła dla tych dziewcząt.

– Ale ta młodsza siostra, Patty... Miała paskudny charakter. Nigdy jej nie ufałam i Tracy też nie powinna.

– O czym ty, u licha, mówisz?

– Tracy była zbyt naiwna, wiesz. Nie pamiętasz tamtego wieczoru, kiedy czuła się taka załamana po piżamkowym przyjęciu?

– Tych przyjęć musiało być ze sto, Jane. Nie, tego akurat nie pamiętam.

– Patty Granger powtórzyła Tracy, jak to inna dziewczynka jej nie lubi, jakaś inna dziewczynka. „Ona cię naprawdę nie lubi, wiesz?” – Jane wydawała się bliska płaczu na to wspomnienie. Drżał jej podbródek.

– Co ty opowiadasz? Przecież bardzo lubiłaś Patty.

– Karmiłam Patty – odparła Jane ostrym tonem. – Karmiłam tę dziewczuchę przez lata. Rodziców nigdy nie było w domu. Jeździli to tu, to tam, tu przyjęcie, tam wieczorek, a o ich dzieci musieli się troszczyć inni ludzie.

– Uspokój się, Janie.

– Proszę, tylko nie każ mi się uspokoić – powiedziała. – Proszę cię, Bob.

Usłyszała jego ciche westchnienie i w mroku potrafiła sobie wyobrazić, jak przewraca oczami.

Resztę drogi przejechali w milczeniu, mijając bożonarodzeniowe światełka i rozmigotane renifery. Jane wyglądała przez okno, wsunawszy ręce w kieszenie płaszcza. Dopiero za miastem, na końcowym długim odcinku Basing Hill Road, odezwała się cicho, z nutą nieklamanej konsternacji w głosie:

– Bobby, nie wiedziałam, że spotkałeś Lydiów na lotnisku w Orlando. Chyba nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– Prawdopodobnie zapomniałaś. To było dawno temu.



Przed nimi księżyc przeświecał zza drzew niczym lśniący zakrzywiony okrawek na tle czarnego nocnego nieba i coś się poruszyło w umyśle Jane, jak w wypełnionym wodą basenie. Chodziło o sposób, w jaki Lydiowa na nią patrzyła, a potem odwróciła oczy przed wejściem na schodki. Teraz Jane z rozmysłem nadała głosowi spokojne brzmienie, niemal jak w towarzyskiej rozmowie.

– Bobby – zaczęła – proszę, powiedz mi prawdę. Spotkałeś ich w Miami, czy tak?

Kiedy nie odpowiedział, poczuła ból w żołądku i głęboko w jej wnętrzu zadrgała drzazga odwiecznej udręki. Jakże ją męczyło to szczególne, znajome cierpienie, ten ciężar, który wydawał się jej czymś podobnym do grubej warstwy matowego srebra, rozlewającego się w niej od środka i pokrywającego wszystko, gaszącego bożonarodzeniowe lampki, latarnie uliczne, śnieżny puch; całe piękno świata zniknęło.

– O Boże – powiedziała. – Nie mogę w to uwierzyć. – Dodała: – Naprawdę nie mogę uwierzyć.

Bob wjechał na podjazd i zgasił silnik. Siedzieli w aucie.

– Janie...

– Powiedz mi. – Taka spokojna. Nawet westchnęła lekko. – Proszę, powiedz.

Słyszała w ciemnym wnętrzu samochodu jego przyspieszony oddech, a także swój. Chciała zawołać, że ich serca są już na to za stare; nie można tak traktować serca i oczekiwać, że zawsze wytrzyma.

W przyćmionym świetle padającym z frontowego ganku jego twarz wyglądała trupio i upiornie. Byleby tylko nie umarł teraz.

– Po prostu powiedz mi – powtórzyła łagodnym tonem.

– Ona zachorowała na raka piersi, Janie. Zadzwoiła do mnie do biura tamtej wiosny, tuż przed tym, jak przeszedłem na emeryturę, a od lat nie miałem od niej żadnej wiadomości. Od lat, Janie.

– Rozumiem – odparła Jane.

– Była bardzo nieszczęśliwa. Czuję się podle. – Wciąż nie patrzył na nią; spoglądał w przestrzeń ponad kierownicą. – Czuję się... sam nie wiem. Naprawdę żałuję, że wtedy zadzwoniła. – Odchylił się na oparcie i odetchnął głęboko. – Musiałem polecieć do Orlando, żeby zamknąć ten rachunek, więc obiecałem, że się z nią spotkam, i tak się stało. Poleciałem do Miami i zobaczyłem się z nią, to było okropne, po prostu żalosne, a następnego dnia wróciłem z Miami, gdzie spotkałem Grangerów.

– Spędziłeś z nią noc w Miami? – Jane teraz dygotała; szczerkałyby jej zęby, gdyby im na to pozwoliła.

Bob osunął się niżej w fotelu. Oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy.

– Chciałem tamtego wieczoru wrócić do Orlando. Takie miałem plany. Ale było już na to za późno. Czuję, że jeszcze nie mogę wyjść, a potem rzeczywiście zrobiło się zbyt późno, żebym mógł bezpiecznie prowadzić samochód. To było okropne, Janie. Gdybyś tylko wiedziała, jakie okropne, głupie i żalosne.

– A od tamtego czasu jak często z nią rozmawiałeś?

– Telefonowałem do niej raz, kilka dni po powrocie, i na tym koniec. Mówię ci prawdę.

– Czy ona nie żyje?

Pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Gdyby umarła, pewnie bym się dowiedział od Scotta albo Mary, więc przypuszczam, że żyje. Ale nie mam pojęcia.

– Myślisz o niej?

Skierował ku żonie w półmroku błagalne spojrzenie.

– Jane, myślę o tobie. Tylko na tobie mi zależy. To się zdarzyło cztery lata temu. Upłynęło dużo czasu.

– Wcale nie. W naszym wieku to jak szybkie przewrócenie kilku stron. Myk-myk. – Wykonała w ciemności pospieszny gest, poruszając nadgarstkiem.

Nie odpowiedział, spojrzął tylko na nią z głową opartą o zagłówek, jakby spadł z jakiegoś drzewa, i teraz leżał, nie mogąc wstać, kierując ku niej oczy przepełnione wyczerpaniem i strasznym smutkiem.

– Liczysz się tylko ty, Janie. Ona nie ma znaczenia. Spotkanie z nią nie miało dla mnie znaczenia. Zrobiłem to tylko dlatego, że ona tego chciała.

– Ale ja tego nie rozumiem – powiedziała Jane. – To znaczy, w obecnej fazie naszego życia nie rozumiem. Dlatego że ona chciała?

– Nie dziwię ci się, Janie. To absurd. To było po prostu... nic. – Zakrył twarz dłonią w obszernej rękawicy.

– Muszę wejść do domu, bo zamarzam. – Wsiadła z auta i wspięła się po frontowych schodkach takim krokiem, jakby się potykała, choć tak nie było. Zaczekała, aż Bob otworzy drzwi, by przesliznąć się obok niego do kuchni, następnie zaś przez jadalnię do salonu, gdzie usiadła na sofie.

Wszedł za nią, zaśwycił lampę i przysiadł na niskim stoliku, zwrócony twarzą ku żonie. Przez długą chwilę po prostu tak siedzieli. Poczuli, że znowu ma złamane serce. Tylko że teraz była stara, więc to wyglądało inaczej. Bob zsunął z siebie płaszcz.

– Przynieść ci coś? – zapytał. – Gorącą czekoladę? Może herbatę?

Pokręciła głową.

– Zdejmij przynajmniej płaszcz, Janie.

– Nie – odparła. – Jest mi zimno.

– Och, proszę cię, Janie. – Poszedł na górę i przyniósł jej ulubiony, żółty, rozpinany sweter z angorskiej wełny.

Położyła sweter na kolanach.

Bob usiadł obok niej na sofie.

– Och, Janie – powiedział. – Zasmuciłem cię.

Pozwoliła mu, po chwili, pomóc założyć sobie sweter.

– Starzejemy się – oznajmiła. – Pewnego dnia umrzemy.

– Janie.

– Boję się tego, Bobby.

– Chodź do łóżka – zachęcił. Ale pokręciła głową. Odsuwając się od jego ramienia, zapytała:

– Czy ona nie wyszła za mąż?

– Och, nie – odparł. – Nie, nie wyszła za mąż. Ona ma kłopoty natury psychicznej, Janie.

Po chwili Jane powiedziała:

– Nie chcę o niej rozmawiać.

– Ja też nie chcę.

– Nigdy.

– Nigdy.

Dodała:

– Chodzi o to, że nasz czas mija.

– Nie, Janie. Mamy przed sobą jeszcze dwadzieścia wspólnych lat.

Gdy to powiedziała, ogarnęło ją nagle głębokie współczucie.

– Muszę tu jeszcze chwilę posiedzieć – powiedziała. – Ty idź do łóżka.

– Zostanę z tobą.

I tak usiedli razem. Lampka ze stolika pod ścianą rzuciła poważne, przyćmione światło na cichy pokój.

Jane w milczeniu nabrała tchu i pomyślała, że nie zazdrości tym dziewczętom w lodziarni. Za znudzonymi oczami kelnerek podających lodowe desery kryła się – Jane wiedziała o tym – żarliwość, głębokie pragnienia i wielkie rozczarowania; czekało je mnóstwo nieporozumień, a ponadto (co bardziej wyczerpujące) gniew. Och, zanim z tym skończą, będą kogoś obwiniać, obwiniać i obwiniać, a potem także i tym się zmęczą.

Usłyszała tuż obok zmieniony oddech męża. Odpłynął nagle w sen, z głową odchyłoną na poduszki sofy. I raptem cały się wzdrygnął.

– Co ci jest? – Dotknęła jego ramienia. – Bobby, co ci się przyśniło?

– Ufff – sapnął, unosząc głowę. W półmroku salonu wyglądał jak na pół oskubany ptak. Jego cienkie suche włosy sterczały we wszystkie strony i pod różnymi kątami. – Że dach sali koncertowej się zawalił – wyjaśnił.

Pochyliła się ku niemu.

– Jestem tutaj – powiedziała, przykładając dłoń do jego policzka. Ponieważ co teraz mieli, prócz siebie nawzajem, i co można było zrobić, jeśli nawet to nie było w pełni prawdą?

## Tulipany

Ludzie myśleli, że Larkinowie się wyprowadzą po tym, co się stało. Ale się nie wyprowadzili – być może nie mieli dokąd. Ich rolety pozostawały jednak zaciągnięte, w dzień i w nocy. Choć od czasu do czasu w zimowym zmroku widywano Rogera Larkina odśnieżającego podjazd. Albo latem, gdy wybujała trawa zaczynała smętnie wyglądać, można go było zobaczyć z kosiarką na trawniku. W obu przypadkach nosił kapelusz głęboko nasunięty na oczy i nawet nie patrzył, kto przejeżdża obok. Co do Louise, w ogóle nikt jej nie widywał. Podobno przez pewien czas przebywała w szpitalu w Bostonie – ich córka mieszkała niedaleko Bostonu, więc to byłoby logiczne – lecz Mary Blackwell, która obsługiwała aparat rentgenowski w Portland, twierdziła, że Louise była w tamtejszym szpitalu. Co ciekawe, potępiono Mary za rozpowszechnienie tej informacji, choć wówczas każdy w mieście dałby sobie uciąć palec, żeby usłyszeć jakąkolwiek nowinę. Nastąpił jednak drobny wybuch emocji skierowanych przeciw Mary. Ludzie mówili, że przy obecnych przepisach dotyczących ochrony prywatności mogła nawet stracić pracę. „Przypomnijcie mi, żebym nigdy nie poddawał się terapii wstrząsowej w Portland”, mówili. A Cecil Green, który przynosił gorącą kawę i pączki reporterom koczującym wokół domu, dostał burę od Olive Kitteridge.

– Co ci, u diabła, dolega? – zapytała Olive z naciskiem przez telefon. – Żeby karmić te sępy... dobry Boże.

Ale wszyscy wiedzieli, że Cecil jest mało pojętny, więc Henry Kitteridge poprosił żonę, by zostawiła chłopaka w spokoju.

Skąd Larkinowie brali artykuły spożywcze, nie wiedział nikt. Przypuszczano, że to córka z Bostonu ma jakiś udział w dostarczaniu rodzicom jedzenia, ponieważ mniej więcej raz w miesiącu na podjeździe parkował samochód z tablicą rejestracyjną ze stanu Massachusetts, a ponieważ nigdy nie widywano owej córki w miejscowym sklepie, być może przyjeżdżała z mężem, którego nikt z mieszkańców Crosby nie potrafił już rozpoznać, i być może to on robił jakieś zakupy w Mardenville.

Czy Larkinowie przestali odwiedzać syna? Nikt nie wiedział i po pewnym czasie ludzie przestali o tym zbyt często rozmawiać; czasami, przejeżdżając obok domu – dużego i kwadratowego, pomalowanego na bladożółty kolor – nawet odwracali głowy. Nie chcąc sobie przypominać, co może się zdarzyć w rodzinie, która sprawiała wrażenie miłej i pachnącej niczym placek z jagodami.

To właśnie Henry Kitteridge, reagując w środku nocy na informację z komendy policji, że w jego aptece włączył się alarm (do środka dostał się szop praczy), zobaczył Larkinów wyjeżdżających ze swojego podjazdu: Roger prowadził, a Louise – przypuszczalnie Louise, gdyż kobieta miała głowę otuloną szalem, a na nosie ciemne okulary – siedziała nieruchomo obok. Była druga nad ranem i wtedy Henry zrozumiał, że ci ludzie wyjeżdżają i wracają pod osłoną nocy, że najprawdopodobniej, prawie na pewno, jeżdżą do Connecticut, by odwiedzić syna, robili to jednak ukradkiem, i pomyślał, że może już zawsze będą tak żyli. Wspomniał o tym Olive, która powiedziała tylko: „Ajajaj!”, dość łagodnie.

W każdym razie Larkinowie wraz z ich domem i zamkniętą w nim historią zatarli się w końcu w ludzkiej pamięci, tak że ich siedziba z zaciągniętymi roletami przybrała z biegiem czasu charakter kolejnego pagórka w dramatycznie pofałdowanym nadmorskim pejzażu. Naturalna gumka recepturka, którą naciągała ludzka ciekawość, dawno zacisnęła się wokół innych szczegółów. Minęły dwa lata, pięć, potem siedem lat, a Olive Kitteridge czuła się niemal zaduszona nieznośnym brzemieniem samotności.

Christopher, jej syn, się ożenił. Olive i Henry byli wręcz zbulwersowani apodyktycznością synowej, która wychowała się w Filadelfii, w prezencie na Gwiazdkę oczekiwała diamentowej bransoletki tenisowej (co to było takiego, bransoletka tenisowa? Christopher ją kupił) i która w restauracji odsyłała dania, a raz nawet zażądała rozmowy z szefem kuchni. Olive cierpiała z powodu najwyraźniej niekończącej się menopauzy i przy tej dziewczynie doznawała wyjątkowo mocnych uderzeń gorąca, aż pewnego razu Suzanne zaproponowała:

– Jest taki sojowy suplement diety, który mogłabyś zażywać, Olive. Jeśli nie uznajesz hormonalnej terapii zastępczej.

Olive pomyślała: „Uznaję niewtrącanie się w cudze sprawy. To właśnie uznaję”. Głośno powiedziała:

– Muszę zasadzić cebulki tulipanów, zanim ziemia zamarznie.

– Tak? – spytała Suzanne, która nieodmiennie wykazywała się głupotą, jeśli chodzi o kwiaty.

– Czy sadzisz te tulipany co roku?

– Oczywiście – odparła Olive.

– Jestem pewna, że moja matka nie sadziła ich co roku. A zawsze jakieś kwitły na tyłach domu.

– Myślę, że gdy zapytasz o to matkę – powiedziała Olive – zrozumiesz, że się mylisz. Kwiat tulipana kryje się w jego cebulce. Dokładnie tam i tylko tam.

Dziewczyna uśmiechnęła się w sposób, od którego Olive aż zaświerzbiała ręka, żeby ją uderzyć.

W domu Henry zauważył:

– Nie powinnaś mówić Suzanne, że się myli.

– Och, do diabła z tym – mruknęła Olive. – Będę jej mówiła, co mi się żywnie podoba.

Ale przyrzędziła mus jabłkowy i zaniósła im do domu.

Po niecałych czterech miesiącach od ślubu Christopher zadzwonił pewnego dnia z pracy.

– Słuchajcie – zaczął – Suzanne i ja wyprowadzamy się do Kalifornii.

Dla Olive cały świat stanął na głowie. Zupełnie jakby myślała wcześniej: „To jest drzewo, a to jest kuchenny piecyk” – po czym okazało się, że jedno nie było wcale drzewem, a drugie kuchennym piecykiem. Kiedy zobaczyła tablicę z napisem „Na sprzedaż” przed domem, który ona i Henry zbudowali dla Christophera, poczuła się tak, jakby drzazgi wbiły się jej w serce. Płakała czasami tak głośno, że pies zaczynał skomleć i dygotać, i wpychał zimny nos w jej ramię. Krzyczała na psa. Krzyczała na Henry’ego.

– Życzę jej, żeby padła trupem – mówiła. – Teraz, zaraz. Jeszcze dzisiaj. – A Henry nie zganił jej za to.

Kalifornia? Dlaczego musieli wyjechać na drugi koniec tego olbrzymiego kraju?

– Lubię słońce – wyjaśniła Suzanne. – Jesień w Nowej Anglii jest ładna przez mniej więcej dwa tygodnie, a później robi się ciemno i... – Z uśmiechem wzruszyła ramionami. – Po prostu za tym nie przepadam. Przyjeździecie do nas niedługo w odwiedziny.

Trudno było przełknąć taką pigułkę. Henry już wcześniej przestał prowadzić aptekę –

wcześniej, niż zamierzał, bo czynsz rósł w zawrotnym tempie i budynek sprzedano wielkiej sieci drogerii – i często nie wiedział, czym wypełnić dni. Olive, która przestała uczyć przed pięcioma laty, powtarzała mu: „Ustal sobie jakiś harmonogram i trzymaj się go”.

A zatem Henry poszedł na wieczorowe kursy obróbki drewna w Portland i zainstalował w piwnicy tokarkę, z pomocą której wykonał cztery nieregularne, lecz całkiem ładne miski na sałatkę. Olive przestudiowała katalogi i zamówiła sto cebulek tulipanów. Obydwoje zapisali się do Amerykańskiego Towarzystwa Weteranów Wojny Secesyjnej – pradziadek Henry’ego walczył pod Gettysburgiem, mieli w kredensie na dowód tego stary pistolet – i jeździli raz w miesiącu do Belfastu, by tam usiąść w kręgu i wysłuchać odczytów na temat bitew, bohaterów i tak dalej. To ich zainteresowało. Pomogło im. Rozmawiali z innymi potomkami żołnierzy wojny secesyjnej, a później wracali do domu, mijając po drodze Larkinów, u których nie paliły się światła. Olive kręciła głową. „Zawsze uważałam, że Louise jest trochę dziwna” – twierdziła. Louise była psychologiem w szkole, w której uczyła Olive, i miała w sobie coś szczególnego – mówiła zbyt dużo i zbyt wesołym tonem, malowała się mocno i ubierała aż nazbyt starannie.

– Zawsze bywała wstawiona na przyjęciach gwiazdkowych – stwierdziła Olive. – Raz nawet zupełnie się upiła. Usłyszałam, jak śpiewa: „Naprzód, żołnierze Chrystusa”, siedząc na odkrytej trybunie sali gimnastycznej. To było naprawdę obrzydliwe.

– No cóż... – westchnął Henry.

– Owszem – zgodziła się Olive. – Cóż można na to rzec.

W ten sposób Olive i Henry odnaleźli grunt pod nogami i własną drogę w krainie emerytów, gdy Christopher zatelefonował pewnego wieczoru i oznajmił spokojnie, że się rozwodzi. Henry odebrał telefon w sypialni, Olive podniosła słuchawkę w kuchni.

– Ale dlaczego? – spytali chórem.

– Bo ona tego chce – odparł Christopher.

– Ale co się stało, Christopherze? Na miłość boską, jesteście małżeństwem zaledwie od roku.

– Tak wyszło, mam. Nic na to nie poradzę.

– No to wracaj do domu, synu – zaproponował Henry.

– Nie – odparł Christopher. – Podoba mi się tutaj. I praktyka nieźle wygląda. Nie mam zamiaru wracać do domu.

Henry przesiedział cały wieczór w salonie, z głową ukrytą w dłoniach.

– Daj spokój, weź się w garść – powiedziała Olive. – Przynajmniej nie jesteś Rogerem Larkinem, na miłość boską.

Lecz drżały jej ręce, aż wreszcie poszła i wyjęła wszystko z lodówki, i wyszorowała jej wewnętrzne ściany i półki gąbką, którą zanurzała w chłodnej wodzie z sodą oczyszczoną. Później z powrotem napełniła lodówkę. Henry nadal siedział z głową w dłoniach.

Coraz częściej przesiadywał w salonie z głową ukrytą w dłoniach. Pewnego dnia oznajmił z nagłymżywieniem:

– On wróci. Zobaczysz.

– Skąd ta pewność?

– Tu jest jego dom, Olive. To wybrzeże jest jego domem.

Jakby dla udowodnienia siły geograficznego przyciągania, jeśli chodzi o ich jedyne potomka, zaczęli tropić genealogiczne ślady swojej rodziny, jeżdżąc do biblioteki w Augustacie i na stare, odległe cmentarze. Liczba przodków Henry’ego obejmowała osiem pokoleń; u Olive sięgała dziesięciu. Protoplasta jej rodu pochodził ze Szkocji i po odpracowaniu zawartych w kontrakcie siedmiu lat rozpoczął życie na własny rachunek. Szkoci byli zadziorni i twardzi,

potrafili przetrzymać rzeczy, o jakich mało komu się śniło – skalpowanie, mroźne zimy bez zapasów żywności, uderzenia piorunów, od których płonęły stodoły, dzieci umierające na prawo i lewo. Ale trwali niezmordowanie i Olive, czytając o tym, doznawała chwilowego przyływu otuchy.

Christopher jednak nadal nie wracał.

– Świetnie – odpowiadał, kiedy do niego dzwonili. – Wszystko świetnie.

Kim on właściwie był? Ten nieznajomy, mieszkający w Kalifornii? „Nie, nie teraz – mówię, kiedy chcieli wybrać się do niego w odwiedziny. – To nie jest dobry moment”.

Olive nie mogła usiedzieć na miejscu. Zamiast zwykłego ucisku w gardle czuła ucisk w całym ciele, uporczywy ból, który zdawał się wstrzymywać taką ilość łez, iż wypełniłyby zatokę widoczną przez frontowe okno. Fala obrazów związanych z Christopherem wzbierała w głowie Olive. Gdy był berbeciem uczącym się chodzić, chciał dotknąć geranium w doniczce na parapecie okiennym i dostał po łapach. Ale go kochała! Na Boga, kochała go. W drugiej klasie nieomal stanął w ogniu, próbując spalić w lesie swój sprawdzian z ortografii. Ale wiedział, że ona go kocha. Ludzie zawsze wiedzą, kto ich kocha i jak bardzo – Olive w to wierzyła. Dlaczego nie pozwalał rodzicom nawet przyjechać w odwiedziny? Co takiego zrobili?

Słała łóżko, robiła pranie, karmiła psa. Ale nie zawracała sobie głowy przyrządzaniem posiłków.

– Co mamy na kolację? – pytał Henry, wchodząc na górę z piwnicy.

– Truskawki.

Henry wygłaszał reprimendy:

– Nie przeżyłabyś beze mnie ani dnia, Olive. Gdybym jutro umarł, co by się z tobą stało?

– Och, przestań. – Złościło ją takie gadanie i odnosiła wrażenie, że irytowanie jej sprawia Henry’emu przyjemność. Od czasu do czasu wsiadała do samochodu i odbywała przejażdżkę.

To Henry kupował teraz produkty spożywcze. Raz przyniósł nawet kwiaty.

– Dla mojej żony – oznajmił, wręczając jej bukiet. Widok był godny pożalowania. Stokrotki ufarbowane na niebiesko, wetknięte między białe i jaskraworóżowe, część z nich na poły zwiędła.

– Włóż je tam – poleciła Olive, wskazując stary niebieski wazonik. Kwiatki leżały na drewnianym kuchennym stole. Henry wszedł i otoczył ją ramionami; była wczesna, chłodna jesień i jego wełniana koszula załatywała lekko drewnianymi strużynami i stęchlizną. Olive stała i czekała na koniec uścisku. A potem wyszła na zewnątrz i zasadziła cebulki tulipanów.

Tydzień później – zwyczajne przedpołudnie z kilkoma sprawami do załatwienia – wjechali do miasta, na parking dużego sklepu Shop ’n Save. Olive zamierzała zostać w samochodzie i poczytać gazetę, gdy jej mąż pójdzie kupić mleko, sok pomarańczowy i słoik dżemu. „Coś jeszcze?” Tak brzmiało jego pytanie. Pokręciła głową. Otworzył drzwi i wysunął na zewnątrz swoje długie nogi. Skrzypnięcie drzwi, widok jego pleców w kurtce w szkocką kratę, a potem dziwne, nienaturalne ruchy jego ciała, gdy upadł na ziemię.

– Henry! – krzyknęła Olive.

Krzyczała na niego, oczekując przyjazdu karetki. Jego usta poruszały się, oczy miał otwarte, a jedna ręka podskakiwała w powietrzu, jakby usiłowała czegoś dosięgnąć.

Tulipany rozkwitły w absurdalnej obfitości. Popołudniowe słońce zalewało je potopem blasku na zboczu wzgórza, niemal do samej zatoki. Olive widziała kwiaty przez kuchenne okno, żółte, białe, różowe, czerwone. Zasadziła je na różnych poziomach i wyrastały z cudowną

nieregularnością. Zginane lekko przez podmuchy wiatru, przywodziły na myśl podwodne czarodziejskie pole falujących kolorów. Nawet leżąc w „wystającym” pokoju, który Henry dobudował przed kilkoma laty, z wykuszowym oknem tak dużym, że dało się pod nim ustawić niewielkie łóżko – widziała czubki tulipanów i promienie słońca rozświetlające kwiaty. Czasami zapadała w krótką drzemkę, z tranzystorowym radiem, które trzymała przy uchu, gdy tylko się położyła. O tej porze czuła się zmęczona, ponieważ wstawała wcześniej, przed wschodem słońca. Niebo dopiero zaczynało się rozjaśniać, gdy wsiadała z psem do auta i jechała nad rzekę, gdzie wędrowała trzy mile w jedną i trzy w drugą stronę, podczas gdy słońce wznosiło się nad szeroką wstęgą wody, po której niegdyś przodkowie Olive wiosłowali, by przedostać się z jednego przesmyku w drugi.

Dopiero co wyłożono dróżkę nowymi płytkami i gdy Olive wracała, mijali ją rolnicy, młodzi i dziko zdrowi, w spandeksowych spodenkach. Ich uda pompowały powietrze tuż obok niej. Podjeżdżała do Dunkin’ Donuts, czytała gazetę i dawała psu resztki pączków. A potem jechała do domu opieki. Pracowała tam od pewnego czasu Mary Blackwell. Olive mogła ją upomnieć: „Mam nadzieję, że już się nauczyłaś trzymać buzię na kłódkę” – ponieważ Mary dziwnie na nią spoglądała. Ale Mary Blackwell mogła sobie iść do diabła. Wszyscy oni mogli iść do diabła. Usadowiony w wózku inwalidzkim, ślepy, wiecznie uśmiechnięty Henry jechał z Olive do świetlicy, gdzie ustawiała go tuż obok pianina. Mówiła: „Jeśli mnie rozumiesz, uściśnij moją rękę”, ale jej nie ścisnął. „Mrugnij – mówiła – jeśli mnie słyszysz”. Uśmiechał się w przestrzeń. Wieczorami podawała mu jedzenie łyżką prosto do ust. Pewnego dnia pozwolili jej wywieźć go na parking i pies polizał go po ręce. Henry się uśmiechnął.

– Christopher przyjeżdża – poinformowała go.

Gdy Christopher się zjawił, Henry wciąż się uśmiechał. Christopher przybrał na wadze i nosił koszulę z kołnierzykiem. Na widok ojca popatrzył na Olive ze zboląłym wyrazem twarzy.

– Odezwijsz się do niego – zarządziła Olive. – Powiedz mu, że tu jesteś. – Oddaliła się, by zapewnić im nieco prywatności, lecz już po chwili Christopher ją odszukał.

– Gdzie byłeś? – zapytał z rozdrażnieniem. Ale miał zaczerwienione oczy i serce Olive stopniało.

– Czy odżywasz się jak należy, tam, w Kalifornii? – zapytała.

– Mój Boże, jak ty możesz znieść to miejsce? – spytał jej syn.

– Nie mogę – odparła. – Zapach pozostaje na człowieku. – Zachowywała się jak bezradna uczennica, która stara się nie okazywać pewnych rzeczy: jak się cieszy, że go widzi u siebie, że nie musiała jechać sama, że ma go obok siebie w samochodzie. Ale nie został na cały tydzień. Powiedział, że coś mu wyskoczyło w pracy i musi wracać.

– No to trudno. – Zawiozła go na lotnisko, z psem na tylnym siedzeniu. Dom stał się jeszcze bardziej pusty; nawet dom opieki wydawał się jakiś odmieniony, gdy zabrakło Christophera.

Następnego dnia przesunęła wózek Henry’ego w pobliże pianina.

– Christopher wkrótce przyjedzie – oznajmiła. – Musi doprowadzić do końca kilka spraw, ale niebawem tu wróci. On ma bzika na twoim punkcie, Henry. Bez przerwy powtarzał, jakim jesteś wspaniałym ojcem. – Ale głos jej się załamał i musiała się odwrócić w stronę okna wychodzącego na parking. Nie miała przy sobie chusteczki i zaczęła się rozglądać za jakimś kleeneksem. Zobaczyła stojącą w pokoju Mary Blackwell. – O co chodzi? – zapytała. – Nigdy nie widziałas płaczącej starszej pani?

Nie lubiła być sama. Ale co więcej, nie lubiła również przebywać z ludźmi.



Dostawała gęziej skórki, gdy musiała siedzieć w maleńkiej jadalni Daisy Foster i popijać herbatę.

– Poszłam na spotkanie tej cholernej głupkowatej grupy wsparcia – poinformowała. – A oni powiedzieli, że odczuwanie gniewu jest rzeczą normalną. Boże, ludzie są jednak głupi. Czemu, do diabła, miałabym odczuwać gniew? Wszyscy wiemy, że coś takiego nadejdzie prędzej czy później. Niewielu ma tyle szczęścia, żeby po prostu umrzeć we śnie.

– Ludzie reagują każdy na swój sposób, jak mi się zdaje – zauważyła Daisy miło brzmiącym głosem. Nie posiadała właściwie nic prócz miłego głosu, pomyślała Olive, ponieważ taka właśnie była Daisy: miła. Do diabła z tym. Olive oznajmiła, że pies na nią czeka, zostawiła pełną filiżankę herbaty i wyszła.

Tak to wyglądało – nie mogła nikogo znieść. Co kilka dni chodziła na pocztę i to również zносиła z wielkim trudem. „Co słytać?” – pytała za każdym razem Emily Buck, co irytowało Olive. „Jakoś sobie radzę” – odpowiadała, lecz nienawidziła odbierania kopert, na których prawie zawsze widniało nazwisko Henry’ego. A rachunki! Nie wiedziała, co z nimi robić, części z nich nawet nie rozumiała – no i tyle przychodziło przesyłek reklamowych! Przystawała obok dużego szarego kosza na śmieci, wyrzucała to wszystko. Czasami zaplątał się tam jakiś rachunek, który musiała wyławiać, pochylona, przez cały czas świadoma, że Emily obserwuje ją z okienka.

Nadeszło kilka kartek. „Przykro mi... to takie smutne”. „Z przykrością się dowiedziałam...” Odpisała na każdą. „Nie smućcie się. Wszyscy wiemy, że to się zdarzy prędzej czy później. Nikomu nie musi być przykro z tego powodu”. Jedyne raz czy dwa, przelotnie, przyszło Olive do głowy, że być może traci rozum.

Christopher telefonował raz w tygodniu.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Christopherze? – pytała, chcąc przez to powiedzieć: „Zrób coś dla mnie!”. – Czy mam przylecieć z wizytą?

– Nie – odpowiadał niezmiennie. – U mnie wszystko w porządku.

Tulipany przekwitły, drzewa okryły się czerwienią, liście opadły, gałęzie zrobiły się nagie, spadł śnieg. Obserwowała te wszystkie zmiany przez okna pokoju, w którym leżała na boku, ściskając kurczowo tranzystorowe radio, z kolanami podciągniętymi do piersi. Niebo za podłużnymi szybami było czarne. Widziała trzy maleńkie gwiazdki. W radiu spokojny męski głos przeprowadzał wywiady albo przedstawiał wiadomości. Kiedy słowa zdawały się zmieniać znaczenie, wiedziała, że przysnęła na chwilę. „Ojej” – mówiła miękko. Myślała o Christopherze, dlaczego nie życzy sobie jej odwiedzin, dlaczego nie wraca na wschodnie wybrzeże. Przypominali jej się przelotnie Larkinowie; zastanawiała się, czy nadal odwiedzają swojego syna. Może Christopher został w Kalifornii, bo miał nadzieję, że pogodzi się z żoną – a ta Suzanne uważała, że pozjadała wszystkie rozumy. Tymczasem nie miała zielonego pojęcia, jakie kwiatki wyrastają z ziemi.

Pewnego lodowato zimnego poranka Olive wybrała się na spacer, następnie zaś podjechała pod Dunkin’ Donuts i czytała gazetę w samochodzie, podczas gdy pies skomlał na tylnym siedzeniu.

– Cicho bądź! – nakazała. – Przestań. – Pies zaczął skowyczeć głośniejsze. – Przestań wreszcie! – krzyknęła i ruszyła dalej. Pojechała do biblioteki, lecz nie weszła do środka. Później podjechała na pocztę, wrzuciła do kosza ulotki reklamowe, następnie zaś musiała się schylić i wydobyć bladożółtą kopertę bez adresu zwrotnego, na której nie rozpoznała charakteru pisma. W samochodzie rozerwała kopertę i wyjęła kwadratowy skrawek żółtego papieru. „Zawsze był

dobrym człowiekiem i na pewno nadal jest”. Podpisano: Louise Larkin.

Następnego ranka, jeszcze przed świtem, Olive przejechała powoli obok domu Larkinów. Spod rolety wydobywała się słabiutka smuga światła.

– Christopherze – odezwała się w następną sobotę do słuchawki telefonu w kuchni. – Louise Larkin przysłała mi kartkę dotyczącą twojego ojca.

Nic nie usłyszała.

– Jesteś tam? – zapytała.

– Jestem – odparł Christopher.

– Słyszałeś, co powiedziałam o Louise?

– Tak.

– Nie sądzisz, że to interesujące?

– Niespecjalnie.

Ból rozkwitł za jej mostkiem niczym otwierająca się sosnowa szyszka.

– Nie wiem nawet, skąd się dowiedziała. Całymi dniami siedzi zamknięta w domu.

– Też nie mam pojęcia – powiedział Christopher.

– No to w porządku – oznajmiła Olive. – Jadę do biblioteki. Na razie.

Usiadła przy kuchennym stole, pochylona naprzód, przytrzymując dłonią swój obfity brzuch. Przez głowę przemknęła jej myśl, że w każdej chwili, kiedy tylko zechce, mogłaby się zabić. Nie była to pierwsza taka myśl, przedtem jednak Olive zostawiłaby list. Teraz doszła do wniosku, że nie zostawi żadnego listu. Nawet jednego zdania: „Christopherze, co takiego zrobiłam, że traktujesz mnie w ten sposób?”.

Ostrożnie rozejrzała się po kuchni. Były kobiety, wdowy, które nie potrafiły znieść samej myśli o wyprowadzce z domu i umierały wkrótce po przeniesieniu w inne miejsce, gdzie się nimi opiekowano. Ale ona nie wiedziała, jak długo tutaj wytrzyma. Czekwała, czy nie stanie się coś, dzięki czemu Henry w końcu znajdzie się w domu. Czekwała, aż Christopher wróci na wschodnie wybrzeże. Wstając, by rozejrzeć się za kluczami od auta – ponieważ musiała wyjść – przypomniała sobie mgliście, jak to swego czasu, kiedy była znacznie młodsza, odczuwała monotonię domowego życia i wydzierała się na skulonego Christophera: „Nienawidzę tej cholernej niewolniczej pracy!”. Może zresztą wcale się tak nie wydzierała. Przywołała psa i wyszła.

Louise, chuda jak patyk i o ruchach wiekowej staruszki, wprowadziła Olive do zaciemnionego salonu. Zaświeciła lampę i Olive była zaskoczona pięknem, które ujrzała w twarzy tej kobiety.

– Nie zamierzałam tak się na ciebie gapić – zastrzegła się. Musiała to zrobić, bo wiedziała, że nie zdoła oderwać oczu. – Ale wyglądasz czarująco.

– Naprawdę? – Louise zaśmiała się miękko.

– Twoja twarz.

– Och.

Wydawało się teraz, że wszelkie wcześniejsze starania Louise, by ładnie wyglądać, jej włosy ufarbowane na blond, grubo nałożona różowa szminka, afektowany sposób mówienia i starannie dobrane stroje, korale, bransoletki i eleganckie buty (Olive pamiętała) – wszystko to w rzeczywistości maskowało samą istotę Louise, która, odarta z owej wierzchniej warstwy przez smutek i odosobnienie, i prawdopodobnie nafaszerowana prochami po uszy, ukazała w swej kruchości oblicze zdumiewającej urody. „Rzadko widuje się naprawdę piękne stare kobiety”,

pomyślała Olive. Dostrzegało się ślady, jeśli kobieta była niegdyś piękna, ale bardzo rzadko to, co ona teraz widziała: brązowe jaśniejące oczy, jakby nie z tego świata, wtopione w rysy subtelne niczym u posągu, skórę napiętą na kościach policzkowych, usta nadal pełne, białe włosy związane z boku krótką brązową wstążeczką.

– Zaparzyłam herbatę – powiedziała Louise.

– Nie mam ochoty, ale dziękuję.

– No dobrze. – Louise usiadła z gracją w fotelu obok. Miała na sobie długie ciemnozielone okrycie w typie swetra. Z kaszmiru, jak zauważyła Olive. Larkinowie jako jedyjni w mieście posiadali duże pieniądze i wydawali je. Posłali dzieci do prywatnej szkoły w Portland. Opłacali im lekcje tenisa, lekcje muzyki i jazdy na łyżwach, każdego lata wyprawiali je na letni obóz. Ludzie śmiali się z tego, ponieważ żaden inny dzieciak z Crosby w stanie Maine nie jeździł na letnie obozy. Organizowano takie obozy w okolicy i było na nich pełno dzieciaków z Nowego Jorku. Dlaczego Larkinowie chcieli, żeby ich dzieci spędzały z nimi lato? Po prostu tacy już byli. Roger (Olive pamiętała) nosił garnitury szyte na miarę. A przynajmniej tak twierdziła Louise. Później, oczywiście, ludzie przypuszczali, że Larkinowie popadli w ruinę. Być może jednak nie mieli aż tak wielu wydatków, gdy już opłacili wszystkich ekspertów.

Olive rozejrzała się dyskretnie. W jednym miejscu dostrzegła zacieki na tapecie, a listwy boazeryjne wyblakły. W pokoju było czysto, lecz nie włożono ani krzty wysiłku w odnowienie go. Olive nie była tu od wieków; może na którymś z dawnych przedświątecznych podwieczorków, gdy w kącie stała choinka, wszędzie zapalone świece i półmiski z jedzeniem, a Louise witała gości. Zawsze lubiła urządzać spektakle.

– Nie dręczy cię przebywanie w tym domu? – zapytała Olive.

– Dręczy mnie przebywanie gdziekolwiek – odparła Louise. – Żeby się tak po prostu spakować i przeprowadzić... no cóż, zawsze mi się to wydawało trudnością nie do pokonania.

– Chyba cię rozumiem.

– Roger mieszka na górze – powiedziała Louise. – A ja na parterze.

– Aha. – Olive miała kłopot z ogarnięciem sytuacji.

– W życiu zawiera się pewne umowy. Osiąga porozumienia.

Olive kiwnęła głową. Dręczyło ją wspomnienie tych kwiatków, które kupił jej Henry. Jak stała po prostu niczym słupek. Zachowała te kwiaty, zasuszyła je, nawet niebieskie stokrotki, teraz zbrązowiały, z pochylonymi główkami.

– Czy Christopher ci pomaga? – spytała Louise. – Zawsze był bardzo wrażliwym chłopcem, nieprawdaż? – Poglądziła wychudłą dłońią okrytą kaszmiem własne kolano. – Ale Henry był miłym człowiekiem, więc miałaś dużo szczęścia.

Olive nic na to nie odpowiedziała. Spod dołu rolety wydobywała się smuga bladego światła; nadszedł już ranek. Spacerowałyby jak zwykle nad rzeką, gdyby nie przyszła tutaj.

– Roger nie jest miłym człowiekiem, wiesz? Na tym polega cała różnica.

Olive przyjrzała się Louise.

– Mnie zawsze się wydawał miły.

Prawdę mówiąc, Olive nie bardzo pamiętała Rogera, który wyglądał na bankiera i rzeczywiście nim był, a garnitury miał dobrze skrojone, jeśli zwracało się na takie rzeczy uwagę, czego Olive nie robiła.

– On każdemu się wydawał miły – powiedziała Louise. – To jego *modus operandi*. – Zaśmiała się cicho. – Ale w rzeczy-wis-tość-ci – celowo przeciągnęła sylaby, nawet z pewną przesadą – jego serce uderza dwa razy na godzinę.

Olive siedziała bez ruchu, ze swoją dużą torebką na kolanach.

– Zimny człowiek, zimny. Brrr... Ale nikt na to nie zważa, bo wszyscy obwiniają matkę. Wiadomo. Zawsze, zawsze, zawsze obwiniają matkę za wszystko.

– Przypuszczam, że to prawda.

– WIESZ, że to prawda. Proszę, Olive, rozgość się. – Louise wykonała kilka gestów szczupłym, bladym ramieniem, przywodzącym na myśl stróżkę mleka nalewanego w półmroku. Olive niepewnie postawiła torebkę na podłodze i odchyliła się na oparcie. Louise z uśmiechem złożyła ręce.

– Christopher był wrażliwym chłopcem, podobnie jak Doyle. Teraz nikt, oczywiście, w to nie wierzy, lecz Doyle jest najmilszym chłopcem na świecie.

Olive kiwnęła głową, odwróciła się i rozejrzała. W gazetach ukazały się informacje: dwadzieścia dziewięć razy. I w telewizji. Dwadzieścia dziewięć razy. To dużo.

– Może ci się nie podoba, że porównuję Doyle’a do Christophera. – Louise ponownie zaśmiała się lekko, przemawiając niemal kokieteryjnym tonem.

– Jak się miewa twoja córka? – spytała Olive, odwracając się twarzą do Louise. – Co nowego u niej słychać?

– Mieszka w Bostonie, jej mąż jest prawnikiem. Co nam, oczywiście, pomogło. To wspaniała kobieta.

Olive kiwnęła głową.

Louise oparła obie dłonie o kolana. Pokiwała głową w przód i w tył i zanuciła cicho:

– „Chłopców u Jupitera bierze cholera, dziewczęta studiują, bo wiedzę zyskują”. – Zaśmiała się swym miękkim śmiechem i odchyliła na oparcie fotela. – Roger pojechał od razu do swojej przyjaciółki w Bangor. – Znowu ten miękki śmiech. – Ale ona go odtrąciła. Biedaczysko.

Dla Olive było w tym coś więcej niż cichy, wewnętrzny jęk rozczerowania. Poczła niemal rozpaczliwe pragnienie, by wyjść, czego nie mogła, oczywiście, uczynić, skoro już weszła do domu Louise, a wcześniej napisała do niej i zapowiedziała wizytę.

– Myślałaś zapewne o tym, żeby się zabić. – Louise wypowiedziała te słowa pogodnym tonem, jakby omawiała przepis na placek cytrynowy.

Olive poczuła się nagle zdezorientowana, jak po uderzeniu w głowę piłką futbolową.

– Nie wydaje mi się, by to mogło cokolwiek rozwiązać – odparła.

– Oczywiście, że tak – zapewniła uprzejmie Louise. – To by rozwiązało wszystko. Pozostaje jednak pytanie, jak to zrobić.

Olive nieznacznie zmieniła pozycję, dotknęła torebki stojącej tuż obok.

– W moim wypadku byłyby to, naturalnie, tabletki i alkohol. Ty natomiast nie wyglądasz mi na osobę, która by połknęła pigułki. Do ciebie pasuje coś brutalniejszego. Podcięcie żył, ale to by trwało zbyt długo.

– Chyba już wystarczy tego dobrego – ucięła Olive. Nie mogła się jednak powstrzymać, żeby nie dodać: – Są ludzie, którym jestem potrzebna, na miłość boską.

– No właśnie. – Louise uniosła kościsty palec, przekrzywiła głowę. – Doyle żyje dla mnie. Więc ja też żyję dla niego. Codziennie do niego piszę. Odwiedzam go, gdy tylko otrzymamy zezwolenie. Wie, że nie jest sam, i dzięki temu ja pozostaję przy życiu.

Olive kiwnęła głową.

– Ale Christopher z pewnością nie żyje tylko dla ciebie. Ma żonę.

– Rozwiodła się z nim – powiedziała Olive. Dziwne, jak łatwo było jej to powiedzieć. Ani ona, ani Henry nigdy nie wspomnieli o tym nikomu, z wyjątkiem Billa i Bunny Newtonów,

przyjaciół z okolic górnego biegu rzeki. Jeśli Christopher nadal mieszkał w Kalifornii, nikt nie musiał o niczym wiedzieć.

– Rozumiem – odrzekła Louise. – No cóż, z pewnością znajdzie drugą. A Henry wcale cię nie potrzebuje, moja droga. On nie ma pojęcia, gdzie się znajduje i kto przy nim jest.

Olive poczuła, jak przeszywa ją ukłucie wściekłości.

– Skąd wiesz? To nieprawda. On cholernie dobrze zdaje sobie sprawę z mojej obecności.

– Och, nie sądzę. Mary jest innego zdania.

– Jaka Mary?

Louise przesadnym gestem zasłoniła palcami usta.

– Uuups. Ojoj.

– Mary Blackwell? Jesteś w kontakcie z Mary Blackwell?

– Znamy się z Mary od wielu lat – wyjaśniła Louise i pomachała dłońmi, jakby suszyła lakier na paznokciach.

– Nie powinna opowiadać o tym, co się dzieje w domu opieki.

– Och, daj spokój, Olive. Ludzie są ludźmi. Zawsze sądziłam, że kto jak kto, ale ty potrafisz to zrozumieć.

Cisza wpełzła do pokoju jak smugi ciemnego gazu, sączące się z kątów. Nie było tu żadnych gazet, czasopism ani książek.

– Co robisz przez cały dzień? – spytała Olive. – Jak sobie radzisz?

– Aha, przysłaś tu po naukę?

– Nie – odparła Olive. – Przyszłam, ponieważ byłaś uprzejma napisać do mnie.

– Zawsze żałowałam, że nie uczyłaś moich dzieci. Mało kto ma w sobie tę iskrę natchnienia, prawda? Na pewno nie chcesz herbaty? Bo ja się napiję.

– Nie, dziękuję.

Olive przypatrywała się Louise, która wstała z fotela i przeszła przez pokój, pochyliwszy się po drodze, by poprawić abażur lampki. Sweter przyłgnął do jej pleców, uwydatniając ich szczupłość. Olive nie przypuszczała, że można być tak chudym i jeszcze żyć.

– Czy jesteś chora? – zapytała, gdy Louise wróciła z filiżanką herbaty na spodeczku.

– Chora? – Louise uśmiechnęła się w sposób, który ponownie skojarzył się Olive z flirtem. – W jakim sensie chora, Olive?

– Fizycznym. Jesteś bardzo chuda. Ale, zapewniam cię, wyglądasz pięknie.

Louise odpowiedziała żartobliwym tonem, choć starannie dobierając słowa:

– W sensie fizycznym nie jestem chora. Choć nie mam zbyt wielkiego apetytu na jedzenie, jeśli o to ci chodzi.

Olive kiwnęła głową. Gdyby wcześniej poprosiła o herbatę, mogłaby wyjść, kiedy ją wypije. Ale było już za późno. Siedziała dalej.

– A psychicznie, tak naprawdę nie przypuszczam, żebym była bardziej obłąkana niż jakiegokolwiek stworzenie na tej planecie. – Louise wypija łyk herbaty. Na jej dłoni wyraźnie zaznaczały się żyły; jedna biegła wzdłuż jej kościstego palca. Filiżanka zagrzecotała cichutko o spodek. – Czy Christopher często przyjeżdża, żeby ci pomóc?

– O tak, oczywiście.

Louise zacisnęła usta, ponownie przechyliła głowę, przyjrzała się uważnie Olive, a Olive zauważyła teraz jej makijaż. Cień wokół oczu, pasujący do koloru swetra.

– Dlaczego przysłaś, Olive?

– Już mówiłam. Ponieważ byłaś uprzejma do mnie napisać.

– Ale cię rozczarowałam, nieprawdaż?

– Skądże znowu.

– Jesteś ostatnią osobą, Olive, po której spodziewałabym się kłamstwa.

Olive sięgnęła w dół po torebkę.

– Na mnie już czas. Ale jestem ci wdzięczna za ten list.

– Och. – Louise zaśmiała się cicho. – Przyszedł tu po miły zastrzyk *schadenfreude*, a tymczasem nie wyszło. – Dodała śpiewnie: – Przyyy-krooo mi.

Na górze zaskrzypiały deski podłogi. Olive wstała, ściskając torebkę i rozglądając się za płaszczem.

– Roger wstał z łóżka. – Louise nie przestawała się uśmiechać. – Twój płaszcz wisi w szafie, tuż obok drzwi. I przypadkiem wiem, że Christopher przyjechał tylko raz. „Olive kłamczucha, kłamczucha, od ucha do ucha”.

Olive ruszyła pospiesznie. Zrzuciła płaszcz na ramiona i na krótką chwilę odwróciła głowę. Louise siedziała w fotelu, wyprostowana, ze swoją dziwnie wypiękniałą twarzą; już się nie uśmiechała. Powiedziała głośno do Olive:

– Ona była suką, wiesz? Była dziwką.

– Kto?

Louise tylko na nią popatrzyła, nieporuszona w swym kamiennym pięknie. Dreszcz przeszył Olive na wskroś. Louise powiedziała:

– Ona była... och, była czymś dziwnym, daję słowo, Olive Kitteridge. Pogrywała z nim. Podpuszczalska! Nieważne, co pisały gazety, że kocha dzieci i zwierzęta. Była zła, była potworem, który doprowadził do szaleństwa miłego chłopca.

– No tak, no tak. – Olive szybko wciągała płaszcz.

– Zasłużyła na to, wiesz? Zasłużyła.

Olive odwróciła się i zobaczyła na schodach Rogera Larkina. Wyglądał staro, miał na sobie luźny sweter, a na nogach kaptcie. Powiedziała:

– Przepraszam. Zdenerwowałam ją.

Uniósł tylko ze znużeniem rękę, gestem, który oznaczał, że nie powinna się martwić, tak już w życiu bywa, a on został skazany na piekło. Takie wrażenie odniosła Olive, wychodząc pospiesznie. Roger Larkin otworzył drzwi i skinął głową. Gdy drzwi się za nią zamykały, Olive była pewna, że usłyszała cichy, krótki brzęk tłukącej się porcelany i wyszczone słowa: „Ty cipo”.

Nad wodą wisiała jasna mgiełka, więc trudno było dostrzec rzekę. Nawet ścieżki nie dało się wyraźnie zobaczyć i Olive nieustannie zaskakiwali mijający ją przechodnie. Znalazła się w tym miejscu później niż zazwyczaj, więc spotykała więcej ludzi. Obok asfaltowej dróżki sosnowe igły układały się w spłachetki, dalej – strzępiaste pasmo wysokich traw, karłowate dęby, granitowa ławka, na której można przysiąść. Z naprzeciwka biegł młody mężczyzna, wynurzając się z oparów mgły. Pchał przed sobą trójkątny wózek spacerowy z uchwytnymi podobnymi do kierownicy roweru. Olive dostrzegła ciepło opatulone, śpiące niemowlę. Jakie oni mieli do dyspozycji rozmaite wynalazki, ci zadufani w sobie rodzice z pokolenia wyżu demograficznego. Kiedy Christopher był w wieku tego malucha, zostawiała go drzemiącego w łóżeczku i szła odwiedzić Betty Simms, która miała pięcioro dzieci – pełzały po całym domu i właziły na Betty, przylepiając się do niej niczym ślimaki bez muszli. Czasami po powrocie Olive zastawała Chrisa rozbudzonego i popłakującego, lecz pies, Sparky, wiedział, że ma się nim opiekować.

Olive maszerowała szybkim krokiem. Panowały nietypowo wysokie temperatury i mgła wydawała się ciepła i kleista. Olive poczuła, że spod jej oczu niczym łyzy spływają krople potu. Wizyta w domu Larkinów zalegała wewnątrz niej jak ciemny, gęsty szlam. Jedyne opowiadzenie komuś o tym mogłoby ten szlam wypłukać. Było jednak za wcześnie na telefon do Bunny, a fakt, iż nie miała Henry'ego – chodzącego, mówiącego Henry'ego – aby mu się zwierzyć, zasmucał ją tak bardzo, jakby tego ranka jej mąż po raz drugi doznał wylewu i po raz drugi go utracił. Potrafiła sobie dokładnie wyobrazić jego reakcję. Zawsze to samo łagodne zdumienie. „No, ładne rzeczy – powiedziała by miękki tonem. – Ładne rzeczy”.

– Z drogi! – rozległ się czyjś wrzask i rower przemknął obok niej ze świstem, tak blisko, że poczuła na lewej dłoni podmuch powietrza. – Jezu, paniusiu – rzucił kosmita w kasku, mijając ją w pędzie, i poczuła się kompletnie zdezorientowana.

– Powinna się pani trzymać prawej strony! – zawołał ktoś z tyłu, młoda kobieta jadąca na rolkach. W jej głosie nie było złości, ale też nie brzmiał życzliwie.

Olive zawróciła w stronę swojego samochodu.

W domu opieki Henry spał. Z jednym policzkiem wtulonym w poduszkę wyglądał prawie tak jak przedtem, ponieważ miał zamknięte oczy i zniknęła ślepotą, podobnie jak uśmiechnięta, pozbawiona wyrazu twarz. Uśpiony, z leciutko zmarszczonymi brwiami, zdawał się tłumić w sobie iskierkę niepokoju, co czyniło go znajomym.

Nigdzie nie było widać Mary Blackwell, lecz pielęgniarz poinformował Olive, że Henry miał „złą noc”.

– W jakim sensie? – zapytała Olive z naciskiem.

– Był pobudzony. Podaliśmy mu tabletkę około czwartej rano. Będzie zapewne spał nieco dłużej.

Olive przysunęła krzesło do łóżka, usiadła i trzymała męża za rękę pod zabezpieczającą barierką. Była to nadal piękna ręka, duża, doskonale uformowana. Z pewnością, pracując przez tyle lat jako farmaceuta i wydając leki, wzbudzał w pacjentach zaufanie swoimi rękami.

Teraz jego piękna dłoń była dłonią na pół martwą. Bał się tego, jak wszyscy. Dlaczego to właśnie jego spotkał taki los, a nie (na przykład) Louise Larkin, nikt nie potrafiłby odgadnąć. Lekarz przypuszczał, że Henry powinien zażywać lipitor albo jakiś inny statynowy lek, ponieważ miał podwyższony poziom cholesterolu. Henry zaliczał się jednak do tych farmaceutów, którzy rzadko zażywali cokolwiek. A jeśli chodzi o doktora, Olive miała jedno proste życzenie: żeby sobie poszedł do diabła. Czekala teraz, aż Henry się obudzi, żeby się nie zastanawiał, gdzie ona jest. Gdy próbowała go umyć, a potem ubrać przy pomocy pielęgniarza, był otumaniony, ociężały i wciąż na nowo zasypiał. Pielęgniarz powiedział:

– Może dzisiaj pozwolimy mu odpocząć.

Olive szepnęła do Henry'ego:

– Wróć po południu.

Gdy zadzwoniła do Bunny, nikt nie odbierał telefonu. Zadzwoniła do Christophera. Zważywszy różnicę czasu, szykował się zapewne, by wyjść do pracy.

– Jak on się czuje? – zapytał natychmiast Christopher.

– Źle spał tej nocy. Zaraz do niego znowu pojedę. Ale, Chris, widziałam się dziś rano z Louise Larkin.

Przez cały czas, gdy mówiła, nie zareagował w żaden sposób. Słyszała własny nagłący ton, jakąś rozpaczliwą, a może obronną nutę.

– Ta zwariowana baba zasugerowała, że powinnam podciąć sobie żyły. Nie do wiary, co? A potem dodała, że to może zbyt długo potrwać.

Christopher milczał, nawet kiedy zakończyła opowieść wzmianką o roztrzaskanej filizance i wyzwisku „suka” (nie potrafiła się zmusić do wymówienia słowa „cipa”).

– Jesteś tam? – zagadnęła niecierpliwie.

– Nie mam pojęcia, dlaczego do niej poszłaś – powiedział w końcu Chris takim tonem, jakby ją o coś oskarżał. – Po tylu latach. Nigdy jej nawet nie lubiłaś.

– Wysłała do mnie list – odparła Olive. – Szukała kontaktu.

– Co z tego? – spytał. – Nie zaciągnęłabyś mnie tam nawet za cenę życia.

– Za cenę życia, to możliwe. Ona jest gotowa sama kogoś zadźgać. I wie, że przyjechałeś tu tylko raz.

– Skąd to wie? Uważam, że jest stuknięta.

– Rzeczywiście jest. Nie słuchałeś? Ale tak sobie myślę, że dowiedziała się od Mary Blackwell. Najwyraźniej są w kontakcie.

Christopher ziewnął.

– Muszę wziąć prysznic, mam. Daj mi tylko potem znać, jak tata się czuje.

Gdy jechała do domu opieki, lekki deszcz skropił samochód i nawierzchnię drogi. Na szarym niebie wisiały niskie chmury. Czuła się rozstrojona, inaczej niż poprzednio. Zapoczątkował to Christopher, owszem, ona jednak utkwiała w kleszczach jakichś trudnych do pokonania wyrzutów sumienia. Ogarnęło ją osobiste, głębokie zakłopotanie, jakby została przyłapana na kradzieży w sklepie, czego nie zrobiła nigdy w życiu. Ten wstyd przecierał jej duszę jak wycieraczki przednią szybę samochodu; dwa długie czarne palce, nieubłagane i rytmicznie wymierzające karę.

Zajeżdżając na parking domu opieki, wykonała zbyt ostry skręt i nieomal się zderzyła z innym autem. Cofnęła i powtórzyła manewr, zostawiając więcej miejsca, choć zaniepokoiło ją, jak niewiele brakowało, by zawadziła o inny samochód. Sięgnęła po swoją dużą torebkę, wsunęła kluczyki tam, gdzie łatwo będzie je znaleźć, i wysiadła. Kobieta z tamtego samochodu ruszyła w jej stronę i po krótkiej chwili zdarzyło się coś dziwnego. „Okropnie przepraszam, niech to licho” – powiedziała Olive, podczas gdy kobieta zaczęła: „Och, wszystko w porządku” z uprzejmością, która wydała się Olive szczęśliwym zrzędzeniem losu. Tą kobietą była Mary Blackwell. I nastąpiło to tak nieoczekiwanie, że nie rozpoznały się w pierwszej chwili. Ale znalazły się obydwie w tym miejscu, Olive Kitteridge przepraszająca Mary Blackwell i Mary, spontanicznie wielkoduszna, zwracająca ku niej łagodną, wszystko wybaczącą twarz.

– Chyba nie zauważyłam cię w tym deszczu – powiedziała Olive.

– Och tak, wiem. Bywają takie dni, że zmierzch zapada wcześniej.

Mary przytrzymała drzwi i Olive przeszła przez nie.

– Dziękuję – powiedziała. Dla pewności zerknęła na Mary i zobaczyła na jej twarzy zmęczenie, brak wojowniczości i ślady współczucia. Ta twarz była jak arkusz papieru, na którym naszkicowano coś prostego i uczciwego.

„Kim ona mi się wydawała?” – pomyślała Olive. (A potem: „Kim ja sama się sobie wydawałam?”).

Henry wciąż leżał w łóżku. Przez cały dzień nie przesiadł się na wózek. Olive siedziała przy nim, dotykała jego dłoni i nakarmiła go ziemniaczanym purée, które nawet zjadł. Kiedy szykowała się do wyjścia, było już ciemno. Zaczekała do chwili, gdy była pewna, że nikt nie



przeszkodzi, pochyliła się nad mężem i szepnęła mu prosto do ucha:

– Możesz teraz umrzeć, Henry. Nie krępuj się. Nic mi nie będzie. Możesz się nie przejmować. Wszystko w porządku. – Nie obejrzała się, kiedy wychodziła z pokoju.

Drzemiąc w domu, oczekiwała dzwonka telefonu.

Przed południem Henry siedział już w swoim wózku z uprzejmym uśmiechem i niewidzącymi oczami. O czwartej po południu Olive wróciła i podała mu kolację, łyżka po łyżce. W następnym tygodniu było tak samo. I jeszcze w następnym. Nadeszła jesień; niebawem mogło już być ciemno, gdy Olive będzie go karmiła jedzeniem z tacy, którą przynosiła czasami Mary Blackwell.

Pewnego wieczoru po powrocie do domu Olive przejrzała szufladę ze starymi fotografiami. Jej matka, pulchna i uśmiechnięta, lecz mimo to pełna złych przeczuć. Ojciec, wysoki i stoicko spokojny; jego milczenie w życiu pasowało do tej fotografii – Olive pomyślała, że sam był największą tajemnicą. Zdjęcie Henry’ego z wczesnego dzieciństwa. Wielkooki chłopczyk o kręconych włosach patrzy na osobę fotografującą (matkę?) z dziecięcym lękiem i podziwem. Inne zdjęcie, Henry na służbie w marynarce wojennej, wysoki i szczupły, jeszcze nieopierzony młodzik, dla którego życie dopiero się zaczyna. „Poślubisz bestię i pokochasz ją – pomyślała Olive. – Będziesz miał syna i pokochasz go. Będziesz nieskończenie uprzejmy dla mieszkańców miasta przychodzących po swoje leki, ty, wysoki, w białym laboratoryjnym fartuchu. A na koniec zasiądziesz ślepy i niemy w inwalidzkim wózku. Tak się ułoży twoje życie”.

Olive wsunęła zdjęcie z powrotem do szuflady i zauważyła fotografię niespełna dwuletniego Christophera. Zapomniała, jak anielsko wyglądał, niczym jakaś nowo wykluta istota, jakby jeszcze pozbawiona skóry, cała utworzona z przejrzystej poświaty. „Ożenisz się z bestią, która cię zostawi – pomyślała Olive. – Przeprowadzisz się na drugi koniec kraju i złamiesz serce swojej matce. – Zamknęła szufladę. – Ale nie dźgniesz kobiety nożem dwadzieścia dziewięć razy”.

Weszła do bocznego pokoju i położyła się na wznak. Nie, Christopher nie zadzgałby nikogo (taką miała nadzieję). To nie było prawdopodobne. Nie zapowiadała tego jego cebulka zasadzona w tej szczególnej glebie należącej do niej, Olive, i do Henry’ego, a wcześniej do ich rodziców. Zamykając oczy, pomyślała o ziemi i zielonych roślinach, i o szkolnym boisku do piłki nożnej. Przypomniała sobie czasy, gdy uczyła w szkole, a Henry’emu zdarzało się opuszczać jesienią aptekę i oglądać szkolne mecze. Christopher, który nigdy nie wykazywał się fizyczną agresywnością, spędził większość owych dni, siedząc na ławce w szkolnym mundurku, o co – jak Olive podejrzewała – nie miał pretensji.

Ta jesienna aura miała w sobie coś pięknego, podobnie jak spocone młodzieńcze ciała z grudkami błota na nogach, silni młodzi ludzie, którzy rzucali się naprzód, by odbić piłkę głową; wiwaty, kiedy ktoś strzelił gola, a bramkarz osuwał się na kolana. Bywały takie dni – pamiętała je – gdy trzymali się z Henrym za ręce, wracając do domu, ludzie w kwiecie wieku. Czy przychodziło im do głowy, żeby cieszyć się w duchu tymi chwilami? Zapewne nie. Ludzie przeważnie nie zdawali sobie sprawy, że przeżywają życie, kiedy je przeżywali. Teraz jednak pojawiło się to wspomnienie czegoś zdrowego i czystego. Może najczystsze, ponieważ wspomnienia inne niż te z boiska nie były czyste.

Doyle Larkin nie brał udziału w meczach – nie uczył się w tej szkole. Olive nie wiedziała, czy w ogóle grał w piłkę nożną. Nie przypominała sobie, by Louise kiedykolwiek powiedziała: „Muszę pojechać po południu do Portland, żeby obejrzeć mecz piłkarski Doyle’a”. Ale Louise kochała swoje dzieci, przechwalała się nimi nieustannie, a kiedy mówiła, że Doyle na letnim

o bozie tęskni za domem, miała łzy w oczach, Olive to pamiętała.

To wszystko było niepojęte.

Źle jednak postąpiła, odwiedzając Louise Larkin i mając nadzieję, że poczuje się lepiej, gdy zobaczy cierpienie tej kobiety. Nedorzeczna wydawała się również myśl, iż Henry umrze, ponieważ mu pozwoliła. Co ona sobie wyobrażała, że kim jest na tym świecie, na tym dziwnym i niezrozumiałym świecie? Olive obróciła się na bok, podciągnęła kolana do piersi, włączyła tranzystor. Musiała już niebawem, zanim ziemia zamarznie, rozstrzygnąć, czy posadzić cebulki tulipanów.

## Koszyk z podróżami

W miasteczku najważniejsze są: kościół, ratusz i sklep spożywczy, choć sklepowi przydałoby się odmalowanie. Nikt jednak nie zamierza o tym napomykać żonie właściciela, pulchnej, niskiej kobiecie o brązowych oczach i z dwoma małymi dołeczkami w policzkach. W młodszym wieku Marlene Bonney była dość nieśmiała i naciskała niepewnie guziki sklepowej kasy, różowiejąc i mieniąc się na twarzy; dało się dostrzec, że peszy ją wydawanie reszty. Ale była życzliwa i serdeczna, i słuchała uważnie, z pochyloną głową, ilekroć jacyś klienci zaczęli opowiadać o swoich problemach. Rybacy ją lubili, ponieważ chętnie się śmiała, wybuchając pełnym słodczy, głębokim, miękkim chichotem. A gdy się pomyliła przy wydawaniu reszty, co się czasami zdarzało, parskała śmiechem mimo rumieńca oblewającego ją po cebulki włosów.

– Oj, chyba nie zdobędę żadnej nagrody – mówiła. – Żadnych nagród dla mnie.

Teraz, w ten kwietniowy dzień, ludzie stoją na wysypanym żwirem parkingu obok kościoła, czekając, aż Marlene wyjdzie ze swoimi dziećmi. Ci, którzy rozmawiają, robią to cicho, spoglądają z roztargnieniem, co nie dziwi w tych okolicznościach, wiele osób wpatruje się w ziemię. Tenże sam żwirowany parking rozciąga się równolegle do drogi i dochodzi aż do dużych bocznych drzwi sklepu, które dawniej często bywały otwarte w letnie miesiące i przez które można było dostrzec Marlene grającą z dziećmi w karty albo szykującą dla nich hot dogi; miłe dzieciaki, zawsze biegały po sklepie, kiedy były małe, ciągle plątały się pod nogami.

Molly Collins, stojąca obok Olive Kitteridge, gdy obydwie czekają wraz z innymi, ogląda się na tę ścianę sklepu i mówi z głębokim westchnieniem:

– Taka sympatyczna kobieta. To nie w porządku.

Olive Kitteridge, grubokoścista i wyższa od Molly o głowę, sięga do torebki po ciemne okulary i włożywszy je na nos, patrzy na Molly twardo zmrużonymi oczami, ponieważ wygłoszona uwaga wydaje jej się wyjątkowo głupia. Ludzie wychodzą z głupiego założenia, że to czy tamto powinno być w porządku. W końcu jednak odpowiada:

– Rzeczywiście, jest sympatyczną kobietą – po czym odwraca się i spogląda na okryty pąkami krzew forsycji, po drugiej stronie drogi, obok ratusza.

I to prawda, Marlene Bonney jest urocza i słodka. Przed laty Olive uczyła Marlene matematyki; myśli teraz, że wie lepiej niż większość ludzi, jak trudno musiało być biednej dziewczynie zmierzyć się w swoim czasie ze sklepową kasą. Ale przyczyną, dla której Olive pojawiła się tu dzisiaj, by zaoferować pomoc, jest świadomość, iż Henry byłby tutaj, gdyby sytuacja wyglądała inaczej; Henry, który chodził do kościoła w każdą niedzielę i wierzył w więzi społeczne. Lecz oto i oni – Marlene wyszła z kościoła, Eddie junior u jej boku, dziewczęta tuż za nimi. Marlene płakała, oczywiście, teraz jednak się uśmiecha, błyskają dołeczki w jej policzkach, gdy dziękuje ludziom, stojąc przed bocznym przedsionkiem kościoła, ubrana w niebieski płaszcz, który zakrywa jej krągłą pupę, lecz nie jest na tyle długi, by do końca zasłonić zieloną sukienkę w kwiaty, naelektryzowaną i oblepiającą jej nylonowe pończochy.

Kerry Monroe, kuzynka (która przed kilkoma laty miała kłopoty z prawem i Marlene jej pomogła, przyjęła do siebie, dała pracę w sklepie), staje za Marlene zgrabna i elegancka,

czarnowłosa, w czarnym kostiumie i ciemnych okularach, kiwając głową do Eddiego juniora, on zaś kieruje matkę w stronę samochodu i pomaga jej wsiąść. Osoby jadące na cmentarz, w tym mąż Molly Collins, również wsiadają do swoich aut, włączają reflektory w środku tego słonecznego dnia i czekają, aż ruszy karawan, a za nim czarny samochód z resztą rodziny Bonneyów. „I to wszystko kosztuje majątek” – myśli Olive, krocząc wraz Molly w stronę własnego auta.

– Bezpośrednia kremacja – mówi Olive, czekając, aż Molly wygrzebie pas bezpieczeństwa spod warstwy psich kłaków. – Żadnych bajerów. Wersja podstawowa. Z miejsca na miejsce. Przyjeżdżają z Belfastu i cię zabierają.

– O czym ty mówisz? – Molly zwraca głowę w stronę Olive, która czuje jej oddech, woń sztucznej szczęki, noszonej od lat.

– Nie reklamują się – informuje Olive. – Żadnych bajerów. Powiedziałam Henry’emu, że skorzystamy z usług tej firmy, gdy nadejdzie czas.

Wyjeżdża z parkingu i rusza drogą w kierunku domu Bonneyów, który znajduje się daleko na końcu cypla. Zaofiarowała się, że pojedzie tam z Molly i pomoże przy kanapkach, unikając dzięki temu cmentarza. Opuszczanie trumny, cała ta heca – mogła to sobie darować.

– Cóż, przynajmniej pogoda jest ładna – mówi Molly, gdy mijają dom Bullocków na zakręcie. – To chyba trochę pomaga. – Rzeczywiście słońce jasno świeci, niebo za czerwoną stodołą Bullocków wydaje się bardzo niebieskie. – Czy w takim razie Henry coś rozumie? – pyta Molly po kilku minutach.

Olive czuje się tak, jakby ktoś rozkołysał więcierz na homary i uderzył ją prosto w mostek. Ale odpowiada po prostu:

– W niektóre dni. Tak sądzę, owszem. – Nie złości jej własne kłamstwo. To pytanie w jakiś sposób ją rozgniewało. Mimo wszystko ma ochotę opowiedzieć tej kobiecie siedzącej bezsensownie obok niej, jak wzięła z sobą psa w zeszłym tygodniu, tego dnia, kiedy było tak ciepło; jak wywiozła Henry’ego na parking i jak pies lizał go po rękach.

– Nie wiem, jak ty to robisz – odzywa się cicho Molly. – Żeby codziennie tam jeździć, Olive. Jesteś świętą osobą.

– Nie jestem i dobrze o tym wiesz – odpowiada Olive, lecz czuje taką złość, że omal nie zjeżdża z drogi.

– Zastanawiam się, skąd Marlene weźmie pieniądze na życie – mówi Molly. – Pozwolisz, że otworzę okno? Naprawdę uważam cię za świętą osobę, Olive, ale nie obraż się, trochę tu zalatuje psem.

– Nie zamierzam się obrażać, zapewniam cię – mówi Olive. – Otwórz sobie tyle okien, ile chcesz.

Skręciła w Eldridge Road i to błąd, ponieważ teraz będzie musiała przejechać obok domu, w którym mieszkał kiedyś jej syn Christopher. Prawie zawsze stara się jeździć inną trasą, wybierając starą drogę biegnącą nad zatoką, no ale stało się i Olive zaczyna się przygotowywać, by odwrócić głowę z udawaną nonszalancją.

– Ubezpieczenie na życie – ciągnie Molly. – Kuzynka Kerry mówiła coś o polisie ubezpieczeniowej na życie i przypuszczam, że Marlene myśli też o sprzedaży sklepu. Najwyraźniej to Kerry prowadziła w tym roku interesy.

Kątem oka Olive dostrzega zastawione gratami podwórze od frontu i odwraca głowę, jakby chcąc zerknąć między świerkami na wodę, lecz wciąż ma przed oczami obraz zaśmieconego podwórza; a to był taki piękny dom! Bez przy tylnych drzwiach ma już pewnie drobne ściśnięte

pączki, forsycja pod kuchennym oknem lada chwila rozkwitnie – jeżeli tylko nie wycięli jej ci wstrętnei ludzie, żyjący jak świnie. Po co kupować piękny dom i oszpecać go zepsutymi samochodami, trzykołowymi rowerkami, plastikowymi basenami i huśtawkami? Dlaczego ktoś robi coś takiego?

Kiedy wjeżdżają na długie wzniesienie, porośnięte jedynie krzewami jałowca i czarnej borówki, słońce nad wodą świeci tak osłepiająco, że Olive musi opuścić osłonę na przedniej szybie. Mijają przystań z restauracją Moody’ego, zmierzając w stronę domu Bonneyów nad niewielkim kanałem odpływowym.

– Mam nadzieję, że nie zgubiłam klucza, który mi dała – mówi Molly Collins, grzebiąc w torebce. Unosi rękę z kluczem, gdy auto się zatrzymuje. – Podjedź trochę dalej, Olive. Będzie tu mnóstwo samochodów, kiedy wrócą z cmentarza.

Przed laty Molly Collins prowadziła zajęcia z gospodarstwa w tej samej szkole, w której Olive uczyła matematyki, i już wtedy była apodyktyczną istotą. Ale Olive podjeżdża dalej.

– Chyba powinna sprzedać sklep – kontynuuje Molly, gdy obchodzą duży stary dom Bonneyów, kierując się ku bocznym drzwiom. – Po co miałyby się z tym wszystkim użerać, jeśli nie musi?

Wewnątrz, rozglądając się po kuchni, Molly dodaje w zadumie:

– Może powinna sprzedać również to miejsce.

Olive, która nigdy jeszcze tu nie była, myśli, że dom sprawia wrażenie zmęczonego. Nie dlatego, że w podłodze obok piecyka brakuje kilku płytek albo że kuchenny blat łuszczy się wzdłuż krawędzi. Po prostu daje się tutaj wyczuć atmosferę wyczerpania. Umierania. A może nie umierania. Tak czy inaczej, jest to nużące. Olive zagląda do salonu z dużym oknem, z widokiem na ocean. Mnóstwo rzeczy, o które trzeba zadbać. Z drugiej strony, dla Marlene to rodzinny dom. Oczywiście, jeśli go sprzeda, wówczas Kerry, która mieszka w pokoju nad garażem, również będzie musiała się wyprowadzić. „Co za pech” – myśli Olive, zamykając drzwi szafy po powieszeniu płaszczy i wracając do kuchni. Kilka lat temu Christopher wpadł w oko Kerry Monroe; zwierzyła pieniądze w tej jego praktyce. Nawet Henry poczuł się w obowiązku go ostrzec. „Nie martw się – odparł Christopher, ona nie jest w moim typie”. Dość zabawne, gdy tak teraz o tym pomyśleć.

– Boki można zrywać, ha, ha, trach – mówi Olive w przestrzeń, wchodzi do kuchni i kilka razy stuka knykciami w stół. – Zagoń mnie do roboty, Molly.

– Sprawdź, czy w lodówce jest mleko i nalej do tych dzbanuszków. – Molly zawiązała na sobie fartuszek, który zapewne znalazła gdzieś tutaj. A może przywiozła. W każdym razie wygląda na to, że czuje się jak u siebie w domu. – Powiedz mi, Olive, już wcześniej chciałam zapytać. Jak się miewa Christopher?

Molly ustawia talerze na stole ruchami tak szybkimi, jakby rozdawała karty.

– Dobrze – odpowiada Olive. – Co jeszcze mogę zrobić?

– Porozkładaj tutaj te ciastka. Podoba mu się w Kalifornii?

– Czuje się tam bardzo szczęśliwy. Prowadzi dochodową praktykę.

Takie miniaturowe ciasteczka. Cóż by szkodziło upiec ciastka, w które dałoby się wbić zęby?

– Jak to możliwe, że w Kalifornii ludzie mają problemy ze stopami? – pyta Molly, przesuwając się obok Olive z talerzem z kanapkami. – Przecież wszędzie jeżdżą samochodem.

Olive aż wbija spojrzenie w ścianę i przewraca oczami, tak głupia potrafi być ta kobieta.

– Ale stopy jednak posiadają. I Chris ma bardzo dobrą praktykę.

– Zapowiadają się jakieś wnuczeta? – Molly wypowiada te słowa nieśmiałym tonem,

wrzucając kostki cukru do niewielkiej cukiernicy.

– Nie słyszałam – mówi Olive. – I nie chciałam się dopytywać.

Bierze jedno z małych ciastek i wkłada do ust, wpatrując się w Molly rozszerzonymi oczami. Olive i Henry nie powiedzieli nikomu, z wyjątkiem starych przyjaciół, Billa i Bunny Newtonów, którzy mieszkali o dwie godziny jazdy samochodem od nich, o rozwodzie Christophera. Po co komukolwiek o tym mówić? Nikogo nie powinno to obchodzić, Christopher mieszka tak daleko – czy ktoś musi wiedzieć, że jego żona najpierw zaciągnęła go na drugi koniec kraju, a potem odeszła? I że nie chce wrócić do domu? Nic dziwnego, że Henry dostał udaru! To po prostu nie do wiary. Za nic w świecie Olive nie wyznałaby Molly Collins ani nikomu innemu, jakie to było straszne, kiedy Christopher przyjechał odwiedzić ojca w domu opieki, jak oschle się do niej odnosił i szybko wyjechał z powrotem – ten mężczyzna, który był jej ukochanym synem. Kobieta, nawet w wieku Marlene Bonney, mogła się spodziewać, że przeżyje swojego męża. Kobieta mogła się też spodziewać, że jej mąż się zestarzeje, dozna udaru mózgu i będzie tkwił na wózku w domu opieki. Ale nie spodziewała się, że wychowa syna, pomoże mu zbudować piękny dom w okolicy i rozpocząć solidną praktykę w dziedzinie leczenia i pielęgnacji stóp, a on potem się ożeni, przeprowadzi na drugi koniec kraju i nigdy nie wróci do rodzinnego domu, nawet gdy zostanie porzucony przez swoją wredną żonę. Żadna kobieta, żadna matka nie spodziewa się tego. Że wykradną jej syna.

– Zostaw trochę dla innych, Olive – mówi Molly Collins, po czym dodaje: – Cóż, przynajmniej Marlene ma swoje dzieciaki. Są zresztą wspaniałe.

Olive sięga po kolejne ciasteczko, lecz w tej samej chwili zjawiają się dzieci, wchodząc kuchennymi drzwiami wraz z Marlene i maszerując przez kuchnię, podczas gdy słychać auta wjeżdżające na żwirowany podjazd, a następnie trzaskanie drzwiczek. Marlene Bonney staje w korytarzu, trzymając kopertową torebkę nieco uniesioną i odsuniętą od ciała, jakby ta torebka należała do kogoś innego – i Marlene stoi tam, dopóki ktoś nie wprowadzi jej do salonu, gdzie siada posłusznie na swojej własnej sofie.

– Mówiliśmy właśnie – zwraca się do niej Molly Collins – że naprawdę, Marlene, ty i Ed wydalście na świat trójkę najlepszych dzieciaków w mieście.

I rzeczywiście można być z nich dumnym: Eddie junior w straży przybrzeżnej, bystry jak jego ojciec (choć nie tak otwarty; w jego ciemnych oczach czai się nieufność), Lee Ann kształci się na pielęgniarkę, Cheryl kończy szkołę średnią; nikt nie słyszał, żeby którekolwiek miało jakieś kłopoty. Lecz Marlene odpowiada tylko:

– Och, wiele jest miłych dzieciaków – i przyjmuje z rąk Molly filiżankę kawy. Brązowe oczy Marlene wydają się odrobinę błędne, jej policzki nieco obwisłe. Olive siada na krześle naprzeciwko niej.

– Przykra sprawa z tym cmentarzem – mówi, a Marlene się uśmiecha i dołeczki w jej policzkach migoczą niczym odbicia gwiazd.

– Ach, witaj, Olive – odpowiada.

Zajęło jej całe lata, żeby przestała się zwracać per „pani Kitteridge”, co się zdarza, gdy w grę wchodzi nauka w szkole. I, oczywiście, prawdą jest również, że Olive nadal postrzega połowę miasteczka jako dzieci i widzi Eda Bonneya i Marlene Monroe w charakterze uczniów, którzy zakochują się w sobie i codziennie wracają razem ze szkoły. Zatrzymywali się przy Crossbow Corners, by dłużej porozmawiać, i czasami Olive widywała ich tam jeszcze o piątej po południu, ponieważ dalej Marlene i Ed rozchodzili się w przeciwne strony.

Łzy pojawiają się w oczach Marlene, która mruga szybko. Pochyliła się w stronę Olive

i szepcze:

– Kerry mówi, że nikt nie przepada za beksami.

– Do diabła z nią – odpowiada Olive.

Ale Marlene prostuje się na widok nadchodzącej Kerry, chudej jak patyk, w butach na wysokich obcasach, wysuwającej w bok okrytą czarnym materiałem kość biodrową, gdy tylko się zatrzymuje, i nagle Olive przemyka przez myśl, że być może pomiatano Kerry, kiedy była małą, chudziutką, drobną dziewczynką.

Kerry pyta:

– Napijesz się piwa, Marlene? Zamiast tej kawy? – Sama trzyma szklankę piwa, przyciskając łokieć do talii, a jej ciemne oczy spoglądają czujnie na wciąż pełną filiżankę w dłoni Marlene, zauważając także Olive Kitteridge, która przed laty niejedną raz odsyłała Kerry do gabinetu dyrektora, zanim nie wyekspediowano dziewczyny do jakichś krewnych. – A może wolałabyś małą whisky?

Henry mógłby pamiętać, dlaczego ją stąd wyprawiono. Olive nigdy nie miała dobrej pamięci do takich spraw.

– Kropelka whisky dobrze mi robi – mówi Marlene. – Ty też chcesz, Olive?

– Nie, dziękuję. – Gdyby się napiła, byłaby pijaczką. Zawsze trzymała się z daleka od alkoholu. Zastanawia się, czy ekszona Christophera mogła pić po kryjomu, mając dostęp do całego tego kalifornijskiego wina.

Dom zapełnia się ludźmi. Przesuwają się korytarzem w stronę frontowej werandy. Przyjechało kilku rybaków z Sabbath Cove, wszyscy wyszorowani do czysta. Przepraszają kula szerokie ramiona i sprawiają wrażenie zakłopotanych, wchodząc do salonu i sięgając po maleńkie ciasteczka wielkimi dłońmi. Niebawem w salonie robi się tak tłoczno, że Olive nie widzi już przez okno morza. Przed jej oczami falują spódnice i klamry pasków.

– Chciałam tylko powiedzieć, Marlene... – Ludzie nagle się rozstępują przed Susie Bradford, która wciska się między niski stolik a sofę – ...że był bardzo dzielny podczas swojej choroby. Nigdy nie słyszałam, żeby się skarżył.

– Nie – odpowiada Marlene. – Nie skarżył się wcale. – I dodaje: – Miał swój koszyk z podróżami. – Przynajmniej tak usłyszała Olive. Cokolwiek Marlene powiedziała, wydaje się zakłopotana własnymi słowami. Olive dostrzega rumieniec na jej policzkach, jakby Marlene zdradziła właśnie jakąś prywatną, bardzo intymną tajemnicę dzieloną z mężem. Lecz tymczasem Susie Bradford pobrudziła sobie dekolt dżemem z ciasta i teraz Marlene zwraca się do niej:

– Och, Susie, idź do łazienki na końcu korytarza. Taka ładna bluzka, co za szkoda.

– W tym domu w ogóle nie ma popielniczek – odzywa się jakaś kobieta przechodząca obok Olive, a ponieważ panuje lekki ścisk, musi przystanąć na chwilę; zaciąga się głęboko dymem, mrużąc oczy. Krótki przeblysł rozpoznania migocze w głowie Olive, która jednak nie potrafi powiedzieć, kim jest ta kobieta, wie tylko, że jej się ona nie podoba, z tymi długimi strąkami mocno i nietwarzowo posiwiałych włosów. Olive uważa, że jeśli już ktoś siwieje, powinien ściąć włosy albo upinać na czubku głowy, nie ma sensu wmawiać sobie, że wciąż się jest podlotkiem. – Nie mogę znaleźć w tym domu ani jednej popielniczki – powtarza kobieta, zadzierając głowę i wydmuchując smugę dymu.

– Cóż, chyba ma pani pecha – zauważa Olive i kobieta przemieszcza się dalej.

Sofa pojawia się znowu w polu widzenia. Kerry Monroe popija ze szklanki jakiś brązowy napój – whisky, którą proponowała wcześniej, jak podejrzewa Olive – i choć szminka na ustach Kerry nadal lśni, a kości policzkowe i linia szczęki robią wrażenie swą proporcjonalną budową,

wydaje się, że pod czarnym kostiumem coś się obluzowało w jej stawach. Kerry kołysze nogą założoną na nogę, jej stopa się unosi i opada, jest w niej jakieś wewnętrzne rozdygotanie.

– Piękne nabożeństwo, Marlene – mówi Kerry, pochylając się, by nabić kłopsik na wykałaczkę. – Naprawdę piękne, on byłby z ciebie dumny. – Na co Olive kiwa głową, ponieważ chciałyby, żeby to dodało Marlene otuchy.

Ale Marlene nie patrzy na Kerry. Uśmiecha się i spogląda w górę, ujmując czyjąś dłoń.

– Dzieci wszystko zaplanowały. – Dłoń należy do młodszej córki, która, ubrana w niebieski welurowy sweterek i granatową spódnicę, wciska się między Marlene a Kerry i opiera głowę o ramię matki, przytulając do niej wyrosnięte ciało prawie dorosłej dziewczyny.

– Wszyscy powtarzają, jak pięknie wyglądało nabożeństwo – mówi Marlene, odgarniając córcę z czoła długą grzywkę. – Spisaliście się naprawdę znakomicie.

Dziewczyna kiwa głową przyciśniętą do ramienia matki.

– Wspaniale – wtrąca Kerry i opróżnia szklanę do dna, jakby łykała mrożoną herbatę.

Przyglądając się temu, Olive czuje... co takiego czuje? Zazdrość? Nie, nie zazdrości się kobiecie, która straciła męża. Ale nieosiągalność, tak by to określiła. Ta pulchna, dobrotliwa kobieta siedząca na sofie w towarzystwie dzieci, kuzynki, przyjaciół jest dla Olive nieosiągalna. Olive zdaje sobie sprawę z rozczarowania, jakie to przynosi. Dlaczego bowiem, mimo wszystko, znalazła się tu dzisiaj? Nie dlatego, że Henry zażyczyłby sobie pójścia na pogrzeb Eda Bonneya. Nie, przyjechała tu w nadziei, iż za pośrednictwem cudzego smutku przez jej własną ciemną skorupę przebije się wąska smuga światła. Ale ten stary dom pełen gości pozostaje dla niej czymś odległym, oddalonym, z wyjątkiem jednego głosu, który wznosi się ponad pozostałe.

Kerry Monroe jest pijana. Staje obok sofy w swoim czarnym kostiumie i unosi ramię.

– Posterunkowa Kerry – oznajmia głośno. – Taa jest. To powinnam być ja. – Ze śmiechem chwieje się na nogach. Ludzie ostrzegają: „Uważaj, Kerry”, „Ostrożnie”. W końcu Kerry siada na poręczy sofy, zsuwa czarny pantofel na wysokim obcasie i kiwa stopą w czarnej pończosze. – Pod ścianę, koleś!

To budzi odrazę. Olive podnosi się z krzesła. Pora stąd wyjść; pożegnania są niekonieczne. Nikt nie będzie za nią tęsknił.

Morze się cofa. W pobliżu nabrzeża powierzchnia wody jest płaska, metaliczna, choć dalej, za Longway Rock, zaczyna się burzyć; pojawiają się nawet grzywiaste fale. Więcierze do połowu homarów kołyszą się lekko w małej zatoczce, mewy krążą nad nabrzeżem i przystanią. Niebo jest nadal niebieskie, lecz wzdłuż horyzontu na północnym zachodzie rozciągają się potężne zwały chmur, a na Diamond Island gną się wierzchołki sosen.

Mimo wszystko Olive nie może odjechać. Jej samochód zablokowały na podjeździe inne auta, musiałyby się rozpytywać między ludźmi i narobić zamieszania, a tego nie chce. Wynajduje sobie zatem miłe, zaciszne miejsce, drewniane krzesło tuż poniżej tarasu, gdzieś z boku, gdzie można usiąść i obserwować chmury nadciągające powoli nad zatokę.

Eddie junior maszeruje w stronę wybrzeża z kilkoma kuzynami i kuzynkami. Nie zauważają siedzącej Olive i znikają w głębi wąskiej ścieżki między krzewami wawrznynów i dzikiej róży, następnie zaś pojawiają się ponownie na wybrzeżu, Eddie junior sam na szarym końcu. Olive obserwuje chłopaka, który schyla się po kamienie i ciska je w wodę, próbując puszcząć kaczki.

Nad sobą na tarasie słyszy kroki, ciężkie stąpanie męskich butów. Odzywa się głos Matta Gearsona, przeciągającego samogłoski:



- Dzisiaj wieczorem będzie wysoki przypływ.
- Ano będzie – potwierdza ktoś drugi, zapewne Donny Madden.
- Marlene będzie się tu czuła samotna w zimie – mówi po chwili Matt Grearson.

„Rany boskie – myśli Olive na krześle poniżej – uciekaj, ile sił w nogach, Marlene. Wielki przygłup Matt Grearson”.

- Chyba da sobie jakoś radę – odpowiada po długiej chwili Donny. – Tak już jest.

Kilka minut później ciężkie kroki oddalają się do wnętrza domu, Olive słyszy trzaśnięcie zamykanych drzwi. „Ludzie dają sobie radę” – myśli. To prawda. Ale nabiera głęboko tchu i musi się poprawić na tym drewnianym krześle, ponieważ jest to również nieprawda. Oczyma duszy widzi Henry’ego sprzed niecałego roku, odmierzającego, jakiej długości mają być listwy przypodłogowe w nowym pokoju. Na czworakach i z taśmą mierniczą podaje Olive liczby, ona je zapisuje. Potem Henry wstaje, prostuje się; jest wysokim mężczyzną. „No dobra, Ollie. Odsiusiamy się i jedziemy do miasta”. W samochodzie... o czym wtedy rozmawiali? O, jakże chciałyby sobie przypomnieć, ale nie potrafi. W mieście, na parkingu przed Shop ’n Save – ponieważ po zakupach w składzie drewna stwierdzili, że zabrakło im w domu mleka i soku – powiedziała, że zaczeka w samochodzie. I tak się skończyło ich życie. Henry wysiadł i upadł na ziemię. Nigdy już nie wstał, nigdy więcej nie szedł do domu wysypaną kamykami ścieżką, nigdy więcej nie wypowiedział zrozumiałego słowa; czasami tylko jego ogromne zielonkawoniebieskie oczy spoglądały na Olive ze szpitalnego łóżka.

A później oślepk; teraz już jej nigdy nie zobaczy. „Nie ma na co patrzeć – mówiła mu, kiedy przyjeżdżała z nim posiedzieć. – Trochę straciłam na wadze, odkąd nie jadamy razem co wieczór krakersów z serem. Ale domyślam się, że wyglądam koszmarnie”. Powiedziała by na to, że wcale nie. Powiedziała by: „Ależ skąd, Ollie. Dla mnie wyglądasz cudownie”. On jednak nic nie mówi. W pewne dni, siedząc w swoim wózku, nawet nie odwraca głowy. Olive jeździ codziennie, żeby z nim pobyc. „Jesteś świętą osobą” – mówi Molly Collins. Boże, jak można być aż tak głupim? Przerazona stara kobieta – oto kim jest. Teraz wie tylko, że gdy słońce zajdzie, pora się kłaść do łóżka. Ludzie jakoś dają sobie radę? Nie jest tego zupełnie pewna. W tej kwestii odpływ ciągle trwa, myśli Olive.

Eddie Junior pozostał na wybrzeżu, puszczając kaczki. Jego kuzyni gdzieś zniknęli, tylko Eddie stoi samotnie na skałach. I ciska tymi płaskimi kamykami. Olive patrzy z przyjemnością, jaki jest w tym dobry: cyk-cyk, cyk-cyk, choć powierzchnia wody nie jest już gładka. Podoba się Olive sposób, w jaki chłopak natychmiast schyla się po następny kamyk i rzuca.

Lecz oto pojawia się Kerry, nie wiadomo skąd. Zapewne zeszła nad morze od drugiej strony domu, ponieważ teraz chwije się na obrośniętych pąklami skałach i woła coś do Eddiego. Cokolwiek woła, jemu się to nie podoba. Olive jest tego pewna, nawet z tak daleka. Eddie wciąż rzuca kamieniami, w końcu jednak odwraca się i coś mówi. Kerry unosi ramiona jak gdyby w błagalnym geście, na co Eddie po prostu kręci głową i chwilę później Kerry wraca na górę, wspinając się po skałach, najwyraźniej pijana. „Może sobie tam skręcić kark” – myśli Olive. To raczej nie obchodzi Eddiego juniora. Ciska kamieniem, tym razem mocno, zbyt mocno – kamień nie odbija się od wody, tylko w nią wpada.

Olive siedzi na krześle przez długą chwilę. Spogląda na wodę, na obrzeżach umysłu odbiera, że ludzie wsiadają do samochodów i odjeżdżają, lecz myśli o Marlene Monroe, młodej i nieśmiałej, wracającej do domu ze swoją sympatią, Edem Bonneyem, jaka musiała być szczęśliwa. Kiedy stali przy Crossbow Corners, ptaki świergotały, a Ed Bonney mówił, być może: „O rany, za nic nie chcę się z tobą żegnać”. Mieszkali w tym domu razem z matką Eda

w pierwszych latach małżeństwa, aż do śmierci starszej pani. Gdyby małżeństwo Christophera przetrwało, jego żona nie pozwoliłaby Olive zamieszkać z nimi nawet na pięć minut. A teraz Christopher wydawał się tak zmieniony, że również mógłby nie chcieć z nią zamieszkać, gdyby Henry zmarł, a ona znalazła się w kłopotliwej sytuacji. Christopher upchnąłby ją na strychu, lecz wspominał wcześniej, że w jego kalifornijskim domu nie ma strychu. Mógłby ją przywiązać do drzewca flagowego, ale go również nie posiadał. „Faszystowski zwyczaj” – stwierdził, gdy przyjechał ostatnim razem i mijali dom Bullocków z flagą wywieszoną od frontu. Kto mógłby mówić takie rzeczy?

Niepewne kroki na tarasie powyżej, a potem bełkotliwy głos:

– Przepraszam, Marlene. Naprawdę musisz mi uwierzyć. – I stłumiona odpowiedź Marlene, tłumaczącej Kerry, że już pora iść to odespać, następnie zaś tupanie po schodach i wreszcie cisza.

Wróciwszy do środka, Olive bierze ciastko, wkłada je do ust i wyrusza na poszukiwanie łązienki. Wychodząc, natyka się na kobietę o długich siwiejących włosach, która właśnie gasi niedopałek papierosa w doniczce z kwiatkiem stojącej na stoliku w korytarzu.

– Kim pani jest? – pyta Olive, na co kobieta wpatruje się w nią i odpowiada pytaniem:

– A pani kim jest?

Olive przechodzi obok niej. To ta kobieta, która kupiła dom Christophera, uświadamia sobie z nagłym skurczem żołądka, ta kobieta, która nie uszanuje nawet biednej rośliny w doniczce, nie wspominając już o tym wszystkim, na co pracowali Olive i Henry, o pięknym domu ich syna, w którym to domu miały dorastać ich wnuki.

– Gdzie się podziewa Marlene? – zwraca się Olive do Molly Collins, wciąż opasanej fartuszkami Marlene, krążącej po salonie i nadgorliwie uprzątającej talerze oraz zmięte w kulkę papierowe serwetki. Molly ogląda się przez ramię i odpowiada z roztargnieniem:

– O rety, nie wiem dokładnie.

– Gdzie jest Marlene? – Olive kieruje pytanie do Susie Bradford, która pojawia się w pobliżu, na co Susie bąka:

– Gdzieś tutaj.

Informacji udziela dopiero Eddie junior:

– Kerry się upiła i mama z nią poszła, żeby pomóc jej się położyć. – To mówiąc, rzuca gniewne spojrzenie w stronę odwróconej plecami Susie Bradford i Olive czuje do niego wielką sympatię. Nie zetknęła się z tym młodym człowiekiem w szkole. Przestała uczyć sporo lat wcześniej, by zadbać o potrzeby swoich najbliższych. Christopher w Kalifornii. Henry w domu opieki w Hasham. Odeszli. Piekło ich pochłonęło.

– Dziękuję – odpowiada Olive Eddiemu, w którego młodzieńczych oczach zdaje się kryć pełna świadomość istnienia piekła.

Nie jest to piękny kwietniowy dzień. Północno-wschodni wiatr, którego podmuchy uderzają o boczną ścianę domu Bonneyów, przywiał zwały chmur i teraz nad zatoką rozciąga się szare listopadowe niebo, a fale biją nieustannie o ciemne skały, wprawiając wodorosty w wirowy ruch i pozostawiając je na skalnych wystęпах niczym rozczesane pasma włosów. Cała linia wybrzeża przypomina ziemię jałową, niemal zimowy krajobraz, jedynie chude świerki i sosny okrywa ciemna zieleń, gdyż jest zbyt wcześnie na jakiegokolwiek listki; nawet forsycja rosnąca tuż przy domu ma dopiero maleńkie pączki.

Podążając naprzód w poszukiwaniu Marlene, Olive Kitteridge przestępuje nad złamanym

krokusem obok bocznych drzwi garażu. W zeszłym tygodniu, po tamtym dniu tak ciepłym, że można było wywieźć Henry'ego na parking, gdzie powitał go pies, spadł śnieg – jeden z kwietniowych darów czystej bieli, który całkowicie stopniał następnego dnia, lecz ziemia jest gdzieś jeszcze rozmiękła po opadach i ten żółty krokus został zapewne rozdeptany. Tuż za drzwiami garażu są schody i Olive wspina się po nich ostrożnie, a potem przystaje na podeście; wiszą tam na haczykach dwie sportowe bluzy i stoi para zabłoconych żółtych gumowców z czubkami zwróconymi w przeciwnie strony.

Olive stuka do drzwi, patrząc na buty. Pochyla się i przestawia je tak, by wyglądały jak stąpające równo, jakby mogły stąd odmaszerować razem, a potem stuka ponownie. Nikt nie reaguje, więc przekręca gałkę, powoli popycha drzwi i wchodzi.

– Witaj, Olive.

Na drugim końcu pokoju, zwrócona do niej przodem, Marlene siedzi niczym posłuszna uczennica na krześle o prostym oparciu tuż przy podwójnym łóżku Kerry, z rękami złożonymi na kolanach i skromnie zsuniętymi pulchnymi kostkami. Kerry rozciągnęła się na łóżku. Leży na brzuchu jak rozleniwiona plażowiczka, z twarzą zwróconą ku ścianie i łokciami wysuniętymi na zewnątrz, lecz biodra są lekko uniesione, tak iż czarny materiał kostiumu podkreśla zarys jej pośladków i ud, a nogi w czarnych pończochach wydają się gładkie i kształtne, lecz w okolicach stóp pończochy są podarte na drobne strzępki.

– Śpi? – pyta Olive, idąc w głąb pokoju.

– Urwał jej się film – odpowiada Marlene. – Najpierw porzygała się w pokoju Eddiego, a potem usnęła tutaj.

– Rozumiem. Urządziłaś jej tu całkiem przyjemne mieszkanie. – Olive podchodzi do małej jadalnianej wnęki, bierze stamtąd krzesło i siada obok Marlene.

Przez chwilę żadna z nich się nie odzywa, a potem Marlene oznajmia konwersacyjnym tonem:

– Myślałam o tym, żeby zabić Kerry. – Unosi rękę z kolan, odsłaniając mały, ostry kuchenny nóż, który leży na zielonej sukience w kwiatki.

– Aha – mówi Olive.

Marlene pochyla się nad uspioną Kerry i dotyka jej obnażonej szyi.

– Czy to nie jest jakaś ważna żyła? – pyta i przykłada nóż płasko do karku Kerry, nawet wbija go lekko w miejsce, gdzie widać bijące tętno.

– Tak. Jasne. Postaraj się trochę uważać, jeśli można prosić – Olive pochyla się naprzód.

Marlene odchyła się z westchnieniem.

– No dobrze, trzymaj. – I podaje kuchenny nóż Olive.

– Lepsza byłaby poduszka – informuje ją Olive. – Jak poderzniesz komuś gardło, zawsze jest dużo krwi.

W gardle Marlene wzbiera nagle głęboki, łagodny śmiech.

– Nigdy nie pomyślałam o poduszce.

– Ja miałam trochę czasu, żeby o nich pomyśleć – mówi Olive, lecz Marlene przytakuje z nieobecny wyrazem twarzy, jakby tak naprawdę nie słuchała.

– Pani Kitteridge, wie pani?

– O czym? – pyta Olive, czując, jak burzy się jej żołądek, jak unoszą się w nim białe grzywy fal.

– Co Kerry mi dzisiaj powiedziała? Że to się zdarzyło między nią a Edem tylko raz. Jeden raz. Ale ja jej nie wierzę... musiało być więcej razy. Tamtego lata, kiedy Ed junior skończył szkołę średnią. – Marlene zaczyna płakać, kręci głową. Olive spogląda w drugą stronę; w końcu kobieta

potrzebuje odrobiny prywatności. Trzyma kuchenny nóż na podołku i spogląda przez okno nad łóżkiem na szare niebo i szary ocean; nie widać stąd linii wybrzeża, tylko szarość, jak okiem sięgnąć.

– Nigdy o niczym nie słyszałam – mówi Olive. – Dlaczego powiedziała ci o tym właśnie dzisiaj?

– Myślała, że wiem. – Marlene wydobyła skądś chusteczkę, nie wiadomo skąd, może z rękawa, i ociera nią twarz, a potem wydmuchuje nos. – Myślała, że wiem od samego początku i po prostu chcę ją ukarać tym, że jestem dla niej miła. Upiła się dzisiaj i zaczęła opowiadać, jak to ją wyprowadziłam w pole, dręczyłam ich oboje, ją i Eda, swoją życzliwością.

– Matko jedyna – tylko tyle Olive potrafi powiedzieć.

– Czy to nie zabawne, Olive? – Znowu napływa skądś, znikąd, głęboki chichot Marlene.

– No cóż – odpowiada Olive – zdarzało mi się słyszeć zabawniejsze rzeczy.

Spogląda na ubrane w czarny kostium ciało Kerry rozciągnięte na łóżku i żałuje, że nie ma tu przesuwanych drzwi albo zasłony do zaciągnięcia, żeby nikt nie widział uniesionego biodra dziewczyny i jej czarnych pończoch, podkreślających smukłą linię łydek.

– Czy Eddie junior wie?

– Tak. Chyba powiedziała mu wczoraj. Myślała, że on wie, ale on mówi, że nie wiedział. Twierdzi, że w to nie wierzy.

– Może to nieprawda.

– Jasna cholera – powtarza Marlene, kręcąc głową i zaczynając płakać. – Pani Kitteridge, przepraszam za wyrażenie, ale chcę tylko powiedzieć: jasna cholera. I do dupy z tym.

– Do dupy z tym – oznajmia Olive, która sama nigdy nie używa tego słowa.

– Do dupy z tym – powtarza Marlene. – Do dupy, do dupy, do dupy.

– Chyba tak – Olive nabiera tchu. – Chyba tak – powtarza powoli. Rozgląda się z niewielkim zainteresowaniem – na jednej ścianie wisi portret kota – i wraca spojrzeniem do Marlene, która uciska palcami nos. – Ciężki dzień, dziecinko. Rzyganie na górze, pety na dole. – Kobieta o długich siwych włosach wywołała prawdziwy szok w Olive. W jej spowitym mgłą umyśle nastąpiły wstrząsy sejsmiczne. Olive mówi: – Ta kobieta, która kupiła dom Christophera, chodzi i gasi niedopałki w twoich doniczkach.

– Ach, ona – wzdycha Marlene. – Też jest gówno warta.

– Chyba tak. – Zamierza jutro opowiedzieć o tym Henry’emu. Opowie mu o wszystkim, tylko pominie słowo „gówno”, którego on nie lubi.

– Olive, czy mogę cię poprosić o przysługę?

– Jak najbardziej.

– Czy mogłabyś... – Biedaczka wydaje się taka zasmucona i oszołomiona w swojej zielonej sukience w kwiatki, brązowe włosy wymykają się spod wsuwek. – Zanim odjedziesz, czy mogłabyś pójść na górę do sypialni? Gdy wejdiesz po schodach, skręć w prawo. W szafie znajdziesz broszury, no wiesz, turystyczne. Mogłabyś je stamtąd zabrać? Po prostu zabierz je i wyrzuć. Koszyk też.

– Oczywiście.

Łzy spływają wzdłuż nosa Marlene. Ociera twarz dłonią.

– Nie chcę otwierać drzwi tej szafy ze świadomością, że ten koszyk tam jest.

– Tak – odpowiada Olive. – Zrobię to.

Przywozła ze szpitala buty Henry’ego, włożyła je do torby, postawiła ją w garażu i nadal tam są. Były nowe, kupione zaledwie kilka dni przed ostatnim zatrzymaniem się Kitteridge’ów na

parkingu przy Shop 'n Save.

– Jeżeli masz coś jeszcze do wyrzucenia, Marlene, też to zabiorę.

– Nie. Nie, Olive. Rzecz w tym, że tak siedzieliśmy i udawaliśmy, że pojedziemy razem w różne miejsca. – Marlene kręci głową. – Nawet po tym, jak doktor Stanley powiedział nam, co się dzieje, przeglądaliśmy te broszury i rozmawialiśmy o podróżach, w które się wybierzemy, gdy Ed wyzdrowieje. – Pociera twarz obiema dłońmi. – O rety. – Marlene patrzy na nóż w ręce Olive. – O rety, Olive. Tak się wstydzę. – I chyba rzeczywiście jest zakłopotana; jej policzki oblewają się różem, a potem głęboką czerwienią.

– Nie musisz – zapewnia Olive. – Każdy z nas miewa takie chwile, że chciałby kogoś zamordować. – Gotowa jest w tej chwili wymienić, gdyby Marlene zechciała usłyszeć, różnych ludzi, których miałyby chęć uśmiercić.

Lecz Marlene odpowiada:

– Nie, nie tego. Nie tego. Tylko tego, że tak z nim przesiadywałam i planowaliśmy te podróże. – Szarpie chusteczkę higieniczną, i tak już mocno postrzępioną. – O rety, Olive, zupełnie jakbyśmy w to wierzyli. A on słabł, tracił na wadze... „Marlene, przynieś koszyk z podróżami”, mówił, a ja przynosiłam. Teraz bardzo się tego wstydzę, Olive.

„Niewinna istota – myśli Olive, spoglądając na tę kobietę. – Bezgrzeszne stworzenie. Już nie ma takich na świecie. Do licha, prawie nie ma”.

Olive wstaje i podchodzi do okna nad niewielkim zlewem, przez które widać podjazd. Ludzie wychodzą, ostatni goście; Matt Grearson wsiada do swojej ciężarówki, cofa ją, odjeżdża. I oto nadchodzi Molly Collins z mężem, krocząc po żwirze w czółenkach na niskim obcasie. „Krzętała się przez cały dzień z pełnym poświęceniem, dokładając wszelkich starań” – myśli Olive. Zwykła kobieta ze sztuczną szczęką i wiekowym mężem, która lada chwila umrze jak oni wszyscy albo, co gorsza, zasiądzie w fotelu na kółkach obok Henry'ego.

Chciałyby opowiedzieć Marlene, jak to rozmawiali z Henrym o przyszłych wnukach, o radosnych świętach Bożego Narodzenia spędzanych z miłą synową. Jak niewiele ponad rok wcześniej pojechali na kolację do Christophera i napięcie rosło, tak że nieomal przebijało sufit, a oni mimo wszystko po powrocie do domu wymieniali uwagi, jaka to miła dziewczyna i jacy są zadowoleni, że Christopher ma taką dobrą żonę.

Któż nie ma swojego koszyka z podróżami? To nie jest w porządku. Tak wyraziła się dzisiaj Molly Collins pod kościołem. „To nie jest w porządku”. No tak. Faktycznie, nie jest.

Chciałyby położyć dłoń na głowie Marlene, lecz nie bardzo potrafi to zrobić. Więc zamiast tego podchodzi do krzesła, na którym siedzi Marlene, i wygląda przez boczne okno, patrzy na wybrzeże, którego linia rozciąga się teraz szeroko, gdy cofnęły się fale odpływu. Przypomina jej się Eddie junior ciskający kamieniami i myśli o sobie, o własnym odczuciu, o tym, kiedy była dostatecznie młoda, by podnieść kamień i rzucić go z mocą prosto w morze, dostatecznie młoda, żeby to zrobić, żeby rzucić ten cholerny kamień.

## Okręt w butelce

– Musisz sobie jakoś zorganizować porządek dnia – oznajmiła Anita Harwood, przecierając kuchenny blat. – Julie, mówię poważnie. Właśnie z tego powodu ludzie wariują w więzieniach i w wojsku.

Winnie Harwood, która miała lat jedenaście i była o dziesięć lat młodsza od swojej siostry, obserwowała Julie, wpatrującą się w podłogę i opartą o framugę drzwi, w czerwonej sportowej bluzie z kapturem i dzinsach, w których spała. Julie wsunęła ręce w kieszenie, a Winnie, której uczucia do siostry graniczyły w owych dniach dojrzewania niemal z zakochaniem, próbowała dyskretnie również wsunąć ręce w kieszenie i oprzeć się o stół. Z taką samą obojętnością, z jaką Julie przyjmowała to, co do niej mówiono.

– Na przykład – ciągnęła matka – jakie są twoje plany na dzisiaj? – Przestała wycierać blat i obejrzała się na Julie. Julie nie odwzajemniła spojrzenia. Dopiero teraz, od niedawna, uczucia Winnie przeniosły się z matki na siostrę. Jej matka wygrywała konkursy piękności, zanim jeszcze urodziła się Julie, i nadal wydawała się Winnie bardzo ładna. To tak, jakby mieć więcej cukierków niż inni albo dostać gwiazdkę za domowe zadanie, kiedy się miało mamę, która wygląda najpiękniej. Wiele mam było grubych albo miało głupie fryzury, albo nosiło wełniane koszule swoich mężów narzucone na dzinsy z elastycznym wszywanym paskiem. Anita nigdy nie wychodziła z domu bez szminki na ustach, butów na wysokich obcasach i kolczyków ze sztucznymi perłami. Jednak ostatnio, od pewnego czasu, Winnie zaczęła odnosić niemiłe wrażenie, że coś może być nie tak z jej matką, że ludzie mówili o niej w specyficzny sposób, przewracając oczami. Oddałyby wszystko, żeby tak nie było i może istotnie nie było – po prostu nie wiedziała.

– Z tego powodu? – spytała Julie, unosząc oczy. – W więzieniach i w wojsku? Mamo, ja tu umieram, a ty opowiadasz głodne kawałki.

– Nie wymawiaj tak lekko słowa „umieram”, skarbie. W tej chwili niektórzy ludzie naprawdę umierają i to czasami okropną śmiercią. Byliby szczęśliwi, gdyby mogli znaleźć się na twoim miejscu... odrzucenie przez narzeczonego byłoby dla nich jak uządlenie komara. Spójrz. Twój ojciec jest w domu – zauważyła Anita. – Jak miło. Wrócił w środku roboczego dnia, żeby sprawdzić, czy dobrze się czujesz.

– Żeby sprawdzić, czy ty się dobrze czujesz – sprostowała Julie, dodając: – I to nie do końca prawda, że on mnie odrzucił. – Winnie wyjęła ręce z kieszeni.

– Co słyhać? Jak się wszyscy mają? – Jim Harwood był mężczyzną lekkiej budowy i niepohamowanie sympatycznego charakteru. Trzeźwiejący alkoholik, uczęszczał trzy razy w tygodniu na mityngi grupy AA. Nie był ojcem Julie – jej ojciec wyjechał z inną kobietą, gdy Julie była mała – lecz odnosił się do niej życzliwie, jak do każdego. Czy był jeszcze pijakiem, kiedy matka wychodziła za niego, Winnie nie wiedziała. Odkąd pamiętała, pracował jako woźny w szkole. „Kierownik do spraw technicznych – powiedziała kiedyś matka do Julie. – I nie zapomnij o tym”.

– Wszystko w porządku, Jim – odpowiedziała teraz Anita, przytrzymując drzwi, gdy wnosił

torbę z zakupami spożywczymi. – Spójrzcie tylko, dziewczęta. Wasz ojciec zrobił zakupy. Julie, może byś usmażyła naleśniki?

To był rodzinny zwyczaj: jadać naleśniki w niedzielne wieczory. Ale nie w piątek w południe.

– Nie chcę smażyć naleśników – powiedziała Julie. Zaczęła bezgłośnie płakać i ocierać twarz dłońmi.

– No cóż, to się bardzo źle składa – oznajmiła matka. – Julie, skarbie, jeśli dalej będziesz tak płakać, to wpadnę w szał. – Anita wycisnęła gąbkę nad zlewem. – W prawdziwy szał, rozumiesz?

– Mamo, na Boga.

– I przestań wypowiadać imię Boże nadaremnie. On i bez tego ma pełne ręce roboty. Porządek dnia, Julie. To ustalony porządek dnia pozwala funkcjonować więzieniom i wojsku.

Winnie zaproponowała:

– Ja usmażę naleśniki. – Chciała, żeby mama przestała mówić o więzieniach i wojsku. Mama opowiadała o więzieniach i wojsku od czasu, gdy ukazały się te zdjęcia zakapturzonych więźniów zza oceanu i amerykańskich żołnierzy trzymających ich na smyczy niczym psy.

– Zasłużyliśmy na wszystko, co dostajemy – powiedziała matka kilka miesięcy wcześniej w sklepie spożywczym, zwracając się głośno do Marlene Bonney. A na to Cliff Mott, który miał naklejoną na ciężarówce dużą żółtą kalkomanię w kształcie wstążki, ze względu na wnuka, wyszedł zza półek z płatkami i się odezwał:

– Uważaj z tymi swoimi zwariowanymi gadkami, Anito.

– Dobrze, Winnie – zgodziła się teraz matka. – Usmaż naleśniki.

– Pomóc ci? – zapytał ojciec. Wyjął jajka z torby z zakupami i pochylił się, żeby włączyć radio.

– Nie – odparła Winnie. – Poradzę sobie.

– Tak – powiedziała jej matka. – Jim, wyjmij miskę.

Wydobył z szafki miskę do sałatek, podczas gdy głos Franka Sinatry na przemian wznosił się i opadał, wyśpiewując *My Way*.

– Och, proszę – westchnęła Julie. – Proszę, proszę, proszę, wyłączcie to.

– Jim – przemówiła Anita. – Wyłącz radio.

Winnie jako pierwsza pochyliła się i wyłączyła radio. Chciała, żeby Julie zauważyła, że to ona, ale Julie nie patrzyła.

– Julie, skarbie – podjęła matka – to nie może trwać wiecznie. Rodzina ma prawo słuchać radia. Przecież wiesz.

– Minęły cztery dni – odparła Julie. Wytarła nos rękawem sportowej bluzy. – Daj spokój.

– Sześć – sprostowała matka. – Dzisiaj jest szósty dzień.

– Mamo, proszę. Daj mi odetchnąć.

Winnie pomyślała, że ktoś powinien jej podać środek uspokajający. Wujek Kyle przywiózł ich trochę, lecz matka teraz wydzielala tabletki tylko w nocy, przełamując je na pół. Winnie budziła się czasami i wyczuwała, że Julie nie śpi. Poprzedniej nocy była pełnia księżyca i ich pokój aż jaśniał bielą.

– Julie – szepnęła Winnie. – Śpisz?

Julie nie odpowiedziała. Winnie odwróciła się i spojrzała przez okno na księżyc. Był ogromny, zawisł nad wodą jak coś spuchniętego. Gdyby na oknie była zasłona, Winnie by ją zaciągnęła, ale w domu nie używali zasłon. Mieszkali na końcu długiej gruntowej drogi i ich matka oznajmiła, że nie potrzebują zasłon, choć rok wcześniej rozwiesiła rybacką sieć na oknie

salonu dla dekoracji. Wysłała Winnie i Julie na wybrzeże po rozgwiązdy różnych rozmiarów, żeby je wysuszyć i powiesić na zasłonach. Julie i Winnie przeszły przez wodorosty, ciskając kamieniami i zbierając naręcze rozgwiązd o kostropatej skórce.

– To ma związek z jej ojcem... i z moim – powiedziała Julie. Była jedyną osobą, która mówiła Winnie takie rzeczy. – Ona tęskni za nimi obydwoma. Jej ojciec na zakończenie dnia przynosił jej rozgwiązdy, kiedy była dzieckiem. Później chciała, żeby Ted robił to samo i przez pewien czas to robił.

– To było dawno temu – zauważyła Winnie, zdejmując ze skały małą rozgwiązdę; jedno ramię stworzenia się oderwało. Położyła rozgwiązdę z powrotem. Utracone ramiona im odrastały.

– Nieważne – oznajmiła Julie. – Tęsknota za kimś nigdy nie przemija.

Ich dziadek był rybakiem, którego łódź utknęła na rafie, daleko na morzu. Wycinek z gazety znajdował się w tym samym albumie, co zdjęcie Anity jako Ziemniaczanej Królowej.

– Ludzie przezywali ją „Kartoflane Cycki” – poinformowała Julie. – Tylko jej nie mów, że ci o tym powiedziałam.

Anita wyszła za mąż za Teda, stolarza, ponieważ była w ciąży z Julie, lecz Ted nigdy nie chciał się z nią związywać z kimś na dłużej. Julie dodała, że postawił sprawę jasno od samego początku.

– Więc straciła ich obu w ciągu paru lat. – Julie zajrzała do wiaderka z rozgwiązdami. – Już wystarczy. Wracajmy.

Gdy ruszyły po skałach w drogę powrotną, Julie powiedziała:

– Usłyszałam od Bruce’a, że większość rybaków nie umie pływać. Śmieszne, ale o tym nie wiedziałam.

Winnie była zaskoczona, że Bruce o tym wie, bo nie pochodził stąd. Przyjechał z Bostonu i wynajął domek na miesiąc, do spółki z braćmi, dlatego Winnie nie potrafiła dociec, skąd on wie, czy rybacy umieją pływać.

– A czy on umiał pływać? – zapytała Winnie. Miała na myśli dziadka, choć nie wiedziała, jak go nazwać, ponieważ nigdy nie wymieniano jego imienia.

– Nie. Siedział tylko na tej łodzi z drugim facetem i patrzył, jak nadchodzi przyływ. Chyba wiedział, że utonie. Od tego mama dostaje świra, tak mi się wydaje.

Rozgwiązdy zawieszona na zasłonach z sieci zaczęły śmierdzieć, ponieważ wcześniej nie zostały wysuszone jak należy, i w końcu Anita je wyrzuciła. Winnie obserwowała matkę stojącą na ganku i przechyloną przez poręcz, gdy wyrzucała jedną za drugą z powrotem do morza. Matka miała na sobie jasnozieloną sukienkę, którą wiatr rozwiął tak, że ukazała jej figurę, piersi, wąską talię, długie gołe nogi, łukowate podbicie stopy, kiedy wspinała się na palce, wyrzucając rozgwiązdy. Winnie usłyszała jakiś dźwięk, jakby cichy krzyk, z ust matki, gdy wyrzucała ostatnią rozgwiązdę.

– Kochanie – odezwała się teraz Anita do Julie – weź prysznic, poczujesz się znacznie lepiej.

– Nie chcę brać prysznicu – odparła Julie, wciąż stojąc w progu i ocierając usta rękawem.

– Dlaczego? – spytała matka. – Co za różnica, czy płaczesz w kuchni, czy w łazience? – Położyła dłoń na biodrze i Winnie dostrzegła różowy lakier na paznokciach matki, starannie pomalowanych.

– Bo nie chcę zdejmować ubrania. Nie chcę oglądać własnego ciała.

Anita zacisnęła szczęki i kilkakrotnie lekko skinęła głową.

– Winnifred, uważaj, gdzie trzymasz rękaw. Nie za blisko ognia! Jeszcze jedna katastrofa



i gotowa jestem kogoś zabić.

Ich dom nie miał łazienki z prysznicem, jak większość domów. Była kabina prysznicowa przy korytarzu, a po drugiej stronie przenośna toaleta, coś jak plastikowa beczka, która wydawała warczący dźwięk, gdy nacisnęło się spłuczkę. Nie było nawet drzwi, tylko zasłona. Czasami Anita, przechodząc obok, wzdychała: „Uff! Kto właśnie miał wypróżnienie?”. Jeśli chciałaś wziąć prysznic, mówiłaś ludziom, żeby nie wychodzili na korytarz, bo inaczej musiałaś się rozbierać w obudowanej metalem kabinie i wyrzucać ciuchy na zewnątrz, a potem czekać, aż popłynie ciepła woda, gdy przyciskałaś się do metalowej ścianki.

Julie wyszła z kuchni i zaraz potem rozległ się odgłos tryskającej wody.

– Biorę prysznic! – zawołała głośno. – Więc proszę nie wchodzić.

– Nie zamierzamy ci przeszkadzać! – odrzyknęła Anita. Winnie nakryła stół i naląła soku do szklanek. Gdy woda przestała płynąć spod prysznica, usłyszeli płacz Julie.

– Nie wiem, czy zniosę to jeszcze przez minutę – oznajmiła Anita, bębniąc paznokciami po kuchennym blacie.

– Daj jej trochę czasu – wtrącił Jim i wlał ciasto naleśnikowe na patelnię.

– Czasu? – powtórzyła Anita, wskazując ręką na korytarz. – Jimmy, oddałam tej dziewczynie połowę życia.

– No i co? – Jim mrugnął do Winnie.

– Co, pstro. Naprawdę, naprawdę zaczyna mnie to męczyć.

– Masz ładną fryzurę, mamó – odezwała się Winnie.

– Powinna być ładna – odparła Anita. – Kosztowała tyle, że wyżywilibyśmy się za to przez dwa miesiące.

Julie wróciła do kuchni z mokrymi włosami przylegającymi do głowy; krople wody kapały na jej czerwonej sportowej bluzę, robiąc ciemne plamy na ramionach. Winnie zauważyła, że ojciec podrzuca naleśnik w kształcie wykrzywionej litery J. „J jak jasny klejnot” – zwrócił się do Julie, a Winnie zastanowiła się, co się w końcu stało z obrączkami.

Limuzyna wywołała pewne napięcie. Na początku kierowca nie chciał podjechać pod dom; powiedział, że powinni byli uprzedzić o gruntowej drodze i gałęziach, które mogą porysować karoserię.

– Julie nie przejdzie tą drogą w swojej cholernej ślubnej sukni – poinformowała Anita męża. – Powiedz kierowcy, żeby podjechał bliżej tym swoim głupim samochodem. – Limuzyna była pomysłem Anity.

Jim, zaróżowiony i wyszorowany, w wypożyczonym smokingu, wyszedł na zewnątrz i zaczął rozmawiać z kierowcą. Kilka minut później zszedł do piwnicy i wrócił z sekatorem. Następnie wraz z kierowcą zniknęli w głębi podjazdu, a wkrótce potem limuzyna podjechała pod dom, z Jimem machającym z przedniego siedzenia.

Bruce, gdy zjawił się w domu, sprawiał wrażenie chorego.

– Nie możesz oglądać panny młodej przed ślubem! – zawołała Anita przez okno. – Bruce, na Boga! – Ruszyła biegiem w stronę drzwi, lecz Bruce wszedł już do domu i na widok jego twarzy Anita umilkła. Julie, która nadeszła zaraz za nią, również się nie odezwała.

Julie i Bruce wyszli na trawnik na tyłach domu, a właściwie nie był to trawnik, tylko coś w rodzaju polany pełnej korzeni i sosnowych igieł. Winnie wraz z matką spoglądały przez okno. Jim wysiadł z limuzyny, wszedł i patrzył wraz z nimi. Julie wyglądała jak na reklamowym zdjęciu w czasopiśmie, gdy tak stała obok krzewu wawrzynu w swojej sukni z trenem, nieco

podwiniętym, lecz mimo to rozpościerającym się na długość sześciu stóp.

– Jimmy – przemówiła Anita – ludzie czekają w kościele.

On jednak nie odpowiedział. Stali tak we troje i wyglądali przez okno. Julie i Bruce trwali niemal w bezruchu. Nie dotykali się nawzajem, nie poruszyli nawet ramionami, aż wreszcie Bruce ruszył przez wawrzyny w stronę drogi.

Julie wróciła do domu niczym chodząca lalka Barbie, a oni, wszyscy troje, byli już przy siatkowych drzwiach, gdy wchodziła.

– Mamusi – powiedziała cicho. Jej oczy spoglądały naprawdę dziwnie. – To się chyba nie dzieje naprawdę?

Wujek Kyle zjawił się z tabletkami. Jim rozmówił się z kierowcą limuzyny, a później poszedł do kościoła. Limuzyna odjechała, wciągając po drodze liście topoli pod błotnik nad tylną oponą, Winnie zaś usiadła na schodach w swojej sukience druhny. Po chwili ojciec wrócił.

– Przypuszczam, że musisz to zdjąć, Winnie Kruszynko – powiedział, lecz Winnie siedziała bez ruchu. Ojciec wszedł do domu, a gdy znowu wyszedł, dodał: – Julie odpoczywa na naszym łóżku razem z twoją matką. – Dla Winnie to oznaczało, że wujek Kyle podał lekarstwo im obu.

Siedziała na schodach, dopóki nie poczuła, że musi iść do toalety. Nie lubiła korzystać z toalety w domu, za zasłoną, kiedy wszyscy się znajdowali gdzieś w pobliżu. Ale kiedy weszła do środka, nikogo nie zobaczyła. Słyszała, że ojciec zszedł do piwnicy, a drzwi sypialni rodziców były zamknięte. Po kilku minutach jednak się otworzyły i matka wyszła z pokoju. Miała na sobie starą niebieską spódnicę i różowy sweterek, i zupełnie nie wyglądała na osobę, która zażyła jakiegokolwiek środków uspokajające.

Jim Harwood od lat budował łódź. Miała to być duża łódź – jej wręga zajmowała znaczną część piwnicy. Przez prawie rok nie zrobił nic ponad to, że rozłożył kopie projektów na podłodze w salonie i przyglądał się im każdego wieczoru. W końcu jednak zszedł do piwnicy i ustawił dwa kozły do piłowania drewna. Co noc rodzina słyszała warczenie piły elektrycznej, czasami stukanie młotka – i z wolna zaczął się kształtować wygięty szkielet łodzi. Pozostała w tej postaci przez długi czas. Jim udawał się na dół noc w noc, by przy niej pracować.

– Teraz idzie mi dość powoli, Winnie Kruszynko – tłumaczył. Musiał mocować kawałki drewna w zaciskach, żeby się zakrzywiły w odpowiedni sposób. Następnie zaś starannie powlekał drewno warstwą lakieru i nakładał na każdy gwóźdź żywiczny klej, który sechł cztery dni.

– Jak zamierzasz ją stąd wydobyć, gdy już będzie gotowa? – zagadnęła pewnego wieczoru Winnie, która przyglądała się pracy ojca, siedząc na piwnicznych schodkach.

– To słuszne pytanie – odparł i wyjaśnił, jak to sobie wcześniej wyliczył matematycznie, mierząc drzwi piwnicy oraz obwód kadłuba, i że w teorii, jeśli się obróci łódź pod pewnym kątem, powinna się zmieścić w drzwiach, gdy nadejdzie czas. – Ale zaczynam się zastanawiać – dodał.

Winnie również się zastanawiała. Łódź wydawała jej się strasznie duża.

– No to będzie jak statek w butelce – powiedziała – jak te, które stoją w sklepie Moody’ego na przystani.

– Zgadza się – przyznał ojciec. – Chyba to będzie coś w tym rodzaju.

Gdy Winnie była mała, bawiła się w piwnicy z Julie. Czasami bawiły się w sklep, wykorzystując do tego żywność w puszkach kupowaną przez matkę; Julie przesuwała puszki po

stole i udawała, że wybija należność na kasie. Teraz piwnicę zajmowały łódź i narzędzia ojca. Zbudował półki wzdłuż ściany: na samej górze leżała stara strzelba, która pałętała się po domu od lat, a poniżej stały drewniane pudełka z przewodami, gwoździami i śrubami rozdzielonymi według rozmiarów.

Blask słońca wpadał przez okno nad kuchennym zlewem. Winnie widziała drobinki kurzu unoszące się w powietrzu.

– A teraz – zaczęła matka, odstawiając filiżankę z kawą – zaplanujemy porządek dnia. Tatuś wraca na pewien czas do szkoły, ja zamierzam podsypać nawozem moje róże, a wy, dziewczęta, co będziecie robiły? – Uniosła brwi i postukała o blat stołu pomalowanymi paznokciami.

Julie i Winnie milczały. Winnie wsunęła palec do syropu, a potem do ust.

– Proszę cię, Winnie, nie zachowuj się jak świnka – powiedziała matka, podnosząc się z krzesła i wstawiając filiżankę do zlewu. – Julie, o wiele lepiej na tym wyjdiesz, jeśli sobie zaplanujesz, co masz robić.

Jedynym działaniem, jakie podjęła Anita w dniu ślubu, który się nie odbył, było napisanie listu do Bruce'a. Zawiadomiła, że jeśli go jeszcze raz zobaczy, jeśli kiedykolwiek zbliży się do jej córki, to go zastrzeli.

– To przestępstwo federalne, tak mi się wydaje – zauważył cicho Jim. – Wysyłanie gróźb pocztą.

– Do diabła z tym – odparowała Anita. – To on popełnił przestępstwo federalne.

Winnie przypomniała sobie Cliffa Motta, mówiącego w sklepie spożywczym do jej matki, żeby przestała gadać jak wariatka. Było to dziwne uczucie: przejście od dumy z ładnej mamy do zastanowienia, co ludzie o niej mówią i czy nie jest przypadkiem stuknięta; i Winnie uświadomiła sobie nagle, że jej matka nie ma bliskich przyjaciółek jak inne matki. Nie rozmawia przez telefon ani nie jeździ z nikim na zakupy.

Teraz Winnie usiadła obok Julie przy kuchennym stole i zobaczyła przez okno matkę zmierzającą w stronę różanych krzewów z rydlem w ręce.

– Wiesz, o co tutaj chodzi, prawda? – zagadnęła cicho Julie. – O seks.

Winnie kiwnęła głową, ale tak właściwie to nie wiedziała. Od jaskrawego słońca w kuchni rozboleła ją głowa.

– Nie może się pogodzić z faktem, że uprawiałam z nim seks.

Winnie wstała, wytarła talerz i schowała go. Julie wpatrywała się pustym wzrokiem w przestrzeń, jakby naprawdę nie patrzyła na nic. Ich matka miewała czasami taki wyraz twarzy.

– Winnie – odezwała się znowu Julie, nadal wpatrzona w przestrzeń – zawsze opowiadaj mamie kłamstwa. Pamiętaj, co ci mówię. Po prostu kłam. Kłam w żywe oczy.

Winnie wytarła drugi talerz.

Sedno sprawy polegało na tym, że Bruce się wystraszył. Nie zamierzał zrywać z Julie, tylko po prostu nie chciał się z nią żenić. Chciał z nią zamieszkać. Anita powiedziała Julie, że jeśli chce żyć jak zwykła dziewczyna z mężczyzną, który zostawił ją przy świadkach przed samym ołtarzem, może już więcej nie przychodzić do domu.

– Nie mówiła poważnie – zapewniła siostrę Winnie. – Ludzie wszędzie mieszkają razem.

– Chcesz się założyć? Założysz się ze mną, że mówiła poważnie? – zapytała Julie. A Winnie poczuła coś niemal jak chorobę lokomocyjną; pomyślała, że nie chce się o nic zakładać, gdy w grę wchodzi ich matka.

– Namaluj obrazek. Przeczytaj książkę. Utkaj dywanik. – Po każdej z tych sugestii Anita uderzała dłonią w stół. Julie milczała. Siedziała, pogryzając krakersa, podczas gdy Anita i Winnie jadły zupę; udało im się przeżyć kolejny dzień i teraz była sobota, pora lunchu. – Umyj okna – dodała Anita. – Winnie, nie pij jak świnka prosto z talerza. – Anita otarła usta papierowym ręcznikiem, którego używali zamiast serwetek. – Powinnaś zatelefonować do Beth Marden i zapytać, czy możesz wrócić do pracy w przedszkolu od tej jesieni. – Wstała i odniosła talerz do zlewu.

– Nie – odparła Julie.

– No przecież wiem. – Matka była zadowolona, Winnie to widziała. Kiedy oczy Anity błyszczały tak jak teraz, Winnie miała chęć ją przytulić, w sposób, w jaki pragnie się przytulić zdeorientowane dziecko.

– Ciasteczka z mąki owsianej – oznajmiła Anita. Kiwnęła głową w stronę Julie, a potem Winnie. – Zrobimy ciasto, ale nic nie upieczemy. Zjemy je całe na surowo.

Julie milczała. Zaczęła skubać paznokcie.

– No więc, co wy na to? – spytała Anita.

– Ja nie bardzo mam ochotę – odparła Julie, spoglądając na matkę. – To znaczy, dziękuję... pomysł był miły.

Twarz Anity stała się nagle pusta, jakby z braku wyrazu, który mogłaby przybrać.

– Julie – odezwała się Winnie. – No chodź, będzie fajnie. – Wstała i wyjęła z szafek miskę, łyżkę i miarki kuchenne.

Anita wyszła z kuchni i usłyszały odgłos otwierania i zamykania frontowych drzwi. Powinna była dzisiaj siedzieć w szpitalnym barku kawowym, gdzie pracowała jako kasjerka. Ale zatelefonowała, że jest chora. Przez okno Winnie zobaczyła matkę mijającą krzewy wawrzynu i zмирzającą dróżką w kierunku sadzawki ze złotymi rybkami. Gdy Anita po raz pierwszy założyła sadzawkę ze złotymi rybkami, pozwoliła rybkom zamarznąć na zimę w lodzie; słyszała, że można tak zrobić, ponieważ odtają wiosną. Winnie czasami zeskrobywała warstewkę śniegu, żeby popatrzeć na niewyraźne pomarańczowe plamki pod lodem.

– Chyba zawałam sprawę, co? – powiedziała Julie. Siedziała z podbródkiem opartym na dłoniach.

Winnie nie wiedziała, czy zaczynać robić ciasto, czy nie. Wyjęła masło z lodówki i wtedy zadzwonił telefon.

– Odbierz – rozkazała Julie, prostując się gwałtownie. – Szybko. – Zajmowała krzesło w kącie i teraz odpychała na bok inne krzesła, zastawiające drogę. Dzwonek telefonu odezwał się drugi raz.

– Jesteś w domu? – spytała Winnie. – Wiesz, w razie, gdyby to był Bruce albo coś?

– Po prostu odbierz – powtórzyła Julie. – Zanim mama usłyszy. Pospiesz się. Tak, oczywiście, że jestem w domu.

– Halo? – powiedziała Winnie.

– Kto? – Julie poruszyła bezgłośnie ustami. – Kto?

– Cześć – odezwał się Jim. – Co słyhać?

– Cześć, tato – odparła Winnie.

Julie odwróciła się i wyszła z kuchni.

– Chciałem tylko sprawdzić – powiedział Jim. – Tylko sprawdzić.

Zaledwie Winnie odłożyła słuchawkę, telefon znowu zaczął dzwonić.

– Halo? – spytała. Nikt się nie odezwał. – Halo? – powtórzyła. W tle usłyszała cichutkie

„dzyń, dzyń”.

– Winnie – przemówił Bruce. – Chciałem porozmawiać z Julie, jeśli nie ma w pobliżu waszej matki.

– Jestem – oznajmiła Anita, wchodząc kuchennymi drzwiami. – Jak wygląda sprawa z ciastem? Chcecie je robić czy nie?

– Nie wiem – odparła Winnie, wciąż trzymając słuchawkę.

– Kto dzwoni? – zapytała matka.

– Dobrze, na razie cześć – powiedziała Winnie do słuchawki i rozłączyła się.

– Kto to był? – chciała wiedzieć matka. – Czy to Bruce? Odpowiedz, Winnifred, czy to był Bruce?

Winnie odwróciła się.

– To tata – odparła, nie patrząc na Anitę. – Niedługo będzie w domu.

– Aha – stwierdziła Anita. – No to dobrze.

Winnie włożyła do miski kawałek masła i spróbowała rozsmarować je łyżką. Sklep Moody’ego na przystani, pomyślała. „Dzyń, dzyń”, które usłyszała, gdy Bruce zatelefonował, to był mały dzwoneczek na siatkowych drzwiach u Moody’ego.

Anita poinformowała:

– Jedna z rybek znowu ma tę grzybicę.

Julie siedziała nad morzem na kamieniu niewiele większym niż jej pupa i wpatrywała się w wodę. Lekko odwróciła głowę, gdy wodorosty zachrzęściły pod nogami Winnie, a potem znowu zwróciła spojrzenia ku morzu. Winnie zaglądała pod kamyki w poszukiwaniu białych pobrażków. Zbierała je, kiedy była mała, obserwując sposób, w jaki ich mięsista noga przywiera do skały, a potem zaciska się mocno, dotknięta palcem. Dzisiaj jednak Winnie zostawiła małże w spokoju. Nie pragnęła już ich zbierać, rozglądała się tylko z przyzwyczajenia. W pobliżu przepływał kuter łowiący homary i Winnie pomachała do niego. Dobre wychowanie wymagało pozdrowienia kogoś płynącego łodzią.

– Bruce zadzwonił – poinformowała. Julie zwróciła głowę w jej stronę. – I chyba nie z Bostonu. Myślę, że dzwonił od Moody’ego.

Z drogi dobiegł głośny huk.

– Zadzwonił? – powtórzyła Julie. Rozległ się następny huk.

– Co to? – spytała Winnie. – Fajerwerki?

– O Jezu! – wykrztusiła Julie i zaczęła się wspinać po kamieniach. – Winnie, ktoś strzelał.

Anita stała na podjeździe, trzymając strzelbę oburącz, lecz dość ostrożnie, i w nic nie celowała.

– Hej, cześć – odezwała się. Jej oczy błyszczały, a na bladej podpuchniętej skórze tuż pod nimi pojawiły się krople potu.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała Julie. Anita popatrzyła na strzelbę w swoich rękach i na wylot lufy. – Mamo? – ponagliła Julie.

– Nic mu się nie stało – oznajmiła Anita. Wpatrywała się w strzelbę, oglądając języczek spustowy. – Przyjechał i odjechał, to wszystko. – Trzymała palec na spuście. – Nikt tego nie używał od lat – dodała. – Chyba coś się zacięło. Czy te mechanizmy nie zacinają się czasami?

– Mamo – przemówiła Winnie i w tej samej chwili rozległ się ostry, krótki dźwięk, a żwir z podjazdu prysnął na wszystkie strony. Julie i Anita krzyknęły jednocześnie, lecz Anita wydała

tylko okrzyk zaskoczenia, a Julie krzyczała dalej, bez przerwy.

Anita odsunęła broń od siebie.

– Wielkie nieba – powiedziała.

Julie z wrzaskiem pobiegła do domu. Anita rozcierała sobie ramię.

– Mamo – zagadnęła Winnie – dobrze się czujesz?

– Och, skarbie – odparła Anita, ocierając czoło. – Trochę mi trudno na to odpowiedzieć.

Tym razem Anita zażyła tabletkę. Winnie się przyglądała, jak mama łyka ją posłusznie przy kuchennym zlewie na prośbę wujka Kyle’a, a potem idzie spać. Wujek Kyle zapytał Julie, czy Bruce mógłby wnieść oskarżenie, na co i Julie, i Jim odpowiedzieli, że nie, to nie w jego stylu. Następnie Julie spytała Jima, czy mogłaby później zadzwonić z jego telefonu na komórkę Bruce’a, żeby o coś zapytać, na co Jim przytaknął, że może to zrobić, bo Anita prawdopodobnie będzie spała do rana.

Winnie wyszła kuchennymi drzwiami i skierowała się w bok, gdzie liście paproci i lilii rosły tuż przy fundamentach, i zajrzała w okno matczynej sypialni. Anita leżała na boku z dłońmi złożonymi pod policzkiem, zamkniętymi oczyma i lekko uchylonymi ustami. Wydawała się większa niż zwykle; jej ramiona i odsłonięte kostki nóg były o wiele tętsze, niż Winnie wcześniej spostrzegła. W tym widoku kryło się coś głęboko krępującego, jakby Winnie natknęła się na matkę nagą. Zeszła na brzeg, zebrała kilka rozgwiazd i rozłożyła je na skale powyżej linii przypiływu, żeby wyschły.

Słońce zachodziło nad wodą. Winnie przyglądała mu się przez okno sypialni. Wyglądało jak na pocztówkach, które sprzedawano w sklepie na przystani. Julie siedziała na swoim łóżku i malowała paznokcie. Rozmawiała z Bruce’em, który wracał właśnie do Bostonu i nie, nie zamierzał wysuwać zarzutów. Ale powiedział, że jego zdaniem Anita – co Julie wyszeptala, pochylając się naprzód – jest „pieprzoną świruską”.

– To nieładnie – stwierdziła Winnie. Poczula, że się rumieni.

– Och, ty mała dziewczynko. – Julie odchyliła się w tył. – Kiedy stąd wyjedziesz, jeśli ci się to uda, zobaczysz, że nie wszyscy żyją w ten sposób.

– W ten sposób? – powtórzyła Winnie, siadając w nogach łóżka. – W jaki sposób?

Julie uśmiechnęła się do niej.

– Zacznijmy od toalet. – Uniosła różowy paznokciec i podmuchała na niego delikatnie. – Ludzie korzystają z klozetów, Winnie, wiesz, takich ze spuszczaną wodą. A jeśli chodzi o strzelanie do ludzi... większość matek nie strzela do chłopaków córek na podjazdach przed domami.

– Wiem o tym – powiedziała Winnie. – I nie muszę stąd wyjeżdżać, żeby o tym wiedzieć. My też mielibyśmy klozet ze spuszczaną wodą, ale tatuś mówi, że komora fermentacyjna...

– Wiem, co mówi tatuś – przerwała Julie, zakręcając ostrożnie buteleczkę z lakierem do paznokci i rozpościerając palce. – Ale tu chodzi o mamę. Ona chce mieszkać w tym domu, bo kupił go jej nieszczęsny utracony-ojciec-legenda, kiedy była w ciąży ze mną, a Ted nie miał centa przy duszy. Tata wyprowadziłby się stąd do miasta choćby jutro.

– W tym, że mieszkamy tutaj, nie ma nic złego – zauważyła Winnie.

Julie uśmiechnęła się ze spokojem.

– Mamusina córeczka.

– Wcale nie.

– Och, Winnie – westchnęła Julie. Spojrzała jednak uważnie na swój mały palec i ponownie odkręciła buteleczkę z lakierem. – Wiesz, co pewnego dnia powiedziała w klasie pani Kitteridge?

Winnie czekała.

– Wciąż pamiętam, że kiedyś powiedziała: „Nie bój się własnego głodu. Jeśli się boisz własnego głodu, jesteś po prostu jeszcze jedną niedorajdą na tym świecie”.

Winnie czekała nadal, przypatrując się siostrze, która po raz drugi malowała paznokiec małego palca różowym lakierem.

– Nikt nie wiedział, co ona właściwie miała na myśli – dodała Julie, unosząc palec i oglądając go z bliska.

– A co miała na myśli? – spytała Winnie.

– W tym właśnie problem. Na początku chyba większości z nas się wydawało, że mówi o jedzeniu. To znaczy, byliśmy dopiero smarkatymi siódmoklasistami... przepraszam, Kruszyńko... ale z biegiem czasu chyba lepiej to zrozumiałam.

– Ona uczy matematyki – przypomniała Winnie.

– Wiem, głuptasie. Ale mówiła te dziwaczne rzeczy z silnym przekonaniem. Między innymi dlatego dzieciaki się jej bały. Nie musisz się jej bać, jeśli będzie jeszcze uczyła w przyszłym roku.

– Mimo wszystko się jej boję.

Julie spojrzała na nią z ukosa.

– O wiele straszniejsze rzeczy dzieją się tutaj, w tym domu.

Winnie zmarszczyła brwi, wcisnęła pięść w poduszkę na łóżku.

– Och, Winnie – westchnęła znowu Julie. – Chodź do mnie. – Wyciągnęła ramiona. Winnie nie ruszyła się z miejsca. – Biedna Winnie Kruszyńka. – Julie przesunęła się bliżej Winnie i objęła ją niezgrabnie, odsuwając dłonie, by nie rozmazać lakieru na paznokciach. Pocałowała siostrę w bok głowy, a potem wypuściła z objęć.

Rano Anita miała podpuchnięte oczy, jakby cały ten czas snu ją wyczerpał. Ale napiła się kawy i oświadczyła dziarsko:

– Och, nieźle się wyspałam.

– Nie chcę dzisiaj iść do kościoła – powiedziała Julie. – Nie jestem jeszcze gotowa, żeby wszyscy na mnie patrzyli.

Winnie pomyślała, że może z tego wyniknąć kłótnia, ale nie wynikła.

– No dobrze – oznajmiła Anita po krótkiej chwili zastanowienia. – Dobrze, skarbie. Tylko nie siedź bezczynnie, rozczulając się nad sobą, kiedy nas nie będzie.

Julie ustawiła w kuchennym zlewie naczynia po śniadaniu, jej różowe paznokcie błyszcząły.

– Nie będę – odparła.

W korytarzu Jim zagadał do Winnie: „Dziewczyńko-kruszyńko malusia, uściskaj starego tatusia”, lecz Winnie tylko poklepała wyciągniętą rękę i wyminęła go w drodze po odświętny strój. W kościele, gdy usiadła, jej sukienka zaczęła się lepić do ławki. Był to upalny letni dzień; okna kościoła były otwarte, lecz nie czuło się ruchu powietrza. Przez okno Winnie dostrzegła w oddali kilka ciemnych chmur. Usłyszała, jak jej ojcu tuż obok zaburczało w brzuchu. Zerknął na nią i mrugnął, lecz Winnie znowu wyjrzała przez okno. Pomyślała o tym, jak go wyminęła, gdy poprosił o uścisk, jak jej matka robiła to samo; tylko czasami Anita dotykała jego ramion i całowała powietrze obok jego policzka. Może Julie ma słuszość, że Winnie jest córeczką

mamusi i wyrosnie na kogoś podobnego, kto z uśmiechem ignoruje innych; a może, gdy dorośnie, będzie strzelać do ludzi na podjeździe.

Wstała ze znużeniem, gdy zaczęto śpiewać hymn. Matka wyciągnęła rękę i poprawiła załamanie w tyle sukienki Winnie.

Na poduszce Winnie leżał złożony krótki list: „PROSZĘ, wmów im jakoś, że jestem na spacerze. Poszłam pod sklep Moody’ego łapać autobus. Od tego zależy moje życie. Kocham cię, Kruszyńko, naprawdę”. Gorące dreszcze przeszły ramiona i palce Winnie; nawet jej podbródek i nos zaczęły mrowić.

– Winnifred! – zawołała matka. – Przyjdź tu, proszę, i obierz ziemniaki.

Autobus do Bostonu zatrzymywał się obok przystani o jedenastej trzydzięci. Julie zapewne nadal tam czekała, próbując nie rzucać się w oczy. Może siedziała na trawie za sklepem. Mogliby po nią pojechać i zabrać do samochodu. Będzie płakała, wybuchnie potężna kłótnia i ktoś, być może, poda Julie lekarstwo, ale wciąż mogli to zrobić, jeszcze tam była.

– Winnifred? – zawołała ponownie Anita.

Winnie zdjęła odświętną sukienkę i rozpuściła związane w kucyk włosy, tak by opadły na jej twarz.

– Dobrze się czujesz? – spytała Anita.

– Boli mnie głowa. – Winnie się schyliła i wydobyla kilka ziemniaków z pojemnika na dole szafki.

– Każdy żołądek potrzebuje jakiegoś jedzenia – oznajmiła matka. – Gdzie twoja siostra? Mogła już wcześniej zacząć obierać ziemniaki. – Anita położyła niedzielny stek na patelni.

Winnie umyła ziemniaki i zaczęła je obierać. Nalała wody do garnka i wrzuciła do niego z pluskiem rozkrojone kartofle. Spojrzała na zegar nad kuchenką.

– Gdzie ona jest? – zapytała ponownie Anita.

– Chyba poszła na spacer – odparła Winnie.

– Przecież za chwilę będziemy jedli – powiedziała matka, na co Winnie omal się nie rozpłakała.

Wujek Kyle opowiadał kiedyś historię o tym, jak jechał pociągiem, który potrącił i zabił nastolatkę. Mówił, że nigdy nie zapomni, jak siedział i wyglądał przez okno, gdy czekali na przyjazd policji, i myślał o rodzicach tej dziewczyny, że siedzą w domu, oglądają telewizję albo uprzątają naczynia, a przy tym nawet nie zdają sobie sprawy, że ich córka nie żyje, podczas gdy on, siedząc w pociągu, wiedział.

– Pójdę jej poszukać – zaproponowała Winnie. Umyła i wytarła ręce.

Anita zerknęła na zegar i przewróciła stek na patelni.

– Krzyknij – poleciła – na skraju lasu za domem.

Winnie otworzyła kuchenne drzwi i wyszła. Nadciągały chmury. Powietrze zapachniało chłodem i oceanem. Jej ojciec wyszedł na ganek na tyłach domu.

– Już za chwilę jedzenie, Winnie. – Skubała listki wawrzynowego krzewu. – Można się tu poczuć samotnym – powiedział.

W kuchni zadzwonił telefon. Ojciec zawrócił do domu, a Winnie poszła za nim i wyjrzała z korytarza.

– Tak, cześć, Kyle – powiedziała jej matka.

Po południu zaczął padać deszcz. W domu było ciemno i deszcz uderzał w dach oraz o wielką



szybę w salonie. Winnie usiadła w fotelu i wpatrzyła się w ocean, szary i wzburzony. Wujek Kyle pojechał po gazetę do Moody'ego i widział Julie na tylnym siedzeniu odjeżdżającego autobusu. Anita wpadła do pokoju córek, rozrzucając wszystko wokół siebie. Zniknęła podróżna torba Julie, większość jej bielizny i przybory do makijażu. Anita znalazła karteczkę, którą Julie napisała do Winnie.

– Ty wiedziałas – zwróciła się do Winnie, a Winnie zrozumiała, że coś się na zawsze zmieniło, coś odeszło, nie tylko Julie. Wujek Kyle przyjechał wcześniej, lecz teraz już go nie było.

Winnie siedziała w salonie ze swoim ojcem. Nieustannie myślała o Julie w autobusie przebijającym się przez deszcz, wyglądającej przez okno na mijany płatny wjazd na autostradę. Pomyślała, że ojciec prawdopodobnie też to sobie wyobrażał – może widział wycieraczki na przedniej szybie, przemykające tam i z powrotem.

– Co masz zamiar zrobić, kiedy skończysz łódź? – spytała Winnie.

Ojciec miną wyraził zdumienie.

– No cóż – odparł – nie wiem. Chyba wybiorę się na przejażdżkę.

Winnie uśmiechnęła się uprzejmie, ponieważ nie przypuszczała, że on wybierze się dokądkolwiek.

– To byłaby frajda – oświadczyła.

Przed wieczorem deszcz przestał padać. Anita nie opuszczała swojego pokoju. Winnie próbowała obliczyć, gdzie jest Julie; nie wiedziała, jak długo jedzie się do Bostonu, ale z pewnością bardzo długo.

– Zastanawiam się, czy ma przy sobie jakieś pieniądze – powiedział ojciec, lecz Winnie milczała, bo nie wiedziała.

Krople deszczu kapały z dachu i z gałęzi drzew. Winnie pomyślała o tych wszystkich rozgwiadach, które porozkładała na kamieniach, teraz przesiąkniętych deszczem. Po chwili ojciec wstał i podszedł do okna.

– Nie spodziewałem się takiego rozwoju sytuacji – wyznał, a Winnie nagle wyobraziła go sobie w dniu ślubu. W przeciwieństwie do Anity nie miał za sobą wcześniejszego małżeństwa. Anita z powodu Julie nie włożyła białej sukni. „Ubierasz się na biało tylko raz” – oznajmiła. Nie było – a przynajmniej Winnie nigdy nie widziała – żadnych zdjęć z dnia ślubu jej rodziców.

Ojciec odwrócił się do niej.

– Naleśniki? – zapytał.

Winnie nie miała najmniejszej ochoty na naleśniki.

– Oczywiście – odparła.

## Środki bezpieczeństwa

Był maj, a Olive Kitteridge wybierała się do Nowego Jorku. Nigdy przez siedemdziesiąt dwa lata życia nie postawiła stopy w tym mieście, choć przed laty dwukrotnie przejeżdżała w jego pobliżu – prowadził Henry, martwiąc się o zjazdy z autostrady – i widziała z daleka linię zabudowy, budynek obok budynku, szare na tle szarego nieba. To miasto wyglądało jak z filmu science fiction, jak zbudowane na księżycu. Nie było w nim nic pociągającego, ani wtedy, ani teraz, choć kiedy te samoloty wbiły się w wieże, Olive siedziała w sypialni i płakała jak dziecko, nie tyle z powodu całego kraju, ile z powodu tego miasta, które wydało jej się nagle miejscem nie tak obcym i nieczułym, lecz kruchym i delikatnym jak przedszkole z dziećmi, które są dzielne mimo przerażenia. Skakanie z okien – to chwyciło ją za serce i poczuła prywatny, mdlący wstyd, dowiadując się, że dwóch spośród ciemnowłosych, przekonanych o swojej racji porywaczy samolotów przejechało przez Kanadę i przeszło przez lotnisko w Portland, dążąc ku tym potwornym zniszczeniom. (Mogła ich minąć, jadąc samochodem tamtego przedpołudnia, kto wie?).

Czas jednak płynął, jak to zwykle bywa, i miasto – przynajmniej z odległego punktu widzenia Olive – nabrało w końcu z powrotem swych dawnych cech miejsca, do którego niechętnie by pojechała, mimo że jej jedyny syn ostatnio się tam przeprowadził i zyskał drugą żonę, a także dwójkę nie swoich dzieci. Nowa żona, Ann, jeśli wierzyć jedynej fotografii, której przesyłanie i odbieranie trwało wieki, była wysoka i mocno zbudowana jak mężczyzna; teraz spodziewała się dziecka Christophera, a według typowego dla Chrisa enigmatycznego e-maila, pisanego bez zwracania uwagi na interpunkcję i duże litery, Ann czuła się zmęczona i „brała ją na wymioty”. W dodatku Theodore przed wyjściem do przedszkola stawał się podobno istnym diablęciem. Olive została wezwana na pomoc.

Prośby nie ujęto w ten sposób. Po wysłaniu listu Christopher zadzwonił ze swojego gabinetu i powiedział:

– Ann i ja mamy nadzieję, że do nas przyjedziesz na parę tygodni.

Dla Olive oznaczało to, że potrzebują pomocy. Minęły lata, odkąd przebywała w towarzystwie syna przez kilka tygodni.

– Trzy dni – skorygowała. – Później zacznę śmierdzieć jak ryba.

– No więc tydzień – odparł Chris i dodał: – Mogłabyś odprowadzać Theodore’a do przedszkola. To pierwsza przecznica za rogiem.

„Akurat” – pomyślała. Jej tulipany widoczne przez okno jadalni, radosne kielichy o żółtej i czerwonej barwie, zdążą przekwitnąć przed jej powrotem.

– Daj mi kilka dni, żebym się mogła przygotować – powiedziała. Przygotowania zajęły dwadzieścia minut. Zadzwoniła na pocztę do Emily Buck z poleceniem, żeby przechować jej korespondencję.

– Och, to ci dobrze zrobi, Olive – zapewniła Emily.

– Aha – odparła Olive – na pewno.

Później zatelefonowała do Daisy, która mieszkała nieco dalej przy tej samej ulicy, i poprosiła

ją o podlewanie ogrodu. Daisy, Olive była tego pewna, snuła fantazje o przeżyciu swego wdowieństwa do końca z Henrym Kitteridge'em, gdyby Olive zmarła wcześniej. Teraz zapewniła, że chętnie będzie podlewać ogród.

– Henry zawsze był taki miły i podlewał moje rośliny, kiedy wyjeżdżałam do mamy – powiedziała Daisy. Dodała: – To ci dobrze zrobi, Olive. Zabawisz się trochę.

Olive nie oczekiwała, że jeszcze kiedykolwiek się zabawi.

Po południu pojechała do domu opieki i wytłumaczyła Henry'emu, dokąd się wybiera, podczas gdy on siedział nieruchomo w swoim wózku inwalidzkim, z częstym u niego uprzejmym zakłopotaniem na twarzy, jakby położono mu na kolanach coś, czego przeznaczenia nie pojmował, lecz miał wrażenie, że powinien wyrazić wdzięczność. Co do tego, czy jest głuchy, czy nie, istniała pewna wątpliwość. Olive nie wierzyła w jego głuchotę, podobnie jak Cindy, jedyna sympatyczna pielęgniarka. Olive podała jej numer telefonu w Nowym Jorku.

– Czy to miła osoba, ta nowa żona? – Cindy wrzucała odliczone tabletki do papierowych kubków.

– Nie mam pojęcia – odparła Olive.

– Ale płodna, jak przypuszczam – zauważyła Cindy, podnosząc tacę z lekarstwami.

Olive nigdy jeszcze nie leciała sama. Nie żeby znajdowała się sama na pokładzie, oczywiście, oprócz niej w samolocie o rozmiarach połowy autobusu Greyhound było czworo innych pasażerów. Wszyscy poddali się procedurom bezpieczeństwa obojętnie niczym krowy; Olive wydawała się jedyną osobą odczuwającą niepokój. Musiała zdjąć zamknięte sandały oraz duży timex Henry'ego, który nosiła na swym tęgim nadgarstku. Być może sprawiła to osobliwa intymność chwili, gdy stała tam w samych rajstopach, martwiąc się, że zegarek może nie działać po przejściu przez aparat sprawdzający, lecz wtedy na ułamek sekundy zakochała się w postawnym ochroniarzu, który zwrócił się do niej uprzejmie: „Proszę, szanowna pani”, wręczając jej plastikowy kontener z zegarkiem w środku, który podjechał na taśmie. Piloci, obydwaj wyglądający na dwunastolatków ze swoimi gładkimi czołami, również zachowywali się życzliwie. Spokojnie zapytali Olive, czy nie zechciałaby usiąść z tyłu z uwagi na właściwe rozłożenie ciężaru, po czym wgramolili się do kabiny i zamknęli stalowe drzwi. W głowie Olive pojawiła się myśl: matki muszą być z nich dumne.

A później, kiedy nieduży samolot wzniósł się wyżej i zobaczyła rozpościerające się pod nimi pola w odcieniach jasnej i łagodnej zieleni, rozświetlone przedpołudniowym słońcem, dalej zaś linię wybrzeża, połyskliwą i niemal płaską powierzchnię oceanu, białe smugi piany za rufami kilku kutrów poławiających homary – wówczas Olive poczuła coś, czego nie spodziewała się już czuć: gwałtowną, zachłanną chęć życia. Pochyliła się, wyglądając przez okno: urocze jasne obłoki, niebo niewiarygodnie błękitne, świeża zieleń pól, bezkres oceanu – widziane z góry, wszystko to wydawało się cudowne, zdumiewające. Przypomniała sobie, czym jest nadzieja, i to było to. Wewnętrzne rozwibrowanie, które popycha człowieka naprzód, każe sunąć przez życie, tak jak kutry w dole sunęły i pruły lśniąca wodę, jak samolot pruć powietrze, zmierzając ku nowemu miejscu, w którym jej potrzebowano. Olive została poproszona o uczestnictwo w życiu syna.

Na lotnisku jednak Christopher sprawiał wrażenie rozwścieczonego. Zapomniała, że z powodu środków bezpieczeństwa nie będzie mógł podejść po nią do wyjścia, jemu zaś najwyraźniej nie przyszło do głowy przypomnieć jej o tym. Dlaczego tak bardzo go to rozżłościło, Olive nie

mogła pojąć. Przecież nie on, lecz ona błąkała się po hali bagażowej z narastającym uczuciem paniki i płonącymi policzkami, zanim odnalazł ją wspinającą się ciężko po schodach.

– Na Boga – powiedział, nie biorąc nawet od niej torby podróżnej. – Czemu nie sprawisz sobie telefonu komórkowego jak wszyscy?

Dopiero znacznie później, gdy pędzili czteropasmową autostradą z taką ilością samochodów, że Olive nigdy nie widziała tylu poruszających się naraz, Christopher zapytał:

– No więc, jak on się czuje?

– Bez zmian – odparła i nie mówiła nic więcej, dopóki nie zjechali z autostrady i nie znaleźli się wśród ulic, przy których stały niejednolite budynki; Christopher manewrował autem, wymijając podwójnie parkujące ciężarówki.

– Jak się miewa Ann? – zapytała wówczas Olive, poprawiając stopy po raz pierwszy, odkąd wsiadła do środka.

– To dla niej uciążliwe – powiedział Christopher i dodał mentorskim tonem à la lekarz: – Coraz bardziej uciążliwe – jakby zupełnie nieświadom faktu, iż Olive również była kiedyś w ciąży i zna tę uciążliwość. – A Annabelle znowu budzi się w nocy.

– Fajnie – zauważyła Olive. – Po prostu bułka z masłem.

Budynki były teraz niższe, ze stromymi wejściowymi schodkami od frontu. Olive powiedziała:

– Wspominałeś, że z małego Teddy’ego zrobił się niezły urwis.

– Theodore’a – poprawił Christopher. – Boże, w żadnym wypadku nie nazywaj go Teddym. – Zahamował ostro i cofnął samochód na miejsce obok krawężnika. – Mam być szczery, mam? – Christopher przechylił głowę, jego niebieskie oczy spojrzały prosto w oczy Olive, tak jak to się zdarzało przed laty. Dokończył miękko: – Theodore zawsze był małym zasańcem.

Zagubienie, które odczuła już w chwili, gdy zeszła z pokładu samolotu i nikt na nią nie czekał – i które przerodziło się w panikę na ruchomych schodach na lotnisku, a później, w trakcie jazdy samochodem, przeszło w stan oszołomienia i poczucia całkowitej obcości – sprawiło teraz, gdy wysiadała z auta, że wszystko wokół niej się zakołysało, dlatego sięgając po torbę leżącą na tylnym siedzeniu, Olive aż się zatoczyła i oparła o samochód.

– Spokojnie, mam – powiedział Christopher. – Ja wezmę tę torbę. Po prostu uważaj i patrz pod nogi.

– O, cholera – wyrwało jej się, bo właśnie natrafiła stopą na balasek psiej kupy na chodniku. – A niech to!

– Nienawidzę tego – skomentował Christopher. Wziął ją pod rękę. – Pewien facet pracuje w metrze i wraca do domu wcześniej rano. Widziałem go tutaj. Jego pies srał, a on się rozglądał, żeby nikt go nie przyłapał, i później tak to po prostu zostawił.

– Dobry Boże – powiedziała Olive, ponieważ jej zagubienie pogłębił teraz jeszcze dodatkowy czynnik: wielomówność syna. Rzadko zdarzało jej się słyszeć, by mówił z takim żarem i tak długo, no i z całą pewnością nigdy nie słyszała z jego ust słowa „srać”. Zaśmiała się, a jej śmiech zabrzmiał fałszywie i ostro. Widziane wcześniej gładkie twarze młodych pilotów przypomniały jej się jak obrazy ze snu.

Christopher otworzył okratowaną furtkę u stóp szerokich brązowych schodów i cofnął się, żeby przepuścić matkę.

– Więc tutaj mieszkasz – zauważyła z tym samym co poprzednio sztucznym śmiechem, gdyż omal nie doprowadził jej do płaczu ten półmrok, zastarzała woń psiej sierści i brudnych rzeczy do prania, skwaśniałość, która zdawała się ulatniać ze ścian. Dom, który zbudowali z Henrym

dla Chrisa u nich w Maine, był piękny – pełen światła, z dużymi oknami, z widokiem na trawniki, lilie i jodły.

Potknęła się o plastikową zabawkę i omal nie skręciła karku.

– Gdzie są wszyscy? – spytała. – Christopherze, muszę zdjąć but, bo inaczej rozmażę psią kupę po całym domu.

– Zostaw go tutaj – odparł, wymijając ją, więc zsunęła jeden zamszowy sandał i idąc ciemnym korytarzem, pomyślała, że zapomniała wziąć rajstop na zmianę.

– Są za domem w ogrodzie – dodał jej syn i ruszyła za nim przez obszerny, ciemny salon, z którego weszli do niewielkiej kuchni z wysokim dziecięcym krzeselkiem, zaśmieconej zabawkami, garnkami stojącymi na blacie, otwartymi pudełkami płatków i ryżu błyskawicznego. Na stole leżała zabrudzona biała skarpetka. I nagle Olive odniosła wrażenie, że przygnębia ją każdy dom, do którego weszła, prócz jej własnego oraz tego zbudowanego dla Christophera. Zupełnie jakby nigdy nie wyrosła z owego poczucia, jakie musiała mieć w dzieciństwie – nadwrażliwości na obce zapachy i skrzywienie schodów wydeptanych przez stopy inne niż własne, lęku oblepiającego warstwą drzwi do łazienki, które zamykają się w nieznamy sposób.

Zamrugła, wychodząc na mały placzyk na zewnątrz; z pewnością nie mógł to być wspomniany ogród. Stała na kwadratowym spłachetku pokrytym betonem. Otaczało ją ogrodzenie z gęstej siatki, w które uderzyło wcześniej coś dostatecznie dużego, by pozostawić szeroki ziejący otwór. Przed sobą miała nadmuchiwany dziecięcy basen. Siedziało w nim gołe dziecko i wpatrywało się w nią, obok zaś stał mały ciemnowłosy chłopczyk w mokrych spodenkach kąpielowych, przylegających do chudych nóżek. On również na nią patrzył. Za nim, na starym materacu, wylegiwał się czarny pies.

Niedaleko od Olive wznosiły się drewniane schodki, prowadzące na drewniany podest nad jej głową. Z cienia pod schodami dobiegł czyjś głos wymawiający imię: „Olive”. Ukazała się kobieta z kuchenną łopatką w dłoni.

– Ojej, nareszcie jesteś. Jak dobrze cię widzieć. Tak się cieszę, że mogę cię wreszcie poznać, Olive. – W oczach Olive mignął obraz przerośniętej chodzącej lalki-dziewczynki; czarne włosy miała równo przycięte do ramion, twarz otwartą i naiwną jak osoba nierozgarnięta.

– A ty z pewnością jesteś Ann – powiedziała Olive, lecz słowa stłumił uścisk tęgiej dziewczyny, łopatka upadła na ziemię, pies zastękał i wstał, co Olive dostrzegła w drobnym wycinku pozostawionej jej wolnej przestrzeni. Wyższa od Olive, z wielkim i twardym brzuchem, Ann otoczyła ją długimi ramionami i ucałowała w bok głowy. Olive nie całowała się z ludźmi. A znaleźć się w objęciach kobiety wyższej niż ona sama... no cóż, była pewna, że to się nigdy przedtem nie zdarzyło.

– Masz coś przeciw temu, żebym nazywała cię mamą? – zapytała dziewczyna, odstępując o krok, lecz wciąż przytrzymując Olive za łokcie. – Tak bardzo bym chciała mówić do ciebie „mamo”.

– Nazywaj mnie, jak ci się podoba – odparła Olive. – Ja przypuszczam, że będę mówić do ciebie Ann.

Chłopiec przysunął się węzowym ruchem i objął obfite udo matki.

– Ty jesteś Thaddeus, jak przypuszczam – zwróciła się do niego Olive.

Chłopiec wybuchnął płaczem.

– Theodore – poprawiła Ann. – Kochanie, nic się nie stało. Ludzie popełniają błędy. Rozmawialiśmy już o tym, prawda?

Na policzku Ann widać było wysypkę, która schodziła w dół bokiem szyi i znikwała pod

obszernym czarnym podkoszulkiem z krótkimi rękawami, wyłożonym na czarne legginsy. Paznokcie bosych stóp nosiły ślady różowego lakieru.

– Z chęcią bym gdzieś usiadła – zasugerowała Olive.

– Och, ależ oczywiście – odparła Ann. – Kochanie, przysuń tu krzesło dla twojej mamy.

Kiedy leżak o aluminiowej ramie ze zgrzytem przesuwiał się po cementowym podłożu, chłopiec płakał, Ann zaś powtarzała: „Na Boga, Theodore, o co ci chodzi?”. W tym natłoku dźwięków, z jedną stopą bosą, a drugą obutą, osuwając się na leżak, Olive wyraźnie usłyszała słowa: „Chwalmy Jezusa”.

– Theodore, skarbie, proszę, proszę, proszę, przestań płakać.

Dziecko w nadmuchiwanym basenie zapluskalo o wodę z przenikliwym piskiem.

– Jezu, Annabelle – powiedział Christopher. – Ucisz się trochę.

„Chwalmy Pana” – dobiegło wyraźnie skądś z góry.

– Co, na litość boską... – zaczęła Olive, odchylając głowę i mrużąc oczy.

– Wynajmujemy górne piętro chrześcijaninowi – wyjaśniła szeptem Ann i przewróciła oczami. – To znaczy, kto by pomyślał, że w tej dzielnicy trafi nam się lokator, który jest chrześcijaninem?

– Chrześcijaninem? – powtórzyła Olive, spoglądając na synową w poczuciu głębokiej konsternacji. – Czy jesteś muzulmanką, Ann? To jakiś problem?

– Muzulmanką? – Dziewczyna zwróciła ku Olive swą pospolitą, szeroką twarz o sympatycznym wyrazie i pochyliła się, by wyjąć dziecko z basenu. – Nie jestem muzulmanką. – I pytającym tonem dodała: – Zaraz, ale ty nie jesteś muzulmanką, prawda? Christopher nigdy...

– Och, na miłość boską – powiedziała Olive.

– Ona ma na myśli to – wyjaśnił matce Christopher, krzątając się przy dużym grillu obok schodów – że większość mieszkańców tej dzielnicy nie chodzi do kościoła. Mieszkamy w wyluzowanej części Brooklynu, droga mamo, gdzie ludzie są zbyt zajęci pozowaniem na artystów albo zarabianiem pieniędzy, by wierzyć w Boga. Dlatego to dość niezwykle mieć lokatora, który jest rzeczywiście tak zwanym chrześcijaninem.

– Chodzi ci o kogoś w rodzaju fundamentalisty – upewniła się Olive, ponownie zadziwiona rozmownością syna.

– Właśnie – wtrąciła Ann. – On taki jest. No wiesz, fundamentalnie chrześcijański.

Chłopczyk przestał płakać i nie puszczając matczynej nogi, zwrócił się do Olive wysokim, pełnym przejęcia głosem:

– Kiedy tylko przeklniemy, papuga skrzeczy: „Chwalmy Jezusa” albo „Bóg jest królem” – i ku zgrozie i zdumieniu Olive mały spojrział w górę i wrzasnął: – Gównno!

– Kochanie – upomniała Ann, głaszcząc go po włosach.

„Chwalmy Boga” – dobiegła odpowiedź z góry.

– To papuga? – spytała Olive. – Dobry Boże, brzmi zupełnie jak moja ciotka Ora.

– Tak, papuga – odparła Ann. – Niesamowite, co?

– Nie mogliście zaznaczyć, że trzymanie zwierząt domowych jest wzbronione?

– Och, tego byśmy nie zrobili. Kochamy zwierzaki. Piechur jest częścią naszej rodziny. – Ann wskazała ruchem głowy czarnego psa, który wrócił na swój barłóg i leżał teraz z podłużnym pyskiem złożonym na przednich łapach i z zamkniętymi ślepiami.

Olive nie mogła przełknąć obiadu. Myślała, że Christopher smaży hamburgery. On jednak usmażył hot dogi z tofu, a dla dorosłych pokroił w kostkę ostrygi z puszk, ni mniej, ni więcej,

i powtykał w te udawane hot dogi.

– Dobrze się czujesz, mamó? – To Ann zadała to pytanie.

– Doskonale – odparła Olive. – Czasami w podróży tracę apetyt. Chyba zjem tylko tę bułkę.

– Jasne. Częstuj się. Theodore, prawda, że to miło gościć tu u nas babcię?

Olive położyła hot dogową bułkę na talerzu. Zupełnie nie przyszło jej do głowy, że może być „babcią” dla dzieci Ann, które – o czym się dowiedziała przed chwilą, gdy postawiono przed nią hot-dogi – miały dwóch różnych ojców. Theodore nie odpowiedział na pytanie matki, tylko wpatrywał się w Olive, żując jedzenie z otwartymi ustami i wydając przy tym ohydne dźwięki.

Przed upływem dziesięciu minut posiłek dobiegł końca. Olive zwróciła się do Chrisa, że chętnie pomoże posprzątać, ale nie wie, gdzie co postawić.

– Nigdzie – odparł. – Nie widzisz? W tym domu nic nie ma stałego miejsca.

– Mamó, idź się rozgościć u siebie – zaproponowała Ann.

Więc Olive zeszła do piwnicy, do której zaprowadzili ją wcześniej i wnieśli jej skromny bagaż, i położyła się na podwójnym łóżku. Prawdę mówiąc, było to najprzyjemniejsze pomieszczenie, jakie Olive widziała w tym domu. Było „wykończone” i pomalowane na biało, a obok pralki stał nawet biały telefon.

Chciało jej się płakać. Miała chęć zanosić się płaczem jak dziecko. Usiadła przy telefonie i wybrała numer.

– Proszę mnie z nim połączyć – poleciła i czekała, dopóki w słuchawce nie zaległa zupełna cisza. – Całusy, Henry – powiedziała i odczekała jeszcze chwilę, aż odniosła wrażenie, że usłyszała ciche chrząknięcie. – No cóż, jest naprawdę dużą dziewczyną – podjęła Olive. – Twoja druga synowa. Ma wdzięk kierowcy ciężarówki. Nieco tępawa, jak mi się wydaje. Wyczuwam w niej coś, czego nie potrafię określić. Ale sympatyczna. Polubiłbyś ją. Świetnie byście się dogadali. – Rozejrzała się po piwnicy i tak jakby usłyszała znowu chrząknięcie Henry’ego. – Nie, nie zamierza w najbliższym czasie ruszać w te pędy na północ. Ma tutaj pełne ręce roboty. Brzuch też ma pełny. Umieścili mnie w piwnicy. Nawet przyjemnej, Henry. Pomalowanej na biało. – Spróbowała wymyślić jeszcze coś, co Henry chciałby usłyszeć. – Chris dobrze wygląda – powiedziała i umilkła na długą chwilę. – Jest rozmowny – dodała. – No to na razie, Henry – zakończyła i odłożyła słuchawkę.

Na górze nie zastała nikogo. Myśląc, że zapewne układają dzieci do snu, Olive przeszła przez kuchnię na betonowe podwórze, gdzie gęstniał zmierzch.

– Przyłapałaś mnie – odezwała się Ann i serce Olive zabiło mocniej.

– O mój Boże. To ty mnie przyłapałaś. Nie wiedziałam, że tu jesteś.

Ann trzymała w jednej ręce papierosa, w drugiej butelkę piwa, opartą o wydatny brzuch. Siedziała na stołku obok grilla.

– Kłapnij sobie – zaproponowała, wskazując leżak, który Olive zajmowała wcześniej. – Chyba że się wściekasz na widok kobiety w ciąży, która pije i pali. Co bym w pełni zrozumiała. Ale to tylko jeden papieros i jedno piwo dziennie. Wiesz, kiedy dzieciaki już pójdą spać. Nazywam to czasem medytacji.

– No tak – powiedziała Olive. – W takim razie medytuj. Mogę wrócić do środka.

– Och, nie. Bardzo chcę, żebyś ze mną została.

W zapadającym zmierzchu Olive dostrzegła, że dziewczyna uśmiecha się do niej. Cokolwiek by się mówiło o tym, że pozory mylą, dla Olive zawsze twarz świadczyła o człowieku. Mimo to... gamoniowatość tej dziewczyny zbijała ją z tropu. Czy Ann naprawdę była przygłupia? Olive wystarczająco długo uczyła w szkole, by wiedzieć, że głęboko zakorzeniony brak poczucia

bezpieczeństwa może przybrać taką postać. Usiadła na leżaku i odwróciła oczy. Nie chciała odgadywać, co można by dostrzec w jej własnej twarzy.

Tuż przed nią uniósł się dym z papierosa. Zdumiewało ją, że w tych czasach ktoś jeszcze pali, i odczuwała to jako swego rodzaju napaść.

– Nie jest ci od tego niedobrze? – spytała Olive.

– Od czego? Od palenia?

– Tak. To chyba wzmacnia nudności.

– Jakie nudności?

– Myślałam, że rzygasz.

– Że rzygam? – Ann wrzuciła niedopałek do butelki po piwie. Popatrzyła na Olive, unosząc ciemne brwi.

– Czy nie wymiotowałaś w czasie ciąży?

– O nie, jestem silna jak koń. – Ann poklepała się po brzuchu. – Wypluwam wszystko bez najmniejszego problemu.

– Z pewnością. – Olive zastanawiała się, czy dziewczyna nie jest trochę wstawiona. – Gdzie twój obecny mąż?

– Czyta Theodore’owi bajkę. To miłe, że zacieśniają kontakty.

Olive już otwierała usta, by zapytać, jakie kontakty nawiązał Theodore ze swoim prawdziwym ojcem, ale się powstrzymała. Może w tych czasach nie powinno się używać wyrażenia „prawdziwy ojciec”.

– Ile masz lat, mamó? – Ann podrapała się po policzku.

– Lat mam siedemdziesiąt dwa – wyrecytowała Olive – i buty numer dziesięć noszę ja.

– O, to super. Ja też noszę dziesiątkę. Zawsze miałam duże stopy. Dobrze wyglądasz jak na swój wiek – dodała Ann. – Moja mama ma sześćdziesiąt trzy lata i...

– I co?

– Och. – Ann wzruszyła ramionami. – No wiesz, nie wygląda tak dobrze. – Dźwignęła się z miejsca, pochyliła nad grillem i wydobyła pudełko kuchennych zapalek. – Jeśli ci to nie przeszkadza, mamó, zapalę sobie jeszcze jednego papierosa.

Olive to jak najbardziej przeszkadzało. Dziecko Christophera w tej chwili próbowało zbudować swój układ oddechowy i jaka kobieta mogłaby narażać coś podobnego na szwank? Głośno jednak odpowiedziała:

– Rób, co chcesz. Nic mnie to nie obchodzi, do cholery.

„Chwalmy Boga” – dobiegło z góry.

– Och, na miłość boską – westchnęła Olive. – Jak ty to wytrzymujesz?

– Czasami już nie mogę – wyznała Ann, siadając ociężale.

– No cóż. – Olive spojrzała na swoje kolana i wygładziła spódnice. – To tylko na czas ograniczony, jak przypuszczam. – Najchętniej odwróciłaby wzrok, gdy dziewczyna zapalała drugiego papierosa.

Ann nie odpowiedziała. Olive usłyszała jej długi wdech, a później wydech i poczuła woń dymu. Rozkwitło w niej zrozumienie. Ta dziewczyna wpadła w panikę. Skąd Olive o tym wiedziała? Olive, która nigdy w ciągu siedemdziesięciu dwóch lat życia nie miała w ustach papierosa? Ale w pełni pojmowała prawdę tego, co widzi. W kuchni zapaliło się światło i obserwowała przez zakratowane okno Christophera podchodzącego do zlewu.

Czasami, tak jak teraz, Olive wyczuwała, jak rozpaczliwie ludzie na całym świecie starali się spełnić swoje pragnienia. Dla większości było to poczucie bezpieczeństwa na oceanie terroru,



którym w coraz większym stopniu stawało się życie. Ludzie myśleli, że załatwi to miłość, i może mieli rację. Ale nawet jeśli tak było, biorąc pod uwagę palącą Ann, potrzebowała do tego trójki dzieciaków od trzech różnych ojców, a i to mogło nie wystarczyć. Dlaczego Christopher tak nieroztropnie wziął to wszystko na siebie i dopiero długo po fakcie zechciał zawiadomić własną matkę? W gęstniejącym mroku Olive zobaczyła, jak Ann się pochyla i gasi papierosa w dziecięcym basenie. Ciche „fiss”, a potem dziewczyna rzuciła niedopałek pod ogrodzenie.

Jak koń.

Christopher nie napisał prawdy w tym e-mailu, gdzie wspomniał o torsjach Ann. Olive przyłożyła dłoń do policzka, który stał się cieplejszy. Jej syn Christopher nigdy by się nie zdobył na to, by napisać: „Mamo, tęsknię za tobą”. Napisał zamiast tego, że jego żona ma mdłości.

Christopher przestąpił próg i serce Olive poszybowało ku niemu.

– Dołącz do nas – zaproponowała. – Chodź tutaj. Usiądź.

Stał z rękami wspartymi luźno o biodra, a potem uniósł jedną dłoń i powoli potarł nią tył głowy. Ann wstała ze stołka.

– Siadaj, Chris. Jeśli już śpią, to się wykąpie.

Nie usiadł na stołku, lecz przysunął sobie krzesło tuż obok Olive i przyjął tę samą niedbale rozciągniętą pozycję jak na sofie w domu. Olive miała ochotę powiedzieć: „Strasznie się cieszę, że cię widzę, synku”. Ale nic nie powiedziała i on również. Przez długą chwilę tak siedzieli sobie razem. Gotowa była tkwić na splachetku betonu gdziekolwiek, byle był tam jej syn, jaśniejąca boja, którą kołyszą fale jej własnego milczącego lęku.

– A więc jesteś właścicielem tego domu – zauważyła wreszcie, gdy uderzyło ją, jakie to dziwne.

– Aha.

– Czy lokatorzy są uciążliwi?

– Nie. Jest tylko ten jeden facet i jego pobożna papuga.

– Jak on się nazywa?

– Sean O’Casey.

– Naprawdę? Ile ma lat? – zapytała, unosząc się nieco, żeby złapać oddech.

– Niech pomyślę. – Christopher westchnął i poprawił się na krześle. Teraz stał się takim, jakiego znała, niespiesznym w ruchach, niespiesznym w mowie. – Chyba jest mniej więcej w moim wieku. Może trochę młodszy.

– Nie jest spokrewniony z Jimem O’Caseyem, prawda? Tym, który odwoził nas do szkoły? Mieli z żoną gromadkę dzieci. Żona musiała się wyprowadzić po tym, jak Jim zjechał z drogi tamtego wieczoru. Pamiętasz? Zabrała dzieciaki i wróciła z nimi do swojej matki. Czy ten gość, który mieszka na górze, może być jednym z nich?

– Nie mam pojęcia – odparł Christopher. Przypominał w tym Henry’ego, w roztargnionym tonie, jakim Henry odpowiadał czasami: „Nie mam pojęcia”.

– To dość pospolite nazwisko – przyznała Olive. – Ale mógłbyś go zapytać, czy nie jest spokrewniony z Jimem O’Caseyem.

Christopher pokręcił głową.

– Wolałabym nie. – Ziewnął i przeciągnął się, odchylając głowę.

Po raz pierwszy zobaczyła go na miejskim zebraniu, które odbywało się w szkolnej sali gimnastycznej. Siedzieli z Henrym z tyłu na składanych krzesłach, a ten mężczyzna stanął przy samych trybunach, blisko drzwi. Był wysoki, miał głęboko osadzone oczy i wąskie usta, pewien

irlandzki typ twarzy. Oczy niekoniecznie posępnie zamyślane, lecz bardzo serio, spoglądające na nią z powagą. Poczła drgnienie rozpoznania, choć wiedziała, że nie spotkała go nigdy wcześniej. W ciągu tamtego wieczoru zerkali na siebie wiele razy.

Gdy wychodzili, ktoś ich sobie przedstawił i dowiedziała się, że przyjechał z West Annett, gdzie uczył w szkole wyższej. Przeprowadził się wraz z rodziną, ponieważ potrzebowali większej przestrzeni, i teraz mieszkali tuż obok farmy Robinsonów. Sześcioro dzieci. Katolicy. Był bardzo wysokim mężczyzną, ten Jim O'Casey, i w trakcie przedstawiania dało się w nim wyczuć odcień nieśmiałości, gdy z szacunkiem skłonił głowę, ściskając dłoń Henry'ego, jakby z góry przeproszał za kradzież uczuć jego żony. Henry'ego, który nie zdawał sobie z niczego sprawy.

Kiedy tamtego mroźnego wieczoru wyszła ze szkoły i kroczyła u boku rozgadanego Henry'ego, podążając w stronę odległego parkingu, poczuła wyraźnie, że ktoś ją obserwuje. A wcześniej wydawała się sobie niewidzialna, nawet o tym nie wiedząc.

Następnej jesieni Jim O'Casey zrezygnował z pracy w akademii i zaczął uczyć w tej samej szkole co Olive, tej, do której uczęszczał Christopher, i każdego ranka, ponieważ było mu po drodze, podwoził ich tam, a później z powrotem do domu. Ona miała czterdzieści cztery lata, on pięćdziesiąt trzy. Myślała o sobie jako o starzejącej się kobiecie, którą oczywiście nie była. Wysoki wzrost i zaledwie początki nadwagi, która zaczęła się później, z nadejściem menopauzy, sprawiały, że w wieku lat czterdziestu czterech Olive była postawna, o pełnej figurze. I nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, zupełnie jakby olbrzymia bezgłośna ciężarówka nadjechała z tyłu wioską drogą, Olive Kitteridge poczuła, że coś ją zbija z nóg.

– Gdybym cię poprosił, żebyś wyjechała stąd ze mną, zrobiłabyś to? – zapytał cichym głosem, gdy jedli lunch w jego gabinecie.

– Tak – odparła.

Wpatrywał się w nią, jedząc jabłko; zawsze zjadał na lunch tylko jabłko, nic więcej.

– Wróciłabyś wieczorem do domu i zawiadomiła o tym Henry'ego?

– Tak – powtórzyła. Brzmiało to jak planowanie morderstwa.

– Więc może dobrze, że cię nie poprosiłem.

– Tak.

Nigdy się nie pocałowali, nawet nie dotknęli, szli tylko bardzo blisko siebie, zmierzając do jego gabinetu, ciasnej klitki tuż obok biblioteki – unikali pokoju nauczycielskiego. Lecz po tym, co powiedział tamtego dnia, Olive żyła w ciągłym strachu i tęsknocie, która wydawała się chwilami nie do zniesienia. Ludzie potrafią jednak wiele wytrzymać.

W niektóre noce nie mogła usnąć aż do rana. Kiedy niebo się rozjaśniało i ptaki zaczynały śpiewać, jej ciało spoczywało rozluźnione na łóżku i doznawała, mimo lęku i przerażenia, przepełniającego ją niemądrego poczucia szczęścia. Raz po takiej nocy, nieprzespanej i niespokojnej, w sobotę, usnęła nieoczekiwanie snem tak ciężkim, że gdy zadzwonił telefon przy łóżku, nie wiedziała przez chwilę, gdzie się znajduje. A potem usłyszała dźwięk podnoszonej słuchawki i wreszcie łagodny głos Henry'ego:

– Ollie, stało się coś bardzo przykrego. Wczoraj w nocy Jim O'Casey zjechał z drogi i uderzył w drzewo. Leży na oddziale intensywnej opieki medycznej w Hanover. Nie wiedzą, czy z tego wyjdzie.

Zmarł po południu i Olive przypuszczała, że była przy nim żona, może też któreś z dzieciaków.

Nie mogła w to uwierzyć.

– Nie wierzę w to – powtarzała Henry’emu. – Co się stało?

– Podobno stracił panowanie nad pojazdem. – Henry pokręcił głową. – To straszne – dodał.

Och, w głębi duszy była szalona. Kompletna wariatka. Wściekła się na Jima O’Caseya. Tak się wściekła, że poszła do lasu i uderzyła pięścią w drzewo, mocno; jej ręka zaczęła krwawić. Płakała na dole nad strumieniem, aż się zakrztusiła. Potem przygotowała kolację dla Henry’ego. Przez całe dni uczyła w szkole, wracała do domu i szykowała kolację dla Henry’ego. A w niektóre wieczory on szykował kolację, ponieważ Olive oznajmiała, że jest zmęczona. Otwierał puszkę gotowego spaghetti, od którego, na Boga, robiło jej się niedobrze. Straciła na wadze, przez pewien czas wyglądała lepiej niż kiedykolwiek i ta ironia losu raniła jej serce. W tamtym czasie Henry często sięgał po nią w nocy. Była pewna, że on niczego się nie domyśla. Coś by powiedział, gdyż Henry taki już był, nie zachowywał opinii dla siebie. Ale Jim O’Casey miał w sobie pewną nieufność, cichy gniew i Olive dostrzegała w nim samą siebie, raz nawet powiedziała: „Obydwoje jesteście ulepieni z tego samego kawałka nieodrobnej gliny”. Patrzył na nią tylko, jedząc swoje jabłko.

– Zaraz, chwileczkę – odezwał się Christopher, siadając prosto. – Chyba go pytałem. Tak. Powiedział, że jego ojciec pewnego wieczoru uderzył samochodem w drzewo w Crosby, w stanie Maine.

– Co? – Olive spojrzała w półmroku na syna.

– Wtedy właśnie on stał się głęboko religijny.

– Mówisz poważnie?

– Stąd ta papuga. – Christopher uniósł rękę.

– Wielkie nieba – powiedziała Olive.

Christopher opuścił ramię przesadnym gestem zniechęcenia, a może nawet odrazy.

– Mamo, wygłupiam się, na litość boską. Nie mam pojęcia, kim jest ten facet.

W kuchennym oknie ukazała się Ann, ubrana w szlafrok, z głową owiniętą ręcznikiem.

– Nigdy go nie lubiłem – dodał Christopher w zadumie.

– Kogo, lokatora? Mów ciszej.

– Nie, tego, jak mu tam, pana Jima O’Caseya. Trzeba być głupim, żeby wjechać w drzewo.

Na stole walały się kawałki obciętych paznokci i stała miseczka z rozmiękłymi płatkami śniadaniowymi cheerios, gdy Olive usiadła przy nim rano z filiżanką kawy. Ann, która w sąsiednim pokoju szykowała Theodore’a do wyjścia, zawołała:

– Dzień dobry, mamo! Jak ci się spało?

– Doskonale.

Olive uniosła rękę i pomachała krótko. Nie spała tak dobrze od czterech lat, od udaru Henry’ego. Ta sama wiara w przyszłość, którą poczuła w samolocie, powróciła do niej, gdy zasypiała, podsuwając jej pod głowę miękką poduszkę cichego rozradowania. Ann nie odczuwa porannych nudności; Christopher zatęsknił za matką; przyjechała do syna, który jej potrzebuje. Przed laty pojawiło się pęknięcie, niby niewinne jak wysypka na policzku Ann i tak samo schodzące w dół, aż w końcu rozdzieliło ją z synem, lecz mogło się zasklepić. Pozostawi bliznę, człowiek jednak gromadził te blizny i jego życie toczyło się dalej, tak jak teraz jej i jej syna.

– Częstuj się, mamo! – zawołała Ann. – Czym tylko chcesz.

– Dzięki! – odkrzyknęła Olive. Wstała i wytarła stół gąbką, choć dotykanie obrzynków cudzych paznokci nie sprawiało jej szczególnej przyjemności. Dokładnie umyła ręce.

Cudze dzieci również nie należały do jej ulubionych przedmiotów troski. Theodore stanął

w drzwiach. Jego plecaczek był tak duży, że Olive widziała brzegi zaznaczające się z obu stron, gdy chłopiec ustawił się do niej przodem. Wydobyła pączka z pudełka, które dostrzegła wcześniej na górnej półce, i usiadła z powrotem przy kawie.

– Nie powinnaś brać pączka, zanim nie zjesz zdrowego jedzenia, od którego się rośnie – poinformował chłopczyk tonem zdumiewająco świętoszkowatym u dziecka.

– Już chyba wystarczająco urosłam, nie sądzisz? – Olive odgryzła pokąźny kęs.

Za plecami Theodore'a pojawiła się Ann.

– Przepraszam, skarbie – powiedziała, przesuając się obok niego w stronę lodówki. Podtrzymawała małą na biodrze, a dziewczynka obracała główkę, by popatrzeć na Olive. – Theodore, dzisiaj będą ci potrzebne dwa kartoniki soku. To dzień wycieczki edukacyjnej. – Zwróciła się do Olive, którą kusilo, by pokazać język temu cholernemu małemu, gapiącemu się bachorowi. – Zabierają ich nad morze i się martwię, że on się odwodni.

– Wcale ci się nie dziwię – odparła Olive, dojadając pączka. – Czy Chris kiedyś wspomniał o udarze słonecznym, jakiego doznał w Grecji? Miał wtedy dwanaście lat. Przyszedł jakiś szaman i wykonał nad nim kilka ulotnych ruchów dłoni.

– Naprawdę? – spytała Ann. – Theodore, chcesz grejpfruta czy pomarańczę?

– Grejpfruta.

– Wydaje mi się – zaczęła Ann – że po zjedzeniu grejpfruta bardziej chce się pić. Co o tym sądzisz, mamo? Czy po grejpfrutach nie czuje się silniejszego pragnienia niż po pomarańczach?

– Nie mam pojęcia.

– Weź pomarańczę, skarbie. – Na to Theodore wybuchnął płaczem. Ann spojrzała niepewnie na Olive. – Chciałam cię poprosić, żebyś go odprowadziła do przedszkola, to tylko jedna przecznicza...

– Nie! – krzyknął Theodore. – Nie chcę, żeby ona mnie odprowadzała... Nie chcę, żeby mnie odprowadzała do przedszkola...

„Zamknij się, do diabła – pomyślała Olive. – Chris miał słuszość, jesteś małym zasrańcem”.

Ann rzekła:

– Och, Theodore, proszę cię, nie płacz.

Olive odsunęła krzesło.

– Może wyprowadziłabym Piechura na spacer do parku?

– Nie masz nic przeciw temu, żeby sprzątnąć jego kupę do woreczka?

– Nie – odparła Olive. – Jasne, że nie. W jedną z takich niesprzątniętych kup już wdepnęłam.

Szczerze mówiąc, czuła się niepewnie, wyprowadzając psa do parku. Ale był grzeczny. Usiadł, gdy czekali na zmianę świateł. Przeszła z nim obok rozkładanych stolików i dużych kubłów na śmieci wypełnionych resztkami jedzenia, gazetami, folią aluminiową umazaną sosem barbecue; naprężył lekko smycz, ciągnąc w tamtą stronę, gdy jednak dotarli do łąki, spuściła go ze smyczy, jako że Ann wcześniej pozwoliła jej to zrobić.

– Trzymaj się blisko – poleciła. Nie oddalił się, węszył dookoła niej.

Zauważyła, że obserwuje ją jakiś mężczyzna. Był młody, miał na sobie skórzaną kurtkę, choć było za ciepło na takie ubranie. Stał pod potężnym dębem. Przywołał swojego psa, białego, o krótkiej sierści i spiczastym różowym nosie, i podszedł bliżej.

– Pani jest Olive? – zapytał.

Poczuła, że piecze ją twarz.

– Jaka Olive?

– Matka Christophera. Ann mówiła, że spodziewają się pani odwiedzin.  
– Rozumiem – powiedziała, sięgając do kieszeni po ciemne okulary. – No cóż, oto jestem. – Włożyła okulary i zaczęła się rozglądać za Piechurą.  
– Zatrzymała się pani u nich w domu? – zagadnął po chwili mężczyzna i Olive pomyślała, że naprawdę nic mu do tego.  
– Tak – odparła. – W piwnicy jest bardzo wygodnie.  
– Syn ulokował panią w piwnicy? – spytał i Olive znowu pomyślała, że naprawdę nie jest zbyt miły.  
– To ładna piwnica – powiedziała. – W zupełności mi odpowiada. – Patrzyła prosto przed siebie, czuła jednak, że on się jej przygląda. Miała chęć zapytać: „Nigdy dotychczas nie widział pan starej kobiety?”  
Obserwowała, jak pies jej syna obwąchuje tylne partie przechodzącego niedaleko golden retrievera, którego właścicielka, młoda i z obfitym biustem, trzymała w jednej ręce smycz, a w drugiej metalowy kubek.  
– Piwnice tych starych domów z piaskowca są czasami pełne myszy i szcurków – poinformował nieznajomy.  
– Nie ma żadnych szcurków – odparła Olive. – Widziałam jednego sympatycznego pająka. Ani trochę mi nie przeszkadzał.  
– Praktyka pani syna musi przynosić niezłe dochody. Taki dom kosztuje teraz majątek.  
Olive nic nie odrzekła. To, co powiedział, zabrzmiało prostacko.  
– Blanche! – zawołał mężczyzna, ruszając w pościg za swoim psem. – Blanche, wracaj tu natychmiast!  
Blanche ani myślała wracać, jak zauważyła Olive. Blanche znalazła martwego gołębia i jej pan wpadł w szal.  
– Zostaw to, Blanche, zostaw! – Blanche, z rozszarpanym ptakiem w spiczastym pysku, uskoczyła przed nadchodzącym właścicielem.  
– Jezu Chryste – odezwała się biuściasta właścicielka goldena, kiedy zakrwawione wnętrze wysunęły się z zębów Blanche.  
„Chwalmy Boga” – dobiegło z korony dębu.  
Olive zawołała Piechurę, przypięła mu smycz do obroży, zawróciła i ruszyła w drogę do domu. Zanim tam weszła, obejrzała się i zobaczyła młodego człowieka przechodzącego przez ulicę z Blanche na smyczy i papugą na ramieniu. Poczuli się zdezorientowani. Czy to był ten lokator? Ta jego pretensjonalna skórzana kurtka, jego zachowanie, które wydawało się Olive zaczepne. Otwierając furtkę, poczuła się tak, jakby przed ósmą rano stoczyła małą bitwę. Nie przypuszczała, by jej syn zdołał przeżyć w tym mieście. Nie był zbyt waleczny.  
  
W kuchni było pusto. Na piętrze ktoś odkręcił prysznic. Usiadła ociężale na drewnianym krześle. Kiedyś znała wszystkie sześć imion. Teraz pamiętała tylko imię żony, Rose, i jednej z córek, chyba Andrea? Sean wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mógł być jednym z najmłodszych. Lecz ile tysięcy Seanów O’Caseyów wędrowało po okolicy i czy to w ogóle miało znaczenie? Jakby wspominając plotki o dalekiej krewnej, Olive usiadła w ciemnej kuchni i przywołała w pamięci kogoś – siebie – kto kiedyś myślał, że jeśli zostawi Henry’ego dla Jima, zrobi dla jego dzieci wszystko; tak wielka wydawała się jej miłość.  
– Christopherze! – zawołała. Wszedł do kuchni z wilgotnymi włosami, ubrany do pracy. – Chyba spotkałam w parku twojego lokatora. Nie wiedziałam, że oprócz papugi chrześcijanki ma

także psa.

Chris kiwnął głową i łyknął kawy z kubka, stając obok zlewu.

– Nie spodobał mi się.

Christopher uniósł brew.

– To doprawdy zaskakujące.

– Nie był ani trochę sympatyczny. Myślałam, że chrześcijanie powinni być sympatyczni.

Jej syn się odwrócił i wstawił kubek do zlewu.

– Gdybym miał trochę więcej energii, tobym się uśmieł. Lecz Annabelle znowu się budziła i jestem zmęczony.

– Christopherze, co to za historia z matką Ann?

Jednym ruchem wytarł kuchenny blat.

– Jest alkoholiczką.

– O mój Boże.

– Tak, znajduje się w opłakanym stanie. A ojciec, już nieżyjący, dzięki Bogu, jak by powiedziała papuga, służył w armii. Kazali im co rano robić pompki.

– Pompki. No cóż, widzę, że ty i ona macie wiele wspólnego.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Jego twarz zarumieniła się lekko.

– To miało zabrzmieć sarkastycznie. Wyobraź sobie twojego ojca, który każe ci robić pompki.

– Brak odpowiedzi lekko wytrącił ją z równowagi. – Wasz lokator chciał wiedzieć, skąd cię stać na taki dom – oznajmiła.

Chris zmarszczył brwi, jego twarz przybrała znowu znajomy wyraz.

– To nie jego cholerny interes.

– Tak właśnie myślałam.

Zerknęła na zegarek i Olive poczuła nagle, że boi się jego wyjścia, tego, iż zostanie sama z Ann i dziećmi na cały dzień w tym ciemnym domu.

– Ile czasu zajmuje ci droga do pracy?

– Pół godziny. Metro bywa zatłoczone w godzinach szczytu.

Olive nigdy nie jechała metrem.

– Chris, nie martwisz się możliwością następnego ataku?

– Ataku? Terrorystycznego?

Olive kiwnęła głową.

– Nie. Trochę, w pewnym sensie. To znaczy, prędzej czy później coś takiego się zdarzy. Ale trudno tylko siedzieć i czekać.

– No tak.

Chris przecesał palcami wilgotne włosy, szybko potrząsnął głową.

– Tu na rogu był sklep. Prowadzili go Pakistańczycy. Niewiele mieli na sprzedaż. Trochę ciasteczek, colę. Najwyraźniej jakiś rodzaj przykrywki. Ale co rano kupowałem tam gazety i sprzedawca był naprawdę sympatyczny. „Jak się pan dzisiaj miewa?” – pytał z uśmiechem, pokazując długie żółte zęby. Ja się też do niego uśmiechałem i tak jakoś czułem, że on nie ma nic przeciwko mnie, ale gdyby wiedział, która linia metra wyleci w powietrze, patrzyłby z uśmiechem, jak do niej schodzę. – Chris wzruszył ramionami.

– Skąd to wiesz?

– Znikąd. Ale wiem. Facet zamknął sklep, powiedział, że musi wracać do Pakistanu. Miał to w oczach, mamó, tylko tyle chciałem powiedzieć.

Olive kiwnęła głową, spoglądając na rozległy blat drewnianego stołu.

- Mimo to podoba ci się tutaj?
- Bardzo.

Dzień upłynął spokojnie, a po nim przyszedł następny. Wzięła psa na spacer do parku wcześniej, żeby uniknąć spotkania z Seanem. I podczas gdy wszystko pozostawało nieznajome, jak w obcym kraju, nie mogła się wyzbyć pewnego poczucia szczęścia: była ze swoim synem. Czasami stawał się rozmowny, czasami bywał milczący i wtedy wydawał jej się najbardziej znajomy. Nie rozumiała jego nowego życia ani Ann, mówiącej jakby gotowymi tekstami z okolicznościowych kartek, lecz nie dostrzegała u Chrisa żadnych oznak ponuractwa i to miało dla niej duże znaczenie. To i ponowne przebywanie z nim. Gdy Theodore wołał do niej „Babciu!”, odpowiadała. I choć naprawdę nie cierpiała tego dzieciaka, przecież go zносиła i pewnego wieczoru przeczytała mu nawet jakąś historyjkę (ale gdy opuściła jedno słowo, a on ją poprawił, miała chęć trzepnąć go w tę ciemną głowę). Był członkiem rodziny jej syna, podobnie jak ona. Kiedy dzieciak już ją zmęczył albo mała zaczynała płakać, Olive wycofywała się do piwnicy i kładła na łóżku, myśląc, jak bardzo się cieszy, że nie porzuciła Henry’ego dla Jima. Nie żeby chciała, choć pamiętała, że kiedyś chciała, i co by się wtedy stało z Christopherem?

Trzeciego dnia, przed południem, gdy Ann wróciła po odprowadzeniu Theodore’a do przedszkola, a Christopher był w pracy, mała chlapała się w basenie za domem, Olive zaś siedziała na leżaku.

- Popilnujesz jej, mamo, kiedy pójde zdjąć pranie? – zawołała Ann, na co Olive odparła:
- Oczywiście.

Annabelle marudziła, lecz Olive podała jej gałązkę i dziecko zaczęło uderzać nią o powierzchnię wody. Olive spojrzała w górę, wypatrując papugi, która niekiedy wykrzykiwała nawet bez zachęty: „Bóg jest królem!”.

– Do diabła z tym – powiedziała Olive i powtórzyła to samo głośniej, na co z góry rozległo się: „Chwalmy Boga”. Zsunęła sandały, podrapała się po stopach i umościła wygodniej na leżaku, zadowolona z uzyskanego odzewu. Brzmiało to naprawdę jak głos cioci Ory. Wstała, poszła do kuchni po pączek i pogryzając go, przystanęła obok zlewu. Nagle przypomniała sobie o niemowlęciu.

– Och, dobry Boże – szepnęła i pospieszyła na zewnątrz. Annabelle próbowała wstać. Olive schyliła się, by przytrzymać bobasa i Annabelle wysliznęła jej się z rąk; Olive przesunęła się wzdłuż basenu, usiłując dźwignąć dziecko i unieść jego główkę nad wodę. Annabelle była coraz bardziej rozdrażniona, mazała się i wrywała, odwracając się od Olive.

– Na miłość boską, przestań wreszcie! – rozkazała Olive, a dziecko wpatrzyło się w nią i wybuchnęło głośnym płaczem.

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie” – zaskrzeczała papuga.

– To coś nowego – zauważyła Ann, która wyszła na tylne podwórze ze ścierką do naczyń.

– Ona próbuje wstać – wyjaśniła Olive. – A ja nie potrafię jej utrzymać.

– Tak, lada dzień zacznie chodzić. – Ann, pomimo wystającego brzucha, bez trudu podniosła dziecko.

Olive wróciła na leżak, drżąc z wysiłku po zmaganiach z małą. Biegając po tym cemencie, podarła sobie rajstopy.

– Dzisiaj jest rocznica naszego ślubu – poinformowała Ann, okrywając ścierką plecy dziecka.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Ann się uśmiechnęła, jakby jej się przypomniało coś osobistego. – Pozwól,

mała gąsko, niech cię rozgrzeję. – Annabelle rozłożyła małe nóżki po obu stronach wydętego brzucha matki, umieściła mokrą główkę na obfitym biuście Ann i drżała, ssąc kciuk.

Olive mogła łatwo powiedzieć: „No cóż, byłoby miło z twojej strony, gdybyś zawiadomiła mnie o ślubie. To koszmar dla matki, dowiedzieć się po fakcie”. Ale powiedziała tylko:

– W takim razie wszystkiego najlepszego.

To, że dziecko się nie utopiło, kiedy jadła pączka, przyniosło jej tak wielką ulgę, że rocznica ślubu, choć boleśnie jej przypominała, jak została odsunięta na boczny tor, nie wydała jej się czymś, o co należałoby kruszyć kopie.

– Czy Chris ci opowiadał, jak się poznaliśmy?

– Niedokładnie. Nie ze szczegółami. – Nie mówił jej o niczym.

– W grupie dla samotnych rozwodników. Dowiedziałam się właśnie, że jestem w ciąży z Annabelle... wiesz, po rozwodzie wyczynia się różne wariactwa i Annabelle wzięła się z takiego wariactwa, prawda, moja słodka? – Pocałowała dziecko w czubek głowy.

„Mamy dwudziesty pierwszy wiek – pomyślała Olive. – Nie musimy już liczyć wyłącznie na piankę w kwestii kontroli urodzeń”. Ale odczuwana nadal ulga sprawiła, że odezwała się z udawaną wielkodusznością:

– To sympatyczny pomysł, grupowe spotkania dla rozwodników. – Kiwnęła głową. – Wszyscy macie to wspólne doświadczenie. – Sama raz poszła na spotkanie „grupy wsparcia” w domu opieki i stwierdziła, że to absolutny idiotyzm; głupi ludzie mówiący głupstwa, włącznie z pracownicą opieki społecznej, która prowadziła zajęcia i powtarzała słodkim, spokojnym głosem: „To, że się odczuwa złość, jest normalne”. Olive nigdy więcej tam nie wróciła. „Złość – pomyślała z pogardą. – Dlaczego miałoby się odczuwać złość z powodu naturalnego wydarzenia, na litość boską?” Nie potrafiła znieść tej głupiej pracownicy socjalnej ani dorosłego mężczyzny, który usiadł tuż obok niej i płakał z powodu udaru swojej matki. Absolutna głupota. „Złe rzeczy się zdarzają – chciała mu powiedzieć. I zapytać: – Gdzie wtedy byłeś?”

– W tej grupie terapeutycznej – kontynuowała Ann – nauczyliśmy się odpowiedzialności, akceptowania obowiązków, no wiesz.

Olive nie wiedziała. Odezwała się:

– Christopher poślubił nieodpowiednią kobietę, w tym rzecz.

– Ale pytanie brzmi: dlaczego – zauważyła Ann tonem pełnym troski, poprawiając dziecko. – Jeśli uświadomimy sobie, dlaczego coś robimy, nie popełnimy drugi raz tych samych błędów.

– Rozumiem – powiedziała Olive. Rozprostowała stopy i poczuła, jak w rajstopach leci jej kolejne wielkie oko. Musiała pójść do drogerii.

– To było po prostu wspianiałe. Chris i ja bardzo się zaangażowaliśmy w ten proces i przywiązaliśmy do siebie nawzajem.

– To miło – skomentowała Olive po długiej chwili.

– Terapeuta ma na imię Arthur. Niezwykły człowiek. Nie uwierzyłabyś, ile się od niego nauczyliśmy. – Ann wytarła ścierką plecy dziecka, spojrzała na Olive. – Napady lękowe to pochodna gniewu, mamó – zakończyła.

– Naprawdę? – Olive pomyślała o papierosach Ann.

– Aha. Prawie zawsze. Kiedy Arthur się przeprowadził do Nowego Jorku, my także to zrobiliśmy.

– Przeprowadziliście się tutaj ze względu na terapeuta? – Olive usiadła wyprostowana na leżaku. – Czy to jakaś sekta?

– Nie, nie. I tak chcieliśmy się przeprowadzić, ale to świetnie, że możemy dalej pracować



z Arthurem. Wiesz, zawsze mamy wiele zagadnień do omówienia.

– Nie wątpię.

W tej chwili Olive postanowiła zaakceptować całą sytuację. Za pierwszym razem Christopher ożenił się z osobą wredną i arogancką, a teraz z tępową, lecz miłą. Cóż, nic matce do tego. To w końcu jego życie.

Zeszła do piwnicy i wybrała numer na tarczy białego telefonu. Cindy zapytała:

– No i co tam słyhać?

– W porządku. To zupełnie jak inny kraj. Możesz mi dać Henry’ego?

Przytrzymując słuchawkę między głową a ramieniem, zaczęła zdejmować rajstopy i przypomniała sobie, że ma tylko tę jedną parę.

– Henry – powiedziała – oni obchodzą dzisiaj rocznicę ślubu. Wszystko dobrze, ale ona jest trochę przygłupia, tak jak myślałam. Poddają się terapii. – Zawahała się, rozejrzała wokoło. – Nie musisz się tym przejmować. Podczas terapii zawsze się obwinia przede wszystkim matkę. Ty na pewno wyjdiesz z tego czysty jak łąza. – Zabębniła palcami o pralkę. – Muszę iść, ona tu zaraz będzie robić pranie. Czuję się dobrze, Henry. Wracam za tydzień.

Na górce Ann karmiła dziecko pieczonym batatem. Olive usiadła i obserwowała ją, wspominając, jak to w pewną rocznicę ślubu Henry podarował jej breloczek z czterolistną koniczyną wtopioną w kawałek grubego przezroczystego plastiku.

– Zadzwoiłam do Henry’ego i powiedziałam mu o waszej rocznicy.

– O, to miło – zauważyła Ann i dodała: – Rocznicę są przyjemne. Pozwalają na chwilę refleksji.

– Lubiłam dostawać prezenty – stwierdziła Olive.

Krocząc za synem i jego grubą małżonką, którzy popychali przed sobą duży wózek spacerowy, Olive myślała o swoim mężu, zapewne leżącym już w łóżku; kładziono ich spać wcześniej, niż się kładzie małe dzieci.

– Rozmawiałam dzisiaj z twoim ojcem – zwróciła się do Christophera, lecz on najwyraźniej nie usłyszał. Mówili coś do siebie z Ann, pełni napięcia, pochylając ku sobie głowy i pchając wózek. O Boże, jak to dobrze, że nigdy nie opuściła Henry’ego. Nigdy nie miała równie oddanego i dobrego przyjaciela jak jej mąż.

A mimo to, stojąc za synem i czekając na zmianę świateł, przypomniała sobie, że bywały chwile, gdy czuła się tak głęboko osamotniona, iż pewnego razu, przed kilkoma laty, podczas plombowania zęba, delikatny dotyk miękkich palców dentysty obracających jej podbródek wydał się gestem czułości i dobroci niemal nie do zniesienia i przełknęła ślinę z jękiem przepełnionym tęsknotą, ze łzami w oczach. („Dobrze się pani czuje, pani Kitteridge?” – zapytał dentysta).

Jej syn obejrzał się na nią, a jego wyrazista twarz wystarczyła, by skłonić Olive do dalszego marszu, choć naprawdę była już zmęczona. Młodzi ludzie nie potrafili pojąć, że dochodzi się w życiu do takiego etapu, kiedy nie można już hulać po świecie rano, w południe i wieczorem. Siedem etapów życia? Czy tak określił to Szekspir? No, ale przecież sam podeszły wiek miał siedem etapów! A w przerwach między nimi człowiek się modlił, by umrzeć we śnie. Cieszyła się jednak, że nie umarła; oto jej rodzina, a tam znajdowała się lodziarnia z pustą wnęką od frontu. Olive z wdzięcznością opadła na czerwone wyściełane siedzenie.

– Dzięki Bogu – powiedziała. Ale oni jej nie usłyszeli. Byli zajęci rozpinaniem dzieci

i sadzaniem małej na wysokim krzeselku, a Theodore'a na dodatkowym krześle przysuniętym do stolika. Brzuch Ann okazał się zbyt duży, by zmieścić się w przegrodzie, więc musiała zamienić się miejscami z Theodore'em, który zgodził się przesiąść, dopiero gdy Christopher ujął jego drobne nadgarstki jedną ręką, pochylił się i polecił cichym głosem: „Usiądź”.

Olive poczuła coś w rodzaju lekkiej konsternacji. Ale dziecko usiadło. Grzecznie oznajmiło, że chce lody waniliowe.

– Christopher zawsze był bardzo grzeczny – zwróciła się do niego. – Ludzie często mi gratulowali takiego grzecznego synka.

Czy Christopher i Ann wymienili spojrzenia? Nie, po prostu zastanawiali się, co zamówić. Wydawało się niemożliwe, że Ann nosi w sobie wnuczka Henry'ego, no ale tak było.

Olive zamówiła karmelowy deser lodowy.

– To nie fair – oznajmił Theodore. – Ja chcę deser lodowy.

– No dobrze – powiedziała Ann. – Jaki?

Chłopczyk zrobił zmartwioną minę, jakby odpowiedź przekraczała jego możliwości. Wreszcie odparł, kładąc głowę na rękach:

– Chcę rożek waniliowy.

– Twój ojciec by zamówił piwo korzenne z lodową gałką – zwróciła się Olive do Christophera.

– Nie – zaprzeczył. – Zamówiłby lody truskawkowe.

– Skądże – zaprotestowała. – Piwo korzenne z lodową gałką.

– Ja to chcę. Chcę piwo korzenne z gałką – oznajmił Theodore, unosząc głowę. – Co to jest?

Ann wyjaśniła:

– Nalewają dużo korzennego piwa do szklanki i wrzucają do niej lody waniliowe.

– Chcę coś takiego.

– Nie będzie mu smakowało – ostrzegł Christopher.

I nie smakowało. Theodore rozplakał się w połowie porcji, powtarzając, że to nie to, czego się spodziewał. Olive natomiast delectowała się swoim deserem i zjadła go do ostatniej łyżeczki, podczas gdy Ann i Christopher dyskutowali, czy pozwolić Theodore'owi zamówić coś innego. Ann była za, Christopher przeciw. Olive się nie wtrącała, lecz zauważyła, że zwyciężył Christopher.

W drodze powrotnej czuła w sobie więcej energii, niewątpliwie dzięki lodowemu deserowi. A także dlatego, że Chris szedł obok niej, podczas gdy Ann przed nimi popychała wózek; dzieci, na szczęście, siedziały cicho.

Praktyka Chrisa prosperowała dobrze.

– Nowojorczyki traktują swoje stopy bardzo poważnie – powiedział. Często przyjmował dwadzieścia osób dziennie.

– Wielkie nieba, Chris. To bardzo dużo.

– Mam bardzo dużo rachunków do zapłacenia – odparł. – A wkrótce będę miał jeszcze więcej.

– Domyślam się. No cóż, ojciec byłby z ciebie dumny.

Zapadł zmrok. Przez oświetlone okna, które mijali, widziała ludzi czytających, oglądających telewizję. Zauważyła jakiegoś mężczyznę, najwyraźniej łaskoczącego swojego małego synka. Wezbrała w niej fala przychylności; każdemu życzyła wszystkiego, co najlepsze. Mówiąc „dobranoc”, gdy przekroczyli próg domu, Olive poczuła, że mogłaby ich ucałować: swego syna, Ann, nawet dzieciaki, gdyby musiała. Lecz nastąpiła chwila rozproszenia uwagi i Chris z Ann powiedzieli tylko: „Dobranoc, mamó”.

Zeszła na dół do białej piwnicy. W ciasnej łazience zapaliła światło i dostrzegła w lustrze długą i wyraźnie widoczną na jasnej bluzce smugę ciemnej, lepkiej karmelowej polewy. Od razu straciła humor, ogarnęło ją głębokie przygnębienie. Widzieli to i nic nie powiedzieli. Stała się staruszką podobną do ciotki Ory, którą przed laty we dwoje z Henrym zabierali na przejażdżki, zatrzymując się czasami, by kupić lody, a one się topiły i Olive patrzyła, jak plamą dekolt ciotki; widok ten budził w niej odrazę. Prawdę mówiąc, była zadowolona, gdy Ora zmarła i Olive nie musiała więcej oglądać żalosego widoku.

Teraz ona sama stała się ciotką Orą. Ale nie, przecież nią nie była. Syn powinien natychmiast zwrócić jej uwagę, tak jak ona by zareagowała, gdyby oblał sobie czymś przód koszuli! Czy uważali, że Olive jest jeszcze jednym małym dzieckiem, które taszcza ze sobą? Zdjęła bluzkę, puściła ciepłą wodę do małej umywalki, po czym zrezygnowała z przepierki. Zapakowała bluzkę do plastikowego woreczka i wetknęła do torby.

Poranek był gorący. Olive siedziała na leżaku za domem. Ubrała się, zanim wzeszło słońce, i ostrożnie wspięła po schodach, nie ośmieliwszy się zapalić światła. Rajstopy zahaczyły o coś w piwnicy i poczuła, jak leci w nich cały szereg drobnych oczek. Założyła nogę na nogę, kiwając stopą, i gdy padło na nią światło, dostrzegła, że oczka sięgają powyżej jej grubych kostek. Pierwsza pojawiła się Ann, widoczna przez kuchenne okno, trzymając dziecko na biodrze. Christopher nadszedł za nią, musnął lekko jej ramię, sięgając po coś. Olive usłyszała głos Ann:

– Twoja mama wyprowadzi Piechura do parku, a ja przygotuję Theodore’a, tylko pozwalam mu dzisiaj pospać trochę dłużej.

– Czy to nie cudowne, kiedy on śpi o te kilka minut więcej? – Chris odwrócił się i przesunął palcami po włosach Ann.

Olive nie zamierzała iść z Piechurem do parku. Zaczekała, aż Chris i Ann znajdą się dostatecznie blisko okna, by rzucić w ich stronę:

– Już czas, żebyś sobie pojechała.

Christopher przekrzywił głowę.

– Nie wiedziałem, że tam jesteś. Co mówiłaś?

– Powiedziałaś – odparła głośniej Olive – że już czas, aby przekłeta staruszka sobie pojechała.

„Chwalmy Jezusa” – dobiegło z góry.

– Co masz na myśli? – zapytała Ann, wyciągając szyję w stronę okna, a w tej samej chwili stopa dziecka kopnęła i przewróciła karton mleka stojący na blacie.

– Cholera – powiedział Christopher.

– On powiedział „cholera”! – zawołała Olive, unosząc głowę, a potem pokiwała nią szybko, gdy papuga zaskrzeczała: „Bóg jest królem”. – Tak, w istocie – zauważyła Olive. – W samej rzeczy jest.

Christopher wyszedł na podwórze, starannie zamykając za sobą siatkowe drzwi.

– Mamo, przestań. Co się dzieje?

– Już czas, żebyś wracała do domu. Śmierzę jak ryba.

Christopher wolno pokręcił głową.

– Wiedziałem, że tak będzie. Wiedziałem, że coś musi do tego doprowadzić.

– O co ci chodzi? – spytała Olive. – Po prostu cię informuję, że wracam do domu.

– No to wejdź do środka – odparł Christopher.

– Nie potrzebuję, żeby mój syn dyktował mi, co mam robić – oznajmiła Olive, lecz kiedy

Chris wszedł z powrotem do kuchni i zaczął szeptać coś do Ann, wstała i dołączyła do nich. Usiadła na krześle przy stole. Czuła się słabo; prawie nie spała w nocy.

– Czy coś się stało, mamó? – zagadnęła Ann. – Miałaś zostać jeszcze na kilka dni.

Niech jej język kołkiem stanie, jeśli powie Chrisowi i Ann, jak mogli pozwolić, żeby lody spływały jej po bluzce. Nawet z dzieciakami obeszliby się lepiej, pomogli zetrzeć plamy. A ją zostawili z całym przodem bluzki umazanym polewą karmelową.

– Powiedziałam Christopherowi, kiedy mnie tu zaprosił, że przyjadę na trzy dni. Bo później zaczęła cuchnąć jak ryba.

Ann i Christopher spojrzeli po sobie.

– Mówiłaś, że przyjedziesz na tydzień – odezwał się Chris ostrożnie.

– Zgoda. Ponieważ potrzebowałam pomocy, choć nie byłeś nawet na tyle szczery, by się do tego przyznać. – Wzbierała w niej furia, podsycana jeszcze przez wrażenie ich zmyślenia: sposób, w jaki Chris dotknął włosów Ann, spojrzenia, które wymienili. – Boże, nienawidzę łgarzy. Nie wychowywaliśm cię na kłamcę, Christopherze Kitteridge.

Dziecko na biodrze Ann utkwiliło oczy w Olive.

– Zaprosiłem cię w odwiedziny – zaczął wolno Christopher – ponieważ chciałem cię zobaczyć. Ann chciała cię poznać. Mieliśmy nadzieję, że po prostu miło spędzimy czas. Ja miałem nadzieję, że sytuacja się zmieniła, że coś takiego jak to nie nastąpi. Ale, mamó, nie zamierzam ponosić odpowiedzialności za krańcowe wahania twoich nastrojów. Jeżeli coś wytrąciło cię z równowagi, powinnaś mi o tym powiedzieć. Na tej zasadzie możemy rozmawiać.

– Nie chciałaś rozmawiać przez całe swoje cholerne życie. Dlaczego zaczynasz teraz? – To przez terapię, uświadomiła sobie nagle. Oczywiście. Ten jakiś głupi Arthur. Powinna uważać, powtórzą jej słowa na spotkaniu grupy terapeutycznej. „Krańcowe wahania nastrojów”. To nie był styl Christophera. Dobry Boże, pewnie już ją w dyskusjach rozłożyli na czynniki pierwsze. Zadygotała na tę myśl. – O co ci chodzi z tymi wahaniami nastrojów? Co tu się, do diabła, dzieje?

Ann wycierała mleko gąbką, wciąż trzymając dziecko. Christopher stanął ze spokojem przed Olive.

– Zachowujesz się trochę jak paranoiczka, mamó – powiedział. – Zawsze tak było. A przynajmniej bardzo często. I jakoś nigdy nie widziałem, żebyś kiedykolwiek czuła się za to odpowiedzialna. W jednej chwili potrafisz wpaść w furję. To męczące, bardzo wyczerpujące dla osób z twojego otoczenia.

Stopa Olive pod stołem podskakiwała jak szalona. Olive przemówiła cichym głosem:

– Nie muszę tu siedzieć po to, żeby nazywano mnie schizofreniczką. Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś podobnego. Syn ni stąd, ni zowąd nazywa matkę schizofreniczką. Bóg mi świadkiem, że nie przepadałam za moją matką, ale nigdy...

– Olive – wtrąciła Ann – proszę cię, proszę, uspokój się. Nikt cię nie przezywa. Chris próbował ci tylko wyjaśnić, że twój nastrój czasami ulega dość szybkim zmianom i to było trudne dla niego, wiesz, kiedy dorastał. Ciągnęła niepewność.

– Co ty, na Boga, możesz o tym wiedzieć? Byłaś tam? – W głowie Olive wszystko wirowało. Wydawało jej się, że zawodzi ją wzrok. – Przypuszczam, że obydwójce uzyskaliście stopień naukowy w dziedzinie psychologii rodzinnej.

– Olive... – powtórzyła Ann.

– Zostaw ją, niech jedzie. Jedź, mamó. Nie ma sprawy. Zamówię taksówkę, żeby cię odwiozła na lotnisko.

– Zamierzasz wysłać mnie tam samą? Na miłość boską!

– Za godzinę wychodzę do pracy, a Ann musi zająć się dziećmi. Nie możemy cię zawieźć na lotnisko. Wezwiemy taksówkę na telefon. Ann, zadzwonisz po nią? Na lotnisku, mam, musisz podejść do stanowiska obsługi, żeby wymienić bilet. Ale z tym nie powinno być problemu.

O dziwo, jej syn zaczął zbierać brudne naczynia z blatu i ładować je do zmywarki.

– Wyrzucasz mnie, ot tak, po prostu? – spytała Olive. Jej serce waliło gwałtownie.

– Widzisz? Masz przykład – odparł Chris spokojnie. Spokojnie ustawiał naczynia w zmywarce. – Mówisz, że chcesz wyjechać, a potem oskarżasz mnie, że cię wyrzucam. Dawniej poczułbym się okropnie, ale teraz nie mam zamiaru tak się czuć. Ponieważ to nie moja wina. Ty, jak się zdaje, nie zauważasz, że twoje akcje powodują reakcje.

Wstała, przytrzymując się krawędzi stołu, i zeszła do piwnicy, gdzie czekała jej torba spakowana w nocy. Olive wtaszczyła torbę na górę, dysząc.

– Samochód będzie za dwadzieścia minut – zwróciła się Ann do Christophera, który kiwnął głową, nie przestając napełniać zmywarki.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała Olive.

– Wcale ci się nie dziwię. – Christopher zaczął teraz szorować garnek. – Mnie samemu zawsze wydawało się to nie do wiary. Ale po prostu nie chcę tego dłużej znosić.

– Nie musiałeś mnie znosić od lat! – krzyknęła Olive. – Od lat traktowałeś mnie podle!

– Nie – odparł cicho jej syn. – Myślę, że jeśli się nad tym zastanowisz, zrozumiesz, iż jest zupełnie inaczej. Masz przykry charakter. A przynajmniej wydaje mi się, że chodzi o charakter. Tak naprawdę nie jestem pewien. Ale potrafisz sprawić, że człowiek czuje się okropnie. Tata przez ciebie czuł się okropnie.

– Chris – wtrąciła Ann ostrzegawczym tonem.

Lecz Christopher pokręcił głową.

– Nie pozwolę, by mną rządził mój strach przed tobą, mam.

Strach przed nią? Jak ktokolwiek mógł się jej bać? Przecież to ona się bała! Christopher wciąż szorował garnki i patelnie, wycierał kuchenne blaty i przez cały czas udzielał spokojnych odpowiedzi. Cokolwiek powiedziała, odpowiadał spokojnie. Był spokojny jak ten muzułmanin, który każdego ranka sprzedawał mu gazetę, a potem patrzył, jak schodzi do metra, by wylecieć w powietrze. (Czy to nie było paranoiczne? To jej syn był paranoikiem!).

Usłyszała wołanie Theodore'a z szczytu schodów: „Mamusi, chodź tutaj! Mamusi!”

Olive zaczęła płakać. Wszystko się zamgliło, nie tylko jej oczy. Mówiła różne rzeczy z coraz większą furią, a Christopher spokojnie odpowiadał, spokojnie sprzątając kuchnię. Olive płakała. Christopher mówił coś na temat Jima O'Caseya. Coś o tym, że uderzył w drzewo po pijanemu.

– Wrzeszczałaś na tatę, jakby to on był winny śmierci Jima. Jak mogłaś, mam? Nie wiem, czego bardziej nie znosiłem: czy tych sytuacji, kiedy go atakowałaś i trzymałaś ze mną, czy kiedy atakowałaś mnie. – Christopher przechylił głowę, jakby rzeczywiście się nad tym zastanawiał.

– O czym ty mówisz?! – wykrzyknęła Olive. – Ty, z tą twoją nową żoną. Jest taka MIŁA, Christopherze, że chce mi się rzygać. Cóż, mam nadzieję, że miło będzie ci się żyło, skoro wszystko już sobie poukładałaś.

Odbijanie piłki, Olive z płaczem, Christopher ze spokojem. Aż w końcu powiedział cicho:

– No dobrze, bierz swoje rzeczy. Taksówka czeka.

Kolejka do bramki na lotnisku – do kontroli bezpieczeństwa – była tak długa, że zakręcała za

róg. Czarna kobieta w czerwonej kamizelce pracownika lotniska powtarzała donośnym głosem:

– Proszę się przesunąć za róg i bliżej ściany. Za róg i bliżej ściany.

Olive dwukrotnie się do niej zbliżyła.

– Dokąd mam iść? – zapytała, podsuwając jej pod oczy swój bilet.

– Proszę stanąć tam – odparła kobieta, wskazując uniesioną ręką długą kolejkę. Miała prostowane włosy, które wyglądały jak źle dopasowany czepek kąpielowy.

– Jest pani pewna? – spytała Olive.

– Proszę stanąć tam. – Kobieta ponownie uniosła ramię. Jej obojętność wydawała się niewzruszona.

(„Byłaś najgroźniejszą nauczycielką w szkole, mamó”).

W kolejce Olive patrzyła na osoby znajdujące się najbliżej, szukając potwierdzenia, że to jakiś absurd stać w tak długim ogonku, że coś tu musi być nie w porządku. Ale wszyscy odwracali oczy, mieli twarze pozbawione wyrazu. Olive zamruwała i założyła ciemne okulary. Gdziekolwiek spojrzeła, ludzie wydawali się dalecy i nieprzyjaźni. Zbliżając się do bramki, nic już nie rozumiała: kolejka zmieniła się w rozproszony tłum, w którym każdy sprawiał wrażenie, że wie to, czego ona nie wiedziała – dokąd iść, co robić.

– Muszę zatelefonować do syna – zwróciła się do mężczyzny obok. Chodziło jej o to, że musi opuścić kolejkę, aby poszukać automatu telefonicznego, ponieważ gdyby zadzwoniła do Christophera, na pewno by po nią przyjechał. Gotowa była błagać, ryczeć, robić wszystko, byle wydostać się z tego piekła. Zaszło jakieś straszne nieporozumienie. Czasami zdarzały się straszne nieporozumienia. Rozglądając się, nie zauważyła jednak nigdzie automatu telefonicznego. Każdy trzymał przy uchu telefon komórkowy i gadał, gadał; każdy miał z kim porozmawiać.

(Jego niezmacony spokój, z jakim zajmował się naczyniami, podczas gdy ona płakała! Nawet Ann musiała wyjść z kuchni. „Naprawdę nic z tego nie pamiętasz? W dzisiejszych czasach przysłano by pracownika socjalnego do domu dzieciaka, który pokazałby się w takim stanie”).

„Dlaczego mnie dręczysz?! O czym ty mówisz? Kochałam cię przez całe twoje życie. I to jest to, co czujesz?”.

Zostawił naczynia. Odparł z tym samym spokojem: „W porządku. Nie mam już nic więcej do powiedzenia”).

Mężczyzna, którego poinformowała, że musi zatelefonować do syna, spojrzeł na nią, a potem odwrócił wzrok. Nie mogła zadzwonić do syna. Był okrutny. I jego żona była okrutna.

Olive przesunęła się wraz z ludzką falą. Przesunąć się, bagaż podręczny na taśmę, przesunąć się, pokazać bilet. Jakiś mężczyzna niezbyt uprzejmie ponaglił ją gestem, by przeszła przez bramkę kontrolną. Spoglądając w dół, odezwał się beznamiętnym tonem:

– Proszę zdjąć buty. Niech pani zdejmie buty.

Wyobraziła sobie, jak stoi przed nim w podartych rajstopach, niczym jakaś wariatka.

– Nie zdejmę butów – usłyszała własny głos. – Guzik mnie obchodzi, czy ten samolot eksploduje, rozumiecie? Mam naprawdę gdzieś, czy wszyscy wylecicie w powietrze.

Dostrzegła, że pracownik ochrony wykonuje nieznaczny ruch dłonią i tuż obok znalazło się nagle dwóch mężczyzn. Pół sekundy później dołączyła do nich kobieta. Funkcjonariusze ochrony lotniska w białych koszulach ze specjalnymi paskami nad kieszeniami. Bardzo łagodnym tonem odezwali się do niej:

– Prosimy tędy, proszę pani.

Kiwnęła głową, mrugając za szklami ciemnych okularów, i odpowiedziała:

– Z przyjemnością.

## Przestępczyni

Tamtego ranka Rebecca Brown ukradła czasopismo, mimo iż nie należała tak naprawdę do osób, które kradną. Tak naprawdę Rebecca nie wzięłaby nawet mydła z łazienki motelu przy drodze nr 1; zabranie ręcznika w ogóle nie przysłoby jej do głowy. W ten sposób została wychowana. Szczerze mówiąc, jej wychowanie wykluczało wiele rzeczy, które i tak nieraz robiła, z wyjątkiem kradzieży – tego nie dopuściła się nigdy. Ale w ponurej białej poczekalni przed gabinetem lekarskim w miasteczku Maisy Mills Rebecca ukradła czasopismo. Była w nim opisana historia, którą Rebecca chciała doczytać, i pomyślała: „To tylko lekarski gabinet i tylko czasopismo, więc naprawdę nic wielkiego się nie stało”.

Historia opowiadała o zwykłym, łysiejącym mężczyźnie w nie najlepszej formie fizycznej, który codziennie przychodził do domu na lunch, siadał obok żony przy kuchennym stole i jedząc kanapki, mówił na przykład, że trzeba naprawić kosiarkę. W trakcie czytania Rebecca doznawała przypływu takiego samego optymizmu, jaki odczuwała czasami, gdy szła wieczorem jakąś boczną uliczką i widziała przez okno dzieciaka w piżamie bawiącego się z ojcem, który wicherzył mu włosy.

Dlatego, kiedy pielęgniarka otworzyła szklane okienko i wywołała nazwisko, Rebecca zwinęła czasopismo w rurkę i wsunęła do plecaka. Nie miała wyrzutów sumienia. Czuła zadowolenie, gdy wsiadała do autobusu ze świadomością, że będzie mogła doczytać opowieść.

Żona głównego bohatera pragnęła w życiu czegoś więcej niż sobotnie wypadki do sklepu z artykułami żelaznymi i codzienne jedzenie kanapek w stałej porze lunchu, więc pod koniec tej historii spakowała się i odeszła, a ów mężczyzna przestał przychodzić do domu na lunch. Zostawał w biurze i nie jadł nic. Rebecce zrobiło się niedobrze, gdy skończyła tę historię; należała do osób, które nie powinny czytać w autobusach. Autobus skręcił, czasopismo upadło na podłogę, a gdy Rebecca je podniosła, otworzyło się na stronie reklamującej męską koszulę. Koszula przypominała kitel malarza, marszczona na piersi i nieco wydęta. Rebecca przekartkowała magazyn, przyjrzała mu się bliżej. Zanim jeszcze wysiadła z autobusu, postanowiła zamówić tę koszulę dla Davida.

– Będzie pani zachwycona – zapewniła jakaś kobieta przez telefon. – Strój szyty ręcznie i w ogóle. Piękna koszula. – Numer zaczynał się od 800, a kobieta przyjmująca zamówienie miała południowy akcent. Rebecca pomyślała, że słuchanie tego głosu jest jak wkroczenie w telewizyjną reklamę mydła do prania, w której potoki słonecznego blasku spływają na lśniąca podłogę.

– Niech pomyślę – podjęła kobieta. – Te koszule są w rozmiarach: małym, średnim i dużym. Och, złotko, proszę chwileczkę poczekać.

– W porządku – odparła Rebecca. Już w autobusie, gdy wracała do domu, żołądek wydał się jej czymś w rodzaju mokrego balonu, w którym kiszki się skleiły, więc teraz przytrzymała słuchawkę między szyją a ramieniem i sięgnęła nad kuchennym blatem po „maaloksovą łyżkę”. Maalox przywiera do wszystkiego i łyżki nie można włożyć do zmywarki, ponieważ nawet szklanki są potem upstrzone białymi plamkami. Mieli specjalną łyżeczkę, którą David nazwał



maaloksową i którą kładli tuż obok zlewu. Rebecca stała tam, oblizując łyżeczkę, kiedy wewnątrz jej głowy odezwał się głos ojca. Przemówił w jej głowie, lecz wyraźnie jak dzwon. „Nie znoszę, kiedy ktoś kradnie” – powiedział.

W dniu śmierci ojca Rebecca przeczytała w czasopiśmie artykuł o kobiecie z parapsychologicznymi zdolnościami, która pomagała policji w rozwiązywaniu zagadek zbrodni. Twierdziła, że odczytuje myśli zmarłych, że zmarli myślą nawet po śmierci.

– Przepraszam bardzo – odezwała się w słuchawce kobieta z południowym akcentem.

– Nie ma za co – odparła Rebecca.

– A więc – zaczęła tamta – czy pani mąż jest szerszy w ramionach, czy w obwodzie brzucha?

– Nie chodzi o męża – wyznała Rebecca. – Niezupełnie. To znaczy on jest moim chłopakiem.

– No jasne – odparła kobieta. – Czy pani chłopak jest szerszy w ramionach, czy w pasie?

– W ramionach – wyjaśniła Rebecca. – Prowadzi siłownię i bez przerwy ćwiczy.

– Dobrze – powiedziała kobieta powoli, jakby coś sobie zapisywała. – Teraz zastanawiam się tylko, czy największy rozmiar nie okaże się zbyt obszerny w pasie.

– Prawdopodobnie się pobierzemy – oznajmiła Rebecca. – Wie pani, prędzej czy później.

– Oczywiście – zgodziła się tamta. – Jakiego rozmiaru garnitur nosi? Ta informacja mogłaby nam pomóc.

– Chyba nigdy go nie widziałam w garniturze.

– Może weźmie pani duży rozmiar – podsunęła kobieta.

– Zwykle nie zamawiam niczego w ten sposób – poinformowała ją Rebecca. – To znaczy w sprzedaży wysyłkowej. I nigdy nie zamówiłam niczego przez internet. Nigdy nie podaję w sieci numeru mojej karty kredytowej.

– Nie? – upewniła się kobieta. – Niektórzy tak mają. Nie lubią niczego zamawiać. Wolą dokonać zakupu bezpośrednio w sklepie. Ja też taka jestem.

– Rzeczy giną – stwierdziła Rebecca. – Kasjerzy i kierowcy ciężarówek bywają różni. Wie pani, bo na przykład źle spali w nocy albo pokłócili się z szefem. – Mówiąc to, przerzucała strony czasopisma, dopóki nie natrafiła na początek opowieści, kiedy bohater był jeszcze szczęśliwy. Oddarła tę stronę powoli. A następnie podpaliła nad zlewem, używając do tego zapalniczki, którą trzymała w tylnej kieszeni.

– Jeśli pani tak uważa... – zgodziła się kobieta. – Ale ręczymy za dostarczenie przesyłki.

– Och, wierzę pani – zapewniła Rebecca i rzeczywiście wierzyła. Co za głos miała ta kobieta! Rebecca mogła jej wyznać wszystko. – Ja po prostu jestem jedną z tych osób – podjęła – które myślą, że gdyby wziąć mapę świata i wetknąć w nią tyle szpilek, ilu jest ludzi, to na moją szpilkę nie znajdzie się miejsce.

Kobieta milczała.

– Czy przyszło pani kiedyś do głowy coś podobnego? – spytała Rebecca. Obserwowała mały płomyk, który wyskoczył na chwilę ze zlewu niczym żwawy duszek.

– Nie – odparła tamta. – Nigdy.

– Och, przepraszam – powiedziała Rebecca.

– Niech pani nie przeprasza. Cała przyjemność po naszej stronie. Zrobimy tak. Wyślemy największy rozmiar, a gdyby koszula okazała się za duża, po prostu ją nam pani odeśle.

Rebecca połała wodą płatki popiołu w zlewie.

– Czy mogę o coś zapytać?

– Ależ oczywiście.

– Czy jest pani wyznawczynią scjentologii?

– Czy jestem... – Na chwilę zapadła cisza. – Nie, nie jestem – odparła kobieta z leniwie brzmiącym południowym akcentem.

– Ja też nie. Po prostu ostatnio czytałam artykuł o scjentologii i, o rany, są to bardzo dziwne rzeczy.

– No cóż, co kto lubi. A teraz...

– Zawsze za dużo mówię – wyjaśniła Rebecca. – Mój chłopak ciągle mi to powtarza. Rozboliła mnie głowa.

– Miło jest dokonywać transakcji z przyjaźnie nastawioną osobą – powiedziała kobieta. – Zimny mały ręcznik przyłożony na oczy powinien pomóc. I proszę się nie bać go przycisnąć.

– Dziękuję – odparła Rebecca. – Sądzę, że duży ręcznik też się nada.

– Musi się pani położyć na wznak – dodała tamta. – Proszę przedtem schłodzić ręczniczek w lodówce, w zamrażalniku.

Rebecca Brown wywodziła się z rodu duchownych-kongregacjonalistów. Jej dziadek był bardzo cenionym pastorem w dużym kościele w Shirley Falls, a matka urodziła się w drugim małżeństwie tegoż wielbego Tylera Caskeya, którego pierwsza żona zmarła, pozostawiając dwie małe córeczki. Zanim ożenił się ponownie i spłodził matkę Rebeki, dziewczęta dorosły na tyle, by nie zwracać na nią szczególnej uwagi, i dopiero gdy matka także wyszła za mąż za pastora, a potem nieoczekiwanie wyjechała do Kalifornii, by zostać aktorką, do akcji wkroczyła ciotka Katherine.

– To nie do pomyślenia, żeby matka ot, tak sobie wyjechała – oznajmiła ze łzami w oczach. Tylko że to było jak najbardziej do pomyślenia: matka Rebeki zrobiła to i nawet nie podjęła walki, kiedy ojciec, wielbny Brown z małego kościółka w Crosby, w stanie Maine, wystąpił na drogę sądową o opiekę nad córką. – To jest chore – dodała ciotka Katherine. – On będzie się tobą wysługiwał. Miejmy nadzieję, że wkrótce znowu się ożeni.

Ciotka Katherine przeszła wiele terapii i Rebecca czuła się przy niej nieswojo. W każdym razie ojciec nie ożenił się ponownie i Rebecca dorastała w odludnym domu należącym do kościoła, wiedząc na swój dziecięcy, cichy i sekretny sposób, że jej ojciec nie jest tak dobrym pastorem, jakim był jej dziadek. „Serce mi pęka” – powiedziała raz podczas odwiedzin ciotka Katherine, a Rebecca miała nadzieję, że ciotka już więcej nie przyjedzie. Matka od czasu do czasu przysyłała widokówki z Kalifornii, gdy jednak się okazało, że wstąpiła do Kościoła scjentologicznego, nawet ciotka Katherine uznała, że lepiej nie mieć z nią wiele do czynienia. Nie było to trudne: kartki przestały przychodzić.

Rebecca wysłała cały plik listów, jeden za drugim, na ostatni adres podany przez matkę, do miasteczka o nazwie Tarzana. Nie wpisywała adresu zwrotnego, ponieważ nie chciała, żeby ojciec znalazł listy, gdyby zostały odesłane. A najprawdopodobniej zostałyby odesłane. Adres pochodził sprzed czterech lat i kiedy Rebecca zadzwoniła do informacji z pytaniem o numer telefoniczny w Tarzanie i wszystkich okolicznych miejscowościach, nie znaleziono żadnej informacji o Charlotte Brown ani o Charlotte Caskey. Gdzie się podziały listy?

Rebecca poszła do biblioteki, żeby poczytać o scjentologach. Przeczytała o tym, jak chcieliby oczyścić świat z obcych – olbrzymów, którzy według nich zasiedlili Ziemię po wybuchu nuklearnym siedemdziesiąt pięć milionów lat temu. I przeczytała, że od członków Kościoła wymaga się „rozłączenia” z krewnymi nastawionymi krytycznie do scjentologii. Dlatego właśnie matka przestała pisać. Może pisanie listów do córki było „aktem stłumienia” i zażądano od matki, by stanęła przed „Siłami Programu Rehabilitacji”. Rebecca przeczytała również

o pewnym wyznawcy, który usłyszał, że stosując odpowiednie ćwiczenia i dyscyplinę, mógłby się nauczyć odczytywania ludzkich myśli. „Przyjdź po mnie – pomyślała Rebecca ze skupieniem do matki. – Przyjdź po mnie, proszę”. Później pomyślała: „Mam cię w dupie”.

Przestała czytać o scjentologii i zabrała się do książek na temat życia małżonek osób duchownych. Należało mieć zawsze w spiżarni puszkę sałatki owocowej na wypadek wizyty jakiegoś parafianina. Przez kilka lat Rebecca pilnowała, żeby mieć w kredensie sałatkę owocową, choć bardzo rzadko przychodził ktoś w odwiedziny.

Kiedy skończyła szkołę średnią i dowiedziała się, że zamieszka o dwie godziny drogi dalej, blisko uniwersytetu, Rebecce tak oszołomił ten uśmiech losu, że zaczęła się martwić, czy nie potrąci jej samochód, w wyniku czego musiałaby sparaliżowana dożywać swych dni na plebanii. Znalazszy się jednak na studiach, chwilami tęskniła za ojcem i starała się nie myśleć o jego osamotnieniu w tym domu. Gdy rozmowy schodziły na temat matek, napomykała cichym głosem, że jej matka „odeszła”, co sprawiało, że ludzie czuli się nieswojo, ponieważ Rebecca zawsze potem spuszczała oczy, jakby dając do zrozumienia, iż nie może o tym mówić. Uważała, że pod względem formalnym nie mija się z prawdą. Nie twierdziła, iż jej matka nie żyje, co, o ile wiedziała, nie byłoby zgodne z prawdą. Matka odeszła (do odległej krainy) i Rebecca przyzwyczała się już do faz, przez które przechodziła, gdy dużo rozmyślała o matce, a potem, gdy nie myślała o niej wcale. Nie znając drugiej osoby, której matka uciekła, nie obejrzawszy się ani razu, Rebecca doszła do wniosku, że jej myśli na ten temat w danych okolicznościach muszą być najzupełniej naturalne.

Podczas pogrzebu ojca Rebecca przyłapała się na myślach, o których wiedziała, że nie mogą być naturalne. A w każdym razie nie na pogrzebie. Snop światła wpadł przez okno kościoła, odbił się od drewnianej ławki i przeciął ukosem dywan, a taki promień słońca sprawiał, że Rebecca pragnęła czyjejś bliskości. Miała dziewiętnaście lat i w college’ u dowiedziała się kilku rzeczy o mężczyznach. Pastor odprawiający ceremonię pogrzebową był kolegą ojca; przed laty uczęszczali razem do seminarium. Obserwując go, kiedy unosił rękę w geście błogosławieństwa, Rebecca zaczęła myśleć o rzeczach, które mogłaby mu zrobić pod odświętną szatą, rzeczach, z powodu których musiałaby się później modlić. „Duch Carletona pozostał tu wśród nas” – oznajmił pastor, a Rebecca poczuła na całej głowie gęsią skórę. Pomyślała o kobiecie z parapsychologicznymi zdolnościami, odczytującej myśli zmarłych, i doznała wrażenia, że ojciec jest w niej, patrzy jej oczami i widzi, co ona sobie wyobraża w związku z jego kolegą.

A potem pomyślała o matce, że być może jej matka nauczyła się czytać w cudzych umysłach i właśnie teraz odczytuje myśli córki. Rebecca zamknęła oczy, jakby się modliła. „Mam cię w dupie” – przemówiła do matki. „Przepraszam” – przemówiła do ojca. Otworzyła oczy i przyjrzała się ludziom w kościele, postaciom mdłym i nijakim jak suche patyki. Wyobraziła sobie, jak podpala w lesie drobne kupki papieru; zawsze lubiła nagłe, małe wybuchy płomieni.

– Co tam znalazłaś, Beksiu? – zagadnął David. Siedział na podłodze z pilotem wycelowanym w telewizor, zmieniając kanał przy każdej reklamie. Powyżej na szybie okiennej podskakiwało i tańczyło odbicie telewizyjnego ekranu.

– Dentysta szuka asystentki – odparła Rebecca ze swojego miejsca przy stole. Zakreśliła ogłoszenie długopisem. – Doświadczenie mile widziane, ale w razie konieczności zapewnią szkolenie.

– Och, skarbie – powiedział David, wpatrując się w telewizor – ludzkie jamy ustne?

Nie dało się ukryć, że znalezienie pracy stanowiło dla niej pewien problem. Jediną pracą, jaka się dotychczas Rebecce podobała, było zajęcie w punkcie sprzedaży lodów „Promyk Lodowych Marzeń”. Kierownik codziennie upijał się już przed drugą i pozwalał pracownikom zjeść tyle lodów, ile tylko chcieli. Dawali dzieciom, które przychodziły do sklepu, ogromne lodowe różki i patrzyli, jak dzieciaki robią wielkie oczy.

– Nie ma sprawy – powtarzał kierownik, lawirując między maszynkami do lodów. – Niech ten lokal splajtuje, gównu mnie to obchodzi.

Tuż przed tym, jak zamieszkała z Davidem, Rebecca pracowała jako sekretarka w dużej kancelarii prawniczej. Niektórzy prawnicy wzywali ją przez interkom, żeby przyniosła im kawę. Nawet kobiety to robiły. Zastanawiała się, czy ma prawo odmówić. Ale to i tak nie miało znaczenia: po kilku tygodniach usłyszała od przedstawicielki wydziału kadr, że pracuje zbyt wolno.

– Pamiętaj, cukiereczku – odezwał się David, po raz kolejny zmieniając kanał – że najbardziej się liczy pewność siebie.

– Jasne – odparła Rebecca. Zakreślała ogłoszenie długopisem, aż wreszcie kółko zajęło prawie pół strony.

– Wejź tam z miną mówiącą, że mają szczęście, iż trafili na ciebie.

– Jasne.

– Ale w nieagresywny sposób, oczywiście.

– Jasne.

– Bądź przyjaźnie nastawiona, ale nie mów za dużo. – David wycelował pilota w telewizor, który natychmiast się wyłączył. W drugim końcu salonu było ciemno. – Biedny stary cukierczek – powiedział David, wstając i podchodząc do niej. Otoczył jej szyję ramieniem i ścisnął żartobliwie. – Powinno się zaprowadzić cię na pastwisko i zastrzelić, biedna staruszko.

David zawsze zasypiał zaraz potem, lecz Rebecca wiele nocy przeleżała bezsenne. Tamtej nocy wstała z łóżka i poszła do kuchni. Po drugiej stronie ulicy widać było przez okno bar, hałaśliwe miejsce: słyszało się każdy odgłos dochodzący z parkingu. Ale Rebecca lubiła ten bar. W noc, kiedy nie mogła spać, pokrzepiała ją świadomość, że są ludzie, którzy także nie śpią. Stała przy oknie, rozmyślając o bohaterze opowiadania, zwyczajnym, łysiejącym mężczyźnie, który spędzał porę lunchu samotnie w swoim biurze. Pomyślała również o głosie swojego ojca, o tym, jak usłyszała go w głowie. Pamiętała, że pewnego razu przed laty powiedział do niej: „Są na świecie mężczyźni, którzy, kładąc się obok kobiety, niczym się nie różnią od psów”. Przypomniała sobie, jak kiedyś, kilka lat po odejściu matki, oznajmiła, że ma zamiar z nią zamieszkać. „Nie możesz – odparł ojciec, nie podnosząc głowy znad lektury. – Oddała cię. Stawałem w sądzie. Sprawuję nad tobą wyłączną opiekę”.

Przez długi czas Rebecca myślała, że to oznacza posiadanie na własność.

Obserwowała, jak na parking wjeżdża radiowóz. Wsiadło z niego dwóch policjantów, migające światła pozostały włączone, ich niebieskie błyski przemykały po szybie, padając na zlew i „maaloksovą łyżkę”. Zapewne ktoś wszczął jakąś bójkę; to się w nocy często zdarzało w barze. Rebecca, tkwiąc przy oknie, poczuła, że lekki uśmiech wewnątrz niej staje się szerszy. Jakie to byłoby rozkoszne: ta chwila niezmaconej radości, gdy człowiek, wzmocniony alkoholem i przekonany o własnej słuszności, unosi pięść do pierwszego ciosu.

– Pomacaj – zachęcił David, napinając mięsień. – Nie krępuj się.

Rebecca pochyliła się nad miseczką z płatkami śniadaniowymi i dotknęła jego ramienia.

Poczuła się tak, jakby dotykała zamarzniętej ziemi.

– To zadziwiające – stwierdziła. – Naprawdę.

David wstał i przejrzał się w tosterze. Naprężył mięśnie obu ramion, niczym bokser popisujący się przed tłumem. Następnie obrócił się bokiem i popatrzył na siebie pod tym kątem. Kiwnął głową.

– Okay – powiedział. – Nie jest źle.

Jedyne lustro w domu ojca Rebeki wisiało nad umywalką w łazience. Jeżeli nie myła twarzy albo zębów, nie powinna była się zbliżać do tego lustra: próżność to grzech.

– Twoja matka zamieniła jedną sektę na drugą – powiedziała kiedyś ciotka Katherine. – Na miłość boską, żaden kongregacjonalista nie żyje w ten sposób.

Tyle że Rebecca właśnie tak żyła. Pragnęła, żeby ciotka umilkła, po prostu poszła sobie i przestała mówić takie rzeczy.

„A może zamieszkałabyś u nas?” – zapytała raz ciotka, na co Rebecca pokręciła głową. Nie chciała wspominać o wyłącznej opiece. Ponadto ciotka Katherine budziła w niej niepokój, podobnie jak nauczycielka matematyki, pani Kitteridge, która spoglądała na nią czasami uważnie, gdy klasa pracowała nad zadaniem. Pewnego dnia odezwała się do Rebeki na szkolnym korytarzu: „Jeżeli zechcesz, zawsze możesz ze mną porozmawiać”. Rebecca nie odpowiedziała, po prostu wyminęła ją, podtrzymując swoje książki.

– Dobra, zmywam się – oznajmił David, zasuwając zamek torby, z którą chodził na siłownię.  
– Masz numer tego gabinetu dentystycznego?

– Mam – odparła Rebecca.

– Powodzenia, Beksiu – powiedział David. Podeszedł do lodówki i napił się soku pomarańczowego prosto z kartonu. Potem wziął klucze i pocałował Rebecę na pożegnanie. – Pamiętaj – dodał – bądź pewna siebie i nie mów za dużo.

– Tak, rozumiem. – Kiwnęła głową. – No to cześć.

Siedziała przy stole, na którym stały brudne miski po płatkach z mlekiem, i rozmyślała o swojej potrzebie mówienia. Potrzeba ta ogarnęła ją niedługo po śmierci ojca i utrzymywała się przez cały czas. Miała w istocie fizyczny charakter; Rebecca chciała z tym zerwać, tak jak ludzie zrywają z paleniem.

Jej ojciec wyznawał zasadę: nie rozmawia się przy stole. Dziwna zasada, jeśli się nad tym zastanowić, ponieważ jedynie ich dwoje zasiadało co wieczór w niedużej jadalni na probostwie. Być może ojciec odczuwał zmęczenie pod koniec dnia, po wizytach u chorych i umierających – mieszkali w małym miasteczku, lecz zwykle znalazł się ktoś chory i dość często ktoś umierający – i życzył sobie ciszy, żeby móc odpocząć. Tak czy inaczej, każdego wieczoru siedzieli przy stole i jedynymi dźwiękami, jakie się rozlegały, były brzęknięcia sztućców o talerz, stuk odstawianej szklanki z wodą oraz ciche, nieco zbyt intymne odgłosy przeżuwania. Czasami Rebecca unosiła głowę i dostrzegała okrucieństwo jedzenia na podbródku ojca, a wtedy wzbierała w niej nagła fala miłości do niego, aż trudno było jej przetykać. Kiedy indziej jednak, zwłaszcza w miarę dorastania, patrzyła z zadowoleniem na pokaźne ilości masła, które pochłaniał. Właśnie na to jego upodobanie do masła liczyła, mając nadzieję, że ono go wykończy.

Wstała i umyła miski po płatkach. Potem przetrzała blat i ustawiła krzesła prosto. Poczuła piekące uczucie w żołądku, więc sięgnęła po Maalox i „maaloksovą łyżkę”, a gdy potrzasała buteleczką, oczami wyobraźni ujrzała Davida pochylonego w jej stronę, przypominającego, żeby nie mówiła za wiele, i wtedy zdała sobie sprawę, że duży rozmiar koszuli będzie, oczywiście,

zbyt obszerny.

– To żaden problem – zapewniła kobieta. – Sprawdzę, czy zamówienie już zostało zrealizowane.

Zaschnięta warstewka Maaloxu nie chciała zejść z łyżki nawet zdrapywana paznokciem. Rebecca odłożyła łyżkę z powrotem na blat.

– Nie przypuszczałam, że się połączę drugi raz z tą samą osobą – powiedziała. – Łau! A może po prostu stanowicie niewielki zespół? – Nie usłyszała odpowiedzi. – To znaczy, niewielki zespół jest zupełnie w porządku – dodała, wydzierając z czasopisma dwie strony opowiadania. Nadal nikt się nie odzywał i wreszcie Rebecca zrozumiała, że na chwilę zawieszono połączenie. Patrzyła, jak kartki stają w płomieniach: ta część, w której odchodzi żona. Płomień sięgnął powyżej komory zlewu. Rebecce przeszył dreszcz niepokoju; czekała z ręką na kranie, lecz ogień sam przygasł.

– Nieważne – przemówiła kobieta, przywracając połączenie. – Zamówienie już poszło. Proszę po prostu odesłać koszulę, jeśli okaże się za duża, a my wysłamy średni rozmiar. Jak tam głowa, czy jeszcze boli?

– Pani PAMIĘTA? – spytała Rebecca.

– Ależ oczywiście, że pamiętam – odparła tamta.

– Dzisiaj mnie nie boli – powiedziała Rebecca. – Ale mam pewien kłopot. Muszę znaleźć pracę.

– Nie ma pani pracy? – zapytała kobieta ze swoim uroczym południowym akcentem.

– Nie. Muszę czegoś poszukać.

– No pewnie – przytaknęła rozmówczyni – praca to naprawdę ważna rzecz. Jakiego rodzaju zajęcia pani szuka?

– Czegoś mało stresującego – odparła Rebecca. – To nie oznacza, że jestem leniwa czy coś w tym rodzaju – wyjaśniła, a po chwili dodała: – No cóż, może jestem, może na tym rzecz polega.

– Proszę tak nie mówić – zaprotestowała kobieta. – To z pewnością nieprawda.

Cudowna osoba. Rebecca pomyślała o bohaterze opowiadania. Powinien poznać tę kobietę.

– Dziękuję – powiedziała. – Jest pani bardzo miła.

– Proszę odesłać koszulę, jeśli okaże się za duża. To żaden problem – zapewniła kobieta. – Naprawdę żaden problem.

Śmierć ojca nie była najsmutniejszym wydarzeniem. Ani nieobecność matki. Najsmutniejsze wydarzenie nastąpiło, gdy Rebecca zakochała się na studiach w Jasie Burke’u, a potem on z nią zerwał. Był pianistą i raz, kiedy ojciec wyjechał na konferencję, przywiozła Jace’a do Crosby na jedną noc. Rozejrzał się po probostwie i zauważył: „Co za dziwne miejsce, dziecinko”. Patrzył na nią z czułością, której słodycz zacierała wszystko, co było mroczne w przeszłości. Później poszli do Magazynowego Baru z Grillem, gdzie lekko stuknięta Angela O’Meara wciąż przygrywała na pianinie.

– Rany, ona jest świetna – powiedział Jace.

– Mój ojciec pozwala jej przychodzić do kościoła i tam grać, kiedy tylko zechce. Ona nie ma pianina – wyjaśniła Rebecca. – Nigdy nie miała.

– Jest świetna – powtórzył cicho Jace i Rebecce ogarnęło rozkosznie ciepłe uczucie w stosunku do ojca, jakby on również dostrzegł w biednej, zawianej Angie jakąś świetność, której ona, Rebecca, nigdy nie doceniła. Kiedy wychodzili, Jace wsunął dwudziestodolarowy

banknot do słoja na napiwki. Angela posłała im całusa i zagrała *Hello, Young Lovers*, gdy opuszczali bar.

Po odejściu z uniwersytetu Jace grywał w różnych barach w Bostonie. Czasami były to eleganckie lokale z grubymi dywanami i skórzanymi fotelami i czasami przy wejściu wisiał plakat ze zdjęciem Jace'a. Często jednak mu się nie wiodło i musiał grać na elektrycznych organach w knajpach ze striptizem, żeby zarobić jakieś pieniądze.

W każdy weekend Rebecca jeździła do niego autobusem Greyhound i zatrzymywała się w jego niechlujnym mieszkaniu, gdzie karaluchy łączyły po szufladzie ze sztućcami. Kiedy wracała w niedzielę wieczorem, telefonowała do ojca i opowiadała mu, jak pilnie studiuje. Później, gdy już mieszkała z Davidem, pozwalała sobie od czasu do czasu wspominać owe weekendy z Jace'em. Dotyk brudnej pościeli na skórze, metalowe krzesła, na których siadali nadzy, jedząc ciepłe bułeczki przy otwartym oknie z futryną pokrytą warstwą brudu. Przypominała sobie, jak stała nago przed brudną umywalką w łazience, a Jace stał za nią, również nagi, i patrzyli na swoje odbicie w lustrze. Głos ojca nie odzywał się w jej głowie, nie pojawiały się żadne myśli o mężczyznach zachowujących się jak psy. Wszystko było proste i łatwe.

Pewnej nocy w wannie Jace powiedział jej o blondynce, którą niedawno poznał. Rebecca siedziała z myjką do twarzy w ręce, wpatrując się w popękane uszczelnienie na obrzeżu wanny, na brud wżarty w pęknięcia. „Tak w życiu bywa” – podsumował Jace.

Kilka dni później zadzwonił do niej ojciec. Nawet teraz Rebecca niezupełnie rozumiała, co było nie w porządku z jego sercem; nie określił tego dokładnie. Poinformował ją tylko, że lekarze nie mogą mu pomóc.

– Ależ oni mogą zrobić wiele różnych rzeczy, tatusiu – powiedziała wtedy. – To znaczy, są rozmaite zabiegi kardiologiczne i tak dalej.

– Nie w przypadku mojego serca – odparł z nutą lęku w głosie. Słyszając ją, Rebecca zadała sobie pytanie, czy jej ojciec naprawdę wierzy w to wszystko, co głosi w kazaniach od lat. Lecz nawet gdy usłyszała tę nutę i sama poczuła lęk, wiedziała, że najgorsza była dla niej nowina Jace'a o blondynce.

– Powiedz mi – zaczął David – co robi myjka do twarzy w zamrażalniku?

– Nie dostałam tej pracy – zawiadomiła Rebecca.

– Nie? – David zamknął drzwi lodówki. – Trochę mnie to dziwi. Myślałam, że ją dostaniesz. Czego oni wymagają, doktoratu? – Oderwał piętke od bochenka chleba leżącego na blacie i wetknął do słoika z sosem do spaghetti. – Biedna Beksia – dodał, kręcąc głową.

– Może dlatego, że opowiedziałam o lewatywie z siarczanu baru, którą mi zrobiono. – Rebecca wzruszyła ramionami. Zmniejszyła temperaturę pod garnkiem, żeby spaghetti nie wykypiało. – Dużo mówiłam – przyznała. – Prawdopodobnie zbyt dużo.

David usiadł przy stole i popatrzył na nią.

– Wiesz, to chyba nie był dobry pomysł. Widzisz, Beksiu, może nikt ci tego nie powiedział, ale ludzie nie bardzo lubią słuchać o czyichś lewatywach.

Rebecca wyjęła myjkę z zamrażalnika. Poskładała ją w pasek i przytknęła do oczu, siadając naprzeciw Davida.

– Jeżeli już się tę lewatywę miało – powiedziała – to nie sądzę, by mogło im to przeszkadzać.

David nie odpowiedział.

– Widocznie dentyście nigdy jej nie robiono – dodała Rebecca.

– A niech to – przemówił David. – Skąd tyś się taka wzięła? Mógłbym zapytać, jak ten temat wypłynął? Czy nie byłoby sensowniej porozmawiać o zębach?

– Rozmawialiśmy o zębach wcześniej. – Rebecca mocniej przycisnęła myjkę. – Mówiłam mu, dlaczego zależy mi na tej pracy. Jakie to ważne, żeby ci wszyscy pomocnicy medyczni ubrani na biało odnosili się miło do przestraszonych ludzi.

– Dobrze już, dobrze – powiedział David. Rebecca odsunęła nieco myjkę i zerknęła na niego jednym okiem. – Jutro znajdziesz pracę – oznajmił.

I znalazła. Dostała pracę w Augusta: przepisywanie raportów drogowych dla pewnego grubego mężczyzny, który chodził z nachmurzoną miną i nigdy nie wymówił słowa „proszę”. Szefował agencji badającej ruch uliczny w różnych miastach stanu i wokół nich, aby było wiadomo, gdzie budować wjazdy lub zjazdy i montować światła. Rebecca nie przypuszczała, że ktoś może robić coś takiego, studiować ruch uliczny, i pierwszego dnia rano wyglądało to interesująco. Ale już po południu przestało być takie ciekawe, a po kilku tygodniach wiedziała, że prawdopodobnie złoży wymówienie. Pewnego popołudnia w trakcie przepisywania jej ręka zaczęła drżeć. Rebecca uniosła drugą, która również się trzęsła. Poczuli się tak jak kiedyś w autobusie, tamtego weekendu, gdy Jace poinformował ją o blondynce, a ona myślała bez przerwy: „To nie może być moje życie”. I uświadomiła sobie, że przez większą część swego życia myślała: „To nie może być moje życie”.

W holu obok skrzynek pocztowych Rebecca znalazła zaadresowaną do siebie szarą wyściełaną kopertę. Koszula dotarła z Kentucky do Maine. Rebecca zaniosiła ją na górę do mieszkania i oderwała zszywkę od brzegu koperty, z której wysypały się na stół kawałki szarej warstewki wyściełającej. Kobieta z firmy miała rację, koszula była piękna. Rebecca rozłożyła ją na sofie, układając szerokie rękawy na poduszkach, a potem cofnęła się nieco, by popatrzeć. To nie była koszula dla Davida. Nigdy w życiu by jej nie nosił. To była koszula dla Jace’a.

– Zdarza się – oznajmiła kobieta pogodnie. – Proszę ją odesłać.

– Dobrze – odparła Rebecca.

– Słyszę w pani głosie zniechęcenie – zauważyła rozmówczyni. – Ale odzyska pani pieniądze, złotko. To potrwa kilka tygodni, ale je pani odzyska.

– Dobrze – powtórzyła Rebecca.

– Żaden problem, złotko. To naprawdę żaden problem.

Następnego dnia Rebecca rozejrzała się po poczekalni u lekarza za czymś do ukradzenia. Niewiele tam było, oprócz czasopism. Zupełnie jakby to zaplanowali, nawet wieszaki nie dały się zdjąć z prętu. Ale na okiennym parapecie stał mały szklany wazonik, zwyczajny i nieładny, ze śladami brunatnych plam na dnie.

– Pan doktor zaraz się z panią spotka – poinformowała pielęgniarka. Rebecca poszła za nią korytarzem do ambulatorium, gdzie przeprowadzano analizy. Podwinęła rękaw do badania krwi.

– Jak tam pani żołądek? – zagadnęła pielęgniarka i zerknęła na wykres.

– Dobrze – odparła Rebecca. – No cóż, nie, niedobrze. Maalox jakoś mi nie pomaga.

Pielęgniarka poluzowała opaskę uciskową i zdjęła ją z ramienia Rebeki.

– Proszę powiadomić o tym lekarza – poleciła.

Lekarz jednak, co Rebecca zauważyła od razu, zirytował się na jej widok. Skrzyżował ramiona na piersi okrytej białym fartuchem i zacisnął usta, spoglądając na nią bez mrugnięcia okiem.



– Nadal mnie boli – poinformowała Rebecca. – I...

– I co jeszcze?

Wcześniej zamierzała mu powiedzieć, że trzęsą się jej ręce, że czuje, iż coś tu jest głęboko nie w porządku.

– I po prostu zaczęłam się zastanawiać, dlaczego mnie ciągle boli. – Spuściła oczy i wpatrzyła się we własne stopy.

– Rebecco, poddaliśmy cię testom żołądkowo-jelitowym, wykonaliśmy badania krwi. I musisz przyjąć do wiadomości, że nic ci nie dolega. Masz po prostu wrażliwy żołądek. Jak wiele innych osób.

Znalazłszy się z powrotem w poczekalni, Rebecca włożyła płaszcz, stojąc przy oknie i wyglądając przez nie, jakby ją interesował parking leżący poniżej. Przez chwilę nie bolała jej głowa, nie bolał żołądek, odczuwała jedynie dreszcz, czysty jak źródłana woda. Jakby ona sama stała się czystym płomieniem z zapalniczki. W pobliżu jakiś mężczyzna czytał czasopismo. Jakaś kobieta opilałowała paznokcie. Rebecca wsunęła wazonik do plecaczka i wyszła.

Tamtego wieczoru siedzieli na podłodze i oglądali stary film w telewizji. Każdy, kto by zajrzał przez okno, zobaczyłby siedzącą Rebeccę opartą o sofę, a tuż obok Davida z butelką wody sodowej, wyglądających najnormalniej na świecie.

– Kiedy byłam dzieckiem, nigdy nie kradłam w sklepie – wyznała Rebecca.

– Ja kradłem – oznajmił David, wciąż oglądając film. – Ukradłem zegarek ze sklepu, w którym pracowałem. Ukradłem mnóstwo rzeczy.

– Nie robiłam tego, bo się bałam, że zostanę przyłapana – powiedziała Rebecca. – A nie dlatego, że to było złe. Wiem, że to było złe, ale nie dlatego tak nie postępowałam.

– Ukradłem nawet prezent dla matki na urodziny. – David zachichotał. – Jakąś spinkę do włosów.

– Chyba większość dzieciaków robi coś takiego prędzej czy później – skostatowała Rebecca.

– Nie wiem. Kiedy byłam mała, nigdy nie odwiedzałam dzieci w ich domach ani one mnie. – David milczał. – Mój ojciec uznał, że to nie wyglądałoby dobrze – wyjaśniła Rebecca. – Żeby dziecko pastora kogoś faworyzowało. W takim małym miasteczku.

David nie odrywał oczu od telewizora.

– To cuchnąca sprawa – powiedział. – Popatrz tylko. Uwielbiam ten fragment. Za chwilę śruba napędowa posieka tego gościa.

Spojrzała przez okno w ciemność.

– A później poszłam do dziewiątej klasy – podjęła – i ojciec zdecydował, że Kościół nie powinien wydawać więcej pieniędzy na gospodynię dla nas, więc odtąd już ja gotowałam. Przyrządzałam mu specjalne posiłki, całe aż tonące w maśle. O Boże – zakończyła.

David zagwizdał.

– Oto i on. Ohyda.

– Założę się, że w świetle prawa zostałam przestępczynią.

– Co mówisz, skarbie? – spytał David. Ale Rebecca nie powtórzyła. David pogładził ją po stopie. – Nasze dzieci wychowamy inaczej. Nic się nie martw.

Rebecca milczała.

– To świetny film – zauważył David, opierając się o jej nogi. – Po prostu świetny. Za chwilę odrąbią temu gościowi łeb.

Coś się działo w barze na dole. Trzy radiowozy wjechały na parking i policjanci weszli do lokalu, zostawiając błyskające koguty na dachach. Rebecca czekała przy kuchennym oknie, podczas gdy blaski światła przesuwały się po jej ramieniu i po kuchennej podłodze. Dwaj policjanci wyszli z baru, przytrzymując między sobą mężczyznę z ramionami założonymi z tyłu. Postawili go pod jednym z samochodów i policjant odezwał się do tego mężczyzny: „Ma pan prawo zachować milczenie. Cokolwiek pan powie, może zostać użyte przeciw panu w sądzie”. Głos policjanta nie brzmiał życzliwie ani nieżyczliwie, tylko dobitnie i jasno. „Ma pan prawo wezwać adwokata. Jeżeli nie stać pana na adwokata, zostanie on wyznaczony z urzędu”. Przypominało to poezję, podobnie jak Biblia, kiedy czytało się ją w odpowiedni sposób.

Z baru wyszli inni policjanci i po krótkiej chwili wpełnęli mężczyznę na tylne siedzenie, po czym wszystkie trzy radiowozy odjechały. Kuchnia wydawała się ciemna bez ich migających świateł. Rebecca widziała „maaloksovą łyżkę” na rogu zlewu i kilka połyskujących białych plamek na jej powierzchni. Długo siedziała po ciemku przy kuchennym stole. Wyobraziła sobie gabinet lekarza, ulice, którymi jechał autobus. W Maisy Mills nie kursowały nocne autobusy. Pomyślała, że spacer zajmie jej prawie pół godziny. Jeśli nie potrafisz zrozumieć jakiejś sytuacji, powiedział jej kiedyś Jace, nie zwracaj uwagi na to, co myślisz, tylko na to, co robisz.

Pilnowała się, biorąc spod zlewu podpałkę do grilla i wciskając ją do plecaka. Pilnowała się, gdy po cichu wyjmowała z szuflady z bielizną stare kartki pocztowe od matki. W kuchni przedarła je wszystkie na pół i robiąc to, jęknęła cicho. Włożyła je do plecaka. Potem dołożyła koszulę kupioną dla Davida i czasopismo, w którym znalazła ogłoszenie. Do kieszeni płaszcza wsunęła dwie zapalniczki.

Gdy schodziła ostrożnie po stopniach w korytarzu, w swojej głowie słyszała słowa: „Masz prawo zachować milczenie. Masz prawo... masz prawo... masz prawo”.

Warto było dać się aresztować za takie słowa.

## Rzeka

Dzień wcześniej omal nie wjechała w niego na parkingu przed biblioteką i choć nie krzyknął, uniósł ramię, jakby chcąc zatrzymać nadjeżdżający samochód, a może tylko z zaskoczenia. Tak czy inaczej, Olive zdążyła nacisnąć hamulec, a Jack Kennison nawet na nią nie spojrział, tylko maszerował w stronę swojego auta, małego, lśniącego i czerwonego, zaparkowanego kilka metrów dalej.

„Zgroza” – pomyślała Olive. Był wysokim mężczyzną z wydatnym brzuchem, o przygarbionych ramionach i – jak jej się wydawało – wykazującym swoistą, ukrytą arogancję w sposobie, w jaki wysuwał głowę naprzód i nie patrzył na ludzi. Skończył studia na uniwersytecie Harvarda, mieszkał w New Jersey – czy uczył w Princeton, czy gdzieś indziej, Olive nie wiedziała – lecz kilka lat wcześniej przeprowadzili się z żoną do domu, który zbudowali na skraju niewielkiego poletka w Crosby, w stanie Maine. Olive powiedziała wtedy do swojego męża:

– Co za głupota, pakować tyle pieniędzy w dom tak daleko od wody – i Henry przyznał jej słuszność. Wiedziała o Harvardzie od kelnerki z przystani, która jej przekazała, że Jack Kennison wszystkim to powtarza.

– Jakież to nieznośne – zauważył Henry ze szczerą odrazą.

Nigdy nie rozmawiali z Kennisonami, mijali się tylko z nimi od czasu do czasu w mieście albo widywali ich na śniadaniu w restauracji na przystani. Henry zawsze im się kłaniał, a pani Kennison się odklaniała. Była drobną kobietą skorą do uśmiechu.

– Przypuszczam, że ona przez całe życie stara się rekompensować jego brak wychowania – powiedziała Olive, na co Henry kiwnął głową. Nie zawsze darzył sympatią letników i emerytów, którzy sprowadzali się na północne wybrzeże, by dożyć swych dni w oprawie ukośnie padającego światła. Zazwyczaj mieli dużo pieniędzy, a często również drażniące poczucie specjalnych uprawnień. Na przykład pewien mężczyzna uznał, że ma prawo napisać do miejscowej gazety artykuł, w którym natrząsa się z miejscowych, określając ich jako zimnych i wyniosłych. A pewną kobietę podsłuchano w sklepie Moody’ego, gdy zadała swemu małżonkowi pytanie: „Dlaczego wszyscy w tym stanie są otyli i sprawiają wrażenie opóźnionych w rozwoju?”. Była, według osoby, która o tym opowiadała, żydówką z Nowego Jorku i to zamykało sprawę. Nawet teraz niektórzy ludzie woleliby, żeby w ich sąsiedztwie zamieszkała rodzina muzułmańska, niż by ich obrażała jakaś żydówka z Nowego Jorku. Jack Kennison nie był ani muzułmaninem, ani żydem, lecz nie pochodził również stąd i przybierał arogancką postawę.

Kiedy kelnerka z restauracji na przystani przekazała informację, że Kennisonowie mają córkę lesbijkę, która mieszka w stanie Oregon, i że pan Kennison nie może się z tym pogodzić, Henry powiedział:

– O, to niesłuszne. Człowiek powinien akceptować swoje dzieci takimi, jakie są.

Henry, oczywiście, nigdy nie został poddany tego rodzaju próbie; Christopher nie był gejem. Henry dożył rozvodu swego syna, lecz wkrótce potem rozległy wylew krwi do mózgu – nikt nie

zdołałby przekonać Olive, że ten rozwód nie stanowił głównej przyczyny – spowodował paraliż i odebrał Henry’emu świadomość faktu, iż Christopher ożenił się ponownie. Henry zmarł w domu opieki przed narodzinami wnuka.

Półtora roku później Olive nadal czuła tak potężną presję, że była jak torebka próżniowo pakowanej kawy, gdy zaciskała dłonie na kierownicy i pochylała się w świetle świtu, wyglądając przez przednią szybę. Wyjechała z domu, kiedy było jeszcze ciemno – często tak robiła – a potem światło zaczynało padać na krętą, wysadzaną drzewami drogę do miasta, którą przejeżdżało się w dwadzieścia minut. Każdy poranek wyglądał tak samo: długa jazda, postój przed Dunkin’ Donuts, gdzie filipińska kelnerka wie, że Olive lubi dodatkową porcję mleka do kawy, i gdzie Olive brała gazetę i kilka pączków z dziurką – prosiła o trzy, lecz dziewczyna z obsługi zawsze dodawała czwartego – po czym wracała do samochodu, żeby poczytać gazetę i rzucić kilka kawałków pączka psu na tylne siedzenie. O szóstej rano czuła już, że może się bezpiecznie przespacerować nad rzeką, choć właściwie nigdy nie słyszała, by na asfaltowej ścieżce wydarzyło się coś złego. O szóstej widywało się tam przeważnie starych ludzi i można było maszerować co najmniej miłą, nie spotykając nikogo.

Olive ustawiła auto na żwirowym parkingu, wydobyła z bagażnika buty turystyczne, zasznurowała je na nogach i ruszyła przed siebie. Była to najlepsza pora dnia, jedyna, jaką dało się znieść. Trzy mile w jedną stronę, trzy mile z powrotem. Olive miała na uwadze wyłącznie to, że taka codzienna gimnastyka może jej przedłużyć życie. „Niech nadejdzie szybko” – pomyślała, a chodziło jej o własną śmierć, nad którą zastanawiała się kilka razy dziennie.

Zmrużyła oczy. Jakieś ciało leżało na dróźnie niedaleko kamiennej ławki tuż za pierwszą milą. Olive przystanąła. Był to starszy mężczyzna – tyle zdołała dostrzec, gdy ostrożnie podeszła bliżej – o łysiej głowie i wydatnym brzuchu. Boże w niebiesiach. Przyspieszyła kroku. Jack Kennison leżał na boku z nogami zgiętymi w kolanach, niemal jakby postanowił uciąć sobie drzemkę. Olive pochyliła się nad nim i zobaczyła, że jego oczy są otwarte. Miały intensywnie niebieski kolor.

– Czy pan umarł? – zapytała głośno.

Poruszył powiekami, spojrzął w jej twarz.

– Najwyraźniej nie – odparł.

Popatrzyła na jego klatkę piersiową, na duży brzuch rysujący się pod kurtką firmy L.L. Bean. Następnie rozejrzała się w prawo i w lewo, w dół i w górę ścieżki. Nie dostrzegła nikogo.

– Został pan dźgnięty nożem albo postrzelony? – Pochyliła się niżej.

– Nie – odpowiedział. I dodał: – Jeśli dobrze pamiętam.

– Może się pan ruszać?

– Nie wiem. Nie próbowałem. – Jego brzuch poruszał się jednak: wznosił się i powoli opadał.

– No to niech pan spróbuje. – Trąciła lekko stopą jego czarny sportowy but. – Proszę poruszyć tą nogą.

Noga drgnęła.

– Dobrze – powiedziała Olive. – A teraz ramię.

Mężczyzna powoli przesunął ramię na brzuch.

– Nie mam telefonu komórkowego – poinformowała Olive. – Mój syn ciągle obiecuje, że mi taki kupi, ale na razie tego nie zrobił. Wróć do samochodu i pojedź po kogoś.

– Nie – odezwał się Jack Kennison. – Proszę nie zostawiać mnie samego.

Olive się zawahała. Jej auto stało o milę stąd. Popatrzyła na leżącego mężczyznę, który utkwiał

w niej niebieskie oczy.

– Co się właściwie stało? – zapytała.

– Nie wiem.

– Powinien pan pójść do lekarza.

– Dobrze.

– Nawiasem mówiąc, nazywam się Olive Kitteridge. Nie sądzę, abyśmy kiedykolwiek zostali sobie oficjalnie przedstawieni. Jeśli nie zdoła się pan podnieść, pójdę poszukać jakiegoś lekarza. Nie cierpię lekarzy, ale nie może pan tak tutaj leżeć. Gotów pan umrzeć.

– Wszystko mi jedno – powiedział. Lekki uśmiech rozjaśnił jego oczy.

– Co? – spytała głośno Olive, pochylając się nisko.

– Wszystko mi jedno, czy umrę – powtórzył. – Tylko niech mnie pani nie zostawia tu samego.

Olive usiadła na pobliskiej ławce. Rzeka wyglądała spokojnie, ledwo było widać, że płynie. Olive znowu się pochyliła.

– Jest panu zimno? – zapytała.

– Nie bardzo.

– Rześkie dziś powietrze. – Teraz, gdy już nie maszerowała, sama poczuła chłód. – Czy coś pana boli?

– Nie.

– Myśli pan, że to serce?

– Nie wiem. – Zaczął się poruszać. Olive wstała i wsunęła rękę pod jego ramię, choć był dla niej o wiele za ciężki. Mimo to po wielu usiłowaniach zdołał się podźwignąć i usiąść na ławce.

– W porządku – powiedziała Olive, siadając obok niego. – Tak jest lepiej. Teraz zaczekamy, aż będzie przechodził ktoś z telefonem. – Nieoczekiwanie dodała: – Mnie też wszystko jedno, czy umrę. Nawet bym chciała, szczerze mówiąc. Pod warunkiem, że to nastąpi szybko.

Zwrócił ku niej łysiejącą głowę, przyjrzał jej się ze znużeniem swymi niebieskimi oczami.

– Nie chcę umierać w samotności – powiedział.

– Do diabła. Zawsze jesteśmy samotni. Rodzimy się w samotności. Umieramy w samotności. Jaka to różnica? Byle tylko nie dogorywać przez lata w domu opieki jak mój biedny mąż. Tego się obawiam. – Ściągnęła razem poły swetra, zacisnęła na nich dłoń. Odwróciła się w stronę mężczyzny, spoglądając na niego uważnie. – Nie wygląda pan już tak blado. Czy wie pan mniej więcej, co się stało?

Jack Kennison popatrzył na rzekę.

– Spacerowałem. Zobaczyłem ławkę i poczułem się zmęczony. Nie sypiam zbyt dobrze. Kiedy usiadłem, zakręciło mi się w głowie. Pochyliłem się, wsunąłem głowę między kolana i zanim się obejrzałem, leżałem na ziemi, a jakaś kobieta wykrzykiwała nade mną: „Czy pan umarł?”.

Olive poczuła, że pieką ją policzki.

– Z każdą minutą wygląda pan na bardziej żywego – zapewniła. – Jak pan myśli, będzie pan mógł iść?

– Za chwilę spróbuję. Chciałbym tu jeszcze chwilę posiedzieć.

Olive zerknęła na niego przelotnie. Płakał. Odwróciła wzrok i kątem oka dostrzegła ruch jego ręki sięgającej do kieszeni, usłyszała odgłos wydmuchiwania nosa, istny klakson.

– Moja żona zmarła w grudniu – powiedział.

Olive spojrzała na rzekę.

– Więc żyje pan w piekle – skonstatowała.

– Więc żyję w piekle.

Usiadła w poczekalni u lekarza i zaczęła przeglądać czasopismo. Po godzinie wyszła pielęgniarka, która oznajmiła:

– Pan Kennison się martwi, że pani tak długo czeka.

– Proszę mu przekazać, żeby przestał się martwić. Jest mi tu bardzo wygodnie. – I rzeczywiście było. Prawdę mówiąc, dawno nie było jej tak wygodnie. Nie przeszkadzałoby jej, gdyby to zajęło cały dzień. Czytała magazyn informacyjny, czego nie robiła od dawna. Jedną stronę przewróciła pospiesznie, gdyż nie mogła patrzeć na twarz prezydenta. Jego blisko osadzone oczy, wysunięty podbródek, ten widok ranił ją głęboko. Wiele sytuacji przeżyła w tym kraju, nigdy jednak nie widziała takiego bałaganu jak ten, w którym teraz utknęli. „Oto człowiek, który naprawdę wygląda na opóźnionego w rozwoju” – pomyślała Olive, przypominając sobie uwagę wygłoszoną przez klientkę w sklepie Moody’ego. Widać to po jego małych głupkowatych oczkach. I on zwyciężył w wyborach! „Nowo narodzony chrześcijanin”, uzależniony od kokainy. Zasługiwali na piekło, do którego zapewne pójdą. Martwiła się tylko o swojego syna Christophera. I o małego chłopczyka, swego wnuka. Nie była pewna, czy pozostanie jakiś świat, w którym on będzie mógł przeżyć.

Odłożyła czasopismo i odchyliła się wygodnie na oparcie. Otworzyły się zewnętrzne drzwi i weszła Jane Houlton, która zajęła krzesło w poczekalni niedaleko Olive.

– Ładną masz spódnicę – zauważyła Olive, choć Jane Houlton nigdy jej szczególnie nie interesowała. Należała do bojaźliwych stworzeń.

– Wiesz, kupiłam ją na wyprzedaży w Augustcie, w sklepie, który był likwidowany. – Jane wygładziła dłonią zielony tweedowy materiał.

– Och, to wspaniale – skomentowała Olive. – Kobiety uwielbiają okazyjne ceny. – Kiwnęła głową z aprobatą. – Bardzo dobrze.

Odwiozła Jacka Kennisona z powrotem na parking nad rzeką, żeby zabrał stamtąd samochód, a potem pojechała za nim do domu. Na podjeździe na skraju pola zagadnął:

– Czy nie zechciałaby pani wstąpić na lunch? Znalazłbym jakieś jajko albo puszkę fasoli w sosie pomidorowym.

– Nie – odparła Olive. – Myślę, że powinien pan odpocząć. Zaznał pan dostatecznie dużo emocji jak na jeden dzień. – Lekarz zarządził całą masę badań i dotychczas nie znaleziono niczego, co byłoby z nim nie tak. „Zmęczenie spowodowane czynnikiem stresu”. Taką diagnozę wystawił tymczasowo lekarz. – A mój pies siedział zamknięty w samochodzie przez całe przedpołudnie – dodała.

– No to w porządku. – Jack uniósł rękę. – Bardzo dziękuję.

Jadąc z powrotem do domu, Olive czuła się pogrążona w smutku. Pies skomlał, kazała mu przestać i osunął się na tylne siedzenie, jakby i jego wyczerpał ten ranek.

Zadzwoiła do swojej przyjaciółki Bunny i opowiedziała jej, jak znalazła Jacka Kennisona na ścieżce rowerowej nad rzeką.

– Och, biedaczysko – westchnęła Bunny, której mąż nadal żył. Ten sam mąż, który przez większą część małżeństwa doprowadzał ją do szału, kłócąc się o wychowanie córki, i nie zdejmował baseballowej czapki, zasiadając do lunchu; wszystko to sprawiało, że Bunny po prostu dostawała obłądu. Teraz jednak było tak, jakby wygrała na loterii, ponieważ on nadal żył i Olive myślała, że Bunny rozumie, jak to jest, kiedy jej przyjaciółki tracą mężów i toną

w pustce. Tak naprawdę Bunny – co Olive chwilami przychodziło do głowy – nie chciała przebywać zbyt długo w jej pobliżu, jakby wdowieństwo było jakąś chorobą zakaźną. Co innego jednak porozmawiać przez telefon.

– Jakie to szczęście, że akurat nadeszłaś i go znalazłaś – stwierdziła Bunny. – Wyobrażam sobie, jak to jest tak leżeć.

– Lada chwila mógł nadejść ktoś inny – powiedziała Olive. – Powinnam zadzwonić, sprawdzić, jak się czuje.

– Och, zrób to – zachęciła Bunny.

O piątej po południu Olive wyszukała jego numer w książce telefonicznej. Zaczęła go wybierać, lecz przestała. Zadzwoiła o siódmej.

– Wszystko w porządku? – zapytała, nie przedstawiając się.

– Witaj, Olive – rzekł. – Chyba tak. Dziękuję.

– Zawiadomiłaś córkę?

– Nie. – Olive zauważyła lekką nutę zdziwienia.

– Może wolałaby wiedzieć, że nie czujesz się zbyt dobrze.

– Nie widzę powodu, żeby ją niepokoić – odparł.

– No to w porządku. – Olive rozejrzała się po pustej, cichej kuchni. – Do widzenia.

Weszła do sąsiedniego pokoju i położyła się z tranzystorem przy uchu.

Minął tydzień. Olive uświadomiła sobie podczas porannych spacerów nad rzeką, iż chwile spędzone w poczekalni, gdy Jack Kennison widział się z lekarzem, na krótki czas przywróciły ją do życia. A teraz znowu z tego życia wypadła. Zagadkowa sprawa. Od śmierci Henry’ego Olive wypróbowała wiele sposobów. Została przewodnikiem w muzeum w Portland, lecz po kilku miesiącach zdała sobie sprawę, iż z trudem wytrzymuje przebywanie przez cztery godziny w jednym miejscu. Zgłosiła się jako wolontariuszka w szpitalu, ale nie mogła znieść różowego kitla i układania uschniętych kwiatów, gdy pielęgniarki mijały ją w pośpiechu. Zgłosiła się na ochotnika, by w college’u douczać języka angielskiego młodych obcokrajowców, którzy potrzebowali konwersacji na podstawowym poziomie. To było najlepsze, lecz niewystarczające.

Każdego ranka przechadzała się nad rzeką, gdy ponownie nadeszła wiosna, niemądra wiosna, otwierająca swe drobne pączki, a Olive nie mogła się pogodzić z myślą, że przez tyle lat coś takiego ją uszczęśliwiło. Nie sądziła, iż kiedykolwiek uodporni się na piękno materialnego świata, ale tak się stało. Rzeka połyskiwała od promieni wschodzącego słońca tak jasno, że Olive musiała założyć ciemne okulary.

Za zakrętem przy ścieżce stała kamienna ławka. Siedział na niej Jack Kennison i wpatrywał się w nadchodzącą Olive.

– Dzień dobry – odezwała się. – Próbujesz od nowa?

– Przyszły wszystkie wyniki badań. – Jack wzruszył ramionami. – Nic mi nie jest, więc pomyślałam, że wsiądę ponownie na tego konia, jak to mówią. Tak, próbuję od nowa.

– Godne podziwu. A teraz idziesz czy wracasz? – Myśl o dwumilowym spacerze w jego towarzystwie i trzymilowym powrocie do auta wytrąciła ją z równowagi.

– Idę. Idę z powrotem.

Nie zauważyła jego czerwonego, lśniącego auta na parkingu, kiedy stamtąd wyruszała.

– Przyjechałeś tu samochodem? – spytała.

– Tak, oczywiście. Jeszcze nie nauczyłem się fruwać.

Nie nosił ciemnych okularów i zauważyła, że szuka spojrzeniem jej oczu. Nie zdjęła swoich

przeciwslonecznych okularów.

– Żartowałem – powiedział.

– Rozumiem – odparła. – Fruń, fruń, fruń do domu.

Poklepał otwartą dłonią kamienną płytę, na której siedział.

– Nie chcesz odpocząć?

– Nie. Maszeruję prosto przed siebie.

Kiwnął głową.

– W porządku. No to miłego spaceru.

Minęła go i nagle się odwróciła.

– Dobrze się czujesz? Usiadłeś tutaj, ponieważ jesteś zmęczony?

– Usiadłem, ponieważ miałem na to ochotę.

Pomachała dłonią nad głową i ruszyła dalej. Nie dostrzegała niczego po drodze, ani słońca, ani rzeki, ani asfaltowej ścieżki, ani rozchylających się pąków. Szła i rozmyślała o Jacku Kennisonie bez żony, która była tak przyjaźnie do wszystkich nastawiona. Powiedział, że tkwi w piekle i, oczywiście, tkwił.

Po powrocie do domu zatelefonowała do niego.

– Czy nie wybrałbyś się któregoś dnia na lunch?

– Wolałbym kolację – odparł. – Miałbym wtedy na co czekać. A po lunchu pozostanie mi cała reszta dnia.

– Dobrze. – Nie przyznała się, że chodzi spać o zachodzie słońca i dla niej kolacja w restauracji to wybryk, coś takiego, jakby miała się położyć grubo po północy.

– Och, wspaniale – powiedziała Bunny. – Olive, umówiłaś się na randkę.

– Dlaczego wygadujesz takie głupstwa? – obruszyła się Olive, szczerze zirytowana. – Jesteśmy dwojgiem samotnych ludzi, którzy zjedzą razem kolację.

– No właśnie – skonstatowała Bunny. – Na tym polega randka.

Zabawne, jak to drażniło Olive. Skoro Bunny to powiedziała, Olive już nie mogła się jej zwierzyć. Zatelefonowała do syna, który mieszkał w Nowym Jorku. Zapytała, jak się chowa najmłodsze dziecko.

– Świetnie – odparł Christopher. – Próbuje chodzić.

– Nie wspomniałeś, że już chodzi.

– No, ale chodzi.

Nagle oblała się potem, poczuła krople na twarzy i wilgoć pod pachami. Niemal jak wtedy, gdy umarł Henry, a dom opieki zawiadomił ją o tym dopiero nazajutrz rano. Teraz mały potomek jej i Henry'ego gdzieś tam w obcym kraju zwanym Nowym Jorkiem dreptał po ciemnym salonie w dużym starym domu z brunatnego piaskowca. Olive miała wątpliwości, czy zostanie tam zaproszona, jako że jej poprzednia wizyta, delikatnie rzecz ujmując, nie wypadła najlepiej.

– Chris, może byście przyjechali tu na trochę w lecie?

– Może. Zobaczymy. Mamy pełne ręce roboty, ale jasne, że byśmy chcieli. Zobaczymy.

– Od jak dawna mały chodzi?

– Od zeszłego tygodnia. Przytrzymał się sofy, uśmiechnął się i wystartował. Zrobił trzy pełne kroki, zanim się przewrócił.

Słuchając głosu Christophera, można by pomyśleć, że nigdy i nigdzie na świecie żadne dziecko nie próbowało dotychczas chodzić.



- Jak się miewasz, mamó? – Szczęście sprawiło, że stał się miłszy.
- Wiesz. Po staremu. Pamiętasz Jacka Kennisona?
- Nie.
- Taki nadęty bufon, któremu w grudniu zmarła żona. Smutny. Wybieramy się na wspólną kolację w przyszłym tygodniu i Bunny określiła to jako „randkę”. Co za głupie słowo. Naprawdę mnie zirytowała.
- Idź z nim na tę kolację. Potraktuj to jako pracę społeczną albo coś w tym rodzaju.
- Tak – zgodziła się Olive. – Masz całkowitą rację.

Wieczory teraz były długie i Jack zaproponował spotkanie w Malowanym Sterze o wpół do siódmej.

– Powinno być przyjemnie nad wodą w tych godzinach – powiedział i Olive przytaknęła, choć pora dnia ją niepokoiła. Przez większą część życia jadała kolację o piątej po południu, a to, że on widocznie jadał później, przypomniało jej, iż nic o nim nie wie, i zapewne go to nie obchodziło. Od początku za nim nie przepadała i niemądrze z jej strony, że się zgodziła na tę kolację.

Zamówił wódkę z tonikiem, co jej się nie spodobało.

– Poproszę wodę – zwróciła się stanowczym tonem do kelnerki, która skinęła głową i wycofała się na zaplecze.

Siedzieli po przekątnej stołu dla czterech osób, żeby widzieć zatoczkę z żaglówkami i kutrami, a także boje kołyszące się lekko w wieczornej bryzie. Jego potężne owłosione ramię znalazło się zdecydowanie zbyt blisko, gdy sięgał po swojego drinka.

– Wiem, że Henry przez długi czas przebywał w domu opieki. – Spojrzał na nią swymi intensywnie niebieskimi oczami. – To musiało być dla ciebie trudne, Olive.

Rozmawiali w tym tonie i było to na swój sposób sympatyczne. Każde z nich potrzebowało, by ktoś wysłuchał, co mają do powiedzenia, i ta potrzeba została zaspokojona. Słuchali. Mówili. Znowu słuchali. Ani razu nie napomknął o Harvardzie. Słońce skryło się już za łodziami, a oni nadal siedzieli przy bezkofeinowej kawie.

W następnym tygodniu jedli wspólny lunch w małej knajpce nad rzeką. Może dlatego, że spotkali się w środku dnia – wiosenne słońce rozświetlało trawniki, zaparkowane samochody widoczne przez okno odbijały ostre, jasne błyski – może ta pora sprawiła, że nie było tak pięknie jak poprzednim razem. Jack wydawał się zmęczony. Miał na sobie drogą i świeżo wyprasowaną koszulę. Olive czuła się wielka i zwalista w długiej kamizelce, którą sama uszyła ze starych zasłon.

– Czy twoja żona szyła?

– Szyła? – powtórzył, jakby obce mu było znaczenie tego słowa.

– Szyła. Ubrania z materiału.

– Aha. Nie.

Gdy jednak wspomniała, że ona i Henry sami zbudowali swój dom, oznajmił, że chciałby go zobaczyć.

– Świetnie – odparła. – Jedź za mną.

Spoglądała we wsteczne lustro, gdy jego czerwone auto ruszyło za jej samochodem. Zaparkował tak fatalnie, że omal nie rozjechał młodej brzozy. Olive usłyszała jego kroki za plecami na stromym podejściu. Poczwała się jak wieloryb, wyobrażając sobie własny wielki grzbiet, widziany jego oczami.

– Ładnie tu, Olive – skostatował, pochylając głowę, choć miał mnóstwo miejsca, żeby się

wyprostować. Pokazała mu narożny pokój, gdzie można było się położyć i patrzeć przez okna na ogród. Pokazała mu bibliotekę zbudowaną rok przed udarem Henry'ego, z katedralnym stropem i świetlikami. Jack zaczął oglądać książki i Olive chciała powiedzieć: „Przestań”, zupełnie jakby czytał jej pamiętnik.

– On jest jak dziecko – wyznała Olive w rozmowie z Bunny. – Wszystkiego musi dotknąć. Jak Boga kocham, wziął moją drewnianą mewę, obrócił w rękach i odstawił w złe miejsce. A potem wziął gliniany wazonik, który kiedyś dostaliśmy od Chrisa, i zaczął oglądać. Czego szukał, metki z ceną?

Bunny odpowiedziała:

– Moim zdaniem jesteś dla niego zbyt surowa, Olive.

Przestała zatem rozmawiać z Bunny na jego temat. Nie opowiedziała jej, jak tydzień później znowu zjedli razem kolację, jak na dobranoc pocałował ją w policzek, jak potem pojechali do Portland na koncert i tamtego wieczoru lekko pocałował ją w usta! Nie, o takich rzeczach nie należało mówić; nikomu nic do tego. I z pewnością nikomu nic do tego, że w wieku lat siedemdziesięciu czterech leżała bezsennie i myślała o jego ramionach, wyobrażając sobie coś, czego sobie nie wyobrażała ani nie robiła od lat.

Jednocześnie krytykowała go w myślach. Boi się samotności. Jest słaby. Tacy już są mężczyźni. Zapewne chciałby, żeby ktoś mu gotował i po nim sprzątał. Jeśli tak, to grubo się myli. Mówił o swojej matce tak często i w takich superlatywach, że coś tu musiało być nie w porządku. Jeśli chciał mamuśki, powinien był rozejrzeć się gdzie indziej.

Przez pięć dni padał deszcz. Ostry i ulewny – taka okazała się ta wiosna. Był to zimny, niemal jesienny deszcz i nawet Olive, z jej potrzebą nadrzecznych spacerów, nie widziała powodu, by rano wychodzić z domu. Nie przepadała za noszeniem parasola. Wolała przeczekać deszcz w samochodzie zaparkowanym przed Dunkin' Donuts, z psem na tylnym siedzeniu. Piekielne dni. Jack Kennison nie zadzwonił i ona również do niego nie zatelefonowała. Pomyślała, że zapewne znalazł kogoś innego, kto wysłucha jego żali. Wyobraziła go sobie siedzącego obok jakiejś kobiety na koncercie w Portland i doszła do wniosku, że mogłaby mu wpakować kulę prosto w łeb. Ponownie pomyślała o własnej śmierci: „Niech nadejdzie szybko”. Zatelefonowała do Chrisa do Nowego Jorku.

– Jak się miewasz? – zagadnęła, wściekła, że on sam nigdy nie zadzwoni.

– Doskonale – odparł. – A ty?

– Koszmarnie. Jak tam Ann i dzieci? – Ożenił się z kobietą, która miała już dwoje dzieci, a trzecie było jego. – Wszyscy chodzą?

– Jasne, wszyscy chodzą – potwierdził Chris. – Gorączkowo i nerwowo.

Omów go w tej chwili nie znienawidziła. Jej życie również było niegdyś „gorączkowe i nerwowe”. „Zaczekaj tylko – pomyślała. – Każdemu się wydaje, że wszystko wie, a tymczasem nikt nic nie wie”.

– Jak tam twoja randka?

– Jaka randka? – zapytała.

– Z tym facetem, którego nie możesz znieść.

– To nie była randka, na litość boską.

– No dobrze, ale jak wypadło?

– Nieźle – odparła. – Jest przygłupem i twój ojciec wiedział o tym od początku.

– Tata go znał? – zainteresował się Chris. – Nigdy o tym nie mówiłaś.

– Niekoniecznie znał – odparła Olive. – Tyle, co z widzenia. Wystarczająco, by uznać go za przygłupa.

– Theodore płacze – oznajmił Christopher. – Muszę iść.

I nagle, jakby wstała tęcza, zadzwonił Jack Kennison.

– Do jutra ma się rozpogodzić. Spotkamy się nad rzeką?

– Dlaczego nie? – odparła Olive. – Wyruszam o szóstej.

Rano, gdy zatrzymała auto na żwirowym parkingu, Jack Kennison opierał się już o swój czerwony samochód i kiwnął głową, trzymając ręce w kieszeniach. Miał na sobie niebieską wiatrówkę, której nie widziała wcześniej, pasującą do barwy jego oczu. Musiała wydobyć z bagażnika sportowe buty i założyć je przy nim, co ją zirytowało. Kupiła te buty w męskim dziale, niedługo po śmierci Henry’ego. Szerokie, beżowe, sznurowane, nadal pasowały i dało się w nich chodzić. Olive wstała, dysząc ciężko.

– Ruszajmy – powiedziała.

– Mogę po jednej mili zapragnąć odpoczynku na ławce. Wiem, że ty lubisz maszerować naprzód.

Popatrzyła na niego. Jego żona zmarła pięć miesięcy wcześniej.

– Odpocznę, kiedy ty zechcesz odpocząć – zadeklarowała.

Rzeka płynęła po lewej stronie i rozszerzała się w pewnym miejscu, odsłaniając małą wysepkę, na której zieleniły się już krzewy.

– Moi przodkowie pływali łodziami w górę tej rzeki – oznajmiła Olive.

Jack milczał.

– Myślałam, że moje wnuki będą robiły to samo, to znaczy wiosłowały w górę rzeki. Lecz mój jedyny rodzony wnuk będzie dorastał w Nowym Jorku. Tak się chyba toczy ten świat. Ale to boli. Takie DNA rozsiane jak puch z dmuchawca.

Olive musiała zwolnić, by zrównać się ze spacerowym krokiem Jacka. Przyszło jej to z trudem, jak powolne picie wody w momencie pragnienia.

– Ty przynajmniej rozsiewasz swoje DNA – powiedział, nie wyjmując rąk z kieszeni. – Ja nie będę miał wnuków. Nie naprawdę.

– Co to znaczy: „nie naprawdę”? Jak można „nie naprawdę” lub „naprawdę” mieć wnuki?

Chwilę potrwało, zanim odpowiedział, i już wcześniej podejrzewała, że tak będzie. Spojrzała na niego i pomyślała, że nie wygląda najkorzystniej; miał niezbyt przyjemny wyraz twarzy i wysuwał głowę naprzód pomiędzy przygarbionych ramion.

– Moja córka wybrała alternatywny styl życia. W Kalifornii.

– Domyślam się, że Kalifornia to nadal idealne miejsce. Dla alternatywnych stylów życia.

– Ona żyje z kobietą – wyznał Jack. – Żyje z kobietą, tak jak inna żyłaby z mężczyzną.

– Rozumiem – powiedziała Olive. W cieniu kryła się granitowa ławka, wyznaczająca pierwszą milę. – Chcesz usiąść?

Jack usiadł. Ona również usiadła. Obydwoje popatrzyli na rzekę. Jakaś starsza para przeszła obok, trzymając się za ręce i kiwając do nich głowami, jakby oni także stanowili parę. Po chwili Olive przemówiła:

– A zatem, jak przypuszczam, nie podoba ci się sposób życia twojej córki?

– Ani trochę mi się nie podoba – odparł Jack. Uniósł podbródek. – Pewnie jestem na to za płytki – dodał.

– Och, jesteś całkiem wyrafinowany – zauważyła Olive. – Choć jeśli chodzi o moją opinię, to może znaczyć to samo – dodała. Spojrzał na nią, unosząc wysoko starcze brwi. – Ja natomiast

nie jestem ani trochę wyrafinowana. W gruncie rzeczy wieśniaczka ze mnie. Odczuwam silne namiętności i uprzedzenia wieśniaczki.

– To znaczy? – spytał Jack.

Olive sięgnęła do kieszeni, znalazła ciemne okulary, założyła je.

Po chwili Jack podjął:

– Powiedz szczerze. Gdyby twój syn poinformował cię, że chce spać z mężczyznami, sypia z mężczyznami, jest zakochany w mężczyźnie, żyje z nim, śpi z nim, mieszka z nim... czy naprawdę nie miałabyś nic przeciw temu?

– Nie miałabym – odparła Olive. – Kochałabym go z całego serca.

– Jesteś sentymentalna – orzekł Jack. – Nie wiesz, jak byś się czuła, ponieważ nigdy się nie znalazłaś w takiej sytuacji.

Olive zarumieniła się gwałtownie. Pod jedną jej pachą wystąpiły krople potu.

– Znalazłam się w wielu podobnych.

– Na przykład jakich?

– Na przykład takiej, że mój syn ożenił się z sekutnicą, która najpierw zaciągnęła go do Kalifornii, a potem porzuciła.

– Statystycznie rzecz biorąc, Olive, to się zdarza w wielu przypadkach. W pięćdziesięciu procentach przypadków.

– I co z tego? – Jego reakcja wydała jej się głupia i bezduszna. – A jakie jest prawdopodobieństwo posiadania dziecka o homoseksualnych skłonnościach? – spytała. Jej stopy sprawiały wrażenie nienaturalnie wielkich, doczepionych do reszty nóg. Schowała je pod ławkę.

– To się ciągle zmienia. Każde badania przynoszą coś nowego. Ale najwyraźniej pięćdziesiąt procent ludzkiego potomstwa nie okazuje się homoseksualistami.

– Może ona nie jest lesbijką – zauważyła Olive. – Może po prostu nienawidzi mężczyzn.

Jack Kenniston zaplótł ramiona na piersi okrytej niebieską wiatrówką i wpatrzył się w przestrzeń.

– To niezbyt miłe z twojej strony, Olive. Ja nie wysuwałem teorii wyjaśniającej, dlaczego twój syn ożenił się z sekutnicą.

Chwilę potrwało, zanim Olive przyjęła to do wiadomości.

– Urocze – powiedziała. – Przyjemnie usłyszeć takie słowa. – Wstała i nie obejrzała się, by sprawdzić, czy on również wstał. Usłyszała jednak jego kroki za sobą i zwolniła, by mogli iść obok siebie; kierowała się z powrotem do samochodu.

– Nadal nie wiem, co masz na myśli, mówiąc, że jesteś wieśniaczką. W tym kraju nie ma wieśniaków, tak mi się wydaje. Może chodzi ci o to, że jesteś kowbojką. – Tu Olive zerknęła na niego i z zaskoczeniem dostrzegła, że uśmiecha się do niej dobrodusznie. – Widzę cię jako kowbojkę.

– Dobrze, jestem kowbojką.

– A zatem także republikanką? – zagadnął po chwili.

– Och, na litość boską! – Olive przystanęła, spojrzała na niego przez ciemne okulary. – Nie powiedziałam: „kretynką”. Masz na myśli to, że naszym prezydentem jest kowboj? A wcześniej był nim aktor, który grał role kowbojów? Posłuchaj mnie. Ten idiota, ekskokainista nigdy nie był kowbojem. Może nosić tyle kowbojskich kapeluszy, ile mu się podoba. Jest rozpuszczonym bachorem w każdym calu. Na jego widok robi mi się niedobrze.

Była naprawdę rozżłoszczona i dopiero po chwili zauważyła, że Jack patrzy w drugą stronę z nieobecny wyrazem twarzy, jakby wycofał się w głąb siebie i tylko czekał, aż Olive skończy.

– Boże – powiedziała wreszcie. – To niemożliwe.

– Co niemożliwe?

– Głosowałeś na niego.

Jack Kennison sprawiał wrażenie znużonego.

– Głosowałeś na niego. Ty, pan Harvardczyk, pan Tęga Głowa. Głosowałeś na tego śmierdziela.

Zaniósł się krótkim, szczekliwym śmiechem.

– Mój Boże, naprawdę żywisz namiętności i uprzedzenia wieśniaczki.

– Dość tego – ucięła Olive. Ruszyła naprzód, tym razem swoim tempem. Rzuciła jeszcze przez ramię: – Przynajmniej nie jestem uprzedzona do homoseksualistów.

– Nie! – zawołał. – Tylko do białych zamożnych mężczyzn.

„Masz cholerną rację” – pomyślała.

Zadzwoiła do Bunny, która, rzecz nie do wiary, parsknęła śmiechem.

– Och, Olive – powiedziała – czy to rzeczywiście ma znaczenie?

– To, że ktoś głosował na człowieka, który kłamie całemu narodowi? Bunny, na litość boską, ten świat jest do chrzanu.

– To prawda – przyznała Bunny. – Ale zawsze taki był. Myślę, że jeśli odpowiada ci jego towarzystwo, powinnaś przymknąć oko.

– Nie odpowiada mi jego towarzystwo – odparła Olive i odłożyła słuchawkę. Dotychczas nie zdawała sobie sprawy, że Bunny jest idiotką, a tu proszę.

Było jednak okropną rzeczą, iż nie można się nikomu zwierzyć. Olive odczuła to mocno w następnych dniach. Zatelefonowała do Christophera.

– On jest republikaninem – powiedziała.

– No cóż, przykra sprawa – odparł Christopher. Dodał: – Myślałem, że chcesz wiedzieć, jak się chowa twój wnuk.

– Oczywiście, że chcę. Szkoda, że ty do mnie nie dzwonisz z informacjami, jak on się chowa.

Gdzie i jak dokładnie nastąpił ten rozdźwięk między nią a synem, Olive nie potrafiła określić.

– Dzwonię do ciebie, mamó. – Długa pauza. – Ale...

– Ale co?

– Trochę trudno się z tobą rozmawia.

– Rozumiem. Wszystko moja wina.

– Nie. Wszystko jest winą kogoś innego, o to mi chodzi.

Niewątpliwie odpowiedzialność za to ponosił terapeuta jej syna. Kto by się czegoś takiego spodziewał? Powiedziała do słuchawki:

– „Nie ja”, rzekła Mała Czerwona Kurka.

– Co?

Rozłączyła się.

Minęły dwa tygodnie. Chodziła nad rzekę wcześniej niż o szóstą, by nie natrafić na Jacka, a także dlatego, że budziła się po paru zaledwie godzinach snu. Wiosna była tak przepiękna, że aż raziła oczy. Gwiazdziste kwiatuszki śniedków przebijały się przez warstwę sosnowych igieł, fioletowe kępki fiołków rosły pod granitową ławką. Mijała starszą parę trzymającą się za ręce. A później zaprzestała spacerów. Przez kilka dni pozostawała dłużej w łóżku, czego, jak sięgała pamięcią, nigdy dotychczas nie robiła. Nie należała do osób, które lubią się wylegiwać.

Christopher nie telefonował. Bunny nie telefonowała. Jack Kennison nie telefonował.

Pewnego razu obudziła się o północy. Włączyła komputer i wstukała adres e-mailowy Jacka, który od niego wzięła, kiedy jedli razem lunch i jeździli do Portland na koncerty.

„Czy twoja córka cię nienawidzi?” – napisała.

Rano przeczytała krótkie słowo: „Tak”.

Odczekała dwa dni. Potem napisała: „Mój syn także mnie nienawidzi”.

Godzinę później nadeszła odpowiedź: „Czy to cię dobija? Bo mnie dobija, że moja córka mnie nienawidzi. Ale wiem, że to moja wina”.

Olive odpisała natychmiast: „Dobija mnie. Boli jak diabli. Ja również musiałam zawinić, choć nie rozumiem, w jaki sposób. Pamiętam różne rzeczy inaczej niż on. Chodzi do psychiatrii o imieniu Arthur i myślę, że to Arthur się do tego przyczynił”. Po długiej chwili kliknęła „Wyślij” i od razu napisała kolejną wiadomość: „PS Ale to zapewne też moja wina. Henry powiedział, że nigdy, przenigdy za nic nie przeprosiłam i być może miał słuszość”. Kliknęła „Wyślij”. A następnie napisała: „PS nr 2. Miał słuszość”.

Nie dostała na to odpowiedzi i poczuła się jak nastolatka, której obiekt westchnień odszedł z inną dziewczyną. W istocie Jack prawdopodobnie miał inną dziewczynę albo kobietę. Starą kobietę. Było ich wokoło bez liku, także republikanek. Położyła się na łóżku w małym bocznym pokoju i zaczęła słuchać tranzystora, który trzymała przy uchu. Potem wstała i wyszła na spacer z psem, prowadząc go na smyczy, ponieważ gdyby go spuściła, mógłby zagryźć któregoś kota Moodych; raz się to zdarzyło.

Kiedy wróciła, słońce nie stało już w zenicie i zaczynała się dla niej niedobra pora dnia; po zmierzchu robiło się lepiej. A tak bardzo lubiła długie wiosenne popołudnia za młodych lat, gdy miała przed sobą całe życie. Szukając w kredensie milk-bone dla psa, usłyszała bipnięcie automatycznej sekretarki. To było aż niedorzeczne, jak wielką miała nadzieję, że zadzwoniła Bunny albo Chris. Odezwwał się głos Jacka Kennistona: „Olive. Czy możesz do mnie zajrzeć?”.

Umyła zęby, zamknęła psa w kojcu.

Jego lśniące czerwone auto stało na niewielkim podjeździe. Kiedy zapukała do drzwi, nikt nie zareagował. Otworzyła je.

– Halo?

– Witaj, Olive! Jestem tutaj, w głębi domu. Położyłem się. Zaraz przyjdę.

– Nie! – odrzyknęła. – Nie ruszaj się! Znajdę cię.

Zastała go na łóżku w pokoju gościnnym na dole. Leżał na plecach z jedną ręką pod głową.

– Cieszę się, że przyszłaś – powiedział.

– Czy znowu się marnie czujesz?

Uśmiechnął się swoim ledwo widocznym uśmiechem.

– Tylko na duchu. Ciało ma się nieźle.

Kiwnęła głową.

Przesunął nogi w bok.

– Chodź – zachęcił, klepiąc łóżko. – Usiądź. Mogę sobie być bogatym republikaninem, choć wcale nie jestem taki bogaty, w razie gdybyś żywiła skrytą nadzieję. Tak czy inaczej... – Westchnął i pokręcił głową. Promienie słońca wpadające przez okna odbiły się w jego oczach i wydobyły ich intensywny błękit. – Tak czy inaczej, Olive, możesz mi powiedzieć różne rzeczy, że tłukłaś swojego syna na kwaśne jabłko, i nie będę miał ci tego za złe. Nie sądzę, żebym miał. Ja tłukłem swoją córkę emocjonalnie. Nie odzywałem się do niej przez dwa lata, możesz to sobie wyobrazić?

– Zdarzało mi się uderzyć syna – powiedziała Olive. – Kiedy był małym chłopcem. Nie tylko dać klapsa. Uderzyć.

Jack Kennison kiwnął głową.

Zrobiła kilka kroków, postawiła torebkę na podłodze. Jack nie usiadł, leżał nadal na łóżku, stary człowiek z brzuchem napęczniałym niczym worek z pestkami słonecznika. Jego niebieskie oczy obserwowały ją, gdy podchodziła do niego, a pokój wypełniał cichy blask popołudniowego słońca. Wpadał przez okno, oświetlając bujany fotel, ostrzeliwując tapetę jaskrawymi salwami. Mahoniowe gałki łóżka błyszczały. Za łukowatym oknem widać było błękit nieba, krzew woskownicy, kamienny murek. Milczenie słońca, milczenie świata zdawało się przeszywać Olive upiornym dreszczem, gdy tak stała, czując słoneczne ciepło na odsłoniętym nadgarstku. Popatrzyła na Jacka, odwróciła wzrok, spojrzała ponownie. Usiąść obok niego oznaczałoby zamknąć oczy na ziejącą samotność tego rozświetlonego świata.

– Boże, boję się – powiedział cicho.

Odruchowo omal nie odparła: „Och, przestań. Nie cierpię wystraszonych ludzi”. Mogłaby się w ten sposób odezwać do Henry’ego, właściwie do każdego. Może dlatego, że nienawidziła przerażonej części samej siebie – była to tylko przelotna myśl, wewnątrz Olive trwała walka odrazy z ostrożnym pragnieniem. Nagłe wspomnienie Jane Houlton w poczekalni skłoniło Olive, aby podejść do łóżka – swoboda zwykłej pogawędki, ponieważ wtedy w lekarskim gabinecie Jack potrzebował Olive, dał jej miejsce w otaczającej ich przestrzeni.

Jego niebieskie oczy obserwowały ją teraz; dostrzegła w nich bezbronność, zachętę, lęk, kiedy cicho usiadła na łóżku, położyła otwartą dłoń na jego piersi i wyczuła puk-puk jego serca, które miało umilknąć pewnego dnia, jak wszystkie serca. Teraz jednak nie było pewnego dnia, była tylko cisza rozświetlonego pokoju. Znajdowali się tutaj i jej ciało, stare, tęgie i obwisłe, poczuło nieklamane pożądanie. To, iż na wiele lat przed śmiercią Henry’ego przestała tak go kochać, zasmuciło ją do tego stopnia, że musiała zamknąć oczy.

„Czego młodzi ludzie nie wiedzą – pomyślała, kładąc się obok tego mężczyzny, którego dłoń dotknęła jej barku, jej ramienia. Och, czego młodzi nie wiedzą”. Nie wiedzieli, że gruzłowate, pomarszczone ciała również mają swoje potrzeby, tak samo jak ich własne ciała, młodzieńcze i jędrne, że miłości nie odsuwa się niedbale na bok, jakby była ciastkiem leżącym na półmisku obok innych ciastek, które wrócą, okrążywszy stół. Nie, jeżeli miłość była osiągalna, wybierało się ją albo nie. I jeśli półmisk Olive wypełniała dobroć Henry’ego, która wydawała się uciążliwa i której okrucy strzepywała co pewien czas, to dlatego, że nie wiedziała, o czym powinno się wiedzieć: że nieświadomie trwoni dzień za dniem.

No więc, jeżeli nawet ten mężczyzna obok niej nie był tym, kogo by wybrała, zanim nadeszła obecna chwila, cóż z tego, jakie to miało znaczenie? On wedle wszelkiego prawdopodobieństwa również by jej nie wybrał. Ale teraz znaleźli się tu razem i Olive wyobraziła sobie dwa przyciśnięte do siebie plasterki szwajcarskiego sera; takie dziury wnosili obydwój do tego związku – dziury, które wydłubało z nich życie.

Oczy miała zamknięte, a przez jej zmęczone jestestwo przetaczały się fale wdzięczności – i żalu. Ujrzała w duchu słoneczny pokój, skąpaną w blasku słońca ścianę, krzew woskownicy na zewnątrz. Frapował ją ten świat. Nie chciała go jeszcze opuszczać.

ELIZABETH STROUT jest autorką bestsellerów *Nie odstępaj ode mnie* oraz *Amy and Isabelle* (*Amy i Isabelle*), książki, która zdobyła nagrodę Arta Seidenbauma przyznawaną przez „Los Angeles Times” oraz Nagrodę Heartland „Chicago Tribune”. Była również finalistką wśród ubiegających się o nagrodę literacką im. Faulknera ufundowaną przez pisarzy i przyznawaną za najlepszą amerykańską książkę prozatorską, a także Orange Prize w Anglii. Jej opowiadania drukowały m.in. „The New Yorker” i „O: The Oprah Magazine”. Jest członkiem rady programowej studiów magisterskich w dziedzinie sztuk pięknych na Uniwersytecie Queens w Charlotte, w stanie Północna Karolina. Mieszka w Nowym Jorku.

EWA HORODYSKA (ur. 1964) ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przez rok pracowała jako asystentka Macieja Słomczyńskiego. Od ponad dwudziestu lat tłumaczy współczesną i klasyczną literaturę angielską oraz amerykańską – powieści, biografie, dramaty, reportaże. Przełożyła m.in. książki Elie Wiesela, Frances Hodgson Burnett, Lucy Maud Montgomery, Jane Austen, Mai Angelou i Mary Higgins Clark. Szczególnie dumna jest z tłumaczeń *Wodnych dzieci* Charlesa Kingsleya, *Biednych istot* Alisdaira Graya oraz nieopublikowanego przekładu epickiego poematu Alfreda Tennysona *Idylle królewskie*.



Tytuł oryginału  
*Olive Kitteridge*

Copyright © 2008 by Elizabeth Strout  
This translation published by arrangement with Random House, a division of Random House, Inc., New York.

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2010

Cover design Robbin Schiff  
Cover photography © Laura Hanifin

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*  
Opieka merytoryczna *Joanna Kończak*  
Redakcja *Katarzyna Szroeder-Dowjat*  
Korekta *Roma Sachnowska. Katarzyna Nowak*  
Korekta plików po konwersji *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-12839-3

Plik wyprodukowany na podstawie *Olive Kitteridge*, Warszawa 2014



[www.wnk.com.pl](http://www.wnk.com.pl)

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,  
faks 22 643 70 28  
e-mail: [wnk@wnk.com.pl](mailto:wnk@wnk.com.pl)



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl  
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa  
e-mail: [kontakt@elib.pl](mailto:kontakt@elib.pl)  
[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)